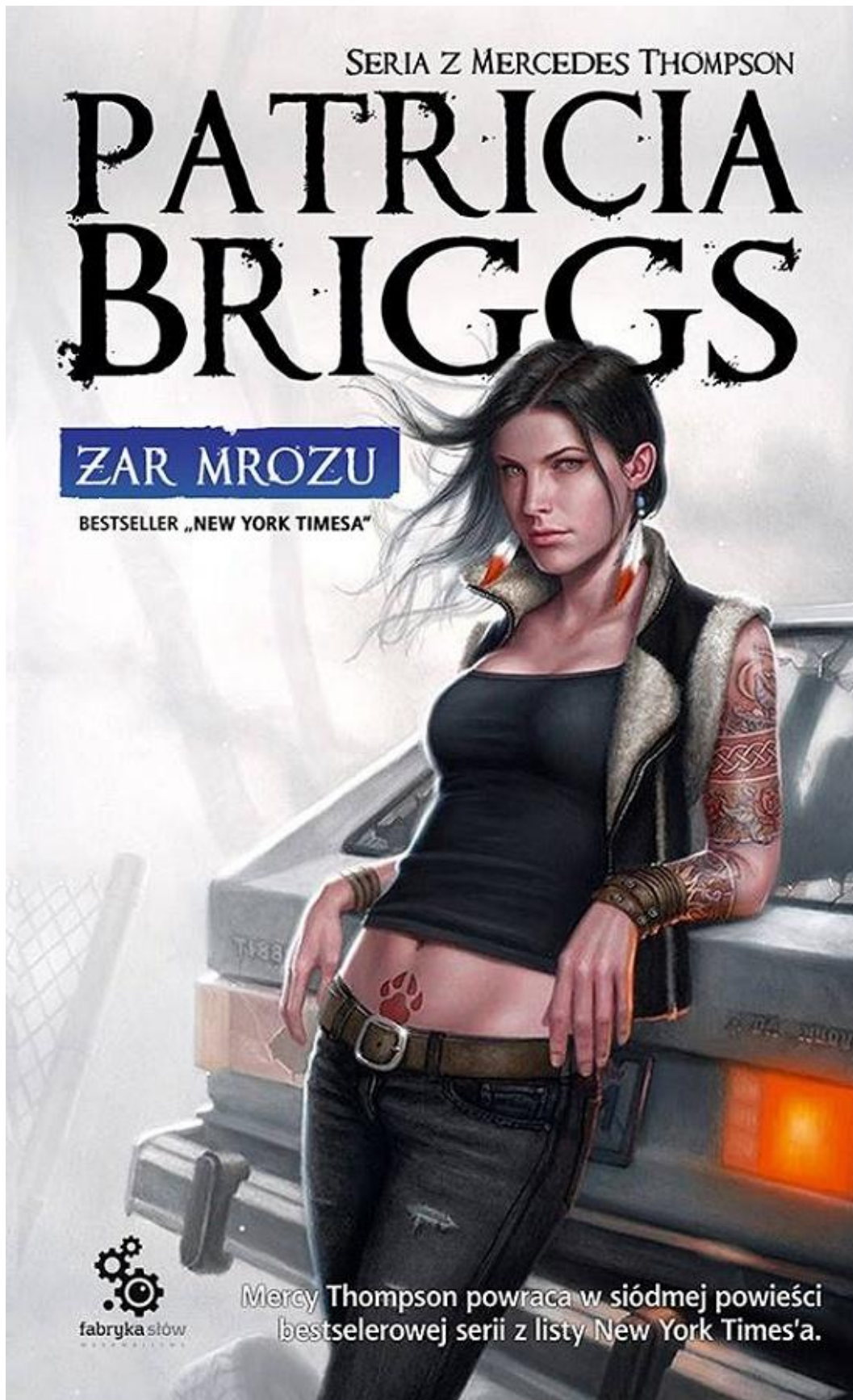


SERIA Z MERCEDES THOMPSON

PATRICIA BRIGGS

ZAR MROZU

BESTSELLER „NEW YORK TIMESA”



Mercy Thompson powraca w siódmej powieści
bestsellerowej serii z listy New York Times'a.

PATRICIA
BRIGGS

ZAR MROZU

PRZEŁOŻYŁ

MAREK NAJTER



fabryka słów®

LUBLIN – WARSZAWA



Mike'owi, który wniósł światło w

moje życie.



Rozdział 1

Trzeba było jechać vanem – stwierdziła moja pasierbica. Mówiła normalnym tonem, ale minę miała jeszcze niewyraźną.

– Trzeba było w ogóle nie jechać – mruknęłam, dopychając klapę bagażnika. Jak na tak mały samochód, Królik miał spory bagażnik, a byliśmy w sklepie zaledwie dwadzieścia minut. Często robię zakupy w Walmarcie, ale w życiu tyle nie kupiłam. A wyszliśmy jeszcze przed ogłoszeniem okazji o północy. I mimo to nakupiliśmy masę różności. W dodatku większość wcale nie była w promocji. Kto tak robi?

– Och, daj spokój – prychnęła z wymuszoną wesołością. – Jest czarny piątek. Wszyscy chodzą na zakupy w czarny piątek.

Podniosłam głowę znad odpornej klapy mojego biednego, przeładowanego samochodu i rozejrzałam się po parkingu marketu budowlanego.

– Nie da się ukryć – wymamrotałam.

Market nie był co prawda czynny nocą w czarny piątek, ale miał ogromny parking, z którego skorzystały tłumy klientów Walmartu. Na tamtejszy parking nie wcisnąłby się nawet rower. Nie sądziłam, że w Tri-Cities mieszka tyle ludzi – a przecież był to tylko jeden z trzech Walmartów w mieście, i to ten, który naszym zdaniem miał być najmniej obleżony.

– Może pojedziemy teraz do Targetu? – zastanowiła się Jesse, przyprowadzając mnie o lodowaty dreszcz. – Mają w promocji nowy „Łup straszliwego pirata IV – gorące skarby”, za pół ceny, dzisiaj o północy premiera. Krążyły plotki, że są problemy z produkcją, a to oznacza, że gra przed świętami normalnie będzie nie do zdobycia.

„Łup straszliwego pirata III – saczki i złote gorsety”, lepiej znany jako ŁSPTSIZG – nie żartuję, jeśli ktoś nie potrafił wypowiedzieć skrótu literowego bez przerwy i zająknięcia dziesięć razy z rzędu, nie był Prawdziwym Graczem – to ulubiona gra watahy. Dwa razy w miesiącu znosili do sali konferencyjnej laptopy i monitory, a potem grali do rana. Groźne, okrutne wilkołaki grające przez Internet w grę o piratach stanowiły niezły widok. Aż dziw, że podczas rozgrywek trup nie słał się

gęsto. Na razie.

– I te plotki o trudnej dostępności wyciekły do prasy akurat w czarny piątek? – zapytałam z przekąsem.

Uśmiech na zaróżowionej od zimnego listopadowego wiatru twarzy nie był już tak wymuszony jak przez ostatnie parę godzin, odkąd matka Jesse zadzwoniła podczas kolacji świętodziękczynnej i odwołała plany na Boże Narodzenie.

– Jesteś cyniczna. Za dużo przebywasz z tatą.

Tak więc w pogoni za łupem piratów przejechaliśmy na drugą stronę ulicy, gdzie znajdował się Target. Parking tego sklepu przypominał ten walmartowy, jednakże Target, w przeciwieństwie do Walmartu, nie był otwarty przez cały czas. Przed drzwiami stała długa kolejka czekająca na otwarcie o północy, co, według mojego zegarka, miało nastąpić za dwie minuty. Ogonek ciągnął się od wejścia do Targetu, zakręcał wokół magazynu obuwniczego i ogromnego sklepu zoologicznego i zniknął za rogiem pasażu handlowego, rozpluwając się w ciemnościach.

– Jeszcze nie otworzyli. – Nie miałam ochoty iść tam, gdzie kończyła się kolejka. Zastanawiałam się, czy tak właśnie czuli się żołnierze, którzy podczas wojny secesyjnej wyglądali zza szańców i widzieli zdeterminowane, gotowe do walki oddziały przeciwników. Szereg przed sklepem ciągnął za sobą wózki dziecięce zamiast dział, ale dla mnie wyglądał równie groźnie.

Jesse parsknęła śmiechem na widok mojej miny. Pokiwałam na nią palcem.

– Natychmiast proszę przestać, panienko. To twoja wina.

Zamrugła niewinnie.

– Moja? Ja tylko powiedziałam, że fajnie byłoby wyskoczyć z domu i rozejrzeć się po czarnopiątkowych wyprzedażach.

Uznałam, że to dobry pomysł na przekierowanie jej myśli ze szlaku wybrukowanego złamanymi obietnicami matki. Nie zdawałam sobie sprawy, że zakupy w czarny piątek (praktycznie rzecz biorąc, czwartek, według mojego zegarka jeszcze przez minutę) przypominają bitwę w deszczu granatów. I tak bym to zrobiła – kochałam Jesse, a moja mała dywersja zaczynała działać – ale dobrze byłoby wcześniej wiedzieć, na

co się porywam.

Jadąc powoli w kolumnie samochodów również szukających miejsca do zaparkowania, zbliżyliśmy się do wejścia, pod którym kłębił się gotowy do szturm tłum łowców promocji. Wewnątrz sklepu młody chłopak, odziany w żałośnie adekwatną czerwoną koszulkę Targetu, podchodził powoli do zamkniętych drzwi, jedynej bariery dzielącej go od żadnej zakupów hordy.

– On tego nie przeżyje – stwierdziła Jesse nieco zatroskana.

Chłopak wyciągnął rękę, by przekręcić klucz w zamku, a kolejka zaczęła falować niczym noworoczny chiński smok.

– Nie chciałabym być na jego miejscu – zgodziłam się, obserwując, jak chłopak, wykonawszy swą misję, rzuca się do odwrotu i biegnie w głąb sklepu, ścigany przez oszalały tłum śliniących się zakupomaniaków.

– Nie ma mowy, żebym tam weszła – oświadczyłam stanowczo, widząc, jak jedna staruszka grzmoci łokciem drugą, która chciała się przed nią przepchnąć.

– Zawsze możemy iść do centrum... – zasugerowała Jesse po chwili.

– Do centrum? – Aż uniosłam brwi ze zdumienia. – Chcesz iść do centrum? – W Tri-Cities jest masa pasażerów handlowych i magazynów outletowych, ale jeśli ktoś mówi „centrum”, ma na myśli ogromne centrum handlowe w Kennewick. To, do którego w Czarny Piątek wszyscy idą w pierwszej kolejności.

– Przestań, Mercy, mówię poważnie – roześmiała się Jesse. – Mają te wielkie roboty kuchenne na wyprzedaży, tańsze o stówę. Darrylowy się zepsuł, kiedy robiliśmy w nim ze znajomymi brownie. Zarobiłam trochę jako opiekunka do dzieci, ale wystarczy mi pieniędzy tylko wtedy, kiedy dostanę robota w tej cenie, a chcę go odkupić przed świętami. Jeśli mi się uda, uznam ten eksperyment za udany i możemy wracać. – Spojrzała na mnie smutno. – Naprawdę, Mercy, nic mi nie jest. Znam matkę, spodziewałam się, że wszystko odwoła. Zresztą święta z tobą i tatą będą fajniejsze.

– Cóż, skoro tak, to może po prostu dam ci tę brakującą stówkę i nie będziemy musiały iść do centrum.

Pokręciła przecząco głową.

– Nie da rady. Jesteś nowa w rodzinie, więc nie znasz jeszcze wszystkich zasad. Jeśli zepsuje się czyjaś zabawka, trzeba za nią zapłacić z własnej kieszeni. Jedziemy do centrum.

Z ciężkim westchnieniem wyjechałam z parkingowego deszczu pod Targetem i skierowałam się pod rynnę Centrum Handlowego Kolumbia.

– A więc do boju. Na pohybel hurmom mamusiek i starym jędzom. Po zwycięstwo!

Skinęła energicznie, unosząc wymagowany miecz.

– I niech będzie przeklęty, kto z nich pierwszy zawoła: „Stój! Dostyc!”

– Spróbuj tak trawestować Szekspira przy Samuelu, to zobaczysz – rzuciłam. Zaśmiała się.

Debiutowałam w roli macochy. Czasami przypominało to chodzenie po linie, śliskiej linie. Lubiłyśmy się z Jesse, ale bywały między nami zgrzyty. Jej wesoły śmiech napawał mnie jednak optymizmem co do naszej relacji.

Samochód przed nami zatrzymał się nagle, więc zahamowałam ostro. Królik był reliktem z moich lat szczenięcych (czyli dawnych czasów), którym jeździłam, bo po pierwsze, kochałam go, a po drugie, byłam mechanikiem, a utrzymywanie takiego starego, taniego grata na chodzie było najlepszą formą reklamy. Hamulce działały dobrze i Królik zatrzymał się z zapasem – dziesięciocentymetrowym zapasem.

– Nie jestem jedyną osobą, która kała „Makbeta” – broniła się Jesse, nieco wystraszona gwałtownym manewrem. Miała prawo, nie wiedziała przecież, że dopiero co zrobiłam hamulce.

Syknęłam potężająco i czekałam, aż jakiś tchórzliwy kierowca kilka wozów przed nami zdecyduje się wreszcie włączyć do ruchu na międzystanówce.

– Szkocki dramat. Jakbyś nie wiedziała. Są rzeczy, których imienia nie wolno wymawiać, jak Makbet, urząd skarbowy, Voldemort. W każdym razie jeśli chcesz dzisiaj dojechać do centrum.

– Ach. – Uśmiechnęła się przekornie. – Myślałam, że to dotyczy tylko Candymana i Krwawej Mary, i to jak stoi się przed lustrem.

– Czy twój ojciec wie, jakie oglądasz filmy?

– Mój ojciec kupił mi „Psychozę” na trzynaste urodziny. Ale, ale, nie pytasz, kto to Candyman. Skoro tak, to jakie filmy ty oglądasz, Mercy? – zripostowała triumfująco. Pokazałam jej język. Bo jestem bardzo dojrzałą macochą.



Korek na dojeździe do centrum handlowego w Kennewick nie był dramatyczny. Samochodyjechały zderzak w zderzak, ale z normalną prędkością. Z doświadczenia wiedziałam, że w okresie wyprzedażowo-przedświątecznym ślimak porusza się z większą prędkością niż samochód pod centrum handlowym.

– Mercy? – odezwała się Jesse.

– Hm? – mruknęłam, zjeżdżając na sąsiedni pas, żeby uniknąć rozjechania przez furgonetkę.

– Kiedy będziecie mieli dziecko?

Przeszył mnie dreszcz. Nie mogłam oddychać, mówić, poruszać się... Z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę uderzyłam w jadącego przed nami SUV-a. Jestem przekonana, że szkocki dramat nie miał z tym nic wspólnego.



– To moja wina. – Biła się w piersi Jesse kilka chwil później, siedząc obok mnie na chodniku pod centrum. Migoczące światła służb ratowniczych wywoływały niezwykle efekty na jej żółto-pomarańczowych włosach. Przebierała nogami, może z nerwów, może z zimna. Temperatura spadła poniżej zera i wiał przenikliwy wiatr.

Nadal usiłowałam zrozumieć, co się stało, ale jedno wiedziałam na pewno – to nie była wina Jesse. Oparłam się głową o betonowy słup wielkiej latarni i przyłożyłam worek z lodem do lewego policzka i nosa, z którego w końcu przestała lecieć krew.

– To kapitan rządzi na statku. Moja wina.

Atak paniki, pomyślałam. Jesse wzięła mnie swoim pytaniem z zaskoczenia, ale nie sądziłam, że myśl o dziecku tak mnie przerazi.

W zasadzie wydawała mi się całkiem przyjemna. A więc skąd ten napad paniki? Czułam, jak strzępy lęku przyćmiewają mi myśli i czają

się na obrzeżach kłującego bólu głowy. Choć może był to efekt uderzenia nosem o kierownicę.

Królik był starym samochodem, a to oznaczało brak poduszek powietrznych. A że był również porządnym niemieckim wozem, impet uderzenia rozłożył się wokół kabiny. Jesse wyszła z tego z siniakami, a ja z krwotokiem z nosa i podbitym okiem. Zaczynałam mieć już dość tych podbitych oczu. Na szczęście przy mojej karnacji siniaki nie odcinały się tak wyraźnie jak u Jesse. Za tydzień czy dwa nikt nie domyśli się, że brałyśmy udział w stłuczce.

Mimo że od świata oddzielała mnie torebka z lodem, słyszałam, jak pasażerka samochodu, w który wjechałam, rozmawia z policjantem mocno podniesionym głosem. Sądząc po energii, z jaką to robiła, nie doznała większych obrażeń. Kierowca się nie odzywał, ale też wydawał się cały. Stał parę kroków za swoim samochodem i przyglądał się zderzakowi.

Młody policjant powiedział do kobiety coś, co podziałało na nią jak bicz. Kierowca samochodu zerknął na mnie i na Jesse, a kobieta ruszyła pełną parą.

– To ona w nas wjechała! – skrzeczała. W każdym razie takie było sedno jej wypowiedzi, oczyszczone z gąszczy nieparlamentarnych słów na „k” i „p”. Pijacki bełkot ani trochę nie łagodził nierównego dyszkantu. Skrzywiłam się, bo jej piski wbijały mi się w obolałą głowę i wzmacniały pulsowanie w posiniaczonym policzku.

Rozumiałam zdenerwowanie kobiety. Nawet gdy wypadek nie wydarzył się z winy kierowcy, trzeba przejść piekielną przeprawę z ubezpieczycielem, zawieźć samochód do warsztatu i jakoś radzić sobie w czasie trwania naprawy. A jeszcze gorzej, jeśli stłuczkę spowoduje ktoś inny, bo wtedy trzeba się wyklócać z jego ubezpieczycielem o wartość napraw. Było mi głupio, ale labiedzenie Jesse kazało mi odsunąć na bok własne samopoczucie i skupić się na niej.

– Ben jest lepszy – mruknęłam. – Zdecydowanie bardziej kreatywny w wymyślaniu obelg.

– I jeszcze robi to z tym swoim brytyjskim akcentem. Brzmi to super. – Nieco uspokojona Jesse zaczęła bardziej przysłuchiwać się dyskusji, a mniej przejmować.

Kobieta wrzeszczała i wymyślała młodemu policjantowi. Nie słuchałam uważnie, ale najwyraźniej teraz to on stał się adresatem jej gniewu.

– No i nie jest na tyle głupi, żeby wymyślać policjantom – dorzuciła Jesse, prezentując szczerą, choć chybioną wiarę w rozsądek Bena. Odwróciwszy się do mnie, ujrzała nad moim ramieniem prawdziwą ofiarę tego wypadku. – Rany, Mercy, patrz na Królika!

Odwlekałam to, ale w końcu musiałam spojrzeć.

Rdzawy samochodzik, rozplaszczony maską na zderzaku SUV-a, musiał na coś wjechać, bo jego koła, w tym jedno całkiem zdeformowane, wisiały kilkanaście centymetrów nad ziemią. Nadwozie z przodu skróciło się o dobre pół metra.

– To już trup – oznajmiłam.

Może gdybym mogła liczyć na pomoc Zee, dałoby się jeszcze odratować Królika. Zee nauczył mnie prawie wszystkiego, co wiedziałam o naprawianiu samochodów, ale niektórych uszkodzeń nie dało się zreperować bez mocy magicznej istoty dysponującej darem żelaza. A Zee utknął w rezerwacie niełudzi w Walla Walla i nie opuszczał go, odkąd Szarzy Panowie zabili syna senatora, a potem proklamowali odrębność i suwerenność mniejszości niełudzkiej.

W tej samej chwili wszystkie magiczne istoty zniknęły, a wraz z nimi rezerwat. Piętnastokilometrowa droga biegnąca wokół Walla Walla skurczyła się o trzy kilometry i z żadnego jej punktu nie widać już było rezerwatu. Słyszałam, że jeden z obszarów wydzielonych dla niełudzi porósł wokół gęstymi zaroślami jeżynowymi i zniknął wewnątrz żywopłotu.

Krażyły plotki, że rząd próbował wysadzić rezerwat, ale eskadra bombowców zniknęła znad terenu i minutę później pojawiła się nad Australią.

Australijscy blogerzy powstawiali na swoje strony zdjęcia, a prezydent Stanów Zjednoczonych wystosował oficjalne przeprosiny za naruszenie przestrzeni powietrznej, więc w plotkach tych musiało kryć się ziarno prawdy.

Dla mnie osobiście cała ta sprawa oznaczała, że nie mam kogo poprosić o pomoc w warsztacie ani komu zostawić zakładu w razie

potrzeby wzięcia urlopu. Nie miałam nawet okazji porozmawiać z Zee przed jego zniknięciem. Tęskniłam za nim, i to nie tylko dlatego, że mój biedny Królik był chyba właśnie w drodze na niebiański rajd volkswagenów.

– Dobrze, że nie wzięłyśmy vanagona – powiedziałam.

Ja-nastolatka, tamta, która ciężko pracowała w fast-foodzie, żeby kupić auto, zapłacić za ubezpieczenie, paliwo i naprawy, zapłakałabym nad biednym Królikiem, ale nie chciałam, żeby Jesse było przykro. No i nie byłam już nastolatką.

– Trudniej znaleźć syncro vanagona niż Królika? – zapytała Jesse w zadumie. Nauczyłam ją, jak zmieniać olej, i od czasu do czasu pomagała mi w warsztacie. Głównie flirtowała z Gabrielem, moim nastoletnim Piętaszkiem, który wrócił z uczelni na święta do domu, ale przy braku jakiegokolwiek pracownika przydawała mi się każda pomoc. Warsztat był zbyt mały, bym mogła pozwolić sobie na zatrudnienie drugiego mechanika w pełnym wymiarze, a brakowało mi czasu, żeby wyszkolić młodego pomocnika na miejsce Gabriela. Szczególnie że miałam wątpliwości, czy to się na coś przyda.

Nie chciałam zamykać warsztatu, choć obawiałam się, że może to nastąpić.

– Głównie dlatego, że vanagon jest mniej bezpieczny w razie wypadku – wyjaśniłam. Utrata Królika i brak snu wprawiły mnie w melancholijny nastrój, ale nie zamierzałam nim zarażać Jesse, starałam się więc mówić lekko. – Nie ma porządnej strefy zgniotu. To jeden z powodów, dla których już ich nie produkują. Z vana nie wyszłybyśmy po czymś takim o własnych siłach, a ja mam dosyć turlania się na wózkach inwalidzkich.

– Wszyscy mamy dość turlania cię na wózkach inwalidzkich – roześmiała się Jesse.

Minionego lata podczas miesiąca miodowego złamałam nogę (nawet nie pytajcie). Udało mi się przy okazji tak urządzić sobie ręce, że nie mogłam chodzić ani o kulach, ani nawet sama poruszać się na wózku. Fakt, strasznie przez to zrzędziłam.

Kobieta nadal wyklócała się z policjantem, kiedy kierowca zaczął iść w naszą stronę. Może chciał tylko zapytać o ubezpieczenie albo coś

w tym stylu, jednak i tak poczułam ciarki na plecach. Na wszelki wypadek odjęłam z twarzy torebkę z lodem i podniosłam się.

– Ech – westchnęła Jesse, zapatrzona w rozbitego Królika. Chyba nie zauważyła, że wstałam, bo nie zareagowała.

A tymczasem kierowca napadł na Jesse jak dziki kundel, obrzucając ją słowami, za które moja matka wyszorowałaby mu usta mydłem.

Zaskoczona Jesse niezgrabnie zerwała się na równe nogi. Zasłoniłam ją sobą i całą mocą, którą zapożyczyłam od Alfy lokalnej watahy, a przy okazji mojego męża, powiedziałam:

– Dostyc!

Mężczyzna oderwał wzrok od Jesse, spojrzał na mnie, otworzył usta i zamarł. Wyczułam bijącą od niego woń alkoholu.

– To ja prowadziłam, nie ona – ciągnęłam spokojnie. – Pan zatrzymał się nagle, a ja w pana wjechałam. Moja wina. Mam pełne ubezpieczenie. Wiem, że to i tak problem, i bardzo mi przykro, ale pański samochód zostanie naprawiony.

– Niezła mówka, *chica* – prychnął lekceważąco i mylnie, bo nie jestem Latynoską, a Indianką, a potem zamachnął się na mnie.

Może i nie jestem napakowanym wilkołakiem, a jedynie kojocim metamorfem, ale mam za brązowym pasem lata treningów karate. Wzburzony właściciel SUV-a był może potężniejszy, jednak zapach i brak koordynacji ruchów świadczyły, że był przy okazji pijany. To wyrównywało całą przewagę, jaką dawała mu postura.

Pozwoliłam, by pięść przeleciała obok mnie, zrobiłam wyrok, stając do faceta bokiem, złapałam go za dłoń i łokieć, po czym wykorzystując siłę jego zamachu, rzuciłam gościa rozzłoszczoną twarzą na chodnik.

Mnie też, holender, zabolalo. Stłuczki to koszmar. Igły bólu przepłynęły z nadwyrężonego karku aż do biodra. A nie sądziłam, że moje biodro również ucierpiało. Stałam stabilniej, gotowa na kontratak, lecz po chwili okazało się, że zderzenie z brukiem pozbawiło mojego przeciwnika waleczności. Nie podniósł się od razu, więc odstąpiłam od niego i pomacałam się po twarzy, tęskniąc za chłodem torebki z lodem, którą upuściłam.

Starcie nie mogło trwać dłużej niż parę sekund. Zanim powalony agresor drgnął, jeden z policjantów przyskoczył do nas, przygniótł faceta kolanem do ziemi i skuł. Zrobił to tak płynnie i sprawnie, że uznałam, iż przedstawicielowi władzy również nie są obce sztuki walk.

– Ty już masz na dzisiaj dosyć. Koniec z jazdą – wesoło poinformował leżącego policjant. – I z biciem pięknych dam. Posiedzisz sobie w ciupie, aż wytrzeźwiejesz.

– Ciupie? – powtórzyłam zaskoczona.

Partner policjanta, starszy i mniej żywotny model, westchnął.

– Nielson lubi stare filmy. – Wręczył mi mandat za jazdę z zachowaniem zbyt małego odstępu i machnął w stronę skutego kierowcy. – Jego przyjaciółkę aresztowaliśmy za napaść na policjanta. Temu postawimy zarzut prowadzenia pod wpływem. Chce pani oskarżyć go o napaść? Widzieliśmy, że to on zaatakował.

Pokręciłam przecząco głową, nagle bardzo znużona.

– Nie. Powiedzcie mu, żeby jego ubezpieczyciel zadzwonił do mojego.

Rozległ się zgrzyt i chrzęst. Podnośnik lawety odciągał SUV-a. Królik wydał jęk, opadając na koła, stanął na ziemi ze stęknieniem, a potem na zimnym chodniku zasyczał gorący płyn z rozbitej chłodnicy.

Jesse zadrżała. Musiałam zabrać ją z tego zimna.

– Kiedy będzie tata? – zapytałam. Zadzwoniła do niego, kiedy rozmawiałam z policją i ratownikami, którzy zaopatrzyli mnie w torebki z lodem.

– Dzwoniłam, ale nie odbierał, więc zadzwoniłam do Darryla, i on też nie odbierał. Miałam ci powiedzieć wcześniej.

Adam nie odebrał? To nieprawdopodobne. Miał być pod telefonem, wiedział, że będziemy robić zakupy w tłumie. Nawet proponował, że z nami pojedzie. Co mogłoby być dość... ciekawe. Nawet normalnie nie znosił Walmartu. To, że nie odebrał Darryl, jego prawa ręka, nie martwiło mnie tak bardzo, choć i tak nieco dziwiło.

Wyjęłam telefon. Miałam jedną wiadomość, od Brana. A to już było niesamowite. Marrok, przywódca wszystkich wilkołaków, nie esemesował.

Przeczytałam wiadomość. „Gra rozpoczęta”.

– Bran bawi się w medium Arthura Conan Doyle'a – stwierdziłam. Jesse zajrzała mi przez ramię.

Spróbowałam oddzwonić do Brana (miałam zbyt zgrabiłe palce, żeby napisać SMS-a), ale operator informował, że abonent jest nieosiągalny albo poza zasięgiem. Zadzwoiłam do Samuela, syna Marroka. Odezwała się sekretarka.

– Nie, nie trzeba – powiedziałam kobiecie, która zaproponowała przekazanie wiadomości. – Skoro nie jest dostępny, pójdę prosto na izbę przyjęć. – Nie było powodu, żeby nie zostawiać mu wiadomości u sekretarki, ale dziwny SMS od Brana wzbudził we mnie niepokój. A atak paniki, przyczyna stłuczki, martwił mnie jeszcze bardziej.

Zacząłam dzwonić po kolei do innych członków stada: Warrena, Honey, Mary Jo i nawet Bena. Ich komórki były odpowiednio: wyłączona, przełączona na pocztę głosową, wyłączona, przełączona na pocztę głosową.

Dumając nad wiadomością od Brana, zadzwoniłam do Paula, który prędzej by mnie zabił, niż wybawił z kłopotów, choć do Jesse miał inny stosunek. Słuchając niekończącego się sygnału, przypomniałam sobie, że wilkołaki uwielbiały tajne kody na wypadek zagrożenia. Nie miało to nic wspólnego z tym, że były wilkołakami, za to wiele z faktem, że większość po drodze miała w ten czy inny sposób styczność z wojskiem, a to zaszczepiło w nich specyficzny rodzaj paranoi. Nawet skauci mogli pozazdrościć wilkołakom „gotowości na każdą okazję”.

Wiedziałam o tajnych hasłach, bo wychowywałam się wśród wilkołaków, lecz ich nie znałam, bo nie byłam jednym z wilków. Adam prawdopodobnie planował mnie ich nauczyć, skoro stałam się teraz częścią watahy, ale przy całej tej kołomyi z potworami z rzeki, złamanymi nogami i zawieruchą ze stadem zeszło to pewnie na dalszy plan.

Paul również nie odebrał. Zaczynałam nabierać przekonania, opartego na dowodach, że wiadomość Brana znaczyła „żadnych telefonów”. Wszystko świetnie, ale utknęłyśmy z Jesse pod centrum handlowym i nie miałyśmy szans się stąd wydostać, póki ktoś nie odbierze tego głupiego telefonu. To właśnie przykład, jak uciążliwy może być system tajnych kodów na wypadek zagrożenia.

A jeśli to nie było to... Ścisnęło mnie w żołądku, a atak paniki, który dopadł mnie za kierownicą, nabrał złowieszczonego wymiaru. Byłam podwójnie połączona więzami z wilkołakami, bo raz z Adamem, a drugi z watahą. Czy to możliwe, żeby coś stało się Adamowi albo stadu? Sięgnęłam poprzez te więzi...

– Mercy? – Jesse zdekoncentrowała mnie, zanim skontaktowałam się z Adamem czy innymi.

– Nie wiem, co się dzieje – odpowiedziałam. – Spróbuję zadzwonić do któregoś z ludzi.

Po chwili namysłu zdecydowałam się na Kyle'a. Nie był żadnym -lakiem, więc przypuszczalnie nie dotarł do niego SMS o telefonach. Odezwała się poczta, ale nie zostawiłam wiadomości. Potem przyszła kolej na Elizawietę, wiedźmę. Elizawieta miała kontrakt z watahą – niedawno widziałam, ile Adam płaci jej co miesiąc, i nie miałam skrupułów, żeby wykorzystać ją jako taksówkarke – ale też nie odebrała. Może była na liście kodowej? A może robiła zakupy i w zgiełku nie słyszała dzwonka komórki?

A może cała wataha buszowała po sklepach, a ja miałam manię prześladowczą?

– Jakie są szanse, że całe stado przyłączyło się dziś do reszty miasta i ruszyło na podbój sklepów? – zapytałam na głos.

– Nikłe – odparła Jesse poważnie. – Większość jest taka jak tata. Już sam hałas doprowadziłby ich do szału, a do tego masa ludzi na ograniczonej powierzchni i jatka gotowa. Nie wyobrażam sobie, żeby któryś z nich, no, może poza Honey, wpadł na taki pomysł.

– Tak myślałam. Coś się dzieje. Jesteśmy zdane na siebie.

– Zadzwonię do Gabriela – oznajmiła Jesse i tak też zrobiła.

Gabriel, mój przynieś-podaj-pozamiataj, walczył jak szatan, żeby nie zakochać się w Jesse. Oficjalnie rozstał się z nią we wrześniu, przed wyjazdem na uczelnię w Seattle, choć w zasadzie oficjalnie ze sobą nie chodzili. Ale podczas uczyty świętodziękczynnej siedział obok niej przy stole i flirtował tak ogniście, jak tylko śmiał pod czujnym okiem taty-wilkołaka. Miłość nie zważa na konwenanse.

Przebywając w naszym mieście, Gabriel mieszkał w moim małym bungalowie, stojącym tuż za ogrodzeniem posiadłości Adama.

Wyprowadził się tam z domu po wielkiej awanturze z matką, której nie podobało się, że jej syn utrzymuje kontakty ze mną i z wilkołakami. Większość czasu spędzał w Seattle, ale prefabrykowany domek był do jego dyspozycji zawsze, kiedy wracał na ferie i wakacje.

Gabriela z pewnością nie było na żadnej kodowo-zagrozeniowej liście wilkołaków, kiedy więc Jesse pokręciła głową, zaczęłam się poważnie martwić. Czyżby coś stało się watasze, kiedy nas nie było?

– Niech to szlag – zaklęłam i ponownie spróbowałam skontaktować się z Adamem poprzez więź partnerską, która nas łączyła. Więzy była silna i trwała, ale czasami trzeba było się postarać, żeby zdobyć dzięki niej jakieś informacje. Kiedy podzieliłam się z Adamem obawami na ten temat, wzruszył ramionami.

– Jest taka, jaka jest – rzekł. – Są tacy, którzy muszą dosłownie żyć w głowie partnera, żeby czuć się bezpiecznie. Jak ci było, kiedy to robiliśmy? – Uśmiechnął się szeroko, gdy usiłowałam go przeprosić. – Nie przejmuj się tym. Kocham cię taką, jaka jesteś, Mercy. Nie potrzebuję cię pochłonąć całe, nie muszę ciągle siedzieć ci w głowie. Wystarczy, że wiem, że jesteś.

Kochałam Adama za wiele rzeczy.

Z wysiłkiem przebijałam się poprzez więź. Ból głowy wzmagął się, kiedy przeciskałam się przez kolejne bariery podświadomości, istniejące z pewnością po to, by nie przytłoczyła mnie ciągła obecność jednego z najbardziej charyzmatycznych alf, Adama Hauptmana, aż wreszcie go dosięgnęłam...

– Hej, Mercy – usłyszałam niski głos. – Nic ci nie jest?

Podniosłam wzrok na znajomego kierowcę lawety. Mam warsztat, więc znam większość ludzi z branży.

– Cześć, Dale – przywitałam się z nim, usiłując przybrać wygląd osoby, która nie bawiła się właśnie wilkołaczą magią. Byłoby to o wiele łatwiejsze, gdyby nie to mrozące, zapierające dech w piersiach uczucie, przez które wjechałam w kufer SUV-a. Ze wszystkich sił starałam się stłumić kolejny atak paniki. Dale prawdopodobnie pomyślał, że szcękam zębami z zimna. – Nic mi nie jest, Jesse też w porządku, choć miewaliśmy lepsze dni.

– Widzę. – W jego głosie pobrzmiwała troska, musiałam

naprawdę kiepsko wyglądać. – Zaciągnąć ci Królika do warsztatu? Czy poddasz się od razu i mam go zabrać na złomowisko w Pasco?

Spojrzałam na Dale'a przytomniej, skupiając wzrok na jego torsie.

– Co? – Zerknął na przód kurtki. – Na co patrzysz? Mam tu jakąś plamę? Brałem ją z kupki czystych ciuchów.

– Słuchaj, jeśli zapłacę ci za holowanie Królika do warsztatu, to będziemy się mogły zabrać z tobą? Nie mogę się dodzwonić do męża. W warsztacie mam samochód, więc stamtąd już sobie poradzę.

– Jasne, żaden problem. – Uśmiechnął się wesoło.

– Świetnie. – Ucieszyłam się. – Dzięki. – O to chodziło. W warsztacie było ciepło i bezpiecznie, mogłam tam spokojnie pomyśleć. Potrzebowałam tego, potrzebowałam mojej Warowni Obronnej przeciwko Panice. Ponieważ kiedy sięgnęłam poprzez więź łączącą mnie z Adamem, poczułam jedynie gniew i ból. Ktoś robił mojemu ukochanemu coś złego, tyle wiedziałam.

Furgonetka Dale'a pachniała starymi frytkami, kawą i przejrzałymi bananami. Zmusiłam się do swobodnej konwersacji, wypytując o jego córkę i nowonarodzone dziecko, narzekając na rosnące ceny paliwa i poruszając inne bezpieczne tematy. Nie chciałam, żeby Jesse poznała, że coś jest nie tak, dopóki nie zdobędę więcej informacji.

Warsztat wyglądał tak, jak powinien. Niewielkie złomowisko, na którym kilka wraków czekało, by oddać części zamienne swym braciom, oraz parking były dobrze oświetlone. Silne światła halogenowych reflektorów padły na cztery samochody prawie-na-chodzie, które na placyku czekały na naprawę. Poklepałam uspokajająco Jesse po kolanie, kiedy ta gwałtownie wciągnęła powietrze.

Wyskoczyłam z furgonetki, odesłałam Jesse do środka, a sama pomogłam Dale'owi odpiąć Królika. Jesse jeszcze raz omiotła spojrzeniem samochody na parkingu. Powinny stać trzy, a nie cztery. Potem bez protestów weszła do warsztatu. Nie miała problemu z otwarciem drzwi, które miały być zamknięte, a w środku nie zapaliła światła. Była nieodrodną córką swojego ojca, wiedziała, że nie należy oświetlać pomieszczenia z oknami, w którym mogło się coś ukrywać.

– Biedactwo. – Dale poklepał bagażnik mojego Królika, nie zwracając uwagi na Jesse. – Niewiele ich już zostało w mieście. –

Spojrzał na mnie i powiedział mimochodem: – Mam zamiar na jettę z osiemdziesiątego dziewiątego, dwudrzwiową, sto osiemdziesiąt tysięcy na liczniku. Nieco obtłuczona, ale trochę szpachli i lakieru i będzie jak znalazł.

– Pomyślę, w razie czego – zapewniłam go. – Ile ci wiszę?

– Szef cię skasuje – odrzekł i mimo napięcia wywołał tym mój uśmiech. Szefem Dale'a była jego żona.

Pomachałam mu, kiedy odjeżdżał, a potem pognałam do warsztatu, bo czwartym samochodem na parking, stojącym pomiędzy garbusem z sześćdziesiątego ósmego a volkswagenem dwójką, był należący do Gabriela poobijany mercedes z siedemdziesiątego czwartego. Wsunęłam się do środka i zamknęłam za sobą drzwi. Ciemność w biurze oznaczała, że przybysz coś wie i że ważne jest, by dochować tajemnicy. Inaczej cały warsztat jaśniałby blaskiem. Odwróciwszy się, pochwyciłam zapach Gabriela, jak się spodziewałam, ale był tam ktoś jeszcze...

Silne ramiona otoczyły mnie w pasie, niemal pozbawiając równowagi. Rozpoznałam zapach Bena o brytyjskim akcencie i rynsztokowym jęzorze, a potem, czując, jak wtula twarz w mój brzuch, odłożyłam chwycony po drodze łom, nie grzmocąc go nim wcześniej w potylicę. Kręcił głową, dopóki nie odsunął mi bluzki do góry tak, że zaczął ocierać się zarośniętym policzkiem o moją skórę.

Doświadczyłam już kiedyś czegoś takiego, czułam rozedrganie i nierówny oddech. Miałam mocne podstawy wierzyć, że Ben nie jest głodny (w przeciwieństwie do tamtego wilkołaka z przeszłości), bo niedawno jedliśmy indyka, położyłam mu więc dłoń na głowie i popatrzyłam na parę nastolatków, która stała w osłupieniu pod stertą starych kołpaków. W pomieszczeniu panowała ciemność, ale kojoty dobrze widzą w nocy.

Ben mówił coś, powarkując, ale nie byłam w stanie go zrozumieć. Czułam na skórze żar, jaki od niego bił – najwyraźniej starał się powstrzymać przed przemianą. Zaczęłam przemawiać uspokajająco, ale nie ruszyłam ręką, bo skóra wilkołaków podczas przemiany jest niezwykle wrażliwa. Ben zaprzestał prób mówienia, zadowolając się oddychaniem. Spojrzałam na Gabriela.

Chłopak trzymał Jesse za rękę – albo raczej pozwalał jej trzymać

swoją – i nie wydawał się być w lepszym stanie od Bena.

– Powtórz to, co mówiłeś – poleciła mu Jesse. – Mercy musi usłyszeć wszystko od początku.

Gabriel skinął głową i zaczął opowiadać.

– Około północy wpadł do mnie Ben, porwał kluczyki od wozu, złapał mnie i wywlókł na zewnątrz. Natychmiast zorientowałem się, że coś się u was dzieje. Nie było reflektorów, ale słyszałem samochody, diesle, wielkości ciężarówki. Ben mówił coś o warsztacie i że musi jechać do ciebie. Chyba, bo dziwnie to brzmiało. Wepchnął mnie za kierownicę i od tamtej pory nie powiedział już nic sensownego. Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale... – Wskazał na podłogę zasłaną kawałkami rozbitego telefonu warsztatowego. – Chyba uznał, że to kiepski pomysł. Jezu, jak się cieszę, że już jesteście.

– Ben? – zwróciłam się do wilkołaka. – Możesz...

Ben podniósł ramię i wcisnął mi do ręki nabój usypiający. Strzykawka była wypełniona do połowy jakby mlekiem, ale rozpoznałam białą ciecz. Ktoś odkrył nasze sekrety.

– To środek usypiający – powiedziałam i dla pewności powąchałam strzykawkę. Znajomy zapach. – Wygląda jak to, co zabiło Maca.

Jesse aż jęknęła.

– Maca? – dopytywał się Gabriel.

– To było jeszcze przed tobą – wyjaśniłam. – Mac był nowym wilkołakiem, dopiero co się przemienił. I od razu wplątał się w spisek skierowany przeciwko Branowi. Do tamtej pory uważaliśmy, że wilkołaki są odporne na środki farmakologiczne, ale pewien łotr, zresztą też wilkołak, wynalazł mieszanek składającą się ze środków dostępnych w każdym gabinecie weterynaryjnym. – Wiedza o tym specyfiku powinna umrzeć wraz z Gerrym. – Większość wilkołaków, którym to wstrzyknięto, przeżyła, ale nowo przemienione są bardziej podatne. Mac umarł.

Wszyscy spojrzeliśmy na Bena, który nie wyglądał na zdrowego.

– Czy Benowi nic nie będzie? – zatroskał się Gabriel. – Możemy coś dla niego zrobić?

– Wypalić to – wywarczał Ben.

– Ben? Wypalasz to świństwo? – zapytałam niepewna, czy dobrze go zrozumiałam, bo bełkotał niewyraźnie. Rzeczywiście, był rozpalony.

– Podkręcasz metabolizm? – Nie wiedziałam, jak wilkołaki to robią.

– Wypalić na dobre – wymamrotał, co wzięłam za potwierdzenie. – Ale... jeszcze chwila.

– Możemy ci jakoś pomóc? – zapytałam. – Potrzebujesz wody? Jedzenia? – Miałam gdzieś w warsztacie batony zbożowe.

– Tylko ciebie. Zapach stada. Zapach Alfya. Pomaga. – Zatrząś się gwałtownie. – Boli. Wilk chce wyjść.

– Wypuść go – poradziła mu Jesse. Ben pokręcił przecząco głową.

– Nie może mówić. Muszę wam powiedzieć.

Pachniał mocno adrenaliną i krwią.

– Jesteśmy tu bezpieczni? – dopytywałam się. – Czy musimy stąd iść?

– Na razie bezpiecznie – wyrzucił z siebie Ben po chwili. – Chyba. Będą zajęci resztą... resztą stada.

– Może kawa pomoże? – zasugerowała Jesse. Zastanowiłam się, ale zaprzeczyłam.

– Lepiej nie. Nie jestem lekarzem, a stymulant w połączeniu z taką miksturą może pogorszyć sytuację.

– Zadzwoń do Samuela.

Popatrzyłam w przepęlmione lękiem oczy dziewczyny i ze względu na nią wzięłam się w garść.

– Telefon Samuela jest przekierowany na sekretarkę. Zostaliśmy sami.

– A Zee? – rzucił Gabriel. Widział, co Zee potrafi zrobić z samochodem, i żywił do starego tetryka nabożną cześć. – Nie mógłby zrobić czegoś ze srebrem?

– Zee ukrywa się na Uroczysku z resztą nie ludzi – przypomniałam mu. – Nie jest w stanie nam pomóc.

– Ale...

– Bez względu na to, kim Zee jest dla nas, w pierwszej kolejności jest magiczną istotą.

– Boli – wydusił Ben w mój brzuch. Kręcił się i szarpał. Tak działało na wilkołaki srebro. Bardzo chciałam jakoś mu ulżyć. – Możesz

pomóc – powiedział, jakby czytał mi w myślach. Czasami było to możliwe dzięki więzi, choć jeszcze do tego całkiem nie przywykłam. – Możesz pytać... Tyle możesz. Zadawaj mi pytania. Rozmawiaj ze mną, żebym mógł trzymać wilka pod kontrolą. Musisz wiedzieć.

– Wszyscy żyją – powiedziałam. – Tyle wiem. Co się tam stało?

– Zabrali – wyrzucił z siebie. – Federalni.

Poczułam lodowaty dreszcz. Skończyłam studia historyczne. Kiedy własny rząd występuje przeciwko jakiejś grupie społecznej, zawsze to źle wróży. Źle na miarę nazizmu. Źle na miarę ludobójstwa.

Potrzebowaliśmy agencji federalnej, żeby chroniła wilkołaki przed fanatykami. Jeśli jednak rząd był przeciwko wilkołakom, te będą musiały bronić się same. A to nie mogło skończyć się dobrze.

– Z jakiej agencji? Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego? SNIT? FBI?

Zaprzeczył. Spojrzał na mnie i przez chwilę utrzymywał kontakt wzrokowy, jakby to pomagało mu się skupić. Próbował zacząć dwa razy.

– Zabrali wszystkich, którzy byli w domu?

– Wszystkich – odparł i znów wtulił we mnie głowę. – Wszystkich, którzy byli.

Święto Dziękczynienia. Wymieniłyśmy z Jesse przygnębione spojrzenia. W domu znajdowała się znaczna część stada.

– Honey, Peter, Paul, Darryl, Auriele. – Urwał, żeby nabrać tchu. – Mary Jo. Warren.

– Nie, Mary Jo nie było – zaprzeczyłam. – I Warrena też. – Warren wraz z chłopakiem urządzali przyjęcie dla przyjaciół, którzy nie spędzali świąt z rodzinami. A jako geje mieli wielu przyjaciół, którzy nie byli zapraszani do domu. Zaś Mary Jo, strażak, była na służbie.

– Czułem ich – warknął Ben i zamilkł, sztywniejąc. – Powiedzieli... Oni, nie Adam. Powiedzieli... „Proszę iść z nami spokojnie, panie Hauptman, a nikomu nie stanie się krzywda”. A Adam na to: „Czuję krew na waszych rękach. Warrena i Mary Jo. Co zrobiliście moim ludziom?” A oni: „Jesteśmy agentami federalnymi”, i potem znowu: „To nasze dokumenty”. – Zaczerpnął tchu. – Adam powiedział wtedy: „Dokumenty są prawdziwe. Ale wy nie jesteście agentami”. Kłamcy. Adam powiedział, że kłamią.

Sama nie wiedziałam, czy to Ben mnie trzymał, czy ja trzymałam Bena.

– Jak namierzyli Mary Jo? – zastanawiałam się. Mary Jo obawiała się, że gdyby ujawniła, kim jest, straciłaby pracę. A skoro wiedzieli o niej i o środku usypiającym, to ktoś znał zdecydowanie zbyt wiele naszych tajemnic. Raczej rozważałam na głos, niż pytałam, bo nie sądziłam, żeby Ben znał odpowiedź.

– Komórki – powiedział. – Bran wysłał wiadomość.

– Dostałam ją. Myślałam, że to ostrzeżenie, żeby nie używać telefonów.

Zaprzeczył.

– To znaczy, że ktoś namierza nasze telefony. Za pomocą GPS. Charles ma pająki. – Charles, syn Marroka, pośród wielu talentów, jakimi dysponował, a znał się między innymi na zabijaniu i zarabianiu pieniędzy, w niesamowitym wprost stopniu rozumiał nowoczesną technologię, ale pająki? O tym nie wiedziałam.

– Jakie pająki?

Ben parsknął śmiechem.

– Pająki. Boty. Fragmenty kodów. Wynajdują takie rzeczy. Programy szpiegujące na serwerach operatorów telefonicznych. Chyba ma kogoś wewnątrz. Ostrzeżenie przyszło za późno.

– Jak ci się udało uciec?

– Byłem na górze. – Jego artykulacja coraz bardziej wracała do normy i mówił też coraz składniej. – Poszedłem po papier toaletowy do pier... do łazienki na dole. – Wydał z siebie dźwięk podobny do łkania. Przygarnęłam Bena mocniej.

– Możesz kląć – uspokoiłam go. – Obiecuję, że nie powiem Adamowi.

Prychnął.

– Niedobrze. – Trudno było stwierdzić, czy odnosi się do przeklinania, czy do tajemnicy przed Adamem.

– Masz rację. – W obu przypadkach miał. – A więc usłyszałeś ich i pobiegłeś do Gabriela?

– Usłyszałem – powtórzył. – Odczekałem. Reszta stada była na dole. I wtedy Adam powiedział: „Niech piorun strzeli tego Benjamina

Mercysa”, jakby złorzeczył. Ale ja wiedziałem. Mam na imię Benjamin, Mercy to ty. Piorun to szybko. Kazał mi uciekać i znaleźć ciebie. Ten zakodowany rozkaz dał mi trochę czasu, zanim się zorientowali, o co chodzi. Na tyłach byli ludzie, zobaczyli, jak skaczę z okna. Trafili mnie tą cholerną strzałką. Uciekłem do rzeki. Zrobiłem pętlę i wróciłem do Gabriela. Kazałem mu jechać. Ale nie było cię tu. Miałaś być tutaj. – Gdyby nie stłuczka, po zakupach wróciłybyśmy z Jesse do domu. Prawdopodobnie nadziałybyśmy się na tych, którzy przetrzymywali Adama. Fuks. Aż odetchnęłam. I przy okazji zorientowałam się, co czułam od dłuższego czasu.

– Krew. – Odchyliłam się, usiłując odkleić się od Bena. – Ben, gdzie jesteś ranny?

Rozdział 2

Potrzebne nam światło? – zapytała Jesse.

– Przyniosę dużą apteczkę z warsztatu – powiedział Gabriel i wybiegł z biura. Noc była ciemna, ale znał drogę, a apteczka wisiała na ścianie nieopodal wejścia. Zrobiłabym to szybciej niż on, ale chwilowo byłam uwiązana do wilkołaka.

Wiedziałam, co Adam powiedziałby na zapalenie świateł, podczas gdy mogła polować na nas nieznana grupa ludzi zdolnych napaść watahę wilkołaków i dopiąć swego, ale choć widziałam w ciemności, to nie na tyle dobrze, by opatrzeć rannego.

– Latarka – powiedziałam. – Jest pod ladą. Przynieś też nóż do kartonu, na wypadek gdybym musiała mu rozciąć ubrania. – Ujęłam twarz Bena w dłonie i uniosłam, żeby na mnie spojrzeć. – Ben. Ben!

– Tak? – Wypowiedział to wyraźnie, z wytwornym brytyjskim akcentem, który rzadko można było u niego usłyszeć, szczególnie w połączeniu z bogato przeplatany niecenzuralnymi przecinkami słownictwem. Ale nie pozwolił mi sobie spojrzeć w oczy.

– Gdzie oberwałeś?

– Strzałką. W dupę. – Tym razem niezbyt wyraźnie, mimo to zrozumiałam i założyłam, że ostatnie słowo nie było wulgaryzmem, a określeniem lokalizacji urazu, choć w przypadku Bena ciężko było wyrokować.

– Nie, to nie nabój usypiający. – Rana od strzałki nie krwawiłaby tak długo. – Ktoś cię postrzelił, Ben. Gdzie?

Jesse nakierowała światło latarki.

– Noga – powiedziała. – Tuż nad kolaniem.

Nie chciał mnie puścić, więc Jesse musiała rozciąć mu spodnie nożykiem. Gabriel przejął od niej latarkę i wreszcie mógł przyjrzeć się ranie.

– Przeszła na wylot – powiedział opanowanym tonem, choć jego twarz przybrała zielonkawy odcień.

Rana nie zasklepiła się, zatem strzelec miał srebrne kule albo też srebro w miksturze usypiającej spowalniało proces leczenia. Tak czy

owak musieliśmy zatamować krwotok.

– Opatrunek teflonowy – zaordynowałam. – Ważne, żeby nic nie przylepiło się do rany. – Po odblokowaniu normalnej zdolności regeneracji skóra Bena zarosłaby na opatrunku. – Na to gaza, a na to bandaż weterynaryjny. Zapakujemy go i przewieziemy do Samuela. Mam nadzieję, że jest w domu.

Samuel Cornick, lekarz-wilkołak, wiedział najlepiej, jak można pomóc Benowi.

Też nie odbierał telefonu, a to oznaczało, że prawdopodobnie otrzymał wiadomość od Brana. I nie należał do stada. Istniała szansa, że przeoczyli go przy polowaniu na resztę wilkołaków. Rozpaczliwie liczyłam na to, że go przeoczyli.

Trzeba było zawieźć Bena do Samuela, a potem znaleźć jakąś pomoc – co, jak miałam nadzieję, będzie osiągalne, podobnie jak Samuel. Musiałam odnaleźć Adama, watahę, sprawdzić, co z wilkami, które nie były na kolacji, i upewnić się, że nikt więcej nie został ranny, na przykład chłopak Warrena czy strażacy z remizy Mary Jo.

Jeśli nasi przeciwnicy wiedzieli, gdzie szukać Mary Jo i Warrena, to wiedzieli więcej, niż powinni, o tym, kto jest wilkołakiem. Jeśli byli to ludzie – a Ben powiedziałby od razu, gdyby odkrył, że to jakieś inne istoty – i jeśli wymyślili sobie napaść na bandę niemal trzydziestu wilkołaków, to albo brakowało im szóstej klepki i zamierzali zabić je wszystkie jednocześnie, albo przynajmniej byli świetnie uzbrojeni i bardzo, bardzo niebezpieczni.

I mimo słów Bena, że Adam zarzucił im oszustwo, mogli jednak należeć do którejś z agencji federalnych.

– Możesz stać? – zapytałam Bena, kiedy Jesse skończyła opatrywać, całkiem przyzwoicie zresztą, jego ranę.

Burknął coś.

– Musimy stąd iść. Skoro wiedzieli tyle, żeby namierzyć Warrena i Mary Jo, musimy założyć, że wiedzą też o warsztacie.

– Niebezpieczeństwo – warknął. Znów brzmiał gorzej. – Ty. W niebezpieczeństwie. – Ta myśl chyba dodała mu energii, bo z bardziej wilczym niż ludzkim stęknieniem podniósł się, a potem znów się osunął i na wpół zawisł na mnie.

– To nie noga – wyjaśnił, nieco zbyt wyraźnie wypowiadając głoski. – To narkotyk. Słaby. Słaby. Słaby. – Mięśnie napinały mu się coraz mocniej, a oczy lśniły złotożółtym blaskiem ślepi wilka, który chciał się bronić. Drapieżniki nie lubią być słabe i bezbronne.

– Wszystko jest w porządku – oświadczyłam stanowczo, bo wiedziałam, jak ważne jest, by mi uwierzył. Niepewny, stałby się agresywny i sprawił jeszcze więcej kłopotów. – Jesteś wśród przyjaciół. Gabrieli, weź kluczyki od mercedesa stojącego w warsztacie i pomóż mi wsadzić Bena do środka.

Ciemnoniebieski mercedes S 65 AMG Marsilii trzymałam w hali na wypadek, gdyby jakiemuś szwędaczowi wpadło do głowy przejechać kluczem po lakierze albo rzucić kamieniem. Wóz miał trzy miesiące i czekał na pierwszą zmianę oleju. Mogłabym sobie za niego kupić drugi warsztat i jeszcze by mi zostało.

– AMG? – upewnił się Gabriel, biorąc kluczyki. – Pozwolisz Benowi zapaprać krwią mercedesa AMG?

– I tak już go zapaćkał krwią – oświadczyła Jesse obojętnie, po czym obróciła się do mnie. – Zaraz, zaraz. AMG? Tego AMG? Mercedes Atheno Thompson Hauptman, czyś ty oszalała? Nie możemy zakrwawić Benem tapicerki mercedesa Marsilii!

– Marsilii, królowej wampirów? – zdębiał Gabriel. – Mercy, to szaleństwo! Weźmy mój wóz.

– Nie jest żadną królową, tylko Panią Chmary – sprostowałam. – Ten jest czteroosobowy i nie wygląda na pojazd ściganego mechanika wiozącego rannego wilkołaka. – Nie powiedziałam im, bo nie chciałam wzbudzać paniki, że ponieważ organizacja wampirów to coś jak skrzyżowanie mafii z CIA, mercedes ma kuloodporne szyby. Co więcej, w razie gdybyśmy rzeczywiście mieli do czynienia z agencją rządową, ten wóz nie posiadał żadnych urządzeń śledzących. Tylko ja i Wulfe – posługujący się magią wampir-sługa Marsilii – wiedzieliśmy, że wszystkie gadzety szpiegowskie, rutynowo zakładane w nowych samochodach, zostały rozbrojone. Łącznie z etykietami identyfikacji radiowej na kołach. Poza tym chwilowo miałam większe zmartwienia niż ewentualny gniew groźnej, bo groźnej Marsilii.

Dostarczyć Bena do Samuela, który potrafi go postawić na nogi.

Ukryć Jesse i Gabriela w bezpiecznym miejscu. Odnaleźć porywacza i odzyskać ukochanego.

Ból Adama odbijał się w moim sercu grzmiącym echem i zamierzałam odpłacić srogo temu, kto skrzywdził mojego męża.

To było jak magiczny tercet. Po pierwsze, chronić ocalałych. Po drugie, uratować resztę. Po trzecie, zemścić się na napastnikach.

Z tą myślą pobiegłam do biura. Adam nalegał, żebym trzymała tu w sejfie dziewięćmilimetrowego siga. Małżeństwo z Alfą lokalnej watahy przydało mi nieco złej sławy i Adam czuł się lepiej, wiedząc, że jestem uzbrojona. Wrzuciłam dwa (pełne) magazynki zapasowe do torebki i chwyciłam pudełko ze srebrnymi nabojami. Wzięłabym też pocisk z głowicą nuklearną, gdybym go miała na podorędziu, ale musiało mi wystarczyć to, czym dysponowałam.

Jesse usadowiła się z tyłu z Benem. Mądra dziewczynka. Ben oczywiście znał Gabriela, ale to Jesse pachniała jak Adam. Nie powinien na pewno siedzieć przy mnie z przodu, bo przez ból i mieszaną narkotyków mógł stać się agresywny, a był zbyt silny, żebym mogła szamotać się z nim, jednocześnie prowadząc. Jesse znalazła gdzieś stary koc i położyła na siedzeniu.

Wyjechałam z warsztatu i poczekałam, aż Gabriel pozamyka wszystko i wsiądzie.

– Oczy ci się żółcą, Mercy – zauważył Gabriel, wsiadając. – Nie wiedziałem, że tak możesz mieć.

Ja również.

Samuel mieszkał jakieś dwadzieścia minut drogi od mojego warsztatu, ale zdawało się, że jedziemy całymi godzinami. Kusiło mnie, żeby mocniej przycisnąć gaz. Samochód Marsilii wyciągał ponad czterysta kilometrów na godzinę, a do tego, na jej prośbę, zajęłam się elektronicznymi zabezpieczeniami, dostosowującymi prędkość wozu do ograniczonych możliwości ludzkich zmysłów. Niestety, z powodu wyprzedającego szaleństwa nawet o tak późnej, ciemnej porze po mieście kręciło się dużo patroli. A ja musiałam uniknąć zatrzymania, przynajmniej dopóki wiozłam z tyłu człowieka z raną postrzałową.

Wlekliśmy się więc setką wzdłuż brzegu, zmierzając do Richland i domu Samuela.

Zanim wyszłam za Adama, Samuel był moim współlokatorem. Nadal często mnie odwiedzał. Wilk, szczególnie samotnik, potrzebował towarzystwa. Choć Adam był Alfą, a Samuel osobnikiem silnie dominującym, zawarli kruchą przyjaźń.

Samuel posiadał segment w Richland, tuż nad rzeką, gdzie stawki za grunt osiągały najwyższe ceny. Nie dbał o prezencję domu – przez dwa lata dzielił ze mną powierzchnię mojego cztery na dwadzieścia metrów bungalowu i nie narzekał – ale kochał wodę. Za cenę segmentu mógł kupić sobie wielkie domiszcze w innym miejscu w mieście.

Kompleks, zbudowany niecałe dziesięć lat wcześniej z kamienia i stiuku, wyglądał jak spod igły. Zaparkowałam przed garażem Samuela, zostawiłam towarzystwo w samochodzie i zapukałam.

Nikt nie otworzył. Przyłożyłam ucho do zimnej powierzchni drzwi z włókna szklanego i nasłuchiwałam. Cisza.

– Proszę, proszę, Samuelu, potrzebuję cię. – Zapukałam ponownie.

Kiedy drzwi się wreszcie otworzyły, stanęła w nich Ariana, towarzyszka Samuela. Miała na sobie bluzę i granatowe milutkie spodnie od pizamy, na których białe kociaki bawiły się różowymi kłębkami wełny.

Nieludzie posiadają umiejętność stwarzania iluzji – to cecha wyróżniająca magiczny lud. Potrafią przybrać każdą formę, a większość przybiera taką, by wtopić się w otoczenie. Kiedy poznałam Arianę, wyglądała jak dobrze posunięta w latach babcia. Widziałam także jej chyba prawdziwe oblicze, niesamowite i piękne.

Obecnie przybrała powierzchowność ani ładną, ani brzydką, przeciętnie sympatyczną. Jasne złote włosy, przed erą farb spotykane raczej u dzieci niż dorosłych, okalały jej twarz o szarych oczach. Wyglądała na dwadzieścia pięć, trzydzieści lat, co pasowało do młodszej aparycji Samuela. W jej rysach dało się dostrzec ślady nieczłowieczego pochodzenia. Tak samo prawdziwe oblicze Zee, mojego mentora, nosiło pewne cechy podobieństwa z ludzkim obliczem, do którego widoku przywykłam.

Cały wic jednak polegał na tym, że Ariany nie powinno tu być.

Należała do magicznych istot. Powinna przebywać w rezerwacie wraz z innymi. Zadzwoiłam do niej natychmiast, kiedy dowiedziałam się o zniknięciu niełudzi, ale odebrał Samuel. Powiedział mi – z podejrzaną swobodą, jak teraz się okazało – że Arianie nic nie jest i wróci, kiedy będzie mogła. Najwyraźniej zdołała uczynić to znacznie wcześniej niż pozostali niełudzie.

– O, Ariana – zająknęłam się. – Sądziłam, że...

– Że uciekłam do rezerwatu z resztą moich ziomków? – dokończyła. – Tu żyje mój towarzysz. Nie jestem zaangażowana politycznie ani lojalna wobec Szarych Panów. O ile w ogóle kiedykolwiek byłam. Postanowili pozwolić mi tu pozostać pod warunkiem, że nie zrobię niczego, co mogłoby ściągnąć na mnie uwagę. – Uśmiechnęła się do mnie łobuzersko. – Kazali nam zabrać ze sobą wszystkie magiczne artefakty, jakie były w naszym posiadaniu. Zabrałam Zrodzonego ze Srebra i wiesz co? Zaskakująco ochoczo zgodzili się, bym go wzięła, odchodząc.

Zrodzony ze Srebra, artefakt, który stworzyła, jeszcze zanim Kolumb pojawił się na świecie, pochłaniał magię znajdujących się w pobliżu niełudzi. Był zbyt potężny, by trzymać go w zasięgu ludzi, i zbyt niszczycielski, by zabrać do rezerwatu.

Ariana spoważniała.

– Ale ja tu gadam, a ty jesteś ranna. Wejdz, jest lodowato.

– To nie moja krew – zapewniłam ją. – Czy jest Samuel? Muszę go ostrzec i mam ze sobą pacjenta. Jeśli go nie ma, powinniśmy chyba ruszać dalej.

– Nie, nie ma go. Ojciec wezwał Samuela do siebie parę dni temu. Mówił, że chodzi o spotkanie w sprawie „zakłóceń mocy”.

Spojrzałam na nią znacząco. Uśmiechnęła się znowu.

– Przysięgam, tak mi powiedział. Wnieś tu swojego rannego. Mam solidne doświadczenie w felczerce, a Samuel trzyma w domu świetnie zaopatrzoną apteczkę.

Ujrzawszy moje wahanie, zmieniła się na twarzy. Ariana była starożytną istotą, chyba nawet starszą niż Bran, ale przy okazji łagodną, przez co podatną na zranienie.

– Nie chodzi o ciebie, wierzę w twoje umiejętności. Tylko że mój

ranny to wilk. Na razie jest w formie ludzkiej, ale trzyma się jej opuszkami palców.

Arianę prześladował głęboko zakorzeniony i całkowicie usprawiedliwiony lęk przed psowatymi, który potrafiła przezwyciężyć jedynie w stosunku do znajomych, czyli Samuela. Reszta bardzo się starała nie zmieniać w jej obecności w wilka czy kojota.

Odetchnęła głęboko.

– Spodziewałam się, że twój pacjent to pewnie wilk. Bo co innego? Wprowadź go.

Zgarnęłam moich ludzi i nie do końca ludzi z samochodu. Nie miałam pewności, czy dobrze robię. Widziałam już Arianę w szponach lęku, a to, co zobaczyłam, było wystarczająco przerażające, żebym nie chciała powtórki. Ale ostrzegłam ją, a ona uznała, że da radę. Byłam w porządku.

Jesse wypychała Bena, a ja z Gabrielem wyciągaliśmy go z drugiej strony. Kiedy go postawiliśmy, Gabriel wsparł wilkołaka z boku. Rozejrzałam się, ale wszystkie okna w pobliżu pozostawały ciemne. Jeśli ktoś nas obserwował, nie dało się tego stwierdzić.

Jesse weszła do środka, ale Gabriel zatrzymał się w progu. Wnętrze było jasne, pastelowe ściany i biały dywan, a Ben wciąż krwawił.

Ariana przewróciła oczami.

– Dalej, dalej, chłopcze. Zapewniam cię, że potrafię sobie poradzić z wywabieniem krwi z kanapy i dywanu.

Uspokojona, ponagliłam gestem Gabriela z Benem. Mieszkanie urządzono na planie otwartego studia, gdzie przenikały się przestrzenie kuchni, jadalni i salonu. Gabriel przeprowadził Bena przez korytarz i kuchnię do pokoju, pomógł mu się położyć na ciemnobrązowej skórzanej sofie. Ben wyglądał gorzej, o ile to możliwe, niż gdy byliśmy w biurze. Zupełnie jakby teraz, gdy ktoś inny przejął kontrolę nad sytuacją, przestał rozpaczliwie walczyć o zachowanie przytomności.

Ariana potoczyła po nas wzrokiem i zasępiła się.

– Mówcie, co się stało.

Opowiedziałam więc najpierw to, co przydarzyło się nam, a potem powtórzyłam relację Bena. Kiedy skończyłam, położyła mu dłoń na czole.

Ben wymamrotał coś paskudnego, a Ariana uniosła brwi.

– Nie możemy go obwiniać o to, co mówi w tym stanie – wzięła Bena w obronę Jesse.

Ariana uśmiechnęła się lekko.

– Słyszałam gorsze rzeczy. – Odsłoniła opatrunek na nodze, który zdążył przesiąknąć krwią. – Srebrna kula?

– Nie zdrowieje, wygląda to na działanie srebra – wyjaśniłam. – Na pewno oberwał pociskiem usypiającym, a narkotyk zawiera między innymi srebro. Parę lat temu zabito tym mojego przyjaciela. Dlatego chciałam, żeby Samuel go obejrzał.

Ariana odsunęła się i trzymając dłonie nad raną Bena, przymknęła oczy.

– Jestem silnie związana ze srebrem – rzekła. – Potrafię je wyczuć, choć nie przyzwać.

„Ariana” to po walijsku srebro. Zabawne, że kobieta o tym imieniu związała się z wilkołakiem.

– Czuję w nim srebro – odezwała się po chwili – ale nie w pobliżu rany, więc to pewnie środek usypiający. Jeśli i kula była srebrna, nie zostawiła po sobie śladu. Trzeba odczekać, aż srebro samo zostanie wydalone z organizmu, ale ranę mogę zaleczyć.

Trzymałam rękę Bena, podczas gdy Ariana zdejmowała opatrunek i pokrywała obie rany, wlotową i wylotową, jakąś ziołową maścią ze starego glinianego słoiczka. Ben leżał na boku, żeby ułatwić jej dostęp. Miał cały czas zamknięte oczy, lecz każdy mięsień w jego ciele był napięty do granic. Ariana była prawie całkiem obca, a on ranny. Za każdym razem, kiedy cicho warknął, Ariana podskakiwała niczym wystraszony królik, a to sprawiało, że Ben denerwował się jeszcze bardziej.

Pod koniec zabiegu oboje drżeli jak araby przed derby Kentucky.

– Zrobiłam, co mogłam – powiedziała, odsuwając się z westchnieniem ulgi. Poszła do kuchni, odzyskując rezon z każdym krokiem oddalającym ją od Bena. Umyła ręce mydłem i wytarła w biały ręcznik.

Kiedy znów się odezwała, mówiła już pewnie i żywo.

– Nie mam doświadczenia Samuela, ale poza możliwą infekcją

rany, co w przypadku wilkołaków nie jest groźne, nic mu nie będzie.

Jeśli mikstura nie zawierała za dużo srebra, pomyślałam. Trudno było stwierdzić, czy Ben nas słyszy, czy jest świadomy. Nie otworzył oczu, ale teraz, kiedy tylko ja go dotykałam, był całkiem, aż nienaturalnie odprężony.

– Tak czy owak, bez Adama czy Samuela nie możemy nic więcej dla niego zrobić – powiedziałam. Tylko Alfa był w stanie przelać w niego siłę watahy. Mogłam wziąć pewne moce od Adama, ale nie umiałam jeszcze obchodzić się z więzią stada na tyle dobrze, żeby uzdrawiać.

– Spróbuję zadzwonić do Samuela – zaproponowała Ariana i podeszła do stolika z telefonem. Kiedy podniosła słuchawkę, zeszywniała. Potem szybko wybrała numer. – Fin? Przepraszam, że cię budzę, ale miałam sen...

Fin, Fineasz Brewster, był potomkiem Ariany, prawie całkiem człowiekiem, antykwariuszem sprzedającym używane i cenne książki. Powód, dla którego zadzwoniła do niego, a nie do Sama, musiał mieć coś wspólnego z jej reakcją po podniesieniu słuchawki. Ciekawa byłam, co sprawiło, że zmieniła zdanie.

– Ari? – odezwał się w słuchawce zaspany głos. Staram się nie podsłuchiwać, ale mam czuły słuch, jak wilkołaki. – Nie, nie – wymamrotał niewyraźnie, a potem odchrząknął i mówił już przytomniejszym tonem. – To znaczy nic się nie stało. Wszystko u ciebie w porządku? Mam przyjechać?

– Nie, nie trzeba. – Udała ulgę. – To był tylko sen. Przejęłam się nim za bardzo. Martwiłam się o ciebie. – Nieludzie nie mogą kłamać, więc pewnie kiedyś miała jakiś sen, którym się przejęła, i kiedyś martwiła się o Fina. Jednak mogło to być dzisiaj albo i dziesięć lat wcześniej.

– U mnie wszystko w porządku – rzekł spokojnie, jakby przywykł do nocnych telefonów Ariany z powodu sennego koszmaru.

– No to trzymaj się. – Rozłączywszy się, spojrzała podejrzliwie na telefon. – Ktoś podsłuchiwał.

– W telefonie jest pluskwa? – zaniepokoił się Gabriel.

– Ktoś słuchał – powtórzyła, wzruszając ramionami. – Czułam

czyjąś obecność. Magia czy technologia, to bez znaczenia. Gdybym nie wybrała numeru, zastanawialiby się, po co podniosłam słuchawkę.

– Żadnych telefonów – oznajmiłam, wyciągając swoją komórkę. – Całkiem zapomniałam. Jezu, chyba mi rozum odjęło. – Bran wysłał wiadomość, że poprzez telefony namierzają członków watahy, potem powiedział mi o tym Ben, a my i tak zabraliśmy ze sobą komórki. Poklepałam Bena po ramieniu. – Gdzie masz telefon?

– Zniszczyłem go w drodze do ciebie – wymamrotał, ślizgając się po spółgłoskach. – Bran kazał je rozwalić.

– Jesse, Gabriel? Macie swoje?

Jesse wręczyła mi aparat, a Gabriel pokręcił głową.

– Mój został obok łóżka, jest niegroźny.

Pożyczywszy młotek, poszłam do garażu, gdzie pozbyłam się obu komórek. Prawdopodobnie wystarczyłoby wyciągnąć baterie, ale nie miałam stuprocentowej pewności, więc wołałam użyć młotka.

– Kto to może być? – zapytała Jesse, kiedy wróciłam w sam środek rozmowy na temat wydarzeń w domu. – Rząd? Nieludzie? – Otoczyła się ramionami. – Wampiry?

– Według Samuela Bran spodziewał się, że gdy rząd zostawi w spokoju nieładzi, skupi się na wilkołakach – wtrąciła Ariana. – Marrok prowadzi obecnie niezwykle delikatne negocjacje z nieładzmi, a to budzi ogromny niepokój wampirów. Boją się tego, z czym będą mieć do czynienia, jeśli wilkołaki porozumieją się z magicznym ludem.

– Człowiek, który porwał stado, twierdził, że pracuje dla rządu – zastanawiałam się głośno. – Ale Adam uważał najwyraźniej, że kłamie. Z pewnością byli to ludzie, więc ja jednak skłaniałabym się ku agencji rządowej.

– A tutaj nic nie nam nie grozi? – zaniepokoił się Gabriel. – Może raczej powinniśmy znaleźć lepszą kryjówkę?

– Mogli namierzać nas w drodze tutaj przez telefony – odparłam. – Nie powinniśmy zostawać w miejscu. Liczyłam tylko, że będę miała tu chwilę spokoju, żeby skontaktować się z Adamem i dowiedzieć, co się dzieje.

– Na jakiś czas możecie się przecież tu zatrzymać – zaproponowała Ariana. – Nie mogę sprawić, żeby dom zniknął za żywopłotem z jeżyn,

ale przez parę godzin mogę utrudniać jego odnalezienie.

– Ile wiesz, Mercy? – zapytała Jesse.

– Tyle, że żyje. – Postanowiłam zaufać Arianie i zdać się na jej moc. Pomogłoby nam ogromnie, gdyby potrafiła nas ukryć do czasu mojej rozmowy z Adamem. – Muszę iść w jakieś spokojne miejsce i oczyścić umysł, może dowiem się czegoś więcej. – Nie zamierzałam raczyć Jesse strzępami posępnych, przykrych emocji, jakie chwilami odbierałam od Adama. Najbardziej martwiła mnie chwilowość tych przekazów.

– Może weź gorący prysznic? – zasugerowała Ariana. – Łatwiej medytować, kiedy ciało jest czyste. Przyniosę ci coś na zmianę. I przypilnuję twojego stadka. Wzdrygnęła się, kiedy Ben warknął.



Usiadłam na podłodze gościnnego pokoju i usiłowałam się skoncentrować, ale rozpraszała mnie woń krwi Bena. Swędziała mnie głowa. Lewa nogawka pachniała chłodziwem z biednego Królika. Ramię bolało od pasa bezpieczeństwa, a policzek nadal pulsował. Poszłam więc za radą Ariany i wzięłam prysznic.

Zmywając krew z włosów – jakim cudem miałam ją na włosach? – słyszałam otwierane i zamykane drzwi, a po wyjściu znalazłam na taborecie złożony w kostkę dres.

Powąchałam ubranie i pokręciłam głową zaskoczona. Gdyby ktoś przyszedł do mnie, nawet ktoś, kogo lubię, prędzej bym umarła, niż dała mu na zmianę odzież Adama. Szczególnie gdyby to był ktoś, kto z nim mieszkał.

Jednak przyszło mi docenić hojność Ariany, bo kiedy usiadłam znowu na podłodze, tym razem opatulona w za duży dres Samuela, poczułam się bezpiecznie, dobrze. Na pewno pomogło mi to odnaleźć silną, ale splątaną więź łączącą mnie z Adamem, jednak nie wystarczyło.

Sfrustrowana niepowodzeniem, podniosłam się. Zmęczenie, wściekłość i dokuczliwy ból, który z jednego siniaka zdawał się już rozlewać po całym ciele, kotłowały się we mnie z rozpaczą.

Rozpacz zwyciężyła, poczułam się chora i otępiała. Byłam przekonana, że przy odrobinie spokoju uda mi się skontaktować z

Adamem. Powinno być łatwo, bo emocje buzowały wokół mnie tak intensywnie, że z wysiłkiem nadążałam z rozdzielaniem tych, które są jego, od moich.

Dopiero kiedy wstałam, okazało się, że zamiast miękkiego dywanu pod bosymi stopami czuję klepisko pod podeszwami butów, których wcześniej na sobie nie miałam. Były poprzecierane, czarne, a skóra miękka od długiego noszenia. Nie były to moje buty, ale je znałam.

Co robiłam w obuwiu Adama? Usiłowałam zmusić otumaniony umysł do wysnucia logicznego wniosku, a jednocześnie stawałam się coraz bardziej świadoma otoczenia. Powietrze było suche i stojące. Pachniało watahą, moją watahą, która cierpiała i chorowała. Natychmiast, gdy skupiłam na nich uwagę, obmyły mnie ich ból i złe samopoczucie.

– Panie Hauptman. – Obcy, męski głos oderwał mnie od kontemplowania Adamowych butów.

Zamrugałam i ujrzałam mężczyznę w ciemnym ubraniu, bez szlifów, choć strój miał sztywny krój wojskowego munduru. Zmrużyłam oczy, przyglądając się baczniej, bo coś nie pasowało mi w wizerunku nieznanego. Miał miękkie ciało. Nie była to miękkość, jakiej nabywa żołnierz przeniesiony ze służby terenowej za biurko. Mężczyzna był generalnie miękki – słaby duchem i ciałem. Nigdy nie walczył.

Przekładacz papierków. Wydaje rozkazy i posyła innych na śmierć, a sam siedzi bezpiecznie za biurkiem w bazie.

– Jak już mówiliśmy, będzie pan jeszcze oszołomiony godzinę czy dwie. Proszę wybaczyć te kajdanki, prawie jak w średniowieczu, nieprawdaż? Uznaliśmy jednak, że nie będzie pan zachwycony swoją sytuacją po powrocie do przytomności, a zabicie pana udaremniłoby wszystkie wysiłki, jakie sobie zadaliśmy, żeby tu pana sprowadzić. Może się pan zwracać do mnie „panie Jones”.

Mówiąc, patrzył na nas. A ja uświadomiłam sobie, że utrudniający mi poruszanie się ciężar na rękach i nogach to jakiś rodzaj oków. Nie widziałam ich, ale czułam, podobnie jak czułam żądlenie srebra – dużo gorsze niż to, kiedy wbiegłam pomiędzy dwa drzewa, strącając gniazdo szerszeni. Byłam cała obolała.

Obserwując „pana Jonesa”, Adam miał ochotę przewrócić oczami,

ale wymagałoby to zbyt wiele energii. Jones? Gość nie wiedział, że Adam wyławia każde kłamstwo padające z jego ust? Gorszy mógł być tylko Smith.

Adam miał również ochotę zerwać więzy i zabić człowieka z za biurka, ale jak na razie nikt nie został śmiertelnie ranny. Srebro paliło w ciele, a ból usuwał otępienie narkotykowe, ożywiając wściekłość. Jednak najważniejsze było stado, więc powściągał gniew, sarkazm i podjął pertraktacje.

– Zadaliście sobie sporo trudu, żeby nas tu sprowadzić. – Adam mówił nieco bełkotliwie, więc zaczerpnął energii poprzez więź stadną, wiedząc, że bierze coś, czego nie muszą mu dawać. Jednakże potrzebował siły i jasnego umysłu, aby o nich walczyć. A żeby wygrać, nie mógł okazać wrogowi słabości. – Czego chcecie?

Moc oczyściła mu nieco gardło – moje również. Przez rozpacz i działanie tego, czym go naszprycowali, zagłębiłam się w Adama zbyt mocno. Doświadczenia nauczyły mnie, że jeśli pogrążenie się w osobliwości wilkołaczej magii zaczyna za bardzo doskwierać, najlepiej działa wizualizacja. Wyobraziłam sobie, jak wychodzę z ciała Adama. Poczułam łaskotki i mdłości.

Mercy?

Tak, odpowiedziałam i zostałam zalana falą pytań bez słów. Przepływały zbyt szybko, bym mogła je pochwycić. Może i Adam myślał jaśniej, ale i tak było mu jeszcze daleko do zwykłej trzeźwości umysłu. Spróbowałam przelać w niego trochę własnej siły i poczułam, jak chwyta ją i ciągnie. Zachwiałam się, przytrzymałam jego ramion. Poczułam pod palcami materię, ale nie widziałam własnym palców.

– Panie Hauptman?

Adam zignorował go i wysłał ku mnie następną falę silnego poruszenia. Tym razem miała źródło w instynkcie, nie potrzebie siły. Nie rozumiałam dokładnie, czego pragnie, choć łatwo się było domyślić.

Ben dotarł do Gabriela, a potem znaleźli mnie. Jesteśmy bezpieczni, u Samuela. Ben jest ranny, ale to nic poważnego. Nie dodałam, że Samuela nie ma.

Adam wyprostował się i odetchnął głębiej. Ból przyplątywał falami i skupiał się wokół jego stawów, co utrudniało mu poruszanie się.

Rozwarł i zacisnął palce, sprawdzając, czy działają. Bezbronność wytrącała go z równowagi, przeszkadzała powściągać gniew na ludzi, którzy go obezwładnili.

Odbierałam wszystko, co czuł.

Nie zdejmując dłoni z jego ramienia, odsunęłam się w nadziei, że dzięki większemu dystansowi lepiej będzie mi się myślało. A potem zatknęłam rękę za jego pasek z tyłu, jak dziecko w ciemności – bałam się, że jeśli się przy Adamie jakoś nie zakotwiczę, odpłynę z powrotem do domu Samuela bez potrzebnych informacji.

Zrobiło się lepiej, choć nadal mogłam widzieć tylko to, co Adam, a jego pole widzenia okazało się dziwnie zawężone.

To przez srebro, wyjaśnił jego wilk. Zbyt wiele rzeczy nie działa poprawnie. Moje oczy widzą, ale Adam tego nie przetwarza.

Poklepałam go po ramieniu, nie wiedząc nawet, czy czuje, co robię. Słowami nie mogłam się z nim porozumieć. Adam musiał kontrolować własnego wilka, a ja nie mogłam mu w tym pomóc.

Zawsze pomagasz, zaprzeczył wilk. Szarpnął za więź i pobrał ode mnie jeszcze trochę siły. Zawsze, zgodził się Adam i wilk znów ułożył się wokół niego.

– Czy ja pana nudzę, panie Hauptman?

Adam skupił całą uwagę na przeciwniku. Pan

Jones aż się wzdrygnął. Reakcja ta ucieszyła mnie i jednocześnie obudziła we mnie głód – podobał mi się jego strach. I to bardzo.

– Ależ skąd, panie Smith – rzekł Adam łagodnie. – W obecnej chwili wydaje mi się pan niezwykle interesujący.

– Jones – warknął człowiek zza biurka. Jego kłamstwo śmierdziało brudem. Zachowaniem pokazywał Adamowi, jak bardzo jest słaby, jak łatwą stanowi ofiarę. Jednak nie stawał się przez to mniej groźny, wprost przeciwnie – owszem, bez trudu dało się grać na jego emocjach, ale przy silniejszym nacisku mógł pęknąć.

Po prawej coś się poruszyło i w pole widzenia Adama wszedł inny mężczyzna. Z mojej strony wyglądało to tak, jakby nagle pojawił się znikąd. Podobnie jak Jones, miał na sobie czarne ubranie, jednak dzięki spostrzegawczości Adama mogłam dostrzec też kuloodporne wkładki. Inaczej się też poruszał. Widać było, że trenuje walkę wręcz.

Odniosłam wrażenie, że w pomieszczeniu znajduje się więcej osób, więcej przeciwników, ale z jakiegoś powodu tylko ten jeden mężczyzna przykuł uwagę Adama. Widziałam tylko jego i Jonesa.

Żołnierz, upewnił mnie Adam i wskazał wybrzuszenie na kostce pod nogawką, gdzie kryła się broń – nóż bądź pistolet, i drugie takie samo na drugiej nodze. Obserwował też bacznie język ciała obu mężczyzn. Choć Jones zajmował wyższe stanowisko, ludzie (ci, których nie widziałam, a Adam wyczuwał) słuchali żołnierza. Włącznie z Jonesem zresztą. Adam znał takie sytuacje z wojska, kiedy to niedoświadczony dowódca zbyt mocno wspierał się na umiejętnościach podwładnych. Żołnierz budził respekt, podczas gdy Jones zachowywał się i pachniał jak ofiara próbująca, daremnie, udawać drapieżnika. Nadal nie wiedzieliśmy, o co chodzi, ale najważniejsze, że Adam był cały, podobnie jak reszta watahy. Może nie całkiem zdrowi, ale żywi. Dzięki zmysłom Adama wiedziałam, że reszta stada leży pokotem za jego plecami. Wszyscy skuci, podobnie jak on, podtruci srebrem i środkiem usypiającym, poza tym w dobrym stanie. Z tego Adam wnioskował, że nie chodziło o masowy mord. Potrzebowali czegoś i uważali, że Adam i jego wataha mogą im to zapewnić. Na razie więc byli w miarę bezpieczni.

– No? – niecierpliwił się Jones.

Adam milczał. Nie byli przyjaciółmi, a Adam nie zamierzał zaczynać konwersacji o pogodzie. Zrobili wszystko, by uczynić Adama bezsilnym. Nie zamierzał odkrywać się jeszcze bardziej. Prędzej czy później musieli powiedzieć, o co chodzi, i tym samym wręczyć Adamowi kartę przetargową. Do tego czasu milczenie było najlepszą taktyką.

Polityk, który wbrew temu, co twierdził, nie nazywał się Jones, odchylił się na oparcie i westchnął.

– Ostrzegano mnie, że może pan utrudniać. Mamy dla pana propozycję, panie Hauptman. Z informacji, jakie posiadamy, wynikało, że to najlepszy sposób, aby zapewnić sobie pańską współpracę.

Adam uniósł brew, zaś żołnierz uśmiechnął się, skrzętnie ukrywając to przed Jonesem. Spoważniał natychmiast, zauważywszy, że Adam go obserwuje, ale obaj wiedzieli, że nie uszło to uwadze Adama.

– Chcemy, by pan kogoś zabił – oświadczył polityk. – Obaj wiemy, że zabijał już pan dla rządu, sierżancie. – Adam służył w komandosach podczas wojny w Wietnamie. Wiedziało o tym niewielu spoza stada. – Proszę się nie martwić, nie będzie miał pan z tym problemów natury moralnej. Chodzi o senatora Campbella, republikanina z Minnesoty. – Uśmiechnął się. – Widzę, że wie pan, o kim mówię.

Ja również wiedziałam. Campbell zajmował stanowisko od dwudziestu lat i był w Kongresie jednym z najżarliwszych przeciwników magicznego ludu oraz wilkołaków. Od czasu, gdy parę wilkołaków zabiło – i zjadło – człowieka w Minnesocie, optował za nadaniem służbom porządkowym prawa strzelania do zdziczałych wilkołaków i nieludzi na podstawie wydanego przez sędziego nakazu. Posiadał spore poparcie w obu partiach, bo ludzie się nas bali. Był ideowcem, centrystą, który nie wpasowywał się do końca ani w obóz konserwatywny, ani też liberalny, więc opowiadać się za nim mogli członkowie obu klubów.

– Nie jesteście z rządu – stwierdził Adam.

– Zapewniam, panie Hauptman, że pracuję dla rządu Stanów Zjednoczonych. Widział pan moje dokumenty.

Zmarszczyłam nos. Kłamał, choć mówił prawdę – rozpoznałam woń samozadowolenia. Adam wziął pod uwagę moje wnioski.

– To będzie prosta robota – kontynuował Jones. – Wejść i wyjść, a potem będziecie mogli odejść.

– Od dawna nie zabijam dla rządu – stwierdził Adam. I na tym powinien był skończyć, ale czułam, że bijąca od Jonesa aura ofiary w połączeniu z działaniem srebra rozdrażniła go i popchnęła krok dalej. Wyszczерzył do Jonesa zęby w drapieżnym uśmiechu. – Teraz zabijam tylko tych, którzy sobie na to zasłużyli, panie Smith.

Jones cofnął się gwałtownie, a odór jego strachu uderzył mnie w nozdrza. Potem podniósł ukrytego w biurku glocka.

W reakcji Adam, spowolniony srebrem, zapomniawszy o więzach, próbował się zerwać i runął na kolana. Huknął wystrzał, buchnął zapach prochu, krwi i śmierci, a sekundę później więzią stadną szarpnęło tak potężnie, że omal nie wypchnęło mnie do swojego ciała.

Przywarłam do Adama, wstrząsana gniewem i żalem, swoim i jego, a uszy przeszył mi rozdzierający krzyk Honey. Nie musiałam patrzeć, bo

Adam powiedział mi, kogo dosięgła kula i że był to śmiertelny strzał. Przypadkowo, a może celowo, Jones zabił Petera, czystym strzałem pomiędzy oczy uśmiercił serce watahy, jedyne naszego uległego wilka, towarzysza Honey.

Adam pochylił głowę, przyjmując cios – śmierć Petera i własną porażkę, by jej zapobiec. Inne wilki w stadzie rywalizowały, były osobnikami dominującymi, które rzuciłyby się na stojącego wyżej w hierarchii wilka, jeśli ten okazałby słabość. Tylko Peter był bezpieczny. Uległe wilki to rzadkość, są cenne jak rubiny. Nie chcą dostać się na szczyt, więc można im całkowicie ufać. Stada hołubią je i chronią przed krzywdą.

To nie twoja wina, zapewniałam Adama żarliwie. Nie twoja, że was tu sprowadzili. Nie twoja, że zastrzelili Petera. Nie jego, że był obezwładniony środkiem usypiającym, srebrem i kajdanami.

Adam był głuchy na moje argumenty. Jako Alfa miał obowiązek bronić stada, a najbardziej Petera. Czułam jego dziką furję i żądzę mordy, dla których przeciwwagę stanowiła świadomość, że trzeba chronić resztę watahy.

Zachwiał się na kolanach, jak gdyby wściekłość była materialnym brzemieniem, które spadło mu na ramiona. Chwyciłam go mocniej i poczułam, że jest mi wdzięczny za to, że przy nim jestem. Walczył dzielnie z gniewem, studził go rozsądkiem i było mu wstyd, jak bardzo pragnął poczuć między zębami ciało Jonesa.

Jones już nie żyje, poprzysięgam. Tylko jeszcze o tym nie wie. Ale jesteśmy cierpliwi, potrafimy czekać na odpowiednią chwilę.

Adam znieruchomiał. Czasami zapominał, że przecież i ja jestem drapieżnikiem. Kiedy podniósł głowę, ujrzeliśmy stojącego z bronią w ręku Jonesa. Miał chełpliwą minę. Uznał, że pochyłona głowa Adama i pozycja na kolanach oznaczają, że dał się złamać. Stojący obok niego żołnierz nie zdradzał emocji, ale wydawał się czujny.

Adam rozważył różne opcje, zanim zdecydował, że Jonesa trzeba trochę przestraszyć, bo lęk może mężczyznę spowolnić w wypadku, gdyby zechciał znów zabić kogoś dla przykładu. A jeśli ten lęk popchnie Jonesa do działania, będzie go można zabić szybciej i zająć się żołnierzem.

Podniósł się powoli, co było trudniejsze, niż okazywał, ponieważ ręce miał skute za plecami, a nogi razem. Wymagało to siły i poczucia równowagi, więc wykorzystał ruch, żeby stanąć prosto.

Pozwolił wilkowi spojrzeć prosto w oczy Jonesa, napiął mięśnie barków i wykręcił obręcz na lewym przegubie. Metal zazgrzytał. Wzynająca się w przegub bransoleta przez chwilę parzyła skórę, a potem zawias kajdanek puścił. Nie przerywając kontaktu wzrokowego z Jonesem, wyzywając go do reakcji, Adam zrobił to samo z drugim ogniwem oków. Nie spieszył się. Nie przyspieszył nawet wtedy, gdy kajdanki spadły na ziemię. Kiedy wyciągnął wolne ręce do przodu, Jones poderwał broń, ale żołnierz opuścił mu ją z hukiem na biurko.

– Chce ich pan wszystkich powystrzelać i zaczynać od nowa, panie Jones? – zapytał. – Nie uda się panu to samo z inną watahą, a wie pan, że chodziło wyraźnie o Hauptmana.

Jones szamotał się z nim, usiłując odzyskać broń, ale żołnierz odebrał mu ją z łatwością.

– Zamknij się – warknął. – Już narobiłeś bajzlu. Siedź na tyłku i trzymaj gębę na kłódkę. Mówiłem mu, że nie nadajesz się do tej roboty.

Adam skupił się teraz na kajdanach na nogach. Jawnie ignorował wrogów, okazując im tym lekceważenie. Pogrywał z nimi, a to mnie przerażało. Ja z kolei chciałam obserwować Jonesa i jego ludzi, bo bałam się, żeby nie zabili Adama.

Nie zabiją mnie, uspokajał, zrywając obręcz z kostki. Zadali sobie zbyt wiele trudu, żeby to zaprzepaścić. Poczekają, aż zabiję senatora, bo tym samym zdobędą dowód, że wilkołaki należy wyeliminować. Bran ostrzegł, że stałem się zbyt popularny i że ktoś spróbuje to wykorzystać przeciwko mnie.

A co, jeśli nie zabijesz Campbella? Nie miałam wątpliwości, że Adam nie nagnie się do ich woli.

Zrobię wszystko, żeby ocalić stado, sprostował Adam łagodnie i rozerwał ostatnią obręcz na pół. Kawałki skręcił razem. Nawet zabiję Campbella. Podkreśl to, gdy będziesz rozmawiała z Branem, żeby w razie czego nie był zaskoczony.

Tego Bran nie przewidział, kiedy obawiał się, że ze względu na zapalczywość Adam powinien trzymać się w cieniu. Owszem, Adam był

porywczy, ale zawsze, zawsze się kontrolował, bo czuł potrzebę chronienia bliskich za wszelką cenę, nawet jeśli sam miałby się poświęcić dla ich dobra.

– Posłuchajcie mnie uważnie – powiedział Adam nisko, wpatrując się w żołnierza, choć wiedziałam, że zwraca uwagę także na Jonesa. – Jeśli jeszcze ktoś z mojej watahy zostanie ranny, umowa traci ważność. Może uda się wam mnie zabić, ale zdążę wcześniej zająć się „Jonesem”, tobą i sporą częścią waszych ludzi.

– Rozumiem.

Mercy, zawiadom Samuela i Brana. Znajdźcie nas. Uwolnijcie stado, zanim będę musiał zrobić to, czego żądają, powiedział Adam i odesłał mnie z powrotem do ciała znajdującego się w pokoju gościnnym w domu Samuela.

Otworzywszy oczy, własne, natychmiast zdałam sobie sprawę, że na dole panuje zamieszanie. Dobiegały mnie warczenie wilka i śpiewny kobiecy głos.

Magia, magia nie ludzi, drgała na mojej skórze rosnącą falą.

Zerwałam się na równe nogi i zbiegłam na dół, przeskakując po kilka stopni naraz. Ben z pewnością wyczuł śmierć Petera. Był ranny, przestraszony, nie mogło z tego wyniknąć nic dobrego.

Ariana kulila się w kącie, gruchając śpiewnie w języku, który odrobinę przypominał walijski, ale nim nie był, bo nie rozumiałam ani słowa. Ben w połowie przemiany stał na czworakach na kanapie, wpatrując się dziko w obcą mu kobietę.

Jesse i Gabriel stali pomiędzy nimi. Gabriel był ranny. Żadne z nich nie stanowiło poważnego przeciwnika dla prawie przeobrażonego wilkołaka, rozwścieczonego działaniem leków, dramatem stada, furią Adama i śmiercią Petera.

Wszystko to objęłam wzrokiem w trakcie ostatniego susa. Wylądowałabym na podłodze, gdybym w powietrzu nie zmieniła kierunku. Przekręciłam się i runęłam na Bena, a potem razem z nim na ziemię.

Unieruchomiłam go tak, jak matka nauczyła mnie chwycić kozy i cielaki. Kiedy miałam dziesięć lat, uznała, że powinnam iść za jej przykładem i robić karierę królowej rodeo. Jej wysiłki na nic się nie

zdały, bo nie lubiłam koni, w każdym razie nie tak, jak ona, a poza tym przyjechała tylko na dwa tygodnie. Ale łapanie i krępowanie kóz tak mi się spodobało, że bawiłam się tym całe lato. Zapomniane na kilkanaście lat umiejętności powróciły, gdy tylko dotknęłam rozwścieczonego wilka. Rozpacz bardzo skutecznie odświeża pamięć mięśni.

– Ben, przestań. – Przytrzymałam mu głowę, przygniatając policzek do podłogi i wciskając kolano w bark. – Ariana nie jest wrogiem. – Zerknęłam na nią i dodałam: – Chyba że przerazisz ją tak, że zrobi nam coś okropnego. Musimy odstawić Jesse i Gabriela w bezpieczne miejsce, a potem odnaleźć stado. Potrzebuję cię, weź się w garść. – Nadal się rzucał, więc zbliżyłam usta do jego ucha. – Zabili Petera, Ben – wyszeptałam, pozwalając mu usłyszeć mój ból.

Pewnego razu Peter wypadł, wymachując mieczem, i uratował watahę przed rozwścieczoną magiczną istotą, którą przywiodłam pod ich dom. Był słodkim wielkoludem, który uwielbiał swoją towarzyszkę, a w grę na komputerze wkładał tyle serca i energii, że niejednokrotnie powiódł swoją drużynę do zwycięstwa, mimo że nie obchodziły go tak naprawdę wygrane i przegrane. Odszedł, pozostawiając po sobie wielką, ziejącą ranę i szok.

– Zabili Petera – powtórzyłam. – I muszą za to zapłacić.

Ben uspokoił się, a potem zaczął trząść. Puściłam go, ale nie zesłam z niego. Wtuliłam twarz w jego sierść, żeby ukryć łzy. Przepęlniał mnie nie tylko mój żal, ale także Bena, Adama, Honey i reszty stada. Zawiedliśmy, nie udało nam się ochronić naszego serca, Peter nie żył.

Nie powinnam była tego robić. Ben nie przemienił się jeszcze do końca, a na tym etapie jego skóra bolała nawet wtedy, gdy ktoś na nią dmuchnął. Mimo to przywarłam do niego i pozwoliłam fali emocji obmyć mnie, i czekałam, aż opadnie.

– Mercy? – zawołała Jesse. – Co się stało, Mercy? Co z tatą? Mercy?

Ledwie powściągała histerię. Musiałam się otrząsnąć, nie miałam czasu na nic czekać.

– Ben? Mogę cię już puścić?

W odpowiedzi wstał, strząsając mnie z siebie. I to by było tyle,

jeśli chodzi o mamine nauki. Unikał patrzenia na Arianę – ja także czułam jej panikę – w zamian wbijał wzrok w opuszczone rolety. Przetoczyłam się, podniosłam i otarłam oczy.

Znowu zapomniałam o tej przeklętej kraksie i aż jęknęłam, kiedy za mocno dotknęłam policzka. Ratownicy zaklinali się, że to nic poważnego, jednak miałam wrażenie, że kość jest pęknięta. Niemożliwe, żeby siniak aż tak bolał.

Bolały mnie również lewy bark, prawe biodro i kolano, ale najgorszy był ból w sercu. Zerknęłam na Arianę – nie patrzyła na nas, mamrotała coś do siebie, roztaczając wokół coraz silniejszą woń magii nie ludzi.

– Ariano? – zwróciłam się do niej. – Już w porządku. Ben nie chciał. Nie skrzywdziłby ciebie ani nikogo innego. – Przypomniałam sobie o wymogu prawdomówności wobec magicznych istot i sprecyzowałam: – Nikogo w tym pomieszczeniu.

Nie zareagowała. Samuel poinstruował wszystkie wilki, co mają robić, jeśli Arianę coś by przestraszyło i zaczynała wpadać w panikę. Artefakt, który stworzyła, Zrodzony ze Srebra, tłumił co prawda jej moc, ale była ostatnią z potężnych istot magicznych narodzonych na początku ery, kiedy ludzie zaczęli używać żelaza. Nawet z osłabioną mocą potrafiłaby zmieść z powierzchni ziemi cały kwartał albo rozerwać nas na strzępy, jeśli taką formę przybrałoby jej szaleństwo.

Samuel obawiał się, że w sytuacji skrajnej paniki Zrodzony ze Srebra mógł oddać jej całą moc, jaką wyssał z nie ludzi i zmagazynował w czasie swego istnienia. To byłaby prawdziwa katastrofa.

– Mówcie coś – nakazałam Gabrielowi i Jesse, którzy nadal stali pomiędzy Arianą a Benem. – Rozmawiajcie normalnym tonem, nieważne, o czym. Nie będzie wsłuchiwała się w treść, tylko w barwę głosów. Jeśli będą spokojne, powoli do siebie wróci. Nie chce nam zrobić krzywdy. Ty, Ben, bądź cicho, nie drgnij nawet. Nie pomożemy nikomu, jeśli unicestwi nas jedno z naszych przyjaciół.

– Może powinniśmy się stąd wynieść? – Gabriel machinalnie wytarł krew z ramienia. Rana nie była głęboka, a pracował w warsztacie na tyle długo, że przestał zwracać uwagę na skaleczenia – stare samochody mają dużo ostrych krawędzi.

– Nie ucieka się przed drapieżnikiem – pouczyła go Jesse. – Niech się najpierw trochę uspokoi.

– Właśnie – poparłam ją. – Ale jeśli każę wam uciekać, zrobicie to, nie oglądając się za siebie. To dotyczy was wszystkich, szczególnie ciebie, słyszysz, Ben?

Łypnął na mnie. Wiedział, co mam na myśli. Jeśli nie udałoby mi się stąd wydostać, musiał zająć się Jesse i Gabrielem i skontaktować z Branem.

– Nawiązałaś łączność z tatą? – zapytała Jesse w tym samym momencie, kiedy Gabriel powiedział:

– Coś zdenerwowało Bena. Ale tutaj nic takiego się nie stało. Tak sądzę...

– Neutralne tematy – przypomniałam. – Radosne myśli. – Ale było już za późno. – Rozmawiałam z tatą, Jesse, nic mu nie jest.

– A co z Benem? – zapytała. – Co go tak poruszyło?

– Peter nie żyje – odparłam, nie spuszczać oka z Ariany. Jesse pobladła.

– Kto to Peter? – Gabriel znał większość członków stada, ale Petera nie miał okazji spotkać.

– Peter to ktoś wyjątkowy – odpowiedziała Jesse. – Tata nazywa go Sercem Watahy, wielkimi literami, jakby to był tytuł.

– To prawda – włączyłam się. – Utrzymywał wszystkich w równowadze, bo nie miał potrzeby rywalizacji. Mógł mówić rzeczy, których inni nie mogli. I miał prawo być broniony przez wszystkich w stadzie.

Ben jęknął smutno, zawodząco, wilczo.

Ariana podniosła głowę i spojrzała na mnie. Musiałam się starać, żeby patrzeć jej w oczy, bo źrenice i tęczęwki zniknęły, a białka pochłaniały światło.

– Lubiłam Petera – rzekła, a moje serce podjęło pracę. Skoro była w stanie śledzić rozmowę, mieliśmy szansę ująć z życiem. – Samuel poprosił go o pomoc, kiedy uczyłam się pokonywać lęk przed wilkołakami. Peter był... miły.

Nie wróciła jeszcze do siebie, zapach magii nie zelżał, a jej głos brzmiał dziwnie. A oczy nadal były straszne.

Nie miałam pojęcia, co jeszcze mogliśmy zrobić, więc mówiłam dalej.

– Adam i wataha, poza Benem, są przetrzymywani przez grupę ludzi, radykałów. Niektórzy z nich mają wojskowe przeszkolenie. Usiłują zmusić Adama szantażem do zabicia Campbella, senatora z Minnesoty. Nadal twierdzą, że są powiązani z rządem, ale kłamią.

– To republikanin – stwierdził Gabriel, bezskutecznie usiłując nie patrzeć Arianie w oczy. Dobrze, że nie ludzie nie uznawali tego za wyzwanie, tak jak wilki. Przeciwnie, wiele magicznych istot lubiło, kiedy na nich patrzono. Kiedy i Ariana spojrzała na Gabriela, dzielnie ciągnął: – Campbell jest nastawiony wrogo do nie ludzi i wilkołaków, a co dziwne w przypadku republikanina, jest również przeciwko powszechnemu dostępowi do broni. Jest dobrym mówcą i prawdopodobnym kandydatem w wyborach prezydenckich po tej kadencji.

– Gabriel chodzi na zajęcia z wydarzeń bieżących – wyjaśniła Jesse. Odwróciła wzrok od Ariany i zrobiła krok w moją stronę. Nie zauważyła, że nasza gospodyni drgnęła, jakby miała dać susa, ale zmitygowała się. Ja i Gabriel dostrzegliśmy jej reakcję. Chłopak przesunął się odrobinę w bok, zasłaniając sobą mnie i Jesse.

– Kim są ci ludzie? – kontynuowała Jesse, całkiem nieświadoma, jak blisko była śmierci. – Z Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałam. – NSS... – Uśmiechnęłam się znużona. – Chyba to zbyt dużo zachodu, jak na nich. Wielu senatorów sprzeciwia się nieograniczonemu dostępowi do broni, i w dodatku żaden z nich się nie wychyla od próby zamachu na prezydenta Reagana, a to było, zanim się urodziłaś.

– Więc kto?

– Jeśli Campbell zostanie zabity przez wilkołaka, krucha równowaga pomiędzy zwolennikami eksterminacji wilkołaków i tymi, którzy uważają ich za porządnych obywateli, tyle że obciążonych straszliwą chorobą, zostanie zaburzona – podjął Gabriel. – Po tym, jak nie ludzie zabili syna senatora, który wymigał się od morderstwa, ludzie nie zaczęli zabijać każdego nieczłowieka tylko dlatego, że magiczny lud się wycofał i nie zrobił nic innym. Opinia publiczna po paru dniach

paniki stanęła po ich stronie, mimo że rząd wygrażał pięściami. Uwolnienie wielokrotnego mordercy, nawet jeśli zabił tylko nieczłowieka i wilkołaki, było niesprawiedliwe. A fakt, że przestępca miał pieniądze i powiązania polityczne, sprawił, że ludzie uznali czyny magicznego ludu za usprawiedliwione.

– Po śmierci Campbell stanie się sztandarowym męczennikiem humanistów – wtrąciła Ariana. Nadal mówiła głosem ciężkim od magii, nieswoim, ale patrzyła już przytomniej, uznałam więc, że najgorsze mamy za sobą. – Campbell cieszy się sympatią, a poza tym jest przeszkodą dla jeszcze większych ekstremistów. Jest głosem umiarkowania pośród ich przywódców. Wyraził stanowczy sprzeciw wobec kilku krańcowo radykalnych pomysłów na rozprawienie się z istotami, które nie są ludźmi.

Nie użyłabym wobec niego epitetu „umiarkowany”, ale to prawda, że odzywały się jeszcze skrajniejsze głosy.

– To odpowiada na pytanie „dlaczego” – mruknęłam. – Ariano, już ci lepiej?

– Nie do końca... Przykro mi – wydusiła.

– Możesz się jakoś skontaktować z Samuelem albo Branem?

– Nie. – Zawahała się. – Tak. Wiem, gdzie są... w Montanie.

Pojadę do nich.

– Dobrze. Tylko weź samochód Fina, trudniej go będzie namierzyć. – Fin jeździł starym subaru, wyprodukowanym przed erą GPS-ów i urządzeń namierzających. Nasz przeciwnik nie musiał być rządem *per se*, ale na pewno miał dostęp do rządowych narzędzi szpiegowskich.

– Czy możemy już wyjść bezpiecznie, czy mamy jeszcze trochę poczekać? – zapytałam.

Bezpiecznie dla nas. Nie chciałam Ariany niczym sprowokować. Jesse miała rację, nie wolno pozwolić drapieżnikowi myśleć, że się przed nim ucieka.

– Pójdę na górę – odrzekła. – Nie wychodźcie, póki nie usłyszycie zamykanych drzwi.

Ben, który dokończył przemianę i stał już w pełnej wilczej formie, zadrżał, kiedy mijała go z tyłu, ale nie odwrócił się. To świadczyło o

jego silnej woli, bo ciężko się opanować, mając za plecami potencjalnego napastnika. Udało mu się jednak.

Ariana zatrzymała się na schodach.

– Bądź ostrożna, Mercedes. Wielu rozpaczałoby, gdyby coś ci się stało.

– Zawsze jestem – rzuciłam.

Zaśmiała się, ale nie odwróciwszy się, podjęła wspinaczkę po schodach.

Kiedy trzasnęły drzwi, wyprowadziłam towarzystwo na korytarz. Ben zamykał pochód, biorąc tylną straż. Otworzyłam ostrożnie drzwi, nie zauważyłam jednak żadnych podejrzanych samochodów w pobliżu.

Mimo to odetchnęłam z ulgą dopiero na autostradzie do Kennewick.

– Gdzie jedziemy? – dopytywał się Gabriel.

– Muszę umieścić was w jakimś bezpiecznym miejscu – odparłam.

– Za dużo paskudnych indywiduów miałoby ochotę położyć na was brudne łapska.

– Nie na mnie. – Wzruszył ramionami. – Ja jestem tylko twoim pomocnikiem. To Jesse chcą.

Łypnęłam na niego.

– Zamierzasz wrócić do domu i czekać na informacje, co z nią?

Warknął. Całkiem nieźle, jak na człowieka.

– No właśnie. Dlatego muszę ukryć was oboje.

– Masz coś na oku? – zapytała Jesse wyraźnie niezadowolona. Nie dziwiłam się jej. Ileż to razy kazano mi się trzymać z daleka, bo kojocica to nie ta kategoria wagowa, co wilkołak? Beznadzieja. Ale jeśli by dopadli Jesse... Byłam pewna, że Adam poświęciłby cały świat dla swojej córki.

– Mam – powiedziałam.

– Gdzie? – zainteresowała się Jesse, ale Gabriel już się domyślił.

– O nie! W życiu! – zaprotestował.

Rozdział 3

Gabriel nadal się ze mną wyklócał, kiedy podjeżdżaliśmy pod osiedle, na którym mieszkały jego matka i siostry.

– Posłuchaj – powtórzyłam po raz tysięczny. – Jeśli wiedzą tyle o stadzie, wiedzą również o Jesse i tobie, więc założą, że ukryłam was razem. Ale pewnie wiedzą też, że od prawie roku nie zamieniłeś z matką słowa, a już na mur beton znają jej stosunek do wilkołaków.

Kilka miesięcy temu matka mojego współpracownika, Sylvia Sandoval, udzieliła wywiadu gazecie przy okazji mojego ślubu z Adamem, lokalną osobistością. Dość jasno wyraziła w nim swoją opinię na temat wilkołaków.

– Nie przyjdzie im do głowy, że mogłaby udzielić schronienia córce tutejszego Alfya.

– Nie zrobi tego – oświadczył.

– Jeśli wyjdzie na moje, posprzątasz łazienkę w warsztacie, jeśli na twoje, ja posprzątam.

Zamknął oczy i potrząsnął głową.

– Kocha cię – powiedziałam, wysiadając. – Inaczej nie byłaby tak nieugięta w swojej złości.

Nie musiał wiedzieć o mojej rozmowie z jego matką, która odbyła się tuż przed ukończeniem przez niego liceum. Tym razem było inaczej, tym razem nie chodziło o spór Sylvia kontra wilkołaki. Tym razem zdobędę się na więcej dyplomacji i nie odejdę, wrzeszcząc: „Tak? Skoro jesteś zbyt dumna, żeby przeprosić, to zostanie ze mną!”.

Wysłałam jej informację o rozdaniu świadectw. Była tam, stała z tyłu. Upewniła się, że ją widział, a potem wyszła. Najstarsza siostra Gabriela powiedziała mi, że mama nie chciała, by jej syn odbierał świadectwo maturalne bez matki na widowni. Stąd też wiedziałam, że przyjmie do siebie dzieciaki.

– Nie chcę robić kłopotu – zaprotestowała Jesse. – Może zostawisz mnie z Kyle’em? Albo pójdę do Carli?

Jesse nie miała wielu prawdziwych przyjaciół, odkąd wilkołaki się ujawniły, a wszyscy dowiedzieli się, czyją jest córką. Słyszałam, że z

tego powodu kilkoro rodziców zabrało nawet dzieci z jej szkoły i dowoziło je do liceum w Richland.

Niektóre dzieciaki trzymały się z nią, żeby gadać o wilkołakach. Do tych ostatnich należała właśnie Carla i Jesse starała się jej unikać, mimo że znały się od podstawówki.

– Do domu Kyle’a przyjdą cię szukać w pierwszej kolejności – wytknęłam. Sama chciałam jak najszybciej sprawdzić, co u niego. – Nie mamy w okolicy nikogo silnego na tyle, by ochronił cię przez rządem, więc lepiej ukryć cię tam, gdzie nie będą szukać. – O Carli nawet nie wspomniałam.

– Dobra, miejmy to już z głowy – burknął Gabriel i wysiadł z samochodu. W stronę bloku szedł z entuzjazmem skazańca idącego na szafot. Jesse natychmiast zapomniała o swoich rozterkach i zakłopotaniu, że będzie nieproszonym gościem. Wybiegła za Gabrielem i wzięła go za rękę.

Spojrzałam na Bena. Z westchnieniem położył się na tylnej kanapie. Miał rację. Widok wilkołaka w mieszkaniu nie nastawi Sylvii przychylnie. Zamknęłam drzwiczki i ruszyłam za dziećmi.



Gabriel zatrzymał się na moment przed drzwiami, zanim zastukał. Żadnej reakcji. Było jeszcze ciemno, więc wszyscy pewnie spali. Zapukał mocniej.

Zapaliło się światło, drzwi uchyliły, a w szczelinie pojawiła się twarz nastolatki. Od roku nie widziałam dziewczynek, z wyjątkiem Tii, która wpadała od czasu do czasu zapytać, co słyhać. Tia była podobna do matki, a ta dziewczyna stanowiła dziewczęcą kopię Gabriela, co oznaczało, że miałam przed sobą Rosalindę, wyższą i o bardziej wyostrzonych rysach niż wtedy, gdy spotkałyśmy się ostatnio. Na nasz widok zamarła na chwilę, a potem otworzyła drzwi na oścież i rzuciła się bratu na szyję. Gabriel uścisnął ją tak mocno, że aż pisnęła.

Mieszkanie Sylvii było czyste i zadbane pod warstwą bałaganu, jaki zalega w domach, gdzie są dzieci.

Meble nie od kompletu nosiły ślady długiego używania. Sylvia sama utrzymywała rodzinę, pracując jako policyjna dyspozytorka. Nie

stać ich było na luksusy, ale dzieci chowały się otoczone miłością. Szczęście rodziny zachwiało się, kiedy matka i syn natrafili na kwestię, w której żadne z nich nie chciało iść na kompromis.

– Kto się tam dobija o tej porze? – Z głębi mieszkania dobiegł głos Sylvii.

– To mój *hermano* – wydusiła dziewczyna wtulona w ramię Gabriela. – Och, *mami*, to Gabriel! – Oderwała się od niego, ale uczepliwszy jego ręki, zaciągnęła go do salonu. – Wchodź, wchodź, nie bądź głupi. Cześć, Jesse, cześć Mercy. Nie zauważyłam was przez Gabriela, wejdźcie. – Potem wymamrotała coś pod nosem po hiszpańsku.

Nie zrozumiałam, ale Gabriel zareagował żywo.

– Nie mów tak o matce! Należy się jej szacunek, *chica*.

– Naprawdę? – Sylvia weszła do pokoju. Chyba nigdy nie widziałam jej rozczochranej i nawet o tej nieludzkiej porze jej włosy były gładkie i lśniące. Jedynym ustępstwem na rzecz pory był granatowy szlafrok. Miała skrzyżowane ramiona na piersiach, ponurą minę i całkiem ignorowała mnie oraz Jesse.

– Oczywiście, *mamá* – rzekł Gabriel łagodnie. Patrzyła na syna z zaciśniętymi ustami i zadartą brodą. Rosa po paru podskokach spojrzała po ich twarzach, po czym chwyciła Gabriela za rękę.

– Wolaleś obcych od własnej rodziny – wyrzuciła z siebie Sylvia. – Dałam ci wybór, a ty zdecydowałeś. Mówiłam, że możesz zostać w warsztacie i pracować dla Mercedes Thompson albo wrócić do domu. Wybrałeś ją. Gdzie w tym szacunek?

Parsknął pełnym goryczy śmiechem.

– Mówiłem ci, że tak będzie, Mercy.

Rosa pisnęła cicho, kiedy odwrócił się i zrobił dwa kroki, odsuwając się od Sylvii. W progu dodał:

– Dla ciebie wszystko jest czarno-białe, *mamá*, ale świat jest szary. Chciałaś, żebym zostawił przyjaciół, bo uważałaś, że są niebezpieczni. Życie jest niebezpieczne, *mamá*. Nie będę uciekał przed przyjaciółmi, którzy są dobrymi ludźmi, bo się boję. Bo ty się boisz.

– Ona naraziła moje dzieci na niebezpieczeństwo. – Sylvia gwałtownym ruchem wskazała mnie brodą. Straciła chłód, który wniosła

do pokoju, zmienił się on w żar. – Okłamała mnie! A ty wybrałaś ją zamiast mnie.

– Mercy nie może zdradzać cudzych sekretów, *mamá*. A ten wilk prędzej by zeskoczył z urwiska do oceanu, niż skrzywdził którąś z dziewczynek. Mercy się z nim wychowywała, zna go. – Gabriel przemawiał łagodnie, ale postawę przybrał jak matka. Nie wyglądało to pojednawczo, a już na pewno trudno będzie o zgodę, jeśli dalej będą rozmawiali o tym, co ich poróżniło, przez co chłopak zamieszkał u mnie i przestał rozmawiać z matką.

– Miałaś rację – wtrąciłam stanowczo. – Zadawanie się z nami to narażanie się na niebezpieczeństwo. Teraz ktoś ściga Jesse. – Nie wiem, czemu to powiedziałam w ten sposób, bo przecież nie miałam żadnych podstaw przypuszczać, że chcą dopaść Jesse. Tym bardziej że już mieli pełne ręce roboty ze stadem. Jednakże instynkt podpowiadał mi, że tak właśnie jest, a zawsze słuchałam jego podszeptów. – Porwali już jej ojca i zabili jednego z jego wilkołaków.

– Widzisz, *hijo*? Tak się właśnie dzieje, jak zadajesz się z wilkołakami – fuknęła Sylvia, ale już spoglądała na Jesse. Miała ostry język, lecz serce wielkości Kolumbii. Urodziła cztery córki, a najstarsza była niewiele młodsza od Jesse.

– Jej ojciec jest wilkołakiem – warknął Gabriel, nie zauważywszy, że oczy Sylvii łagodnieją. – Nie może ich unikać.

Położyłam chłopakowi rękę na ramieniu, żeby przestał być napastliwy, i to był błąd. Na widok tego gestu Sylvia zacięła się znowu.

– Ci, którzy ścigają Jesse, to ludzie – pospieszyłam z wyjaśnieniami, zanim zdążyła powiedzieć coś, czego potem mogła żałować. – Nie magiczne istoty, wilkołaki czy inni. To ludzie i zamierzają zrobić jej krzywdę. A ty wychowałaś mężczyznę, który nie zostawia bliskich w obliczu niebezpieczeństwa, tak samo, jak nie opuszcza przyjaciół, bo tak jest bezpieczniej czy mądrzej. Nawet matka nie może go o to prosić, bo to ona właśnie nauczyła go, jak kochać ludzi. Przez to i nad nim wisi teraz groźba. Nie ukryjesz ich na dwa dni, żeby nic im się nie stało?

Sylvia spojrzała mi prosto w oczy. Potem ze śmiechem potrząsnęła głową, a jej twarz złagodniała.

– Komplement ukryty w reprimendzie ukrytej w prośbie. Jak mogłabym czemuś takiemu odmówić? Zostawić dziecko na pastwę losu? Moje dziecko? – A kiedy Gabriel się obruszył, podjęła: – Będiesz moim dzieckiem nawet po pięćdziesiątce, *hijo*, więc lepiej przywyknij od razu. Nie porzucę przez dumę własnego ukochanego syna, któremu coś zagraża. Nawet ja nie jestem tak głupia. Uch!

„Uch” wydała z siebie, bo Gabriel ze łzami w oczach uścisnął ją mocno. Najwyraźniej nie był w stanie ukryć wzruszenia, a nie należał do mężczyzn, którzy płaczą przy ludziach. W tej samej chwili rozległy się piski w drugim pokoju. Słyszałam już od jakiegoś czasu, że pozostałe dziewczynki nie śpią, nasłuchując, ale z wybuchem radości czekały chyba na ostateczną decyzję matki. Teraz przystąpiły do działania i nagle cały salon był pełen Sandovali.

Opowiedziałam im wszystko. Skoro miały chronić Jesse, musiały znać sytuację. Kiedy skończyłam, Sylvia pokręciła głową.

– Dokąd ten kraj zmierza? – westchnęła. – *Mi papa*, twój *abuelo* przewraca się w grobie. Zginął za ten kraj, walczył o dobro, prawość i wolność. Byłby załamany.

– Jeśli to sprawka rządu – odezwała się Tia, najstarsza siostra Gabriela – to lepiej pozbadźcie się telefonów. Mogą was przez nie namierzyć.

– Zrobione – potaknął Gabriel. – Mój został w domu, a aparaty Jesse i Mercy zniszczyliśmy, zanim tu przyjechaliśmy.

– Adam uważał, że to nie agenci rządowi – przypomniałam. – Mimo że mieli prawdziwe dokumenty.

Rosalinda zerwała się z podłogi i pobiegła do swojego pokoju. Po chwili wróciła z komórką w różowym etui z kryształkami.

– Weź, Mercy. Będiesz potrzebowała telefonu. Mojego raczej nie będą namierzać.

– Dzięki, Rosa.

– To ja dziękuję, że zajęłaś się moim bratem i pozwoliłaś mu u siebie mieszkać – rzekła poważnie.

– Mówisz tak, bo kiedy się wyprowadziłem, małe zajęły mój pokój – stwierdził Gabriel. – Dlatego nie chcesz, żebym wrócił do domu.

– Hm, no tak – przyznała. – To było bardzo miłe ze strony Mercy.

- Gabriel zmierzwił jej włosy i zwrócił się do mnie.
- Ben będzie się niecierpliwił.
 - Tak, muszę już iść – zgodziłam się.
 - Uważaj na siebie – rzuciła mi na pożegnanie Jesse.
 - Jasne.



Wsiadłam do mercedesa i ruszyłam do zachodniego Richland, do domu Kyle'a. Ben został z tyłu, na tapicerce przykrytej kocem. Samochód był dla niego niewygodny, kanapa zbyt wąska, a miejsca na podłodze za mało. Z rany przestała lecieć krew, ale nie mógł podeprzeć się przestreloną łapą.

Warren miał być w domu z Kyle'em. Adam wyczuł jego krew na porywaczach, zabrali więc Warrena, jednak Kyle nie powiadomił o tym ani mnie, ani Adama. To oznaczało, że albo Kyle'owi przytrafiło się coś złego, albo zdołali porwać Warrena, nie alarmując kochanka. Niestety, bardziej prawdopodobna była pierwsza opcja.

Włączyłam radio, żeby posłuchać wiadomości. Było zbyt późno, albo raczej za wcześnie na świeże informacje, ale Mary Jo została porwana podczas służby w remizie. Jeśli napastnicy skrzywdzili jej współpracowników, na pewno zrobiłoby się o tym głośno w mediach. Atak na strażaków byłby głupotą, lecz ludzie, którzy porwali się na watahę wilkołaków, byli albo bardzo silni, albo głupi. Na temat uprowadzenia strażaka lub wymordowania całego oddziału media puściłyby informację nawet o tej porze.

W trakcie jazdy skorzystałam z kryształkowego telefonu Rosy, żeby zadzwonić do Elizawiety. Nie odbierała. Potem wybrałam numer Stefana.

To, że najpierw próbowałam skontaktować się z wiedźmą, która nie darzyła mnie sympatią, wiele mówiło o tym, jak ambiwalentne uczucia żywiłam do wampira. Gdyby nadal należał do lokalnej chmary, moje wahanie byłoby usprawiedliwione. Jednakże Marsilia wydalila go, by utrzymać pozycję Pani Chmary. Polityka wampirów stanowiła niezwykle skomplikowany taniec zachowań, przy którym protokół wilkołaków przypominał dziecięcy teatrzyk.

Torturowała Stefana i jego menażerię na podstawie sfingowanych oskarżeń, żeby buntownicy zbliżyli się do niego i ujawnili. Służył jej od wieków, więc była pewna, że nie przyłączy się do wichrzycieli napuszczonych przez wampira, którego imienia nigdy nie poznałam. Nazwałam go Chłopcem Rękawicznikiem. Rękawicznikiem, bo jedyny raz, kiedy go widziałam, miał na sobie rękawice. A chłopcem, bo wampiry przerażały mnie do imentu.

Jej plan częściowo się powiódł. Stefan rzeczywiście pozostał lojalny i Marsilia przy jego pomocy rozbiła spisek. Uznał jednakże, że zabicia ludzi pozostających pod jego opieką nie da się niczym usprawiedliwić. Wampiry różniły się podejściem do ludzi, na których żerowały. Stefan traktował członków swojej menażerii jak przyjaciół, a przynajmniej ulubieńców, o których się troszczył.

Tak więc nie należał już do chmary, a wampir czy nie, przyjaźniliśmy się, odkąd zamieszkałam w Tri-Cities. Niestety, przez brutalne machinacje Marsilii zauważałam w nim ostatnio bardziej wampira, a mniej mojego przyjaciela. Nie podobało mi się to na tyle, że poważnie rozważałam, czy w ogóle prosić Stefana o pomoc.

Wróg był potężny, więc potrzebowaliśmy sprzymierzeńców. Zaczynałam być zmęczona, a zmęczenie przytłumiało gniew, odsłaniając strach i poczucie osamotnienia, mimo towarzystwa Bena leżącego tuż za moimi plecami.

To dlatego w końcu zadzwoniłam do Stefana. Po trzech sygnałach odezwał się głos (nienależący do niego): „Zostaw wiadomość”, a potem piknięcie.

Już miałam się rozłączyć, ale było mało prawdopodobne, że telefon Stefana też jest na podsłuchu, a dzwoniłam przecież z obcego numeru. Dlatego rzuciłam:

– Mógłbyś zadzwonić do mnie na ten numer? Moja komórka padła.

Na poboczu stał jakiś samochód i radiowóz. Podczas dzwonienia przyspieszyłam, więc na wszelki wypadek zdjęłam teraz nogę z gazu. To, że dwóch policjantów miało zajęcie, nie oznaczało, że można bezkarnie łamać przepisy.

Komórka zabręczczała, akurat gdy mijałam radiowóz, ale szyby mercedesa były mocno przyciemnione. Mało prawdopodobne, żeby dało

się widzieć wewnątrz wozu, nawet jeśli aparat Rosalindy dzięki plastikowym kryształkom zdawał się jarzyć własnym światłem. Ryzykując mandat, odebrałam.

– Halo?

– Mercy? – odezwał się Stefan. – Czego ci trzeba? I czemu dzwonisz z czyjegoś telefonu?

Podczas opowiadania po raz kolejny przeżywałam śmierć Petera, więc pod koniec trzęsłam się z gniewu i... przerażenia. Tak wiele zależało od tego, czy właściwie rozegram tę partię, a ja nawet nie znałam reguł gry.

Tyle dobrego, że adrenalina usunęła zmęczenie. Niestety, przy okazji przestałam skupiać się na prowadzeniu. Jakaś część mnie, ta, która pamiętała stłuczkę, jaką miałam w Króliku parę godzin temu, w poprzednim życiu, usiłowała napomnieć mnie, że rozbicie wozu Marsilii tylko pogorszy sprawy. Jednak reszta koncentrowała się na bardziej naglających kwestiach.

– Peter był porządnym facetem – rzekł Stefan, kiedy skończyłam. – Spotkamy się pod domem Kyle’a.

Spojrzałam w niebo. Jeszcze było ciemno, ale zegar na desce rozdzielczej wskazywał wpół do szóstej.

– Niedługo świt – zauważyłam.

– Jeszcze czas. – Chyba nigdy nie słyszałam u Stefana tak łagodnego tonu. – W razie czego błyskawicznie dotrę do domu. O mnie się nie martw. Na razie troszcz się o innych, dobrze? A teraz rozłącz się i skup na drodze.

Odłożyłam telefon z nadzieją, że postąpiłam dobrze. Ujawnianie słabości watahy przed wampirami nie było najmądrzejsze. Marsilia z radością zatańczyłaby na naszych grobach, gdyby stado i mnie, szczególnie mnie, spotkała klęska ostateczna. Ufałam Stefanowi. Naprawdę. Ale Stefan był wampirem i nie wolno mi było o tym zapominać.

Dom Kyle’a znajdował się jakieś pół godziny jazdy od mieszkania Sylvii. Tej nocy pokonywałam drogę pomiędzy Richland a Kennewick już któryś raz. Po prawej Kolumbia toczyła swe mętne wody, a mijane domy odmierzały pokonane kilometry.

Czy właściwie zrobiłam, zostawiając Gabriela i Jesse? Wtedy czułam, że robię to dla ich dobra. Ale co, jeśli porywacze Adama pomyślą o Sylvii? Gabriel był silny i bystry, ale to tylko nieuzbrojony ludzki nastolatek. Może właśnie podałam wrogom na tacy kolejne ofiary? Pomyślałam o kuli, która zabiła Petera, i uznałam, że morderca, który strzelił do bezbronnego człowieka, może zabić też jedną z sióstr Gabriela.

Gdzieś niedaleko przetrzymywano Adama. Nie miałam realnych podstaw, by sądzić, że dybią też na Jesse. Ani jednej. Lecz i tak niepokoiła mnie myśl, że zostawiłam ich bez ochrony.

Zadzwoiłam do Zee. Nie pożegnał się osobiście przed odejściem do rezerwatu, zostawił tylko wiadomość, że mam czekać cierpliwie i nie kontaktować się z nim. Ale Zee lubił Jesse i Gabriela, a choć w życiu by się do tego nie przyznał, ubóstwiał wręcz te małe diabelki, jego siostry.

Sygnał pikał i pikał, a trasa międzystanowa niosła mnie wzdłuż Richland. Już miałam nacisnąć klawisz, żeby się rozłączyć, kiedy odezwał się burkliwy głos Zee.

– To nie jest dobry pomysł, *Liebling*.

– Zee! Nie mam żadnych dobrych pomysłów i robię, co mogę, z tymi złymi, bo tylko one mi zostały. – Wyjaśniłam po raz kolejny, jak wygląda sytuacja. – Nieludzie są nam winni przysługę za wydrzaki i królową wrózek – powiedziałam na zakończenie. – Czy możesz jakoś mieć oko na dom matki Gabriela? Prawdopodobnie nic nie trzeba będzie robić. Prawdopodobnie mam tylko manię prześladowczą, taka noc. Ale mój pomysł zapewnienia dzieciom w ten sposób bezpieczeństwa opierał się na tym, że nikt ich tam nie będzie szukał, a to przekonanie słabnie we mnie z każdym pokonanym kilometrem.

– To prawda, że jesteśmy ci winni przysługę – przyznał niechętnie Zee. – Są tacy, którzy twierdziliby, że śmierć wydrzaków była wypadkiem. Jednak ja do nich nie należę. Nikt nie może zaprzeczyć, że zostaliście wmanewrowani w sytuację, przez którą znaleźliście się w niebezpieczeństwie, i że przez to ucierpiałaś. I nikt, nawet najzagorzalszy przeciwnik ludzi – powiedział to takim tonem, jakby miał na myśli konkretnego nieczłowieka – nie zaprzeczy, że mamy wobec ciebie dług wdzięczności za pokonanie królowej wrózek, która wielu z

nas złapała w swą sieć, a ponieważ byliśmy tego nieświadomi, mogła złapać nawet wszystkich. – Cmoknął tak, jak przy szczególnie trudnych naprawach. – Jest mi niezmiernie przykro, ale w obecnej sytuacji już samo to, że odebrałem od ciebie telefon, wyrównałoby wszelkie nasze rachunki. W zasadzie w ogóle nie powinienem mieć tego telefonu, bo to zgniła ludzka technologia. – Wyrzucił z siebie ostatnią część zdania, jakby słowa te niezwykle go drażniły. – Gdybym teraz opuścił rezerwat, żeby ci pomóc, ściągnąłbym kłopoty na nas oboje. – Zaśmiał się wybitnie niewesoło. – Więc gdybym teraz opuścił rezerwat, mogłoby to skutkować katastrofą na większą skalę, ponieważ usiłuję opanować jakoś chaos, a nie mógłbym robić tego z zewnątrz, nawet gdybym przyłożył komuś ostrze do gardła. Nie mogę ci nawet radzić bez powodowania kłopotów – westchnął, ale się nie rozłączył, więc nadal trzymałam aparat przy uchu. – Nie mogę ci też poradzić – podjął po dłuższej chwili – żebyś zadzwoniła do mojego domu i porozmawiała z tym, kogo tam zastaniesz. Nie mogę ci radzić, byś pomyślała o miejscach umocnionych na tyle, by można w nich było przetrzymywać watahę wilkołaków, co nie jest sprawą prostą. Miejsca, w którym grupa paramilitarna w swych strojach pozostałaby niezauważona albo gdzie można, nie zwracając niczyjej uwagi, przenosić nieprzytomnych. Nie ma w okolicy wielu takich miejsc, Mercy. Nie ma też kmotków obawiających się przedstawicieli sprawujących władzę na tyle, by nie pisnąć, kiedy ludzie z bronią wchodzą tam, gdzie nie powinni.

– Myślisz, że trzymają ich gdzieś w Strefie? – zastanawiałam się. Strefa była pilnie strzeżonym terenem wokół elektrowni atomowej Hanford.

– Przykro mi, *Liebling*. Tym razem nie mogę ci pomóc. Może jeśli pertraktacje pomiędzy Szarymi Panami a Branem Cornickiem przebiegną pomyślnie, wrócimy do tej rozmowy. Do tej pory nie wolno nam udzielać pomocy nikomu powiązanemu z wilkołakami. – Znów krótka pauza. – Zostało mi to wyłuszczone bardzo jasno. Bardzo. – Jego ton był ostrzejszy od noża, a sam nóż wręcz legendarnie ostry.

– Jeśli znasz kogoś, kto prowadzi teraz rozmowy z Branem, czy możesz mu przekazać, co tu się dzieje? Prawdopodobnie ta informacja nie pomoże w negocjacjach niełudzi z Marrokiem, ale może dzięki temu

pozwolesz tej osobie zrozumieć, że nieprzekazanie jej będzie deklaracją, którą Marrok potraktuje niezwykle poważnie. A ja dopilnuję, by Bran dowiedział się, że nieludzie tę informację otrzymali.

– Bardzo klarownie formułujesz swoje sugestie – stwierdził Zee zadowolony. – Przekażę tym, którzy rozmawiają z Branem, to, co mi powiedziałaś. – Zawiesił głos. – Będę musiał być niezwykle kreatywny, żeby uczynić to, nie zdradzając, że rozmawialiśmy przez telefon. – Rozłączył się bez pożegnania.

Przegapiłam zjazd na Queensgate, więc musiałam nadłożyć drogi i jechać aż do Benton City. Nie chciałam wracać międzystanówką, pojechałam mniejszą obwodnicą w nadziei, że będzie na niej mniej patroli i nadrobię stracony czas.

Wjechawszy na odpowiednią drogę, zadzwoniłam do domu Zee. Długo nikt nie odbierał. Po chwili spróbowałam jeszcze raz. Zee nie dałby mi takiej rady na próżno. Może wynajął dom komuś, kto mógł mi pomóc? Może innej magicznej istocie, która, podobnie jak Ariana, była na tyle potężna, by postawić się Szarym Panom? A może nieludzie pozostawili szpiegów, żeby ci trzymali rękę na pulsie spraw, których nie dało się monitorować z zabarykadowanych rezerwatów, kogoś, kto był winien Zee przysługę. Tworzyłam kolejne scenariusze, kiedy ten ktoś odebrał.

– Co? – warknął zniecierpliwiony.

– Z kim rozmawiam? – zapytałam, bo choć rozmówca burknął ostro, brzmiał jak Tad.

Syn Zee, półczłowiek, nie wróciłby do miasta, nie dając mi znać.

– Mercy? – Część burkliwości zniknęła i już miałam pewność.

– Tad? Co robisz w domu? Od dawna jesteś w mieście? Czemu mi nie powiedziałaś?

Kiedy poznałam Tada, był dziewięcioletnim chłopcem i prawą ręką ojca w warsztacie volkswagenów. Potem, kiedy Zee odszedł na emeryturę i sprzedał mi interes, Tad stał się moją prawą ręką i głównym narzędziowym. Porzucił pracę na rzecz uczelni z Ligi Bluszczowej, kiedy te zaczęły przyznawać stypendia nieludziom na dowód swej otwartości i liberalizmu.

Od tamtej pory pisaliśmy do siebie maile raz w tygodniu i raz na

miesiąc dzwoniłam do niego. Tad był dla mnie jak młodszy brat, którego nigdy nie miałam, i byliśmy bliżej niż ja z moimi przyrodnimi siostrami.

Mieliśmy ze sobą więcej wspólnego – oboje nie pasowaliśmy do żadnego ze światów, ludzi i istot nadnaturalnych. On dlatego, że był półczłowiekiem, a ja, bo byłam tylko zmiennokształtnym kojotem pośród wilkołaków i wampirów.

Kiedy Nieludzie postanowili zniknąć, dzwoniłam do Tada na komórkę i do akademika, ale nie odbierał, uznałam więc, że może wrócił do rezerwatu z resztą Nieludzi.

Jak widać, myliłam się.

– Tad? – powtórzyłam, bo nie odpowiedział na żadne z moich pytań. Rozłączył się. Najwyraźniej nie chciał o tym rozmawiać. W porządku. Ja też nie miałam czasu na pogaduszki. Ponownie wybrałam numer.

– Odczep się, Mercy – usłyszałam.

– Ojciec kazał mi do ciebie zadzwonić – powiedziałam szybko. – Źli ludzie dybią na Jesse i Gabriela, ukryłam ich u matki Gabriela w nadziei, że nikt nie będzie ich tam szukał. Ale jeśli, jeśli bandyci przyjdą, nie ma tam nikogo, kto mógłby ich bronić.

Niechęć Tada do wysłuchania mnie była nieomal namacalna, na pewno wolałby się rozłączyć. Coś musiało się w nim zmienić, kiedy był na uczelni. Nie dostrzegłam tego w listach ani nie poznałam, kiedy czasami bywał w domu. Może miało to coś wspólnego z faktem, że pozostał tutaj, zamiast ukryć się w rezerwacie z resztą Nieludzi?

– I myślisz, że ja mogę im pomóc? – zapytał w końcu. Dobre pytanie. Tad był co prawda półneczłowiekiem, ale nie miałam pojęcia, co to oznaczało. Z tego, co Zee wypsnęło się przez te lata, dało się wywnioskować, że Tad nie należy do półludzi pozbawionych całkowicie mocy, ale więcej nie wiedziałam.

– Muszę sprawdzić, co u Kyle'a – kontynuowałam. – Adam i wataha zostali porwani, a jeden wilkołak zabity. Usiłuję... – Właściwie co usiłuję? Uratować ich? Powstrzymać bandytów? – Jadę do Kyle'a, żeby zobaczyć, czy nic mu nie jest, bo mogli mu coś zrobić, kiedy zabierali Warrena. Muszę wiedzieć, że Jesse i Gabriel są bezpieczni, a chwilowo nie mam się do kogo zwrócić. To nie potrwa długo. Zabiorę

ich, jak tylko się upewnię, że z Kyle'em wszystko w porządku. –
Podałam Tadowi adres Sylvii i rozłączyłam się, nie czekając na
odpowieź.

Znałam Tada. Wiedziałam, że nawet w zrzędlwym nastroju nie
potrafiłby siedzieć beczynnje, kiedy ktoś był w niebezpieczeństwie.
Flirtował odrobinę z Jesse podczas ostatniej wizyty w domu, a potem
spędził z Gabrielem dwie godziny pod maską jego samochodu,
pomagając mu naprawić jakąś usterkę elektryki. Poza tym im szybciej
sprawdę, co u Kyle'a, tym szybciej zwolnię Tada z warty. Docisnęłam
gaz, licząc, że policja obstawia Walmarty, centrum i międzystanówki.
Potężny silnik mercedesa mruknął z zadowoleniem i zaczął pochłaniać
kilometry pustyni w drodze do Zachodniego Richland. Prędkościomierz
wskazywał sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, ale czułam,
jakbyśmy jechali najwyżej setką.

– Grzeczna dziewczynka. – Poklepałam deskę rozdzielczą.

Niebo na wschodzie nadal było ciemne, kiedy z już bardziej
przepisową prędkością podjechaliśmy pod dom Kyle'a. Kyle i Warren
mieszkali w bogatej dzielnicy, gdzie każdy dom miał obszerny garaż i
duży podjazd, na którym można było swobodnie zaparkować. Zazwyczaj
na ulicy nie stały żadne samochody, chyba że ktoś wyprawiał przyjęcie.

Minęłam skromny, ciemny amerykański samochód zaparkowany
nieopodal domu Kyle'a i sunąc statecznie dalej, ujrzałam stojącego na
podjeździe obcego czarnego SUV-a. Dom był ciemny, nie paliła się
nawet lampa nad drzwiami, którą Kyle włączał na noc. SUV i ciemny
samochód miały kalifornijskie rejestracje.

Przejechałam dalej, skręciłam i zaparkowałam mercedesa Marsilii
– nieamerykański samochód – pod domem dwa razy większym od
Kyle'owego, gdzie wyglądał bardziej na miejsce niż wozy, które właśnie
minęliśmy.

Wysiadłam i otworzyłam tylne drzwiczki.

– Nie wygląda to najlepiej dla Kyle'a – szepnęłam do Bena. –
Widziałeś te samochody?

Położył uszy i stanął na kanapie, skrobiąc pazurami o skórzaną
tapicerkę. Kiedy indziej zrobiłoby to na mnie wrażenie.

– Przestań. – Stefan przeraził mnie tak, że gdyby nie zasłonił mi

ust, obudziłabym całą okolicę krzykiem. Uspokajał mnie, dopóki nie przestałam się szarpać, co, aż wstyd się przyznać, trochę trwało. Zmęczenie zamgliło mi umysł, potrzebowałam więcej czasu, żeby dotarło do mnie, co się dzieje. – No – powiedział tak cicho, że stojący obok człowiek miałby trudności z usłyszeniem go. – Już lepiej? Wybacz. Nie chciałem nikogo obudzić.

Miałam mu wybaczyć, że się tak podkradł, czy też, że mnie zakneblował? Trudno orzec, zresztą było mi to obojętne. Najważniejsze, że pojawił się przy mnie i nie czułam się już taka osamotniona. Stefan był mądry, niebezpieczny i kompetentny. Liczyłam, że również ja posiadam dwie pierwsze cechy, ale to tej trzeciej potrzebowałam najbardziej.

– Kyle jest chyba w tarapatkach – szepnęłam. Porozumiewanie się szeptem miało sens. Ludzie nie zwracają uwagi na dźwięk silników, ale większość obudziłaby się, słysząc obce głosy. Nie chciałam zaalarmować sąsiadów, a potem tłumaczyć im, co tu robimy. – Obok jego domu stoją osobówka i SUV, a nie powinno ich tam być. I światło nie jest włączone. Kyle zawsze zapala na noc lampę na ganku. Stefan puścił mnie, odsunął się, a ja, trącona przez wyskakującego Bena, musiałam przytrzymać się drzwiczek, żeby nie stracić równowagi.

Wampir miał na sobie ciemne polo i materiałowe spodnie. Zateśniłam za koszulkami ze Scooby-Doo i džinsami, które nosił kiedyś. Dawno już nie widziałam go tak ubranego, od czasu, kiedy opuścił chmarę. Nie był już wychudzony, ale nie odzyskał zdrowego wyglądu sprzed zdrady Marsilii, która zniszczyła jego menażerię. Postępek Marsilii i strata ludzi-karmicieli niemal go zniszczyły.

– Nie było cię jeszcze, miałem więc parę minut na sprawdzenie domu. – Z miejsca przeszedł do rzeczy. – W salonie naprzeciwko kuchni jest dwóch ludzi. Na górze palą się światła, więc może ich być więcej.

Teraz, gdy stał dalej, dostrzegłam, że porusza się z dziwną niezgrabnością, charakterystyczną dla starych wampirów, jakby wiedział, jak się zachowywać, ale przestał to czuć. Jak gdyby wraz z koszulkami Scooby-Doo i Wehikułem Tajemnic odrzucił więź łączącą go z człowieczeństwem. Wehikuł Tajemnic, stary bus Volkswagen, wzorzysty i kolorowy, nadal stał na jego podjeździe, więc jeszcze nie

porzucałam nadziei.

– Ale Kyle’a nie widziałeś?

– Nie. Nie mam twojego nosa, a nie chciałem, żeby mnie zauważyli. I tak są zbyt czujni, jak na mój gust. Wyczułem za to krew, tyle że nie wiem, czyją.

Ja bym wiedziała. Czekał, aż się zastanowię.

– Pójdziemy od tyłu – zdecydowałam. – Wśliznę się przez tylną werandę, jest tam kłapa, którą Kyle zainstalował dla Warrena w wilczej formie. Pomyszkuję w domu i dam wam znać, kiedy go znajdę.

– Uważam, że posyłanie cię samej do tego domu jest najgłupszą z wielu opcji, które mamy – orzekł Stefan stanowczo. – Moim zdaniem Ben powinien zacząć się przy drzwiach frontowych, ty z tyłu, i czekajcie tam, Mercy, a ja wejść do środka.

Najstarsze i najpotężniejsze wampiry nosiły przydomki, które określały ich najsilniejsze cechy lub umiejętności. Stefan wśród swoich znany był jako Żołnierz. W tego rodzaju sytuacjach brylował. Ulżyło mi, że dowodzi specjalista.

– To tylko ludzie – rzekł Stefan z miną, która nie była mi obca, choć częściej widywałam ją na obliczach wilkołaków: głód. – Zabiję ich, a Ben wykończy tych, którzy się przemkną. Dasz nam znać, gdyby ktoś próbował uciec tyłem, i tych też zabijemy.

Stefan zawsze lubił ludzi. Nie dostrzegłam przedtem, żeby radował się ich zabijaniem. Może ukazała mi się nowa, bardziej wampiryczna strona Stefana?

I tak kończy się oddawanie dowodzenia komuś innemu.

– Nie musimy nikogo zabijać – zauważyłam trzeźwo. – Sam powiedziałeś, że to tylko ludzie. I to dwaj.

– Dwóch widziałem – sprostował.

– Nic o nich nie wiemy. Nie wiemy, czy ci dwaj w salonie Kyle’a należą do grupy, która porwała stado.

Stefan uniósł brew. Miał rację, kim jeszcze mogliby być?

– Nie wiemy, kto za tym stoi i jaki ma cel – nie ustępowałam. – Nie wiemy nawet, czy Kyle jest w środku. Wiemy natomiast jedno. Nie możesz tam wejść i wszystkich pozabijać.

Stefan zmarszczył czoło.

– Zapomniałem, że jesteś zbyt młoda, by pamiętać lekcje, które otrzymaliśmy w Wietnamie. Idź po zwycięstwo, Mercy, albo nie idź wcale. Ilu masz tu ludzi, którzy mogliby pomóc Adamowi?

– Jesteśmy my – westchnęłam żałośnie. – I może Ariana – dodałam. – Choć była nieźle wystraszona, kiedy od niej wychodziliśmy. – Wiedziałam, o co mu chodzi. Dobrze wiedziałam.

Według tej logiki powinniśmy zostawić Kyle'a na pastwę losu. Tyle że nie byłam jedynie żoną Adama, ale także jego towarzyszką, a to stawiało mnie na drugim miejscu w hierarchii. To oznaczało, że muszę chronić stado. Oznaczało też, że w pierwszej kolejności muszę bronić tych najsłabszych. Petera już straciliśmy.

Kyle potrzebował pomocy, a nie mogliśmy mu jej udzielić bez zabijania.

– Ci ludzie porwali całą watahę wilkołaków, Mercy – przypomniał Stefan chłodno. – Nie możemy pozwolić sobie na podejmowanie ryzyka, inaczej zaprzepaścimy wszystko, usiłując dowiedzieć się, co zrobili Kyle'owi. – Wypowiadając imię Kyle'a, stracił na moment ten swój wampiryczny dystans. Lubił Kyle'a, który łatwo się zapalał i zawsze był gotów na gorące dyskusje na temat taktyk obieranych przez bandę Scoobiego w poszczególnych odcinkach, a dyskutował z takim zapałem, jakby bronił własnego doktoratu. – Skoro zaczęli się w domu Kyle'a, to jak myślisz, kim są? Mają wszystkich, na których Adamowi zależy, oprócz ciebie, Jesse i Bena. Poza tym jeśli mnie zobaczą, jeśli domyślą się, czym jestem, i nie zginą, zanim zdołają skontaktować się z przełożonymi, umrze nie tylko Kyle.

Ludzie nie wiedzieli o wampirach. Oczywiście znali historie o nich dzięki Bramowi Stokerowi i jemu podobnym twórcom, którzy garściami czerpali z legend. Ale uważali nadal, że to tylko historyjki. Jednak ujawnienie się wilkołaków i magicznych istot było dla wampirów problemem, ponieważ teraz ludzie gotowi byli uwierzyć, że te legendy mogą być prawdą. Gdyby to właśnie Stefan przywrócił je do życia, Marsilia by go zabiła. Rozumiałam, dlaczego uważa, że zabicie wrogów jest najlepszym wyjściem.

Jakaś częśćka mnie nawet się z nim zgadzała. Ci ludzie zabili Petera, porwali Adama i narazili mój świat na niebezpieczeństwo.

– Kyle jest człowiekiem, a oni nie zawahali się zabić nawet Petera.
– Stefan powiedział dokładnie to, czego nie chciałam usłyszeć. – Kyle jest bardziej bezbronny niż Peter. Ważny jest tylko dla ciebie i Warrena. Adam nie zabiłby dla niego nikogo, gdyby miał wystawić na szwank opinię wilkołaków. Żywy zakładnik wymaga więcej zachodu i zasobów niż trup, Mercy. Jeśli nie jesteś gotowa zabijać, lepiej go zostaw.

– Może Kyle nie żyje. – Ledwo przeszło mi to przez gardło. – I tak musimy to sprawdzić. Ale nie wierzę w to. Myślę, że poczułabym jego śmierć poprzez więź stadną, bo jest towarzyszem Warrena, tak jak Peter był towarzyszem Honey. – Ta myśl mnie uspokoiła. Czułam rozpacz Honey, kiedy Peter zginął, nadal ją czułam. – Pójdziemy po Kyle'a i pamiętaj, Stefan, nie możemy zostawić za sobą sterty trupów. A twój udział trzeba ukryć. W razie czego będę twierdzić, że jesteś dziwnym wilkołakiem. O Kyle'u i Warrenie ludzie wiedzą. Warren się tym nie chwalił, ale też specjalnie tego nie ukrywał. Nasi przeciwnicy chcą, żeby Adam zabił pewną osobistość i żeby zrobił to publicznie. Dzięki temu wina spadnie na wilkołaki. Odnoszę wrażenie, że ta druga część jest równie ważna jak pierwsza. Jeśli będziemy za sobą zostawiać trupy, ułatwimy wrogom osiągnięcie przynajmniej połowy celu. A ja nie zamierzam im w niczym pomagać.

Stefan zrobił marsową minę. W każdej chwili mógł wejść do domu i pozabijać wszystkich, nie bacząc na moje zdanie. Ale zwano go Żołnierzem, a nie Zabójcą czy Dowódcą. (Tak, to naprawdę wampiry. Słyszałam, że mam szczęście, że nie mieszkają nigdzie w pobliżu). Stefan poddał się mojemu przywództwu, bo i problem był mój.

No więc miałam władzę, ale nie byłam na tyle głupia, by wierzyć, iż to daje mi jakieś kompetencje. Potrzebowałam Stefana. W porządku, nie pozwoliłam wybić wroga, ale przecież musiały być inne opcje.

– Może wejdziemy po cichu i sprawdzimy, gdzie jest Kyle? – zaproponowałam.

– Może uda mi się wywęszyć, czy jest w domu? Jeśli nie, odejdziemy, a jeśli jest, może uda nam się wydostać go bez zabijania.

Stefan pokręcił głową.

– Mercy. Dowiedli, że są w stanie porwać watahę wilkołaków. Trzeba ich albo zabić, albo zostawić i odejść.

Spojrzałam na Bena. Nie nadawał się do walki. Nie chodziło tylko o to, że rany mogą go spowolnić i będzie podatny na ataki. Ben już dzisiaj zabił, był ranny i wstrząśnięty śmiercią Petera. Z łatwością mógł stracić panowanie nad wilkiem i nigdy go już nie odzyskać.

– Możliwe, że to sprawka rządu – przekonywałam Stefana. – Nie wolno nam w takim wypadku stracić przewagi moralnej. Dopóki nikogo nie zabijemy, możemy liczyć na przychylność opinii publicznej, a pod jej naciskiem rząd może się wycofać. Dlatego nie będziemy zabijać każdego, kto się nam nawinie pod rękę. Jak chcesz, możesz odejść – stwierdziłam ponuro, zdejmując jednocześnie koszulkę i stanik.

Wiedziałam, że Stefan nie zostawi tak Kyle'a. Byłam na niego zła, bo liczyłam, że to on zaplanuje nasze posunięcia, a nie mogłam przystać na jego plan, bo byłam przekonana do swoich racji. Zrzuciłam buty. Za dużo gadaliśmy. Trzeba było działać. – Nie zostawię Kyle'a na pastwę losu, dopóki mogę coś dla niego zrobić. Idę po niego, a jak go znajdę, zrobię, co będzie konieczne, żeby mu pomóc. Postaram się w miarę możliwości ograniczyć zabijanie.

– Jeśli nam się nie uda, to Adam przegra – zauważył Stefan.

– Kyle należy do stada – wyjaśniłam. – Jest bezbronny. Adam jest Alfą, jest silny. Dlatego najpierw musimy zadbać o Kyle'a, tak działa stado, Stefanie. Silni chronią słabych.

Twarz Stefana ściągnęła się w maskę. Nie udało mu się obronić swojej menażerii, nie wiedział, że zagrozić jej może Marsilia, kobieta, wobec której był lojalny.

Nie chciałam go zranić.

Gwałtownie zdjęłam spodnie i majtki, stanęłam na chodniku naga. Gdyby ktoś patrzył przez okno lub przejeżdżał obok, miałby widok. Miałam to w nosie. Jako metamorf pozbyłam się wstydu wcześniej, niż zrozumiałam, co to słowo oznacza.

To jednak nie znaczyło, że swobodnie paraduję sobie nago na oczach wszystkich znajomych. Kiedyś, dawno, Stefan czuł do mnie coś w rodzaju mięty. Nie zakochał się, ale dryfował w tym kierunku. Zazwyczaj unikałam rozbierania się przy nim, tak jak ktoś, kto zamierza zatrzymać dla siebie mięso, stara się nie machać nim przed nosem lwa.

– Mamy szansę uratować Kyle'a. Szansę, jakiej nie miałeś, kiedy

Marsilia zabrała twoich ludzi – powiedziałam. – Pomożesz mi?

Nie czekając na odpowiedź, przemieniłam się w kojota i po chwili otrząsałam się na chodniku. Stefan zaśmiał się dziwacznie, niewesoło, ale tym razem przypominał bardziej siebie niż wampira Stefana, więc było dobrze. Wrzucił moje ubrania do samochodu ruchem płynnym, prawie całkiem ludzkim. Zatrzymał się schylony, z głową w samochodzie. Pod przednim siedzeniem trzymałam broń. Omal nie zmieniłam się na powrót, żeby mu o tym powiedzieć, ale uznałam, że nie ma takiej potrzeby. Jako jedyna z naszej trójki byłam groźniejsza z bronią niż bez niej.

– Krew, ludzie, pot i... – Stefan wyprostował się i zatrzasnął drzwiczki. – Pozwól, Mercy, że porozmawiam z Marsilią, zanim oddam jej wóz.

Skinęłam i potruchtałam ku domowi Kyle'a. Ben, choć na trzech nogach, bez trudu dotrzymywał mi kroku. Stefan zamykał nasz pochód.

Sąsiad Kyle'a zmarł jakiś czas temu i dom nadal stał pusty. Na froncie wisiała tabliczka informująca, że jest na sprzedaż. Brama z tyłu okazała się otwarta, przeszłam więc tamtędy.

Na granicy posesji znajdował się dwuipółmetrowy kamienny mur, ale ktoś zostawił przystawioną doń drabinę. Ciekawe, czy to stary pan Jak-Mu-Tam przekradał się, żeby popływać w basenie Kyle'a, czy też – co bardziej niebezpieczne – ktoś ich szpiegował. Tak czy owak, przejście przez ogrodzenie nie nastąpiło nam problemów. Ani Stefan, ani trzynogi Ben nie potrzebowali drabiny. Ja, jako kojot, stoję na straconej pozycji wobec wilkołaków we wszystkim, prócz możliwości wtapiania się w otoczenie.

Podobnie jak w przypadku pustego domu, o działkę Kyle'a ktoś dbał, więc przemknęliśmy przez trawnik, nie brnąc w opadłych z drzew liściach. Trzymaliśmy się cieni, choć Stefana prawdopodobnie nikt nie dostrzegłby, nawet gdyby ten maszerował środkiem trawnika. Używał swego rodzaju wampirzej magii, dzięki której trudno było skupić na nim wzrok.

Rozglądałam się bacznie, ale nie widziałam, żeby ktoś stał na straży. Nie oznaczało to wcale, że nikt nie pilnuje domu, ale przy abrakadabrze Stefana i magii stada, która ukrywała mnie i Bena, trzeba

by prawdziwego pecha, żeby ktoś nas zobaczył.

Zapach uderzył mnie, zanim dotarliśmy do domu. Na trawniku była krew. Opuściwszy cień, odnalazłam ciemną plamę na żdźbłach. Krew Warrena.

Ben niuchał przy mnie. Wreszcie z głuchym warknięciem uniósł pysk w stronę domu. Okna z tyłu były ciemne, podobnie jak te od frontu, ale z tej odległości dało się słyszeć pomruk rozmowy. Ci w domu zachowywali się na tyle cicho, że nie usłyszelibyśmy ich, gdybyśmy byli ludźmi. Zresztą i tak nie potrafiłam rozróżnić słów, tylko szmer męskich głosów.

Zabrali Warrena na podwórko z tyłu domu. Był w ludzkiej formie – zapach wilkołaka zmienia się, w postaci ludzkiej jest słabszy. Fakt, że zabrali go do ogrodu, był dobrą nowiną. Fakt, że znaleźliśmy tylko jego krew, również. To oznaczało, że goście kolacji świętodziękczynnej zdążyli opuścić dom Kyle’a przed napadem. Była to dobra nowina nie tylko ze względu na przyjaciół Kyle’a i Warrena. Po prostu kiedy ktoś zaczyna zabijać niewinnych postronnych, nie ma już dla niego odwrotu. Wtedy żeby przetrwać, musiałyby zabić wszystkich, którzy o nim wiedzą, czyli Adama i całe stado.

Dopóki ofiarami pozostawały tylko wilkołaki, porywacze nie będą przejmowali się za bardzo konsekwencjami. Ludzki system sprawiedliwości przymykał oko w takich przypadkach, czego dowodem była sprawa z istotami magicznymi. Lęk zwyciężał sprawiedliwość.

Na razie wyglądało to na korzystną dla nas sytuację. Dopóki bandyci nie znajdą się w defensywie, Adamowi raczej nic nie groziło.

Stefan miał rację. Porywacze najwyraźniej na kogoś się czaili, a ja, Ben i Jesse byliśmy logicznymi celami ich zasadzki. Zakładałam, że przygotowali się na moje i Bena przyjście, jednak Stefan mógł spowodować wyrwę w ich planach. Nie wiedziałam jednak, czy wyrwa ta będzie wystarczająco duża.

Kiedy tak dumalam, ktoś zaczął mówić. Głosy dochodziły z sypialni Kyle’a i Warrena na piętrze. Zadarłam głowę. Story nie były zasłonięte – nietypowe dla moich przyjaciół, którzy byli świadomi istnienia stworów mogących zaglądać w okna domów po zmroku.

– Nie przyjdą – mówił ktoś. – Nie możemy tu czekać do świtu.

Musimy ich poszukać. Mieliśmy rozkazy, żeby zdobyć informacje.

– Tak jest – odpowiedział służbiście drugi głos. – Jak daleko mogę się posunąć?

Drugi głos, a więc przeciwników była co najmniej czwórka. Z dołu, z salonu, dobiegał szmer rozmowy dwóch pozostałych.

– Wydobądź informacje – rzucił pierwszy. Trzasnęły drzwi od sypialni i rozległy się kroki.

– Słyszałeś, Johnny? – W tonie brzmiała obrzydliwa ochoczość. – Mogę robić, co chcę.

Inny mężczyzna, prawdopodobnie Johnny – co dawało już pięciu wrogów – rzekł łagodnie:

– Tylko dopóki nie dostaniesz informacji, Sal. Słyszałeś? Lepiej powiedz, co chcemy wiedzieć, to go powstrzymam. Sal został schwytany przez Afgańczyków i nie wrócił stamtąd całkiem zdrowy. Lubi się znęcać. Powiedz, gdzie mogą się ukrywać, a wszystko się skończy.

Cisza.

– Gdzie mogli pójść? – Pytanie i klaśnięcie uderzenia. Jęk, który usłyszałam potem, zjeżył mi sierść na karku i cofnął wargi, odsłaniając zęby. Kyle. Bili Kyle'a.

– Milczenie ci nie pomoże, chłopcze – rzekł łagodnie Johnny. – Wcale nie chcę tego robić. Szef nie zamierza trzymać twojego kochasia dłużej, niż to konieczne. Trzymanie stada wilkołaków to robota dla wielu ludzi. Niektórzy pewnie skończą martwi. Mając córkę i żonę Hauptmana, moglibyśmy puścić resztę wolno.

Ciekawe, czy Kyle wyczuł kłamstwo.

– Pieprz się – wycharczał.

Możliwe, że wyczuł. Jako adwokat rozwodowy musiał mieć doświadczenie w wyławianiu kłamstw.

Znów go uderzyli. Stojący obok mnie Ben aż drżał.

– Mercy, w tym pokoju jest ich tylko dwóch – powiedział Stefan wygłodniałym tonem.

Przemieniłam się, żebyśmy mogli rozmawiać. Ben trącił mnie mocno w kolano.

– Wiem, wiem – uspokoiłam go. – Damy radę ich zdjąć bez alarmowania pozostałych? – Zatrzęsłam się. Tri-Cities to nie Montana,

ale w listopadzie na zewnątrz, bez ubrania – było zimno. A może drżałam z kojociej chęci mordy?

Pierwszy mężczyzna powiedział coś obrzydliwego i Kyle jęknął. Tak. To było drzenie z chęci mordy.

– Tak – zawyrokował Stefan. – A jeśli nie, mogę ich wszystkich zabić.

Tym razem nie brzmiało to najgorzej. Przysłuchiwanie się, jak krzywdzą Kyle'a, zrobiło swoje. Wiedziałam, że głupotą byłoby zostawianie za sobą trupów, ale ból Kyle'a zagłuszał rozsądek.

– Podrzucić mnie – powiedziałam i zmieniłam się znowu w kojota.

Zadarłam łeb na Stefana, a kiedy na mnie spojrzał, wskazałam pyskiem balkon od sypialni. Zmarszczył brwi z powątpiewaniem. Uniosłam przednie łapy i podskoczyłam na tylnych. I znów zadarłam pysk ku balkonowi.

Zrobił zdziwioną minę, ale podniósł mnie i podrzucił. Przesadziłam barierkę, lecz musiałam się mocno wykręcić, żeby wylądować w donicy, a nie na meblach tarasowych, które mogłyby zaskrzypieć pod moim ciężarem.

Ben wskoczył na poręcz, a za nim Stefan. Wampir zeskokczył na balkon bezszelestnie. Ben spojrzał na mnie, płaszcząc uszy, więc zesłam z donicy. Ciężki wilkołak użył jej jak schodka, żeby nie narobić hałasu, lądując bezpośrednio na posadzce. Trudno byłoby zrobić to na twardych płytkach, kiedy ma się wilkołacze pazury.

Rozdział 4

Masywne brokatowe zasłony zostawili po sobie ludzie, którzy zbudowali dom. Kyle'owi podobał się materiał, ale wiecznie narzekał, że story nie sięgają podłogi, i planował je wymienić. Przypadłam do ziemi i spojrzałam przez kilkunastocentymetrową przerwę pod nimi. Drzwi balkonowe stanowiły przesuwne szklane tafle, które Kyle zamierzał w przyszłym roku zastąpić skrzydłami uchylnymi.

Sypialnia została urządzona w minimalistycznym, bardzo wyszukany stylu. Czerwona plama na dywanie stanowiła kontrastowy element, jakim polecają ożywić pomieszczenie telewizyjni wnętrzarze.

Mebli było tak mało, że napastnicy, urządzając tu salę przesłuchań, musieli przynieść krzesło z jadalni. Przywiązali do niego nagiego Kyle'a. Co prawda nogi miał wolne, ale nieobute. Jeśli nie jest się wilkołakiem albo Bruceem Lee, nie zdziała się wiele bosymi stopami, w pozycji siedzącej i ze skrępowanymi rękami.

Jego wygląd świadczył o tym, że oberwał teraz nie po raz pierwszy. Stłumiłam warknięcie, ale nie zdołałam powstrzymać się od zmarszczenia pyska. Twarz Kyle'a była posiniaczona, rzymski nos złamany, brodę i tors pokrywała zaschnięta krew. Z rozciętego łuku brwiowego sączyła się posoka, a oko było spuchnięte i posiniałe. Ślady na policzku i brzuchu nie zdążyły jeszcze ściemnieć.

Dwaj odziani na czarno mężczyźni mieli na sobie kamizelki taktyczne, takie jak ta, którą nosił porywacz Adama. Wyższy, łysy, ogorzały mógł mieć na oko dwadzieścia pięć, trzydzieści lat. Drugi krzepki, bledszy, miał rudawe włosy ostrzyżone na krótkiego jeża.

Łysy stał w swobodnej pozie, która jeszcze bardziej niż ton zadawała kłam jego zatroskaniu.

– Nie chciałbym spuścić go ze smyczy i pozwolić robić, co zechce, panie Brooks. Ani to dobre dla niego, ani dla pana. Mógłby wyrządzić panu poważną krzywdę. Coś, czego nie dałoby się naprawić. Powstrzymam go, jeśli powie mi pan, gdzie mogła pójść. Będzie miał pan nas z głowy i już nigdy nas nie zobaczy.

Kyle splunął krwią.

– Chyba jesteś nieczłowiekiem. W życiu nie słyszałem tylu kłamstw pod płaszczykiem prawdy. Twoja matka miała skrzydła i szpiczaste uszy? – zapytał głosem opanowanym, jak na sali sądowej.

Czy Kyle nigdy nie słyszał, że nie wolno drażnić porywaczy? Szczególnie kiedy właśnie się od nich obrywa lanie?

Tyle przynajmniej, że napastnicy całkiem skupili na nim uwagę.

Wykorzystując okazję, przemieniłam się w człowieka i sięgnęłam do uchwytu drzwi, które na nasze szczęście okazały się niezamknięte. Licząc, że ciężkie story powstrzymają napływ chłodu, przesunęłam skrzydło. Dobrze – i dla nas, i dla Kyle'a, że nie zdążył jeszcze wymienić ani drzwi, ani zasłon.

Stefan natychmiast kucnął i zajrzał przez szparę pod zasłonami, a ja znów przybrałam kojocią formę. Może i nie robię wielkiego wrażenia jako czworonóg, ale i tak jestem wtedy groźniejsza niż w ludzkim kształcie. Przywarłam do podłogi obok Stefana, żeby jeszcze raz zajrzeć do pokoju.

Łysy porzucił maskę łagodności, ale nie zripostował drwiny Kyle'a od razu.

– Ta niewyparzona gęba może panu zaszkodzić, panie Brooks. Lepiej niech nam pan da to, czego chcemy, bo może już nie mieć pan możliwości, żeby jej użyć.

– Jesteś trupem – oświadczył Kyle. – Warren nie przepada za ludźmi, którzy mnie krzywdzą.

Teraz już musieliśmy wejść do środka, a jedyną przeszkodę stanowiła zasłona. Przy odrobinie ostrożności i zachowaniu ciszy mieliśmy szansę dostać się do pokoju, nie zwracając uwagi napastników na dole.

– Twój Warren jest naszym zakładnikiem – przypomniał łysy, znów wchodząc w rolę przyjemniaczka. – Nie może nic zrobić.

– Tak sobie wmawiaj – uśmiechnął się drwiąco Kyle.

Młodszy mężczyzna podskoczył, markując cios. Kyle odchylił głowę, a napastnik kopnął go w ramię z półobrotu, wywracając razem z krzesłem. Gdyby trafił w głowę, Kyle byłby martwy.

Leżąc na podłodze, Kyle spojrział prosto na mnie. Zamrugał i pokręcił głową.

– Wynoście się stąd – syknął.

– Przykro mi, panie Brooks, ale to niemożliwe – stwierdził łysy z udawanym żalem, nieświadomy, że zakładnik nie zwracał się do niego. Młodszy oparł stopę na krześle i pobujał nim.

Stefan wyprostował się, robiąc miejsce Benowi, który schylił się, zajął do pokoju i na widok Kyle'a zeszywniał.

Ben nie był największym wilkołakiem w stadzie, choć i nie ułomkiem. Należał jednak do najbardziej niebezpiecznych. Był szybki, a co ważniejsze, nie dręczyły go wątpliwości co do zabijania, nawet kiedy był człowiekiem, a przynajmniej na takiego wyglądał. Jako dziecko był niejednokrotnie molestowany. Ludzie spoza watahy i rodziny Adama w ogóle się dla niego nie liczyli. Co prawda pracowaliśmy z Adamem nad zmianą jego postrzegania, ale w tym właśnie momencie odkryłam, że Ben uznawał Kyle'a za członka stada.

Sądząc, że lepiej wziąć cel, niż wypalić z na wpół napiętym kurkiem, trąciłam Bena, a kiedy na mnie popatrzył, wyciągnęłam nos spod zasłony. Potem wskazałam pyskiem karnisz i znów na niego. Zmiennokształtni są świetnymi kalamburzystami.

Ben podniósł się, a potem wspiął na zdrową tylną łapę, wspierając się przednimi o ścianę obok drzwi balkonowych. Odsunęłam się i jednocześnie zdałam sobie sprawę, że stoimy na balkonie z Benem sami. Stefan gdzieś zniknął.

Skinęłam ostro, a wtedy Ben szarpnął zasłonę, zrzucając ją razem z karniszem. Spięłam się do skoku, lecz zamarłam w pół ruchu, bo nie było kogo atakować.

Stefan właśnie opuszczał ostrożnie łysego na podłogę. Młodszy mężczyzna, ten, który bił, leżał martwy na Kyle'u, a jego oczy zachodziły mgłą.

Stefan pokonał dwóch ludzi, nie czyniąc najmniejszego dźwięku. Skuteczny, pomyślała moja kojocia część, a reszta była bardzo, bardzo zadowolona, że wampir jest po mojej stronie.

Mimo wcześniejszych zapatrywań i świadomości, że się to na nas zemści, nie mogłam zaprzeczyć, że cieszyłam się ze śmierci dręczyciela Kyle'a.

Zmieniwszy się w człowieka, ściągnęłam z Kyle'a trupa, podczas

gdy Ben zajął się więzami, którymi Kyle był przytroczony do krzesła. Stefan dotknął nosa wilkołaka i odsunął jego pysk. Przez chwilę przyglądał się więzom. Żółty nylonowy sznur oplatał przeguby Kyle'a i zapętlął się kilkukrotnie wokół ramy masywnego krzesła.

– Policja nie uwierzy, że sam się z tego uwolniłeś – powiedział.

Był to pierwszy znak, że Stefan wziął sobie moje zdanie do serca. Dzięki wezwaniu policji Kyle, bardzo ludzki Kyle, mógł wyjść z tej kołomyi czysty.

– Przygotuj się – powiedział Stefan, kładąc jedną rękę na oparciu krzesła, drugą na siedzeniu. Nacisnął, rozpoławiając mebel. Lina opadła jak zaczarowana.

Wszyscy prócz Kyle'a zamarliśmy, nasłuchując, czy przypadkiem ktoś na dole nas nie usłyszał.

– Dres – szepnął do mnie Kyle, z wyraźną trudnością staczając się z krzesła. – W górnej szufladzie większej komody. Też sobie weź. – Spojrzał na drewniane szczątki. – Sypialnia jest niby dźwiękoszczelna. Na Warrena to nie działało, ale może los uśmiechnie się do nas i okaże się, że mamy do czynienia z gośćmi o mniej wyostrzonym słuchu.

W pierwszej szufladzie znajdowała się bielizna, dopadłam więc drugiej. Dresy leżały poskładane pod linijkę, góry sparowane z dołami. Chwyciłam dwa.

Nikt nie wbiegał po schodach, więc albo nie usłyszeli odgłosu łamanego krzesła, albo uznali, że to dźwięk towarzyszący przesłuchaniu.

Stefan pomógł Kyle'owi podnieść się i przytrzymał chwiejącego się przyjaciela. Nie puszczał, dopóki Kyle z mozołem nie wciągnął na siebie spodni i nie stanął pewniej. Potem podniósł linę i zaczął krępować nią łysego.

– Jak często przychodzą tu ci z dołu? – zapytał Kyle'a.

– Byli tu tylko raz, parę minut temu. Mogą przyjść lada chwila, albo równie dobrze w przyszłym tygodniu.

Podaliśmy Kyle'owi bluzę. Pokręcił głową.

– To nie ta od spodni – stwierdził.

– Modniś się znalazł. – Przewróciłam oczyma i podałam mu drugą. Miała z przodu fioletowy, brokatowy napis: „Jestem ładniejszy niż twoja dziewczyna”. Poznałam ten dres, dałam go Kyle'owi na urodziny. –

Mam dla ciebie złe wieści, Kyle. Minie trochę, zanim będziesz ładniejszy od kogokolwiek.

Spojrzał na mnie z krzywym uśmiechem.

– Wyglądasz gorzej ode mnie. Te draby też się do ciebie dobrały?

Staraliśmy się mówić szeptem.

– Kolizja. – Założyłam spodnie. Były ciasnawe, ale Warrenowe nie dość, że byłyby jeszcze ciaśniejsze, to potykałabym się o za długie nogawki.

– Mają Warrena – powiedział Kyle i w jego oczach przemknął strach, który ja czułam przez cały czas.

– Wiem. – Bluza od dresu miała morski kolor. – Resztę stada też.

– Domyśliłem się. – Kyle kiwnął głową na łysego, wskazując, skąd pochodzą jego informacje. – Stoimy po stronie aniołów? – zapytał i skrzywił się, naciągając bluzę.

Stefan spojrział na nas znad leżącego łysola.

– Pierwszego zabiłem, bo nie zostawiam przy życiu tych, którzy krzywdzą moich przyjaciół. Zrobiłem to tak, żeby uznano, że zrobił to człowiek. Ponieważ Mercy zależało, by ograniczyć liczbę trupów, drugi jest tylko nieprzytomny. Dopilnowałem, żeby mnie nie zobaczył. Jeśli chcecie wezwać policję, proszę bardzo. Nie powiążą z tym ani wampirów, ani wilkołaków.

– A więc nasze aureole są czyste i świetliste – zwróciłam się do Kyle'a, a potem popatrzyłam na Stefana. – Z tą policją to dobry pomysł? Nie popchniemy tym porywaczy do pozbycia się zakładników?

– Nie – odpowiedział mi Stefan. – Jeśli to akcja rządowa, udział lokalnej policji zmusi ich do ujawnienia się, a podobnie jak wilkołaki nie mogą pozwolić sobie na powiązanie z morderstwami. Jeśli to zaś inicjatywa zbuntowanych agentów, którzy działają na własną rękę, a na to wygląda, zgłoszenie zaalarmuje zamieszana agencję i przysporzy nam sojuszników. Zrobimy to tak, Mercy. Jeśli zdołamy, zastawimy pułapki tak, żeby zapędzili się w nie własnymi działaniami, a kiedy pozostanie im tylko jedno wyjście, będą musieli zrobić to, co im każemy.

Nabrał tchu. Nie musiał tego robić, chyba że chciał mówić, ale zwykle czynił to przez wzgląd na innych oddychaczy, którzy czuli się nieswojo w towarzystwie osoby nieoddychającej.

– Miałaś rację, Mercy. Wcześniej myślałem jak wampir. Ci ludzie chcą nastawić społeczeństwo przeciwko wilkołakom. Dlatego przekabacimy społeczeństwo na naszą stronę. Człowieczeństwo Kyle’a nam w tym pomoże.

– I to jakie człowieczeństwo. – Kyle uśmiechnął się z bólem. – Mam czarny pas. Zdobyłem go dziesięć lat temu i od tamtej pory prawie nie trenowałem. Ale to pomoże wyjaśnić, jak przy pomocy Mercy i Bena zdołałem pokonać dwóch profesjonalistów. – Zerknął na nieżywego bandziora i odwrócił się gwałtownie do wampira. – Dziękuję, Stefan. To żadna strata dla ludzkości.

– Nie będziesz miał przez to kłopotów? – zapytałam. Kyle był adwokatem, i choć specjalistą od prawa rodzinnego, to znał się na prawie jako takim.

– Nie – zaprzeczył. – Podpada pod samoobronę w skrajnych okolicznościach. Wiecie, kto za tym stoi?

– Mamy roboczą teorię, że to działający na własną rękę agent SNIT – odparłam. Ludzie z FBI mieli za dużo doświadczenia, żeby dać się ponieść strachowi tak, jak zrobił to pan Jones. O Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego nie wiedziałam zbyt wiele. Ale Sekcja do Spraw Stosunków z Nieludźmi i Transludźmi, SNIT, przyciągała wielu antymagicznych fanatyków. Byli to wyszkoleni agenci, ale bez doświadczenia w terenie, za to mieli dostęp do informacji zgromadzonych przez rząd na temat wilkołaków. Jeśli chodzi o wsparcie bojowe, musieli mieć kogoś z zewnątrz. – Plus oddział wyszkolonych najemników. To – wskazałam brodą na leżących – najmussy. Co najmniej trzech kolejnych jest na dole. Nie widziałam innych, ale byłiby idiotami, nie wystawiając czujki na zewnątrz.

– Najemnicy oznaczają pieniądze – zauważył Stefan. – Dużo większe, niż zarabiają agenci SNIT.

Kyle uśmiechnął się przelotnie.

– W porządku, a więc podążajmy za pieniędzmi. Jesteś pewien, że policja pomoże?

– Czekać! – Rozległo się kliknięcie. Wszyscy zamarli. Z kratki w podłodze wionęło ciepłe powietrze. Kliknięcie oznaczało, że ktoś włączył ogrzewanie. Stefan podszedł do drzwi, uchylił je odrobinę i

wyrzwał na zewnątrz. Po chwili bezszelestnie je zamknął i pokręcił głową. Mimo to zniżył głos.

– Porywaczom wystarczy tak naprawdę jedna osoba, za pomocą której będą mogli szantażować Adama. Resztę trzymają jako zabezpieczenie. Skoro zaś Adam i stado są zakładnikami, potrzebują jak najwięcej ludzi na miejscu. – Zmarszczył brwi. – To nie oznacza, że są niegroźni. Idioci to najtrudniejsi przeciwnicy, bo trudno przewidzieć ich ruchy, a ktoś, kto porywa stado i nie pozbywa się tych na wolności, jest idiotą pierwszej kategorii.

– No dobrze – podsumował Kyle. – Wobec tego sprawdźmy, czy uda nam się uprzykrzyć im życie. – Podeszedł do nocnego stolika i wziął do ręki komórkę. Powstrzymałam go i spojrzałam na Stefana.

– A co, jeśli telefony są na podsłuchu?

– To będą wiedzieli, co się święci. A wtedy albo uciekną, albo zaatakują nas tutaj.



Wiele mogło pójść źle. Zajęliśmy pozycje umożliwiające dogodną obronę, w razie gdyby ludzie z dołu przyszli sprawdzić, co dzieje się w sypialni.

Stefan zostawił nas przed wschodem. Ben i ja czekaliśmy z Kyle'em mimo jego licznych protestów i zapewnień, że da sobie radę sam. Że lepiej, żebyśmy trzymali się od tego z daleka, że jeśli znikniemy, porywacze się odczepią... Rzucił argumentami, wyciszywszy wcześniej komórkę, z której dzwonił.

Nie zamierzałam zostawiać go samego w domu z bandą oprychów. Wreszcie odebrałam mu telefon, przedstawiłam się dyspozytorce i wyjaśniłam, że według mnie ci sami ludzie napadli na mój dom... Tak, jestem żoną Alfy tutejszej watahy. Jednemu z członków stada udało się uciec i odnaleźć mnie, i razem doszliśmy do wniosku, że coś jest nie tak. Weszliśmy przez okno na piętrze w chwili, gdy Kyle'owi udało się wyswobodzić. Opowiedziałam o należącej do partnera Kyle'a krwi na trawniku, o tym, że Warren należy do watahy i prawdopodobnie został porwany przez napastników i jest przetrzymywany razem z resztą stada.

Kyle słuchał uważnie, bo wiele z tego, co mówiłam, słyszał po raz

pierwszy. Nie wyjawiałam policji wszystkiego. Wilkołaki nie chciałyby, żeby pewne rzeczy wyszły na jaw. Pomięłam też udział Stefana. Ale w miarę możliwości trzymałam się prawdy.

Kiedy kończyłam, do domu jechał nie tylko oddział SWAT, ale też spora część funkcjonariuszy z innych departamentów – i, ku mojej uldze, ktoś miał sprawdzić remizę, w której pracowała Mary Jo, oraz domy żonatych członków stada, którzy nie byli u nas na kolacji, ale zostali porwani w tym samym czasie. Policja chciała się upewnić dokładnie, czy nikt inny nie jest przetrzymywany jako zakładnik.

Wręczyłam Kyle'owi telefon, choć kręcił odmownie głową. Przyjął go w końcu, przytrzymał sobie przy uchu ramieniem i jednocześnie otworzył sejf na broń. W środku znajdowały się dwie sztuki broni krótkiej oraz karabin Warrena, powtarzalny spencer z czasów wojny secesyjnej. Warren dał mi z niego postrzelać ze dwa razy.

Kyle wyjął dla siebie .357 Warrena i dał mi swoją 1911, która lepiej leżała mi w ręce. Moja broń została w samochodzie Marsilii. Karabin zamknął w szafce.

Ojciec Warrena walczył nim podczas wojny secesyjnej, a po jego śmierci broń dostał jego syn, Warren, który miał wtedy osiem czy dziewięć lat. Tyle wiedziałam o życiu Warrena sprzed Przeistoczenia, plus to, że uważał się za Teksaszczyka i długo był kowbojem.

Uznałam decyzję Kyle'a za słuszną. Spencer był zbyt cenny, by ryzykować, że policja go zarekwiruje, a jeśli mielibyśmy strzelać, to napastnik i tak będzie w zasięgu broni krótkiej.

– Proszę się gdzieś ukryć i zachować ciszę – radziła dyspozytorka, przez cały czas udzielająca nam wskazówek i informująca na bieżąco o sytuacji.

– Schronimy się w łazience – powiedział Kyle i opisał mniej więcej rozkład domu, co trochę trwało, bo budynek był spory.

Mówił spokojnie, nie spuszczać oka z drzwi sypialni. Łazienka zapewniała nam odrobinę ochrony – miała ściany wyłożone marmurem, a siedząc w niej, nie znajdowaliśmy się na prostej linii wejścia do pokoju.

Kyle nadal trzymał słuchawkę ramieniem. Słyszałam, jak dyspozytorka opisuje na bieżąco ruchy jednostek. Nagle przysłała mi do

głowy przerażająca myśl, że nie wiemy przecież na pewno, czy można ufać policji. A jeśli za tym wszystkim stoi jednak rząd? A jeśli i policja jest w to wmieszana?

Mania prześladowcza – motor instynktu przetrwania i przekleństwo przemęczonych, spiętych i wystraszonych kojotów.

Zastanawiałam się, jakie jest prawdopodobieństwo, że policja jest na usługach naszych przeciwników, i doszłam do wniosku, że nikłe, jednak nie aż tak, jak prawdopodobieństwo, że grupa ludzi napadnie na watahę w kwaterze głównej i porwie całe stado, łącznie z członkami, którzy się nie ujawnili. A ponieważ to drugie było realne, poczułam, że nie jest takim szaleństwem podejrzewać to pierwsze.

– W porządku – oświadczyła dyspozytorka. – Policja jest na miejscu, zajmują pozycje. Trzymajcie się i czekajcie.

Do naszej kryjówki docierały wykrzykiwane rozkazy, a ja miałam coraz większe wątpliwości, czy można zaufać policji.

Wreszcie ktoś zapukał do sypialni.

– Panie Brooks? Funkcjonariusz z komisariatu policji w Kennewick. Proszę odłożyć broń. Podejrzani zostali schwytani, są państwo bezpieczni.

Kyle odłożył broń na podłogę, ale zauważył, że ja tego nie zrobiłam. Kiedy wyciągnął ku mnie rękę, Ben warknął groźnie. Albo nie tylko mnie dotknęła mania prześladowcza, albo Ben odbierał mój nastrój. Ranny, w otoczeniu trupów, przerażony, też nie był w tej chwili chodzącym rozsądkiem.

– Chwileczkę – zawołał Kyle. – Mercy jest przerażona. Wiele przeszła, a jeszcze wiele przed nią. Dajcie mi ją uspokoić.

Zapadło milczenie, po czym odezwał się znajomy głos.

– Mercy, odłóż broń. Jesteśmy po waszej stronie. Znajdziemy Adama, ale musisz odłożyć broń i wpuścić nas do środka.

– Tony? – zapytałam, nie wypuszczając pistoletu z ręki, choć mój żołądek zaczął się rozluźniać. Tony Montenegro pracował w policji w Kennewick i był dobrym gościem.

– To ja, *chica*. Daj nam wykonywać robotę.

Zaufałam mu i położyłam pistolet obok Kyle'owego.

– Możecie wejść – powiedział Kyle. – Najlepiej bez broni, jeśli to

możliwe, ze względu na nich. – A potem mruknął: – I na mnie. Ben, mógłbyś wyglądać nieco mniej przerażająco?

Ben opuścił łeb i ogon i wykuśtykał z łazienki. Nie byłam przekonana, czy przez to wyglądał mniej groźnie, a to było jeszcze zanim zepsuł efekt, warcząc na łysola, który właśnie się ocknął i szarpał w więzach.

Łysy zamarł, a ja poklepałam Bena po głowie.

– Przykro mi, Ben – wymamrotałam. – Nie wolno jeść bandytów, kiedy są związani, a za drzwiami czeka policja.

Nie żartowałam, choć dotarło to do mnie, dopiero kiedy wypowiedziałam te słowa na głos. Ben i Kyle spojrzeli na mnie zaskoczeni.

– Poproszę, żeby wilkołak położył się pod ścianą – zawołał Kyle. – Jest ranny, to sprawka tych, którzy napadli na dom Adama. Nie chcę, żeby ktoś strzelił do niego przez przypadek.

– Wszystko w porządku – uspokajał nas Tony. – Mamy tamtych dwóch z dołu. Nie stawiali oporu, więc nikt prócz Mercy nie trzyma palca na spuście. Ale to dobry pomysł.

Pomyślałam, że na dole powinno być trzech zbirów. Chyba że to jeden z nich wyszedł na górę i dawał rozkazy tym pilnującym Kyle'a. Tymczasem Tony wyjaśniał swoim ludziom, że wilkołak jest jedną z ofiar i nie należy do niego strzelać. Był bardzo ostrożny, ale nie ma się czemu dziwić, miał już do czynienia z wilkołakami.

Dzikie wilki są wielkie i straszne. Nikt, kto widział je w zoo, nie ma wątpliwości, że to groźni drapieżcy. Wilkołaki są jeszcze większe i straszniejsze od wilków. Czasami przy odrobinie magii stadnej i zmianie postawy potrafią udawać wielkiego psa, pod warunkiem że nikt nie usiłuje dopatrzeć się w nich wilkołaka. Ben nie był aktualnie w stanie udawać niegroźnego, tym bardziej że nawet w normalnych okolicznościach nie było to jego mocną stroną. Ranny, miał nerwy napięte jak postronki i gdyby ktoś zaczął zachowywać się nerwowo, Ben mógł natychmiast stracić panowanie nad sobą. Wszystko, co mógł zrobić, to położyć się pod ścianą, parę metrów od drzwi. Zasłoniłam go sobą.

– OK – rzekł Kyle. – Nikt z nas nie jest uzbrojony ani... –

Prawdopodobnie chciał dodać „niebezpieczny”, ale ugryzł się w język. Sam mnie pouczał, że nie należy kłamać policji. Chodzi o to, by mówić tak mało, jak się da, dopóki nie przyjdzie prawnik. – Nikt z nas nie jest uzbrojony.

Drzwi się otworzyły. Policjanci weszli, omijając Bena szerokim łukiem. Mądre posunięcie z ich strony, choć niewykluczone, że Ben trzymał się chwilowo lepiej niż ja sama. Ale niewiele lepiej. Do tego nawet w najlepszym nastroju nie lubił, gdy otaczali go ludzie w mundurach. Nie poruszyliśmy się, podczas gdy funkcjonariusze obejrzeni leżących, nie dotykając ich.

– Tamtego zabiłem – oświadczył Kyle, jakby roztrzęsiony. Nie potrafiłam stwierdzić, czy udaje, czy naprawdę jest zdenerwowany. Nikt nie uwierzyłby prawnikowi przyznającemu się do zabójstwa, chyba że ten był w szoku, ale Kyle przede wszystkim starał się odwrócić uwagę policjantów od Bena.

– Z tego, co widzę, brak śladów ugryzień – oznajmił jeden z funkcjonariuszy, który klęczał przy martwym bandycie. – Nie jestem lekarzem, ale ja sam nie dałbym rady tak przekręcić głowy. Stawiam na przetrącony kark.

Napięcie w sypialni natychmiast zelżało, zastąpione dziwną euforią.

– Nikt nie chce, żeby podczas jego służby jakiś wilkołak zabił kogoś – wyjaśnił Tony na widok mojego zdumienia. – A Adam bywa czasem bardzo pomocny. Do tego nikt nie strzelał, nikt nie zginął z naszych rąk, nikt do nas nie odniósł ran, możemy robić za bohaterów. Operacja poszła szybko i sprawnie. To bardzo dobry dzień, jeśli można tak powiedzieć.



Oczywiście na tym się nie skończyło. Zabrano nas na komendę w Richland – nawet nie zapytałam, dlaczego nie na komisariat w Zachodnim Richland.

Mnie i Kyle’a przesłuchiwali osobno – uprzedzał, że tak będzie. Rozmawiałam z obcymi policjantami, a przynajmniej jeden z nich bał się śmiertelnie Bena.

Zaznaczyłam wcześniej, że Ben musi zostać ze mną. Przestali się sprzeciwiać, kiedy zauważyłam, że beze mnie nikt w razie czego nie uspokoi wilkołaka. Zdjęłam mu opatrunek, żeby zrobili zdjęcia rany, która nadal się nie goiła. Odmówiłam propozycji udzielenia mu pomocy medycznej. Wtedy był już mocno zły – obolały, ranny, obfotografowany i głodny. Ktoś przyniósł apteczkę, więc obandażowałam mu łapę na nowo.

Obecność Bena sprawiła, że policjanci zaczęli ze mną rozmawiać dość nieprzyjaźnie. Nikt nie lubi się bać, a tylko głupiec nie bałby się wilkołaka w podłym humorze. W dodatku przesłuchujący mnie wydawali się nieco ociężały umysłowo – w kółko zadawali mi te same pytania.

W pewnej chwili wyszli na moment, a kiedy wrócili, zaczęli traktować mnie z otwartą wrogością.

Cóż, ja też potrafiłam okazać wrogość. Adama przetrzymywali uzbrojeni szaleńcy, a ja utknęłam na komendzie z dwoma kłótliwymi funkcjonariuszami, których w myślach przezwalałam Tweedle Głupi i Tweedle Głupszy. Może nie tylko Ben był w fatalnym nastroju.

Wydawali się przekonani, że napastnicy nie mogli zaatakować nas niesprovokowani. Dopytywali się, w co zamieszane jest stado, skoro ściągnęło na siebie taką reakcję. Twierdzili, że napad na nasz dom przypomina porachunki karteli narkotykowych. Pytali, czy wiem, w jaki sposób kartele szantażują hodowców z farm drzewnych pod Burbank, zmuszając ich do sadzenia pomiędzy rzędami drzew roślin, z których produkuje się narkotyki.

Przy pięćdziesiątej rundzie tych samych pytań – uparcie odmawiałam wyjawienia miejsca pobytu Jesse i Gabriela – do pokoju wszedł młody mężczyzna w świetnie skrojonym garniturze i przedstawił się jako Loren Hoskins, mój prawnik. Doradził mi zachować milczenie, zamknęłam się więc i pozwoliłam mu pracować.

Niemile trzy i pół godziny później, kiedy wyprowadził nas na zewnątrz, w uszach dzwoniło mi powtarzane przezeń na okrągło ostrzeżenie, że mam zostawić policyjną robotę policjantom. Prawdopodobnie chodziło mu o to, że mam nie szukać Adama, bo policja jest świetnie wyposażona do walki z grupą, która zdołała porwać

całą wilkołaczą watahę. Możliwe, że wysnęło mi się coś, co skłoniło Lorena do napominania mnie, a ponieważ policjanci nie mieli wilkołaczego słuchu, zarejestrował to tylko mój prawnik.

– Dostali odpowiednie przeszkolenie, którego ty nie masz – powiedział bardzo cicho.

To prawda. Jednak nie mieli więzi stadnej ani wilkołaka u boku. Ben kulał, lecz podpierał się ranną nogą, albo więc zaczęła dobrzeć, albo był tak zmęczony, że bolały go już wszystkie łapy.

– Kyle do mnie zadzwonił – powiedział Loren, mój prawnik, otwierając tylne drzwiczki dla Bena i nie okazując śladu niepokoju ani o swoją skórzaną tapicerkę, ani też, że będzie prowadził z wilkołakiem za plecami. – Uznał, że jesteście w punkcie, kiedy przyda wam się pomoc prawna. Wyraźnie sugerował też, że skoro tak surowo go traktują, możliwe, że są jakieś naciski z góry. Zastanawiał się również, czy skoro przesłuchują w ten sposób jego, prawnika, to czy z tobą nie postępują gorzej, i poprosił, żebym przybył ci na ratunek i pchnął kogoś do niego.

Po dżentelmeńsku otworzył mi drzwiczki. Byłam spocona, zakrwawiona, poobijana i miałam na sobie dres Kyle'a. Przechodnie z zaciekawieniem przyglądali się miłemu, dobrze odzianemu młodemu człowiekowi i wariatce z piekła rodem. Możliwe, że wpuszczenie mnie do samochodu wymagało większej odwagi, niż zaproszenie do niego obcego wilkołaka.

– Nie byłaś aresztowana – ciągnął – więc teoretycznie mogliśmy wyjść stamtąd w każdej chwili. Nie podobała mi się jednak aura, którą emanowali. Gdybym naciskał, możliwe, że by cię zatrzymali. Co byłoby śmieszne w tych okolicznościach.

Usiadłam i odkryłam, że względne bezpieczeństwo, jakie zapewniał mi jego samochód, wystarczyło, by natychmiast po zapięciu pasów i zamknięciu drzwiczek opadły mi powieki.

– Kyle też już wyszedł – kontynuował Loren, mój prawnik, wyrrywając mnie z drzemki. Chyba nie zauważył, że się zdrzemnęłam, kiedy opuszczaliśmy parking. Zateśniłam za chwilą, kiedy wsiadał, przekręcał kluczyk i wyjeżdżał z miejsca na parkingu. – Wspólnik wysłał mi wiadomość, że Kyle został zwolniony natychmiast po pojawieniu się jego prawnika. W czasie naszej miłej pogawędki z policją

był u lekarza, który go obejrzał i puścił do domu. Kyle też do mnie napisał. Mam cię zawieźć do niego na śniadanie. Kazał ci przekazać, że wynajął ochronę do pilnowania swojego domu, żeby już nic podobnego się nie wydarzyło.

Musiałam odnaleźć Adama i watahę. Ale wcześniej musiałam się skontaktować z Adamem. Ręce same zacisnęły mi się w pięści, więc przycisnęłam rozprostowane palce do ud. Musiałam sprawdzić, co u Gabriela i Jesse, a potem porozmawiać z Tadem, który pewnie od dawna czekał na wieści ode mnie. Telefon siostry Gabriela został w samochodzie Marsilii razem z bronią.

– Która godzina? – zapytałam.

– Wpół do pierwszej.

Nie spałam od trzydziestu godzin, ślaniałam się ze zmęczenia. Potrzebowałam bezpiecznego miejsca, gdzie mogłabym się zdrzemnąć, bo w tym stanie nie nadawałam się do niczego. Równie dobrze mogłam spać w domu Kyle'a.

– Dobrze, obudź mnie, jak dojedziemy.

Mimo pierwszej kilkusekundowej drzemki okazało się, że nie jestem w stanie spać przy obcym. Zamknęłam jednak oczy, które piekły mnie z niewyspania. Kazałam Lorenowi zatrzymać się przecznicę od domu Kyle'a, gdzie stał samochód Marsilii.

Wypuściwszy mnie i Bena, Loren zerknął na mercedesa. Jasne, posiniaczona, zakrwawiona kobieta i wilkołak nie wzbudzili w nim zainteresowania, ale ja w samochodzie Marsilii? To najwyraźniej było godne ponownego spojrzenia.

Kluczyki zostawiłam w kieszeni dżinsów, które leżały na tylnej kanapie, więc każdy mógł wsiąść i odjechać. W niektórych okolicach – na przykład w pobliżu mojego warsztatu – tak się nie zostawiało samochodu. Ale tutaj, w bogatej dzielnicy Zachodniego Richland, było całkiem bezpiecznie. Poza tym nikomu nie przyszłoby do głowy, że ktoś mógłby zostawić taki samochód niezamknięty i z kluczykami w środku.

Kiedy otworzyłam tylne drzwiczki, Ben wskoczył nieco ociężale na poplamiony koc. Musiał być zmęczony, inaczej pobiegłby do Kyle'a. Wydawał się chudszy niż wczoraj. Nie jadł od kolacji świętodziękczynej, więc teraz potrzebował sporo nadrobić. Uznałam, że

Kyle na pewno ma w domu mięso dla Warrena, i skarciłam się w duchu, że nie pomyślałam o jedzeniu dla Bena. Mogłam poprosić Lorena, mojego prawnika, żeby zatrzymał się przy jakimś barze szybkiej obsługi. Zaczęłam wyrzucać sobie, że nie dbam odpowiednio o Bena.

Przycisnęłam palce do policzków, żeby ból odgonił ode mnie łzy. Na płacz przyjdzie czas, kiedy wszyscy wrócą do domu – wszyscy oprócz Petera. Na razie miałam ważniejsze rzeczy do zrobienia.



Zaparkowałam na nieskazitelnym podjeździe Kyle'a. Kiedy gospodarz otworzył nam drzwi, aż się zatchnął.

– Na świętego kapucyna, skądżeś wytrzasnęła merca AMG?

Kyle przebrał się w czerwono-czarną koszulę, która podkreślała jego ciemne włosy i pasowała do czarnych spodni, wyglądających tak niepozornie, że musiały kosztować fortunę. Każdy z nas miał swoją odskocznnię od problemów – ja piekłam ciastka, a Kyle zakładał drogie ciuchy.

– To nie mój wózek. Marsilia zostawiła mi go na zmianę oleju, nie mogłam się oprzeć. – Kyle wiedział, kim jest Marsilia, więc dodałam: – Ben zakrwawił całą tylną kanapę. Myślisz, że skórę da się oczyścić na tyle, żeby chciała go zatrzymać? Kto twoim zdaniem powinien zapłacić za szkody? Ben, bo wykrwawiał się na tapicerkę, porywacze, bo ranili go i dlatego krwawił, czy ja, bo ukradłam samochód?

– Wsadziłaś rannego wilkołaka na tylne siedzenie samochodu Marsilii?! – wykrzyknął Kyle, ignorując moją próbę żartowania. – Popęlniłem błąd, wysyłając do ciebie Lorena. Lepiej byłoby, żebyś na parę miesięcy zniknęła w czarnej dziurze wymiaru sprawiedliwości, przynajmniej dopóki coś nie pozbawiłoby Królowej Potępionych chęci zamordowania ciebie.

Podchwycił ksywkę, którą nadałam Marsilii. Liczyłam, że nigdy nie użyje jej przy niej. Zauważyłam, że niedawno jeszcze czerwone ślady posiniały, zrównując się kolorem z wcześniejszymi śliwami. Nos miał nastawiony, ale oczy podbite i opuchnięte.

W nocy może i wygrywałam nagrodę na największego lumpa, ale dzięki tym siniakom pierwszy raz od niepamiętnych czasów ktoś

wyglądał na gorzej poobijanego ode mnie.

Utykał, kiedy cofał się, by nas przepuścić.

– Facet miał szczęście, że Stefan go zabił – stwierdziłam przytomnie, wchodząc do domu. Ben także kuśtykał, a i mnie dawało się we znaki kolano, więc była nas trójka kulawców. U Kyle'a pachniało smarem do broni i obcymi. – Inaczej miałby do czynienia z Warrenem.

Kyle wzdrygnął się, zamykając za nami drzwi.

– Wiem. Pewnie dopiero za parę miesięcy będę mógł przestać tłumaczyć się ludziom ze stanu mojej twarzy. Cześć. Nie, zostałem pobity przez armię mięśniaków, którzy nie mieli nawet tyle przyzwoitości, żeby grzeszyć urodą. Nie, to nic takiego. Już w porządku. Na nosie zostanie mi niewielki garbek, który, jak pieprzyk Marilyn, podkreśli perfekcję moich rysów twarzy. – Spojrzał na Bena. – Chodźcie do kuchni. Dla Bena wyciągnąłem resztki indyka z wczoraj. Mam też dwa kilo pieczeni dla Warrena, którą miałem robić jutro, ale upiekę mu jeszcze jednego indyka, żeby miał tę swoją zapiekankę. Jedzenie jest na tacy na stole.

Ben trącił go przyjacielsko w ramię. Choć miał to być gest sympatii, Kyle ze świstem wciągnął powietrze. Albo go zabolalo, albo też przypomnienie, że wilkołak bez trudu może sięgnąć mu do ramienia, nie było takie sympatyczne.

– Kiedy ostatnio myłeś zęby, Ben? – zapytał Kyle. Albo też Ben miał nieświeży oddech.

W odpowiedzi wilkołak wyszczerzył kulturalnie kły i w radosnym skupieniu zaczął pochłaniać porcję indyka. Z głośnym westchnieniem ulgi osunęłam się na stołek barowy.

– Dowiedziałeś się, czy czegoś o nich się dowiedzieli?

Kyle spojrział na mnie przeciągle, a potem zajął się robieniem kanapki z masłem orzechowym i galaretką borówkową.

– To przerażające, ale zrozumiałem twoje pytanie. Najpierw zjedz, a potem się prześpij. Może cofnie ci się ta atrofia leksykalna. Nie, policja dopiero zaczęła śledztwo w sprawie napadu na mój dom. Nasze bandziory mają świetnych prawników. Oczywiście, nie tak dobrych jak Loren czy tym bardziej ja, ale takich z górnej półki, drogich, spoza miasta. Loren mówił, że jego zdaniem większość wyjdzie jutro za

kaucją, bo pieniądze zaczęły płynąć szerokim strumieniem. Trudno ich będzie zatrzymać, skoro zginął jeden z nich, a według mojego zeznania tylko on był winny pobicia.

Gapiałam się na niego znad postawionej przede mną kanapki.

– Żartujesz sobie, prawda?

Pokręcił przecząco głową.

– Nie gap się, Mercy, tylko jedz. Dickens pisał, że „prawo jest do dupy” i często myślę, że miał rację. Można postawić im zarzut wtargnięcia. Tony jest wściekły, ale mówił mi, że nie mogą capnąć ich za działalność terrorystyczną. Jakimś cudem tych dwóch na dole nie miało broni, kiedy ich aresztowano. Pewnie trzeci zdążył z nią uciec, bo policja w czasie naszego przesłuchania przetrząsnęła dom i znalazła tylko nasze pistolety i spencera w sejfie. – Przypomniałam sobie trzeciego mężczyznę, tego, który wydawał rozkazy, i niejasne podejrzenia, że ktoś może stać na czujce. – A jeszcze potem w tajemniczych okolicznościach zaginęły gnaty łysola i tego zabitego – ciągnął Kyle. – Wyparowały z pomieszczenia z dowodami. Natomiast nasze zatrzymali na czas śledztwa do dalszych analiz. Idę dzisiaj na zakupy, Mercy, bo prędzej się skicham, niż będę chodził nieuzbrojony, gdy jacyś ludzie porwali Warrena. – Mówił pewnie, jak zwykle, aż do ostatniego zdania, kiedy to głos mu się załamał.

– On żyje – uspokoiliam go. – Wiedziałbyś, gdyby było inaczej. Zabili tylko Petera.

Kyle poderwał głowę.

– Peter nie żyje?

Skinęłam potakująco. Trzymanie się prosto było zbyt męczące, złożyłam więc głowę na ramionach.

– Peter nie żyje. Ten kretyn go zastrzelił, bo Adam pokazał mu, co znaczy być Alfą. Teraz Peter nie żyje, a Adam... – Potrząsnęłam głową.

Poczułam dłoń na ramieniu, a potem Kyle wtulił twarz w moją szyję.

– Zadzwoń do ojca – powiedział głosem stłumionym przez materiał mojej bluzy. – Oświadczyłem mu, że jeśli nie chce, żeby jego znajomi dowiedzieli się o jego synu geju sypiającym z wilkołakiem, musi natychmiast uruchomić mój fundusz powierniczy. Za cztery

godziny będziemy mieć pieniądze, które pomogą nam rozwiązać problem.

– Zjem tę kanapkę – oświadczyłam. Wiedziałam, ile kosztował Kyle’a ten telefon. Z całej rodziny rozmawiał tylko ze starszą siostrą. – Potem pójdę spać. Mogę tu?

– No nie, nie tu. – Kyle odsunął się, otarł oczy i ukrył emocje za żywiołowością. – Ale w gościnnym pokoju jak najbardziej. Przyda ci się łóżko, szczególnie że jak wstaniesz, i tak mocno poczujesz efekty dzisiejszych wydarzeń. Ja wezmę gorącą kąpiel i przyjdę spać do ciebie. – Uśmiechnął się przepraszająco. – Ochrona twierdzi, że to najbezpieczniejszy pokój. Przeszukali wszystko pod kątem pluskiew, a domu będzie pilnować nasza prywatna armia. Jim Gutstein obiecał, że to wszystko gratis. Adam jest chyba świetnym szefem, a firma wstydzi się, że go nie dopilnowała. Jim mówił, że chcą odnaleźć Adama, i kazał ci przekazać, że wszyscy ludzie zajmują się teraz tylko tą sprawą. Dadzą nam znać, jeśli się czegoś dowiedzą.

– Wynająłeś firmę ochroniarską Hauptmana? – Jim Gutstein był najwyżej postawionym niewilkolaczym pracownikiem w przedsiębiorstwie Adama.

– Zatrudniam tylko najlepszych.

Zacząłam wprowadzać go w szczegóły, których nie znał, aż powstrzymał mój potok słów, stukając mnie w ramię.

– Kończ tę kanapkę i kładź się do porządnego łóżka. Kiedy wstaniesz, pójdziemy kupić broń, a potem przeryjemy Tri-Cities w poszukiwaniu naszych, dobrze?

Kyle był mądrym facetem, więc poszłam za jego radą.

Najpierw poczułam zapach – piżmo i miętę charakterystyczne dla wilkołaka, a potem tę inną woń, która mówiła „mój”. Ulżyło mi. Byłam pewna, że jest ranny, osamotniony, że go nie znajdę, ale głuptas ze mnie. Przecież był, tuż przy mnie.

– Adam – wymruczałam.

Wilkołak poruszył się i położył nos na moim ramieniu. Leżał na mnie. Trudno mi było oddychać pod jego ciężarem. Niejasno zdawałam

sobie sprawę, że to sen, bo Adam był jednocześnie w wilczej i ludzkiej formie, ale sam Adam był bardziej rzeczywisty niż ta myśl, więc ją odegnałam.

Żyjesz, powiedział. Wstrząsnął mną ogrom ulgi, jaki usłyszałam w jego głosie.

– Oczywiście, że żyję.

Ktoś wsadził kij w mrowisko, rzekł, trącając mnie nosem w ucho. *Co zrobiłaś?* Nie chciałam o tym myśleć, bo od razu skojarzyłam, że to tylko sen, a pragnęłam naprawdę leżeć w łóżku, bezpieczna w ramionach Adama, który dotykał mnie w sposób, w jaki pozwalałam tylko jemu.

W tym śnie był bezpieczny, nie było w nim ludzi w kamizelkach, zaopatrzonych w paskudną broń i wspieranych przez kogoś na tyle wpływowego, by wyrzucić nacisk na policję. Choć nie na tyle potężnego, by całkiem nagiąć ją do swej woli, bo wtedy nie przybyłaby nam na ratunek. Nie ulegało jednak wątpliwości, że ten ktoś miał dużo pieniędzy i władzy.

Dowiedz się, kim są, nakazał mi Adam i odsunął się, by spojrzeć mi w oczy.

– Podążać tropem pieniędzy – zgodziłam się i przyciągnęłam go do siebie. Potrzebowałam jego ciepła i bliskości bardziej niż widoku. Ciału wierzyłam bardziej niż oczom, które patrzyły na strzęp wspomnienia. – Kyle tak mówił. Teraz muszę znaleźć sposób, jak to zrobić. Może mogłabym zaprzęgnąć do tego Gutsteina?

Niech Gutstein szuka sponsora. Co z tą policją? Czemu została w to wmieszana?

– Kiedy porywacze zabrali Warrena, wzięli też Kyle'a na zakładnika. Trzymali go w domu.

Adam warknął. Oprócz niego zrobił to jeszcze ktoś inny. Nie widziałam tej osoby, nie czułam, ale nos powiedział mi, że to Warren.

– Jest cały.

Adam zeszywniał, a drugi wilkołak, Warren, warknął ponownie.

– Powiedziałam, że jest cały, nie, że nic mu nie jest – burknęłam. – Nie skłamałam. Oberwał trochę. Stefan zabił tego, kto to zrobił, ale Kyle wziął na siebie winę. Daje radę, Warren. Jest mądry i bystry. Będzie czekał, więc lepiej, żebyś z tego wyszedł.

Warczenie ucichło, a ja znów byłam sam na sam z Adamem w naszym łóżku, w wielkim domu, który służył stadu za kwaterę główną.

– Pomogliśmy z Benem Stefanowi – wymruczałam do Adama. – Trzymali Kyle’a, żeby dowiedzieć się, gdzie szukać mnie i Jesse. Stefan zabił jednego i ogłuszył i związał drugiego. Kyle wezwał policję, która przyjechała i nas ocaliła.

Jesse.

Nie musiał mówić więcej. We śnie wyczułam jego przerażenie, palące pragnienie chronienia dziecka.

– Nic jej nie jest – zapewniłam go. – Ukryłam ją razem z Gabrielem. Pilnuje ich Tad.

Adam zeszywniał jak łowca tuż przed zabiciem ofiary.

Tad?

W moim śnie, gdzie byliśmy tylko my, mogłam powiedzieć mu wszystko.

– Zee obiecał, że z Tadem będzie bezpieczna. – Nie tymi słowy, ale to właśnie stary zrzęda miał na myśli. Prawdy czytane między wierszami wypowiedzi zaprzyjaźnionej istoty magicznej są tak dalekie kłamstwu, jak się da w przypadku nie ludzi.

Adam odprężył się, rozgrzał i wtopił we mnie, niwelując dystans pomiędzy nami. *Wobec tego jest bezpieczna.*

Poczułam jego wargi na ustach. Smakował żarem i miłością. Ale smakował też słabością spowodowaną srebrem. Rozpłakałam się, zanim skończył pocałunek. Zabijali go, czułam to. Jeszcze trochę srebra, a straci możliwość połączenia się ze stadem. Umrze, a dranie, które go porwały, nadal będą czekać na oznaki jego słabości.

Pierś unosiła mu się i opadała, a serce biło przy moim. Czułam, jak blisko zakradła się już doń śmierć – zbyt dużo srebra, za duża dawka narkotyku spowalniała jego odruchy.

Jesse jest bezpieczna. Ty jesteś bezpieczna. Wszystko w porządku, Mercy. Nie sądziłaś chyba, że umrę ze starości?

To był żart, taki wisielczy humor. Wilkołaki nie umierały ze starości, bo się nie starzały. Tyle że nie miał powodu, by w ten sposób żartować. Ani teraz, ani nigdy.

Narósł we mnie gniew, a wraz z nim zalała mnie fala strachu, że

Adam się poddał.

Nie, zaprzeczył. Nie poddałem się. Ale najważniejsze jest stado. Podczas gdy napastnicy zajmują się mną, wataha robi wszystko, żeby się uwolnić. Kiedy umrę, wezmę truciznę ze sobą, a nasze stado będzie silne, będzie się mogło bronić. Kocham cię, Mercy.

Dotarło do mnie to, co powiedział. Wymyślił coś, co mógł zrobić. Widziałam, jak kiedyś czerpał moc z watahy, żeby pozbyć się srebra z organizmu. Najwyraźniej działało to też w drugą stronę. Wyciągał z nich srebro z tej przeklętej mikstury, którą stworzył syn doktora Wallace'a. Kiedy skończy, umrze, ale wataha będzie wolna.

Nie mogłam oddychać, nie mogłam mówić. Adam chciał umrzeć.

Czyż nie jesteś moją córką? – szepnął inny głos, głos Kojota, tak cichy, że omal go nie przeoczyłam. Gdybym nie wychwyciła go w pierwszej sekundzie szoku, kiedy wszystko zamiera, zanim uderzy ból, nie usłyszałabym go.

Kojot nie przegrywa, powiedział Kojot. Bo zmieniam reguły gry, w którą grają moi przeciwnicy. Jakie są reguły twojej gry?

Adam nie słyszał tego drugiego głosu. Wiedziałam to stąd, że nadal pochylał się nade mną, z ustami miękkimi od naszego pocałunku, ze straszliwym pożegnaniem w oczach. Znalazł ruch w grze granej przez wrogów, ruch pozwalający mu zwyciężyć, bo Adam taki właśnie był, był świetnym graczem. Ale cena była zbyt wysoka.

– Wymyśl inny sposób, żeby wygrać. – Mój głos brzmiał ochryple.

Nie ma innego sposobu, rzekł. Kocham cię.

Ja jednak mówiłam do siebie, nie do niego. Przyciągnęłam Adama blisko.

Nie bronił się, bo nie wiedział, że zmieniałam reguły gry. Nie byłam córką Kojota, nie do końca. Ale to nic, bo w moim śnie wystarczyło, że prawie nią jestem.

Adam przycisnął wargi do moich, a ja rozchyliłam usta. Spoglądając mu w oczy, zaczęłam wciągać w siebie truciznę, która go zabijała, połykać srebro, śmiertcionośne dla niego i obojętne dla mnie.

Na początku nie wiedział, co się dzieje, ale kiedy zrozumiał, zaczął się opierać. Jednakże to był mój sen, nie jego, a ja nie byłam zmiennokształtnym kojotem próbującym przytrzymać wilkołaka, a

prawie córką Kojota i posiadałam w ramionach siłę całego świata.

– Mój – powiedziałam, nie przerywając pocałunku. – Moje.

Chodziło mi o to, że jest mój, ale też, że srebro wyciągane z watahy jest moim brzemieniem, nie jego. Użyłam też tego słowa, by zawezwać srebro z jego organizmu, żeby przeniknęło do mojego, srebro, ketaminę i całą resztę krzywd, które zostały mu wyrządzone.

Ale Adam był Alfą, przewyższał mnie siłą nawet w moim śnie.

Ryknął, wyrwał się z moich objęć i zeskoczył z łóżka, które w moim śnie nadal było łóżkiem w naszym domu, nie w gościnnym pokoju Kyle'a. Kiedy Adam przemówił, w jego głosie nie było gniewu. *Nie wiesz, co robisz, Mercy.* Brzmiał w nim strach.

Ruszyłam za nim, ale musiałam zatrzymać się na skraju łóżka, bo zrobiło mi się niedobrze. Albo srebro mi zaszkodziło, albo też ketamina. Cholera. A może to przez dimetylosulfotlenek? Adam jednak... Było z nim lepiej. Czułam jego siłę, czułam poruszenie wśród stada, zaskoczonego zmianą.

Nie wolno ci tak robić, zakazał ponieważ. Dobrze wiedział, jak świetnie wypełniam rozkazy. Odwrócił wzrok, nabrał tchu i wyciągnął ku mnie rękę. *Jeśli byś umarła...*

Nie sądziłam, żeby mnie to zabiło, bez względu na to, jak bardzo bolał mnie żołądek. Oczywiście nie zamierzałam tego po sobie pokazywać.

– Nie dzisiaj – powiedziałam.

Popatrzył na mnie uważnie, a ja uniosłam twarz i spojrzałam mu w oczy. Nie było z nami watahy, nie musiałam więc zniżyć przed Adamem głowy. Tak czy owak, mógł mnie zmusić, żebym opuściła wzrok. Nie byłam odporna na jego przewagę dominacyjną, tylko uparta. Dostrzegłam moment, kiedy odpuścił.

Przypomniałam sobie, że jest wiele rzeczy, których muszę się dowiedzieć.

– Wiesz już, gdzie was przetrzymują? – zapytałam, a ujrzawszy odpowiedź w jego oczach, ciągnęłam: – Żadnej wskazówki? Zapach? Rzeka? Zarośla? Olej napędowy?

Tylko pył, Mercy, powiedział cicho, a potem rozejrzał się wokół. Chyba nie widział tej samej sypialni co ja. *Tylko pył i krew Petera.*

Jedynie raz widziałam Adama w takiej furii. Rozerwał wtedy na strzępy trupa zabitego przeze mnie człowieka. Ten, który uczynił sobie z nas wrogów, nie miał pojęcia, co zrobił.

Wysyłają śmigłowiec po mnie i Darryla. Niedługo tu będzie.

– Nadal chcą, żebyś zabił senatora? – Myślałam, że wezwanie policji zapobiegnie zamachowi.

Tak.

Opowiedzieliśmy policji, jaki był powód porwania Adama i watahy. Wydawali się brać nasze słowa na poważnie.

Wiedzą. Powiedzieli, że teraz to będzie trudniejsze, ale nie przejęli się zbyt. Albo zależy im na samym ataku, a nie jego skutku, albo jest coś innego, czego nie widzę. Usiadł na skraju łóżka i dotknął mojego czoła. *Jak się czujesz?*

Uśmiechnęłam się.

– Ariana miała spróbować skontaktować się z Branem. Może on przybędzie na pomoc.

Adam zastanowił się nad tym.

A wampiry?

Spojrzałam na niego zdumiona.

– Marsilia mnie nienawidzi, a w dodatku Ben zaplamił krwią tapicerkę w jej mercedesie.

W AMG?

Coś zwróciło moją uwagę. Coś koszmarnego.

– Co to za smród?



Ben lizał mnie po twarzy z zapalem, jak kot. A to bolało. Jego oddech palił mnie w oczy – a jestem odporna na paskudne zapachy.

– Jezu, Jezu – wymamrotałam, odsuwając się od niego. Wpadłam na coś, ale nie przestałam uciekać przed Benem i w końcu to coś spadło z hukiem na podłogę, robiąc mi więcej miejsca na łóżku.

Bolał mnie żołądek. Nie tak, jak podczas grypy czy zatrucia. Raczej tak, jakbym połknęła coś, co zżerało mnie żywcem. Obrzydliwy fetor bijący z paszczy Bena nie pomagał.

– Ben, strasznie śmierdzi ci z pyska. Coś ty zeżarł, padlinę?

– Au, au, au – zajęczał Kyle z podłogi, na którą go zepchnęłam. Zapomniałam, że miał ze mną spać, a przecież mówił mi o tym. Tyle że ledwie sobie przypominałam, jak sama dotarłam do łóżka.

– Pamiętasz, że pobił mnie wczoraj facet, który nie miał nawet na tyle przyzwoitości, by grzeszyć urodą? A w tym pokoju nie ma dywanu!

Ben śmiał mi się w twarz. Zakryłam nos rękami. Ale, obudzona, przypomniałam sobie, gdzie wcześniej czułam taki śmierdzący oddech.

– To DMSO z mikstury powoduje ten smród, tak?

Nagle ujrzałam stojący na komodzie zegar.

– Która godzina? – zapytałam, zeskakując z łóżka i potykając się o nogi Kyle'a. W pokoju panował mrok, ale nie było w nim okien.

Ciemność przypomniała mi, że Adam sugerował kontakt z wampirami. Może rzeczywiście powinnam spróbować?

I było coś jeszcze... Tad! Do licha ciężkiego, całkiem zapomniałam o Tadzcie. Obiecałam mu, że wrócę do Sylvii, jak tylko sprawdzę, co u Kyle'a. Jeśli na zewnątrz było tak samo ciemno, jak tu, to znaczy, że pilnował dzieci przez cały dzień, spodziewając się mnie w każdej chwili.

Zrobiłam krok w stronę drzwi i natychmiast przekonałam się, że był to błąd. Bolał mnie każdy mięsień, twarz pulsowała i omal nie zemdlałam przez gwałtowną reakcję organizmu, który informował, że jest ze mnie bardzo niezadowolony. Nagle mój żołądek, a potem reszta mięśni skurczyły się w najgorszy zakwas, jaki w życiu miałam.

– Mercy? – zaniepokoił się Kyle i dźwignął z zerową gracją.

Zwymiotowałam, zarzygując srebrnym glutem piękną kamienną posadzkę w pokoju gościnnym Kyle'a.

Rozdział 5

Gapiłam się w oszołomieniu na podłogę. Kyle gapił się również. Ben natomiast zeskoczył z łóżka i obwąchał kałużę. Cofnął się błyskawicznie, kładąc uszy, i popatrzył na mnie. Wyraz wilczego pyska wyraźnie mówił „Co u diabła?”, choć nie byłam specjalistą w odczytywaniu min monstrualnych wilkołaków.

Podłoga Kyle’a połyskiwała srebrem. Polizałam dłoń i sprawdziłam rezultaty. Na skórze, w miejscu zetknięcia z językiem, widniała smuga szarej śliny.

– Chyba... – zaczęłam, rozdarta pomiędzy triumfem (bo srebro na podłodze oznaczało, że nie znajduje się ono już w organizmie Adama) a przerażeniem. Fakt, że z miejsca, gdzie dotykaliśmy się z Adamem, mogłam wynieść coś tak materialnego jak ślina, niósł ze sobą przerażające implikacje. – Chyba lepiej to zmyję.

Przy pokoju znajdowała się łazienka. Weszłam do niej chwiejnie i zaczęłam szorować usta oraz wszystko, czego dotknęło srebro. Kyle wyjął z szafki pod umywalką nową szczoteczkę do zębów i podróżną tubkę pasty. Umyłam zęby dwukrotnie, ale usta pozostały czarne, jak u trzynastolatek zafascynowanych gotyckim stylem, które używają czarnej szminki.

– Znałem kiedyś paru koleś, którzy malowali sobie wargi azotanem srebra, żeby uzyskać taki kolor – oznajmił Kyle. – Głupie to było. Nie miałaś tego, jak szłaś spać. Co się stało?

– Boję się domyślać. – Azotan srebra z czymś mi się kojarzył. To chyba tej substancji Gerry Wallace użył w miksturze usypiającej. – Daj mi parę minut, to może uda mi się wykombinować coś w miarę sensownego, OK?

Przytaknął, choć miał zatroskaną minę. Spojrzałam ponownie w lustro i dotknęłam czarnych warg. Poza kolorem wydawały się takie jak zwykle. Chwyciłam ręcznik z zamiarem usunięcia kałuży w pokoju, ale zatrzymałam się nad nią. Srebrzysta maź zaczynała krzepnąć. A jeśli ręcznik się do niej przyczepi i zrobi się jeszcze gorszy bajzel?

Było tego więcej, niż podejrzewałam. Jeśli to wszystko miał w

sobie Adam, powinien już być martwy.

– Co mam z tym zrobić? – zapytałam.

– A co? Nigdy w życiu nie wymiotowałaś? – rzucił Kyle konwersacyjnie, przysiadając na skraju łóżka. – Czy nigdy nie wymiotowałaś srebrem?

Ben, który trzymał się z daleka od kałuży, żeby przypadkiem nie dotknąć mazi, gapił się na mnie z uwagą. Nagle wyciągnął pysk, obwąchał mnie i cofnął się, znów patrząc na mnie jak w obraz.

Podniosłam rękę i powąchałam ją. Pachniała Adamem. No, skoro da się wyssać i przenieść poprzez więź partnerską srebro, to tym bardziej woń.

– To magia – wyjaśniłam. Kyle tylko wywrócił oczyma. – Wiecie... – Mówiłam chyba bardziej do siebie niż do niego i Bena. – To nie powinno być zadziałać. Tak się nie da. – Wskazałam na kałużę. – Zrobienie czegoś takiego jest niemożliwe. Magia stada, magia pomiędzy towarzyszami pozwala mi czasem rozmawiać z Adamem, kiedy jesteśmy daleko od siebie. Nie znaczy to, że mogę wysysać z niego srebro i zabierać je ze sobą. – Znów spojrzałam na lśniąca plamę. – Poza tym, gdyby skumulował w sobie tyle srebra, już by nie żył. I wyglądałby jak Blaszyński Człowiek.

Kyle zamrugnął. Chyba nigdy nie widziałam u niego takiej miny... takiej... bez wyrazu.

– Możesz porozumiewać się z Adamem, nawet jeśli nie ma go obok, i to bez telefonu? – upewnił się. Przytaknęłam.

Przymknął oczy, a kiedy uniósł powieki, wreszcie mogłam odczytać jego minę.

– Dzięki Bogu – westchnął z ulgą. – Już myślałem, że popadam w obłąd.

Mimo okoliczności nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

– Warren się trochę boi, nie wie, ile informacji o wilkołaczach sprawach jesteś w stanie przyjąć i nie zwiąć – wyjaśniłam nieco skruszona.

Kyle zmarszczył brwi.

– Nie musi mnie trzymać w niewiedzy. – Oburzenie szybko z niego wyparowało. – Dałbym sobie radę z każdym wilkołaczem gównem,

byleby wrócił cały i zdrowy. – Jego słowa były szczerze aż do bólu, poczułam je całą sobą, bo wiedziałam dokładnie, co ma na myśli.

– No – przytaknęłam empatycznie. – Ale srebro? To było chyba coś więcej niż nawet najdziwniejsza wilkołacza magia.

– Chcesz powiedzieć, że rzygasz srebrem, bo jesteś Indianką? – zapytał Kyle sceptycznie, ale Ben spojrzał na mnie, jakby nagle pojął, o co mi chodzi. Wataha wiedziała o Kojocie.

Kałuża na posadzce tężała. Raczej nie dałoby się jej zmyć przy pomocy mydła i odrobiny wysiłku. Usłyszałam w głowie śmiech Kojota.

Srebrny dolar, kiedy te monety jeszcze były bite ze srebra, zawierał jedną uncję trojańską czystego srebra. Moją głowę zamieszkiwał gospodarz teleturnieju.

– Kilogram. Ile to uncji trojańskich? – zapytałam, ponieważ gospodarz był kiepski z matematyki.

– Nie mam pojęcia – odparł Kyle trzeźwo. – Ale widzi mi się, że to tutaj to sporo uncji trojańskich.

Magia Kojota, pomyślałam, łamanie reguł. Popatrzyłam na Kyle'a i uznałam, że można mu zaufać tak samo jak reszcie stada.

– To nie magia Indian, a przynajmniej nie tylko. To magia Kojota.

– Kojota? Masz na myśli siebie w zwierzęcej formie czy kojota Kojota?

Ben zmrużył oczy.

– Mój ojciec pochodził z plemienia Czarnych Stóp z Browning w Montanie i był ujeżdżaczem byków. Nazywał się Joe Stary Kojot. Ale zanim został Joe Starym Kojotem, był Kojotem z pieśni i legend. Po tym, jak Joe zginął w wypadku samochodowym, znów stał się Kojotem.

Od ludzi mających okazję obserwować Kyle'a na sali sądowej dowiedziałam się, że Kyle jest niewzruszony, chyba że postanowi inaczej. Związek z wilkołakiem podniósł tę jego umiejętność do poziomów nadnaturalnych.

Nie mrugnął, nie zająknął się, tylko zapytał:

– Czyli srebrna ślina to dlatego, że jesteś córką Kojota?

– Nie jestem córką Kojota – oświadczyłam stanowczo i zerknęłam na kałużę. – Poza tym to już nie ślina. A Joe Stary Kojot nie był Kojotem. – Gdyby był, znaczyłoby to, że mój ojciec nie umarł, tylko

opuścił mnie i matkę, a wtedy musiałabym go dopaść i zrobić mu krzywdę.

– W porządku. Bredzisz – ocenił Kyle. Pochylił się i dotknął mnie.
– Dobrze się czujesz? Masz wypieki, ale jesteś zimna.

W tym momencie przeszył mnie dreszcz. Przyklękłam i wyciągnęłam rękę nad srebrem, pokrywającym kilka kamiennych płytek.

– To najdziwniejsza rzecz, jaka mi się przytrafiła. – Skinęłam na kałużę. – Gdybyś znał szczegóły mojego życia, miałbyś pojęcie co do skali dziwności tego tutaj. Śpiąc, wchłonęłam srebro z Adama, a potem obudziłam się i je zwymiotowałam na twoją posadzkę. Bardzo cię przepraszam, tak swoją drogą. A teraz mam czarne usta.

Kyle nabrał tchu.

– A czy kiedy robiłaś to figo-fago z Adamem, dowiedziałaś się przy okazji, gdzie go trzymają?

Pokręciłam głową.

– To dobrze – odetchnął.

Uśmiechnął się na widok mojego zdziwienia.

– To byłoby coś użytecznego, Mercy. A dziwaczne i użyteczne jednocześnie to zbyt wiele szczęścia naraz. Mogłoby naprowadzić na nasz ślad duchy złych bóstw.

Gapiłam się na niego w zdumieniu. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Ciebie może i wychowały wilkołaki, ale mnie, podczas gdy rodzice zarabiali miliony, wychowywała szkocka babka. Kiedy istnienie magicznego ludu stało się faktem, westchnęła tylko: „No to zaczną się kłopoty”. I miała rację, jak w przypadku każdej swojej katastroficznej przepowiedni.

Usiadłam na ziemi, bo kolana przypomniały sobie, że brały udział w kolizji samochodowej, i miały dość klęczenia. Ben podtrzymał mnie przez moment i cofnął się gwałtownie.

– Dzięki. Postaram się pamiętać o groźbie gniewu złych duchów. Jeszcze jakieś optymistyczne rady?

– Nie, póki Warren nie zegnije tu karku i nie będzie skuwał tego bajzlu po tobie.

Wyciągnęłam się i pocieszająco ujęłam Kyle'a za kostkę w chwili, gdy rozległ się dzwonek do drzwi.

– Która godzina? – zapytałam.

Kyle sprawdził zegarek na rękę.

– Zbyt wczesna na wizyty. Wpół do piątej rano. – Odebrał dzwoniącą komórkę.

– Dzień dobry, panie Brooks. Przed pańskimi drzwiami stoi dwóch mężczyzn. Biały po czterdziestce, metr osiemdziesiąt, w dobrej kondycji, wyraźnie swobodnie czuje się w garniturze i wyraźnie nieswojo w obecności towarzysza. Drugi niższy, młodszy, ciemnej karnacji, atletyczny. Może lubi ćwiczyć, a może jest wilkołakiem. Czy mamy wkroczyć i ich odesłać?

– Nie. Mamy kogoś w domu, tak?

– Tak jest. I ktoś obserwuje wejście.

– Wobec tego najpierw sprawdzę, czy to sojusznicy, czy wrogowie.

Kyle rozłączył się i przebrał w spodnie i polo, które poskładane leżały na jedynej w pokoju komodzie. Ja miałam do wyboru albo jego dres z wczoraj, albo własne ubranie z przedwczoraj. Ponieważ moje ciuchy były zapaćkane krwią, wciągnęłam dres, którego przyjemny morski kolor pięknie podkreślał moje sińce. Zeszłam po schodach z Benem, który zachowywał się jak świetnie ułożony wilk obronny. Nie kulał już – przynajmniej jedno z nas szło normalnie – widocznie więc nareszcie ruszył u niego proces gojenia.

Dzwonek umilkł, kiedy byliśmy jeszcze na schodach. Albo goście dali sobie spokój, albo usłyszeli, jak idziemy obitymi dywanem stopniami.

Zatrzymaliśmy się z Benem z tyłu, pozwalając Kyle'owi otworzyć drzwi dwóm mężczyznom. Jeden, jakżeby inaczej, miał około metra osiemdziesięciu wzrostu i czarny wełniany płaszcz, który raczej podkreślał, niż skrywał szary kosztowny garnitur pod spodem. Przeciętą twarz budziła sympatię, jak u aktora grającego pozytywnego bohatera. Obok stał niższy mężczyzna, przypominający nieco Araba, ale o ciemniejszej karnacji. Ubrany był w dżinsy, jedwabną koszulę z długim rękawem i znoszone trapery. Chłód panował przenikliwy, jednak mężczyzna nie miał okrycia wierzchniego.

– Co panów sprowadza do mnie o tej porze? – zapytał Kyle bez wstępów.

– Kyle Brooks? – odezwał się wyższy. – Nazywam się Lin Armstrong, pracuję w Sekcji do Spraw Stosunków z Nieludźmi i Transludźmi, SNIT, jeśli tak lepiej. Czy moglibyśmy ze współpracownikiem wejść i zadać parę pytań na temat wczorajszego włamania?

Nabrałam gwałtownie tchu. Podejrzewałam, że właśnie ze SNIT są powiązani nasi napastnicy. Wypadło mi z głowy to, co miałam powiedzieć, bo zaczerpnąwszy powietrza, poczułam ich wonie. Zapach pralni chemicznej bijący od agenta Armstronga i zapach obcego wilkołaka.

Postawa Bena zmieniła się błyskawicznie. Przypłaszczył uszy i skulił się odrobinę, ale mimo to stanął pomiędzy mną a przybyszami.

– Do jakiej watahy pan należy? – zapytałam, obchodząc Bena i stając przy Kyle’u.

– Słucham? – zdumiał się Armstrong.

Jego towarzysz błysnął białym, szelmowskim uśmiechem.

– A jak pani myśli, pani Thompson? – Miał hiszpański akcent, ale nie taki, jak mieszkający w Tri-Cities rodowici Latynosi, których znałam.

– Hauptman – sprostowałam, marszcząc brwi. – Nazywam się Hauptman. A pan to kto?

– Charles Smith poprosił mnie, żebym wpadł sprawdzić, dlaczego nie może się tu z nikim skontaktować – rzekł wilkołak, akcentując fałszywe nazwisko. I bez tego wiedziałam, o kim mówi. Syn Marroka, Charles, pracował ostatnio dla FBI pod nazwiskiem Smith. Ale stojący przede mną wilk powiedział mi o wiele więcej. Po pierwsze, że przysłał go Marrok, czyli Ariana musiała dotrzeć do Brana. Po drugie, że nie był bliskim współpracownikiem Armstronga, inaczej nie musiałby kłamać. Mimo to nie odpowiedział na moje pytanie, przez co uznałam, że ta kwestia musi być istotna.

– Poprosiłem oficjalnie o wilkołaka, który mógłby być... łącznikiem w tej sprawie – wyjaśnił agent Armstrong. – Podejrzewam bowiem, że to grupa zbuntowanych agentów SNIT jest odpowiedzialna za państwa niedawne... – Zaciął się, poszukując odpowiedniego słowa.

– Problemy – podsunął wilkołak.

Znałam większość watahy Marroka, dorastałam z tamtymi wilkołakami. A jednak ten był mi obcy.

Milczałam, bo nie wiedziałam, co powiedzieć. Skład watah zmieniał się z upływem czasu, ludzie się przenosili. Marrok gromadził pod swymi skrzydłami problematyczne wilkołaki, które nie potrafiły funkcjonować w zwykłych stadach. Postawa tego wilkołaka wskazywała, że nawykł on do przemocy, że jest niezwykle niebezpieczny, a jego wilk znajduje się tuż pod powierzchnią.

Wilk w ludzkiej skórze przełamał milczenie.

– Kiedy prośba agenta o... ambasadora współpracującego z panią i panem Brooksem dotarła do uszu Charlesa, byłem już w drodze, wysłany podszeptem dobrych duszków. – Zawiesił głos i... nastroszył piórka, jakby uwielbiał być w centrum uwagi. Potem zwrócił się do Kyle'a. – Panie Brooks, jest dość chłodno. Może odwołałby pan już dżentelmena na dachu sąsiedniego domu, który trzyma nas na muszce, i wpuścił nas do środka?

– Kim jesteś? – powtórzyłam pytanie do wilkołaka. Uśmiechnął się, choć oczy miał zimne.

– Jestem Asil, pani Hauptman. Jestem również znany jako Maur, choć to miano nieco melodramatyczne i nie wspomniałbym go, jednak dla ciebie może być łatwiejsze do skojarzenia.

Zacisnęłam dłoń na ramieniu Kyle'a. Słyszałam o Maurze. Był straszliwym wilkołakiem i dotąd żyłam w przekonaniu, że jest tylko legendą, jak Bestia z Gevaudan.

– W porządku, Kyle. – Uspokoiliam go z nadzieją, że się nie mylę. – Pan Asil jest jednym z wilków Charlesa. – Byłam przekonana, że Kyle zrozumie, iż mam na myśli Marroka.

Asil uśmiechnął się, wychwytyjąc kłamstwo w mojej wypowiedzi. Może Kyle też je wyłapał, bo spojrzał na mnie ostro, zanim odprawił ochronę gestem salutu dwoma palcami, któremu nieśmiertelność nadał prezydent Nixon, jeszcze zanim się urodziliśmy.

– Nie wolno mi nic wam powiedzieć – wyjaśnił przeprasząco Armstrong, sącząc swoją kawę. Spojrzał na spektakularne sińce na

twarży Kyle'a i nieco mniej widowiskowe moje, które zaczynały się na żuchwie i sięgały linii włosów. Kyle wyglądał jak po walce bokserskiej z zawiązanymi z tyłu rękami, co nie było w sumie tak dalekie od prawdy. – Wiem, że to nie w porządku. – Skrzywił się agent. – Ale muszę działać zgodnie z rozkazami przełożonych.

Siedzieliśmy w pokoju, w którym byłam po raz pierwszy. Znajdował się w piwnicy, miał tylko jedno okienko i został urządzony w chłodnych odcieniach. Prawdopodobnie było to jedno z pomieszczeń uznanych przez ekipę Adama za bezpieczne, bo jaki inny powód mógłby kierować Kyle'em, żeby sprowadzić nas do pokoju, w którym pachniało tylko szamponem do dywanów i sprzątaczką, a brakowało w nim choćby echa woni domowników.

– Może ja to zrobię – stwierdził kwaśno Kyle. – Grupa agentów SNIT, niezadowolona z ograniczonych środków, za pomocą których kazano im walczyć ze strasznymi wilkołakami i jeszcze straszniejszym magicznym ludem, uznała, że czas działać na własną rękę. Ktoś wymyślił, że przyda im się jakaś afera, która nastawi do nich przychylnie opinię publiczną. Postanowili więc zamordować znanego anty-magicznego senatora i wykorzystać go w roli pochodni, która rozpali emocje społeczne i umożliwi im przynajmniej zyskanie prawa do strzelania do wilkołaków i nie ludzi bez nakazu. Nie udało im się to, ponieważ zgłosiliśmy porwanie i napad na policję, wobec czego przysłali pana tutaj, żeby zażegnał pan kryzys, a przy okazji dowiedział się, skąd pochodziły pieniądze na zatrudnienie prywatnej armii. Jak mi idzie?

Na moment przyjazne oblicze agenta przestało być takie przyjazne. Maur ukrył uśmiech za filiżanką. Gdyby nie oczy, wyglądałby na zbyt młodego i zbyt ucywilizowanego na to, by popełnić czyny, które przyniosły mu rozgłos. Przyłapał mnie na gapieniu się na niego, więc uciekłam wzrokiem, ale zdążyłam wcześniej dostrzec jego zadowolony uśmiešek.

– Proszę nie traktować nas z góry – rzekł Kyle łagodnie do Armstronga. – Potrzebuje nas pan do znalezienia swoich ludzi, zanim narobią większych głupot, nie jestem natomiast pewien, czy my potrzebujemy pana.

– Wasza współpraca zostanie doceniona – obiecał Armstrong. – A

to może się przydać, jeśli Bennetowi uda się zrobić planowaną jatkę i obwinić o nią wilkołaki.

– Kto to jest Bennet? – zapytałam, a Armstrong wydał usta.

– Proszę wybaczyć. Lepiej nazywajmy go „naszym znarowionym agentem”, który skaptował do swojej sprawy innych niezadowolonych pracowników agencji. – Nie przejął się zbyt tym, że wysnęło mu się nazwisko delikwenta, zdawało się, że zrobił to celowo. – Najważniejsze, żebyśmy go powstrzymali, a wy możecie pomóc, opowiadając każdy znany wam szczegół porwania pana Hauptmana i jego stada. A także opisując ludzi przetrzymujących was tutaj. Każdy drobiazg może mieć znaczenie. Zapewniam, że w zamian użyję wszelkich naszych źródeł, by zlokalizować i uratować waszych ludzi.

Zaskoczyło mnie, że jest tak szczery i prawdomówny. Spodziewałam się raczej, że będzie kłamał jak najęty.

– Jesteśmy po tej samej stronie – oświadczył poważnie i w to też uwierzyłam, bo słyszałam szczerą w jego głosie.

– Ludzie, którzy włamali się do pańskiego domu, nie żyją – rzekł Asil cicho, a Armstrong tak gwałtownie się obrócił w jego stronę, że cud, iż nie skręcił sobie karku. Był zaskoczony chyba nie tyle tym, że podejrzani nie żyją, ile tym, że Asil o tym wie.

A ja byłam ciekawa, czy to wilkołak ich zabił.

Na widok mojej miny Asil odsłonił zęby w szerokim uśmiechu.

– Nie, to nie moja sprawa. Nie zostałem tu przysłany, by służyć tylko za łącznika, pani Hauptman. Mam być w pani arsenale użytecznym narzędziem. Wczoraj podejrzani zostali zwolnieni za kaucją. Ponieważ mieli zarezerwowane bilety na lot do Seattle, a stamtąd do Ameryki Południowej, uznałem, że warto z nimi zamienić słowo, zanim wyruszą w podróż. Jednakże kiedy dotarłem do hotelu, w którym się zameldowali, zastałem federalnych czyszcicieli sprzątających miejsce zbrodni. – Wyszczrzył zęby, a ja pojęłam natychmiast, że tuszowanie zabójstwa miało zapobiec przeciekowi do lokalnej policji i mediów.

Skoro o tym wiedział, Charles musiał być ostatnio zapracowany, bo był bardziej na bieżąco niż Ariana, kiedy ruszała w drogę. Armstrong spoglądał na swego współpracownika z rezerwą. Najwyraźniej nie miał pojęcia, jaką wiedzą dysponował Asil.

– Czy to pan ich zabił, agencie Armstrong? – zapytałam. Niewielu wiedziało, że wilkołaki potrafią wychwycić kłamstwo, a ci, którzy wiedzieli, i tak brali mnie za człowieka.

– Nie, ale to moi ludzie sprząтали po zabójcach. Moi przełożeni otrzymali anonimowy telefon. – Skrzywił się. – Większość ostatniej doby zbierałem i porządkowałem informacje, zamiatałem pod dywan, prałem brudy, robiłem za całą ekipę sprzątającą w sytuacji, kiedy wszystko się sypie.

Asil skinął lekko. Podobnie jak ja słyszał szczerość w głosie agenta. Armstrong ich nie zabił, a „niezadowolenie” było zbyt słabym określeniem na jego stosunek do zabójstwa i udziału SNIT w całej sprawie. Wyczuwałam nie tylko kłamstwa. Emocje, szczególnie silne, też mają swój zapach.

– Powiedziała pani policji, że porywacze chcą zmusić męża do zamachu na senatora Campbella – podjął Armstrong.

– Tak właśnie jest – oświadczyłam zadziornie. Pokręcił głową.

– Trudno w to uwierzyć. Ci ludzie to nie byle kto, pani Hauptman. Zarabiają duże pieniądze na zachowaniu milczenia. Nie ma mowy, żeby to pani powiedzieli.

Napotkałam wzrok Asila. On wiedział, skąd pochodzą moje informacje. Przekrzywił odrobinę głowę i wzruszył ramionami.

W tym pomieszczeniu był wilkiem dominującym, a skoro on nie dbał o zachowanie w sekrecie działania magii wilkołaków, ja też chyba nie musiałam się tym przejmować.

Już otwierałam usta, ale zamknęłam je z powrotem pod wpływem wizji białego pokoju bez możliwości wyjścia, gdzie ktoś mnie pyta: „Na co patrzy teraz mąż, pani Hauptman? To trójkąt czy kwadrat?”. Prawdopodobnie naoglądałam się za dużo „Czynnika PSI” za młodu, ale zbyt nie odkrywając się niosło ze sobą realne zagrożenie.

– Na początku mówił pan, że nie może powiedzieć wszystkiego, agencie Armstrong. To tak jak ja. Są sprawy, których nie powinnam panu wyjawiać. Nie są to informacje niezbędne, by mógł pan działać.

Armstrong mruknął coś pod nosem, ale nie mógł protestować.

– Wobec tego na ile, w skali od jednego do dziesięciu, jest pani pewna, że celem operacji jest Campbell?

– Zero – odparłam natychmiast, bo dokładnie to przemyślałam. – Przedsięwzięcie jest wymierzone w wilkołaki. Możliwe, że Campbell jest celem drugorzędym, a może plan zakłada jego cudowne ocalenie w ostatniej chwili. Nietrudno zapobiec zamachowi, kiedy się wie, gdzie, kto i jak go dokona. Nie wiem jednak, dlaczego wybrano Adama.

– Stał się osobą publiczną – mruknął Asil. – Ludzie go lubią, ufają mu. Kiedy prasa bierze na tapetę temat wilkołaków, pisze o Adamie, bo jest gładki i wygadany. Trzy czwarte ankietowanych na ulicach Nowego Jorku w kwestii tematu dnia wybierało historię o Hauptmanie. To więcej, niż chciało czytać o kandydatach na prezydenta czy burmistrzu Nowego Jorku.

– Myśli pan, że Adam został wybrany celowo? – zapytałam.

Asil zmarszczył czoło. Może miał nie rozmawiać o tym przy Armstrongu.

– Wiem, że na razie wiemy zbyt mało – odrzekł wymijająco.

– Za to nasi przeciwnicy wiedzą nazbyt wiele – skwitowałam. – Znali wszystkich członków stada, nawet tych, którzy się nie ujawnili. Polowali na mnie i Jesse. Skąd czerpali informacje?

– Jesse? – wtrącił się Armstrong.

– Córka Adama – wyjaśniłam. – Nie jest wilkołakiem. Byłyśmy na zakupach, miałyśmy wypadek i wróciłyśmy do warsztatu, gdzie czekał Ben, żeby powiedzieć o porwaniu stada.

– Ben?

Wskazałam pustą filiżanką wilkołaka rozciągniętego blisko u moich stóp, ale tak, żeby mnie nie dotykać. Ben umyślnie nie patrzył na Asila, choć odgradzał mnie sobą od niego.

– To jest Ben. Był na górze, kiedy najemnicy włamali się do domu i zwinęli za jednym zamachem całą grupę wilkołaków. Udało mu się uciec i mnie ostrzec.

Ponieważ zaległa dziwna cisza, podniosłam wzrok.

– Myślałem... – Armstrong nerwowo przełknął ślinę. – Myślałem, że to wyjątkowo wielki pies. Lubię psy.

Zerknęłam szybko na Asila, a potem znów na Armstronga.

– Ale zdaje pan sobie sprawę, że Asil jest wilkołakiem?

Agent potarł twarz.

– Jestem na to za stary. Nie spałem od dwudziestu czterech godzin.

– Ben pana nie skrzywdzi – zapewniłam go i w tym momencie Asil podniósł się, by odstawić filiżankę na ławę. Ben zerwał się gwałtownie, warcząc, choć trzymał łeb nisko, żeby nie patrzeć w oczy dominującemu wilkowi. Armstrong szarpnął się w tył, rozlewając kawę. Nagłe poruszenie przyciągnęło uwagę Bena. Wyszczерzył na agenta zęby.

– Niech pan nie patrzy mu prosto w oczy, Armstrong – spokojnie poradził agentowi Kyle.

Chciałam złapać Bena za sierść na karku, ale wywinął mi się spod ręki.

– To moja wina. Powinniśmy coś ustalić, zanim komuś stanie się krzywda. – Asil odstawił filiżankę i spojrzał na Bena, choć mówił do reszty w pokoju. – Proszę nam wybaczyć na moment, wilk i ja musimy sobie porozmawiać. – Pstryknął palcami przed nosem Bena. – Idziemy.

Weszłam pomiędzy nich. Ben nie mógł zasłonić mnie sobą, nie odpychając, więc skubnął mnie lekko pod kolanem. To było delikatne, szybkie uszczypnięcie, forma protestu.

Asil przekrzywił głowę i uśmiechnął się.

– Podoba mi się pani, pani Hauptman. Nie jest pani taka, jak się spodziewałem, ale i tak mi się podoba. Oczywiście może pani iść z nami.

– A co dokładnie chcecie ustalać? – zapytał Kyle podejrzliwie. Asil przyglądał mu się przez chwilę.

– Nic mu nie zrobię, panie Brooks, lecz Ben usiłuje bronić przede mną pani Hauptman. Nie ma takiej potrzeby, jednak sam musi o tym zdecydować. Łatwiej nam będzie zrobić to bez świadków.

– Wszystko w porządku, Kyle – zapewniłam przyjaciela. – Rzeczywiście lepiej załatwić tę sprawę, jeśli mamy dłużej przebywać w jego towarzystwie. – Poza tym na osobności mogłam przepytąć swobodnie Asila. A on mnie.

– Idźcie do gościnnego – zaproponował Kyle. – Tego, w którym spaliśmy. Najwyraźniej w tym domu jest niewiele bezpiecznych pomieszczeń. Chyba że chcecie skorzystać z łazienki. Poczekał tu z agentem Armstrongiem.

Machnęłam mu i ruszyłam w stronę schodów. Ben trzymał się mnie tak blisko, jak tylko mógł bez dotykania, a Asil szedł z tyłu.

– Kyle Brooks jest towarzyszem waszego trzeciego – rzekł Asil w zadumie, kiedy wspinaliśmy się po schodach. – Jest prawnikiem. Został związany, torturowało go dwóch zawodowców, a mimo to udało mu się wyswobodzić, skręcić kark jednemu przeciwnikowi, a drugiego ogłuszyć, nie zabijając. To wielkie i ambitne wyzwanie dla ludzkiego prawnika, którego przeciwnikami są dwaj mężczyźni zarabiający na życie zabijaniem. To niesamowite, że mu się udało.

– Kyle ma czarny pas – wyjaśniłam po cichu. – Jest w szczytowej formie i został ocalony przez zaprzyjaźnionego wampira, który zabił jego oprawcę, a drugiego napastnika pozostawił przy życiu na moją prośbę, żeby nie wykańczał wszystkich, którzy nawiną mu się pod rękę.

Za moimi plecami zapadło milczenie.

– Chyba się przesłyszałem – odezwał się po chwili Asil, przystając.
– Angielski nie jest moim ojczystym językiem, czy ty powiedziałaś „zaprzyjaźniony wampir”?

– Owszem. – Również przystanęłam i obejrzałam się na niego przez ramię.

– Świat to zaiste niesamowite miejsce. Kiedy już myślę, że widziałem wszystkie cuda, pokazuje mi kolejny. Ten twój „zaprzyjaźniony wampir” zrobił to dla pieniędzy?

– Nie, zrobił to, ponieważ jest moim i Kyle’a przyjacielem.

– To niemożliwe.

Coś w jego tonie sprawiło, że Ben przylgnął gwałtownie do moich nóg. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby natychmiast nie odbił się niczym piłka pingpongowa, ja zaś, przygotowana na popchnięcie, zachwiałam się na stopniu. Rozzłościło mnie to.

– Może dla ciebie – warknęłam na Asila, odwróciłam się i pokonałam resztę schodów na piętro. – Jeśli o mnie chodzi, to mam przyjaciół.

Zapadła kolejna chwila ciszy, a potem rozległ się śmiech wilkołaka.

– Proszę, powiedz, że nie skończę z jajami w poduszce albo masłem orzechowym rozsmarowanym na siedzeniu samochodu.

Poirytowana, mimowolnie wyrzuciłam ręce do góry i znów odwróciłam się do niego. Mówiłam, idąc tyłem.

– Miałam wtedy dwanaście lat. Czy wilkołaki naprawdę nie mają co robić, tylko plotkują o wydarzeniach sprzed dwudziestu lat?

– *Mi princesa* – zagrychał flirciarsko. – O maśle orzechowym usłyszałem aż w Hiszpanii. Dwie dekady to nic, zapewniam cię, będziemy sobie o tym szeptać i za sto lat. Na całym świecie żyją duże, złe wilki, które drżą na dźwięk jego imienia, a tu krucha kojociczka smaruje Branowi Cornickowi samochód masłem orzechowym, bo kazał jej założyć sukienkę na występ przed watahą.

– O nie, nie – zaprotestowałam, znów rozemocjonowana, odwróciłam się i skierowałam korytarzykiem do pokoju. – Powiedział, że Evelyn, moja przybrana matka, powinna zadbać, bym miała jakąś sukienkę. Doprowadził ją do płaczu. – Wtedy też po raz ostatni zgodziłam się grać na fortepianie.

Otworzyłam drzwi, ale Asil zatrzymał się i czekał, aż na niego spojrzę.

– Tak – rzekł poważnie. – Coś takiego zasługuje na zamastowanie tyłu spodni. Ta powaga była kroplą, która przepełniła puchar. Przycisnęłam rękę do ust i oparłam się o ścianę, zaśmiewając. Byłam zmartwiona, zmęczona, obolała, a widziałam przed sobą tylko tłustą paczkę orzechową na eleganckich beżowych spodniach Marroka i jego minę, kiedy zrozumiał, co się stało. Ukryłam się za krzakiem, na zawietrznej i w ogóle, ale i tak mnie zobaczył. Bran zawsze umiał mnie znaleźć, kiedy się ukrywałam. Popatrzył na mnie, uniósł brew, a ja zwałam do domu.

– Zawsze wiedział, kiedy to ja byłam winna – powiedziałam, kiedy odzyskałam oddech.

Asil uśmiechnął się. Był to ciepły, przyjazny uśmiech.

– Wspominał, że była z tobą bieda. Kombinowałaś i snułaś plany tak, żeby nikt się nie dowiedział, a nigdy nie pomyślałaś, że nie musiał się nawet zastanawiać, kto za tym stoi. „Kto inny mógłby to zrobić?”, powiedział, kiedy zadzwoniłem do niego, żeby... omówić ten incydent. „Wyobrażasz sobie, jak jakiś wilkołak podkłada mi masło orzechowe na siedzenie, żeby dać mi nauczkę?”

– Ha. – To proste logiczne wytłumaczenie nie przyszło mi do głowy. Wydawało mi się po prostu, że Marrok jest istotą

wszechwiedzącą, swego rodzaju Świętym Mikołajem o wielkich, ostrych kłach. – Kazał mi czyścić cały samochód. Ale było warto. Przeprosił Evelyn i nawet kupił jej kwiaty.

– Ach, przeprosił – powtórzył powoli Asil, a potem się zaśmiał, jakby zbierał takie smaczki, żeby dręczyć nimi Brana.

– Och, potrzebowałam tego. – Zaprosiłam go gestem do gościnnego.

– Dziękuję.

Rozejrzał się po pokoju, uniósł brwi na widok niepościelonego łóżka, a potem jeszcze wyżej, kiedy jego wzrok padł na srebrną kałużę, teraz już całkiem zestaloną.

– Jedno nie daje mi spokoju. Jakim cudem Bran nie wyczuł zapachu masła orzechowego na pięknej, brązowej skórzanej tapicerce bardzo drogiego samochodu? – zapytał.

– Zrobiłam kanapkę z masłem i galaretką i położyłam ją na papierowym talerzyku z karteczką „Dla Marroka” na desce po stronie pasażera – wyjaśniłam. – Zagapił się na nią tak bardzo, że nie zwrócił uwagi na siedzenie. – Także spojrzałam na lśniąca płamę na posadzce i pomyślałam, że prawdopodobnie będą musieli wymienić kilka kamiennych płytek. – Jeśli natomiast chodzi o jajka – ciągnęłam nieobecnie – nie wypaliły. Nie pękły wtedy, kiedy chciałam. Wypełnienie poduszki zamortyzowało uderzenie i niedoszła ofiara dostała gotową amunicję.

– Powiedz mi, Mercedes... – Asil obszedł łóżko, przez co znalazł się bliżej mnie. Ben warknął.

Asil zatrzymał się w miejscu.

– Dobrze. Wyzwólmy twojego wilka z kłopotliwego położenia, zanim powiemy sobie rzeczy, których agent rządowy nie powinien usłyszeć. – Wskazał mi drzwi. – Stań w holu, żeby uniknąć sytuacji, w której byłby rozdarty pomiędzy instynktem a potrzebą chronienia ciebie.

Brzmiało to rozsądnie, więc stanęłam w progu. Chciałam mieć ich jednak na oku. W ten sposób staliśmy: ja w odległości trzech metrów od Asila, a Ben pomiędzy nami. Gdyby Asil naprawdę chciał mnie skrzywdzić, taki dystans by mu nie przeszkodził, ale ponieważ nie miał takiego zamiaru, wystarczyło to, żeby zaspokoić potrzebę Bena

zapewnienia mi bezpieczeństwa.

Asil położył mu rękę na nosie i przycisnął, aż pysk rudego wilka znalazł się na podłodze. Ben wydał na wpół pisk, na wpół warknięcie.

– Przyrzekam – zaczął Asil, patrząc Benowi w oczy – że nie chcę wyrządzić krzywdy ani tobie, ani nikomu z twoich. Wiem, że należysz do Adama Hauptmana, i nie pragnę, byś należał do mnie. Jestem sprzymierzeńcem na czas nieobecności Adama, występuję w imieniu Marroka, który przysłał mnie tu, bym służył zamiast niego jako przewodnik wilków, bo wszyscy mu hołdujemy. Czy zgadzasz się na to?

Ben wydobył pysk spod jego ręki i wstał, nie kuląc się po raz pierwszy, odkąd ujrzał obcego. Na moment postawił uszy i ogon, a potem celowo je opuścił, przyjmując neutralną postawę.

Asil uśmiechnął się do niego.

– Dobrze. Widzę, że się rozumiemy. A teraz, Mercedes Hauptman *de domo* Thompson, powiedz mi dokładnie, co się wydarzyło i co wiesz. W miarę szybko, bo nie mamy wiele czasu.

Przekazałam mu wszystko, co wiedziałam.

Kiedy skończyłam, wstał z łóżka, na którym siedział, i podszedł bliżej przyjrzeć się kałuży. Straciła już jasny blask, pokrywała ją teraz mgiełka czarnego nalotu.

– Co z twoim żołądkiem? – zapytał po chwili.

– Boli – przyznałam. – Ale jest tak od mojego wypadku i porwania Adama. Nie wiem, czy to od srebra, czy nie.

Asil przykucnął i pogrążył się w milczącej zadumie na tak długo, że zaczęłam rozważać przypomnienie mu, że nam się spieszy.

– Jesteś pewna, że Peter jest jedyną śmiertelną ofiarą? – zapytał wreszcie.

– Jak na razie.

– To ciekawe w świetle tych morderstw waszych napastników. – Spojrzał na mnie promiennymi, poweselałymi oczyma. Najwyraźniej morderstwa go bawiły. – Zabójca najemników nie zawracałby sobie głowy utrzymywaniem przy życiu wszystkich członków stada. Taki człowiek powiedziałby: „Jeden wilkołak wystarczy, by mieć Adama w garści, a trzymanie tylu zakładników kosztuje i stwarza niebezpieczeństwo”. I miałby rację. Porwanie całej watahy to skrajna

głupota. Każdy dowódca, który kiedyś przetrzymywał żołnierzy wroga, z radością by im to wyjaśnił. – Zamyślił się na moment, prawdopodobnie zanurzył w radosnej kontemplacji wszystkich kłopotów, w jakie wpakowali się nasi przeciwnicy.

– Myślisz, że to dwóch różnych ludzi?

Asil skinął potakująco.

– Na to wygląda. Co więcej, człowiek, który wiedział, kogo wynająć, człowiek, dla którego pracowali ci najemnicy, nie zabiłby ich z obawy, że coś powiedzą. To byli świetnie wyszkoleni, wzięci najemnicy i jak mówił Charles, często zatrudniani przez rządy zaprzyjaźnionych ze Stanami Zjednoczonymi krajów. Tacy są lojalni wobec płacącego i na pewno nie puszczają zdrady płazem.

– Agenci SNIT mają kontakty, ale nie daliby rady im zapłacić – zaczęłam powoli. – Federalni zarabiają dobrze, ale nie aż tak.

– Możesz się skontaktować z Adamem?

– Mogę spróbować.

– Spróbuj, proszę. Musimy dać mu znać, czego się dowiedzieliśmy, i przy okazji sprawdzić, czy nie ma jakichś nowych informacji o miejscu przetrzymywania lub porywaczach.

Usiadłam na podłodze, zamknęłam oczy i sięgnęłam do złotej liny, która łączyła mnie z ukochanym.

– Au, au, au – pisnęłam z załzawionymi oczyma. – Au, au. Szlag. Szlag.

Asil powiódł wzrokiem do srebrnej kałuży.

– Masz nauczkę, żeby nie wykorzystywać więzi do rzeczy, do których nie była przeznaczona – rzekł. – A już na pewno nie mieszać do tego srebra. Wilkołaki i srebro nie pasują do siebie.

– Zamknij się – fuknęłam poirytowana, ale prawie szeptem, bo dźwięk jego głosu przeszywał mi oczy świetlistymi błyskawicami bólu w głąb czaszki.

– Sporo tego srebra – stwierdził, a potem dodał zaintrygowany: – W dodatku to czyste srebro, a w mieszance usypiającej w nabojach używa się azotanu srebra, który jest białym proszkiem.

Asil wstał i zaczął się kręcić po pokoju. Ben zbliżył się – czułam jego zapach – ale nie na tyle, by mnie dotknąć. Wilkołaki zachowują się

inaczej w zwierzęcej formie, mniej ludzko, nie przejmują się ludzkimi manierami. Jednak jeśli chodzi o kontakty fizyczne, pośród wilków panuje dużo większa swoboda i bliskość niż w przypadku ludzi czy kojotów. Normalnie, kiedy czułabym się tak fatalnie, Ben przyłgnąłby do mnie bez wahania. Widać Asil musiał go nadal niepokoić.

Kiedy głowa przestała mi pękać na drobne kawałeczki, otworzyłam oczy, a Asil wręczył mi szklankę wody, którą przyniósł z łazienki. Wypiłam wodę duszkiem i poczułam się lepiej.

– Nie martw się – pocieszył mnie, odbierając szklankę. – Moim zdaniem to przejściowe. Minie prawdopodobnie, kiedy srebro zostanie całkiem usunięte z twojego organizmu. – Dotknął moich ust. Był to gest tak przelotny, że nawet nie zdążyłam zareagować. Potem pokazał mi opuszki. Były czerwone, jakby włożył palce w ogień. Także dotknęłam warg, przypominając sobie, że są czarne.

– Stosowano kiedyś srebro koloidalne w kroplach do nosa dla astmatyków i alergików – rzekł. – Skóra pacjentów, którzy używali ich długo, czasem przybierała niebieskawy odcień. W Montanie jeden kandydat na senatora ma niebieską skórę. W pierwszej chwili myślałem, że malujesz usta na czarno, choć jesteś nieco starsza niż większość młodych kobiet używających czarnych szminek.

Patrzyłam na niego ze zgrozą.

– To nie zejdzie! – jęknęłam. – Nie jestem wilkołakiem, mój organizm nie odrzuca srebra tak jak wasz. – Młodsza siostra Gabriela, Rosa, pisała kiedyś wypracowanie o nastolatce z lat pięćdziesiątych, której skóra poszarzała i żadne metody jej nie pomogły. Wiedziałam, bo sprawdzałam jej błędy.

Wstałam niezgrabnie i powlokłam się do łazienki, żeby jeszcze raz spojrzeć w lustro. Wzięłam ręcznik i przez chwilę tarłam wargi, ale pozostały czarne.

Asil obserwował mnie, stojąc w drzwiach.

– Powiedziałaś Armstrongowi, że twoim zdaniem atak wymierzony jest w wilkołaki.

– Ty tak nie uważasz?

Asil potrząsnął głową.

– To, co ja myślę, nie ma znaczenia. Spójrzmy przez moment na

świat z ich perspektywy. Co się stanie, kiedy Adam spełni ich żądanie?

– I tak zabiją wszystkich ze stada, nie mogą zostawić świadków. Zabiją Adama, żeby on nie zabił ich. Senator zginie bądź będzie raniony przez wilkołaki. Ludzie uważający, że dobry wilkołak to martwy wilkołak, zyskają więcej władzy. – Wyliczałam na palcach, a potem dodałam: – Obgadywałam to z Kyle’em, z Adamem i sama ze sobą już setki razy.

– W porządku. Zbuntowanym agentom SNIT zależy na tym ostatnim. Niewykluczone, że zależy im też na śmierci Campbella. Campbell od dawna stoi im na drodze do otrzymania pozwolenia na zabijanie wszystkich nie ludzi. Ale kto wziął na cel Adama i watahę? Uważasz, że to wszystko skierowane jest przeciwko wam, a kto osiągnie z tego korzyści?

– Może powinniśmy zejść na parter? – zaproponowałam ze ściśniętym gardłem. Nie chciałam w kółko rozmawiać o tym, w jakim niebezpieczeństwie znajduje się Adam i wataha. Dobrze o tym wiedziałam. – Zaczęliśmy ten temat z Armstrongiem.

Ale Asil pokręcił przecząco głową.

– Co się stanie, kiedy nie będzie Adama i jego stada?

Wyszczrzyłam zęby.

– Zemszczę się. A nie stosuję już masła orzechowego. Skoro jednak nie obawiają się całej watahy, raczej nie przestraszą się mnie. Już prędzej Brana, ale o nim przecież nie wiedzą.

– A może wiedzą? – zasugerował Asil. – Może chodzi im właśnie o Brana?

– Wiedzieli o miksturze Gerry’ego Wallace’a – przyznałam. – Wiedzieli o każdym członku stada. Mogą też wiedzieć i o Branie.

– Mercy! – zawołał Kyle z dołu. – Skończyłaś już mówić wilkołakowi o tych wszystkich rzeczach, o których nie powinni wiedzieć śmiertelnicy? Robię śniadanie, słońce zaczyna wschodzić!

– Co chciałaś robić, zanim przyszliśmy do was z Armstrongiem? – zapytał Asil.

– Chciałam skontaktować się z ludźmi z agencji ochroniarskiej Adama i zapytać, czy mogą się dowiedzieć, skąd pochodzą pieniądze na operację. Albo chociaż czy to rządowe środki, czy prywatne. A potem

chciałam sprawdzić, czy wampiry przypadkiem nie wiedzą, gdzie ktoś przetrzymuje watahę wilkołaków. Są dla nadprzyrodzonej społeczności miasta tym, czym kiedyś mafia w Chicago. – Było coś jeszcze. Coś ważnego, o czym miałam pamiętać. – Cholera jasna! – Skoczyłam ku rzuconym brudnym džinsom. – Tad! Niech to szlag!

Wydobyłam telefon siostry Gabriela. Miałam nieodebrane połączenia i dwadzieścia esemesów. Piętnaście razy dzwonił ktoś dokładnie co pół godziny z nieznanego numeru. Zostawiłam w spokoju wiadomości i wybrałam obcy numer. Odebrał Tad.

– Rozumiem, że jesteś martwa? – burknął, nie czekając, aż się odezwę. – W innym wypadku nie masz wymówki, że wrobiłaś mnie w siedzenie przez cały zimowy dzień na zewnątrz i obserwowanie najnudniejszej rodziny świata. Wczoraj o drugiej zaczęli przysyłać mi dzieci z kakao. Na obiad jadłem domowe burrito z ryżem po hiszpańsku i fasolą. Było na tyle dobre, że prawie ci wybaczyłem, że nie dałaś znaku życia. Myślałem, że nie żyjesz.

– Skąd wiedzieli, że tam jesteś? – zdziwiłam się.

– Poszedłem do nich, bo musiałem skorzystać z toalety. Doszedłem do wniosku, że tak będzie bezpieczniej, niż lecieć na stację benzynową i zostawić ich agentom rządowym na wymordowanie. – Umilkł na moment. – Nic ci nie jest?

– Nie – odpowiedziałam szczerze, przymykając oczy. – Nic a nic. Adama nadal nie ma. Paru ludzi było u Kyle'a...

– To chłopak Warrena, tak?

– Tak. Więc Ben, ja i Stefan, głównie Stefan, uratowaliśmy Kyle'a, ale siedzieliśmy potem cały dzień na policji. Przepytawali nas.

– Brawo Stefan.

Potałam oczy, rozważając, co robić dalej.

– Chyba najlepiej będzie, jak zabiorę Jesse i Gabriela tutaj. Policja ma oko na dom Kyle'a, a ochrona Adama pilnuje wszystkiego. – Spojrzałam na Asila. – Ty zamierzasz tu zostać?

Skinął potwierdzająco.

– Dopóki nie wróci Adam.

– No. Słyszałeś, Tad? Mam tu też jednego z wilków Brana do pomocy.

– Nie mam samochodu – oświadczył Tad. – Przyszedłem na piechotę. Musisz ich sama zabrać.

– Spokojnie. Będę tam za kwadrans. – Już miałam zapytać, czy nie mógłby nam nadal pomagać, ale ugryzłam się w język. W końcu przez cały dzień stał na straży.

– Jeśli Kyle ma jakieś wolne łóżko, zdrzemnę się i zostanę z wami, póki się to wszystko nie skończy – powiedział Tad i znów zamilkł na moment. – Wybacz, że zachowywałem się jak dupek. Ostatnio moje życie nie było usłane różami, ale nie musiałem sobie tego odbijać na tobie.

Rozłączyłam się.

– Pojadę z tobą – oznajmił Asil. – Wiedzą, gdzie jesteś, a to czyni z ciebie najjaśniejszy cel.

– W porządku. Jeśli Ben zostanie tutaj, zrobi się miejsce w samochodzie Marsilii.

– Twój zaprzyjaźniony wampir to Marsilia? – zapytał Asil zaskoczony. – Pani Chmary Tri-Cities?

– Chyba zwariowałeś – parsknęłam. – Marsilia mnie nienawidzi i z chęcią posłałaby do piekła. W dodatku ukradłam jej samochód, żeby wrogowie nie mogli mnie znaleźć i dlatego, że swój rozbiłam. Ben już zapaprał krwią tapicerkę mercedesa, więc parę dodatkowych kilometrów na liczniku nie wkurzy Marsilii jeszcze bardziej. – Podchwyciłam spojrzenie Bena. Wpatrywał się we mnie tak intensywnie, że nie ulegało wątpliwości, iż nie zamierza zostać w domu. – Musisz się w końcu przemienić z powrotem – zwróciłam się do niego. – Zostałeś postrzelony, jeździłeś z miejsca w miejsce i prawie od dwóch dni jesteś wilkiem. Czas się przemienić i odpocząć. Jadę tylko odebrać Gabriela i Jesse i zaraz wracam. Bran przysłał Asila do pomocy, więc niech się na coś przyda. Do tego, o ile się nie mylę, będą mnie pilnowali najlepsi ludzie Adama. Upewnią się, żebym dotarła tu z powrotem cała i zdrowa.

– Będę jej pilnował – obiecał mu Asil poważnie.

– Poza tym na wszelki wypadek wolę zostawić z Kyle'em kogoś naprawdę dobrego.

To była prawda i podziałała. Ben lubił Kyle'a, a Ben nie darzył sympatią zbyt wielu ludzi.

Rozdział 6

Adam

Strach towarzyszył mu zawsze. Czasami myślał, że boi się, odkąd wsiadł do autobusu, który lata temu zawiózł go na podstawowe szkolenie wojskowe. Im był starszy, tym miał więcej obaw. Teraz bał się o Mercy, która nie miała na tyle oleju w głowie, żeby bać się za samą siebie.

Kiedy był mały, myślał, że wystarczy być silnym i twardym, żeby się nie bać niczego – oprócz Boga, oczywiście. Jego rodzice mieli małą farmę, byli patriotami i pobożnymi, bogobojnymi baptystami, i tak też go wychowali. Jednak ich przekonania zderzyły się kiedyś ze światem i świat wygrał.

Najpierw opuścił farmę, a potem Wietnam odarł go z patriotyzmu. Nie całkiem, ale na tyle, by dał sobie prawo uważać, że większość oficjeli powinna odsiedzieć swoje w więzieniu w ramach naprostowania. Wietnam nauczył go również, że im człowiek mądrzejszy i twardszy, tym bardziej się boi. Tam również dowiedział się, że potwory istnieją naprawdę, i sam stał się jednym z nich.

Potem, kiedy wrócił, okazało się, że to nie wojna rodzi strach, a miłość. Pokochał Mercy z żarem, który nadal go zaskakiwał.

Wziął głęboki oddech i nie poczuł bólu. Srebro nie wypalało mu już stawów i nie tłumilo zmysłów. Na wszelki wypadek sprawdził, jak działa ciało. Ktoś z boku widziałby tylko, że siedzi pod ścianą kamiennego pomieszczenia, gdzie trzymano watahę. Napinał i rozluźniał poszczególne partie mięśni, a te odpowiadały z normalną prędkością i siłą.

Nie pojmował, co zrobiła Mercy. Nie do końca w każdym razie. Wiedział, że wyciągnęła z niego srebro, przelewając je we własne ciało. Rozumiał, jak działa więź stadna w jej przypadku, że widzi symbole i obrazy tam, gdzie on czuje zapachy. Samuel powiedział mu kiedyś, że on i Bran słyszą muzykę. Nie potrafił natomiast rozwikłać, jakim cudem wykorzystwała więź i magię, żeby zrobić coś tak nieprawdopodobnego.

Najbardziej jednak przerażała go myśl, że sama Mercy nie ma

pojęcia, co zrobiła. Mogła przez to umrzeć. Srebro nie działało na nią jak trucizna, ale gdyby ktoś wstrzyknął przeciętnemu człowiekowi taką ilość, jaką podano jemu, nie pozostałoby to obojętne dla organizmu. Nie był lekarzem, lecz podejrzewał, że mogłoby się to skończyć tragicznie.

Wyczuwał ją, więc żyła, jednakże połączenie było dziwne – i to go napawało lękiem. Musiał panować nad nieprzemogłą chęcią, żeby uciec, żeby staranować wszystko, co stało mu na drodze, i móc ją chronić. Nie zamierzał jednak niweczyć jej wysiłków, więc czekał na odpowiednią chwilę, żeby ruszyć na łów. W pomieszczeniu zaszła jakaś zmiana, więc Adam wrócił do rzeczywistości. Nasłuchiwał. Nieustanne ciche postukiwanie dobiegało z miejsca, gdzie leżały wilkołaki. Poruszały się niespokojnie, mimo iż były nafaszerowane usypiaczem niemal do nieprzytomności, bo ból, o który przyprawiały je srebro i więzy, nie pozwalał im leżeć spokojnie. Mimo tego wszystkiego, co dla nich zrobił, czuł ich, czuł ich cierpienie, srebro, chorobę.

Sądząc z ich stanu, ofiara, jaką zamierzał ponieść, nie pomogła wystarczająco. Jones się bał, więc faszzerował wilkołaki końskimi dawkami mikstury. Jednak on sam był teraz wolny od działania substancji z naboju. Mógłby znów pomóc stadu, ale nie chciał, by Mercy narażała się, ponownie go uzdrawiając. Zamierzał więc czekać, aż stanie się to absolutnie konieczne.

Może żołnierz, który poruszał się przez zatłoczone pomieszczenie niczym woda, będzie jego okazją. Mężczyzna przekroczył nieruchomego Warrena i kucnął przed nim. Przysunął się bardzo blisko, bo Adam czuł ruch powietrza mąconego jego oddechem.

– Alfo – zaczął mężczyzna, który zbeształ pana Jonesa po zastrzeleniu Petera i który prawdopodobnie dowodził paramilitarnym bądź wojskowym oddziałem zbrojnych.

Adam podniósł powieki. Mężczyzna kucnął, jego oczy znajdowały się na linii wzroku Adama i tak blisko, że widać mu było białka. Miał na sobie znajome czarne ubranie taktyczne, twarz była świeżo pomazana ciemną farbą maskującą. Warren leżał tuż za nim – Adam widział blask jego oczu. Darryl przybliżył się odrobinę, bezszelestnie, mimo kajdanek i swojej masy. Adam dał im znać ręką niewidoczną dla żołnierza i oba wilkołaki się uspokoiły.

Adamowi nic nie groziło. Czysty od srebra i narkotyków, mógł zmiażdżyć gardło mężczyźnie w ułamku sekundy. Wizja była kusząca. Bardzo. Ale to nie ten człowiek był zabójcą Petera, więc Adam chciał się dowiedzieć, po co przyszedł. Zabijanie było łatwe. Mógł to zrobić w każdej chwili.

– Zwijamy się – oświadczył mężczyzna konwersacyjnie. – Zostawiamy tu zleceniodawców.

Adam spojrział mu w oczy. Tamten po chwili odwrócił głowę.

– Nie jesteś tak oszołomiony, jak myślą moi szefowie. Mimo tych naboji usypiających, które miały niby działać na wilkołaki. Nie są tak skuteczne, jak miały być, przynajmniej w twoim przypadku. Od razu to zauważyłem, mimo że „Jones” wołał wierzyć w co innego. Pewnie więc mogłeś podsłuchać, że zostawiłem ludzi w domu Kyle’a Brooksa. Mieli schwytać twoją żonę, córkę i Bena Shawa. Nasze źródło twierdziło, że tam właśnie pójdą. Dzisiaj rankiem policja rozwaliła imprezę... – Urwał i zapatrzył się w twarz Adama. – A ty skąd o tym wiesz? – Potrząsnął głową i mruknął do siebie: – Pieprzone nadprzyrodzone czary-mary. Mówiłem, że lepiej się trzymać od tego z daleka, ale kasa była zbyt dobra, no i lubimy dogadzać rządowym. Mamy dzięki temu stałe zlecenia.

Zadumał się. Cierpliwości, napominał się Adam w duchu, licząc na więcej informacji. Wolał, by żołnierz wyjawiał mu je z własnej woli.

– Skończyłem z jednym trupem i trójką w areszcie, a twoja żona powiedziała glinom, że ktoś was porwał i chce, żebyś zabił biednego senatora Campbella. Z początku nawet myślałem, że jeden z naszych puścił farbę, ale to niemożliwe. A może dowiedziała się o tym w ten sam sposób, co ty o tej porannej aferze, co? – Milczał przed chwilę, choć obaj wiedzieli, że nie doczeka się odpowiedzi. – Widzisz, moja firma jest znana, robię na niej dobrą kasę. Żaden z cywili nie zginął, więc prawnicy szybko wyciągnęli moich z paczki. Potem cała trójka miała zniknąć. Za dużo ludzi ich widziało, żeby mi się na coś tu przydali. Ale spokojnie, mamy kim ich zastąpić. Mamy zapas ludzi z czystym kontem, a spalonych przenosimy w jakieś mniej kłopotliwe miejsca, do czasu, aż co poniektórzy zapomną o najemnikach i zajmą się tymi, co im płacą. Rozumiesz?

Adam milczał, czekając, aż mężczyzna przejdzie do sedna.

– Powiem ci prawdę – rzekł tamten powoli, jakby nigdzie mu się nie spieszyło. I może tak właśnie było. – Zgłosiłem się do tego na ochotnika. Jesteście diablím pomiotem, wszyscy: wilkołaki, wiedźmy, magiczni. Powinno się was wytłuc do nogi i mam nadzieję, że kiedyś będę jednym z tych, którzy wytępią waszą plagę na ziemi.

Po raz pierwszy Adam wyczuł jego strach, strach i żądzę mordu. Rozumiał go dobrze. On też bał się o swoich, o Mercy, i też pragnął krwi.

– Nie doszedłem do tego, co mam, działając wbrew zasadom – podjął najemnik. – Zasady zachowują ludzi przy życiu i utrzymują napływ pieniędzy. Zasadą jest, że zleceniodawcy nie zabijają nas po zakończeniu zadania ani ze strachu, bo wiemy coś, co chcą ukryć. Nie kłapiemy ozorami, a jak któryś z naszych zaczyna śpiewać, sami to załatwiamy. – Na moment zajrzał Adamowi w oczy. – Wy, wilkołaki, też znacie zasady. Słyszałem o tym. – Zawiesił głos, czekając bezowocnie na odpowiedź. Kiedy stało się jasne, że jego zaproszenie do rozmowy zostało odrzucone, kontynuował swój monolog: – Moi ludzie mieli zabukowany lot na rano, ale gdy Slick, ten, któremu udało się nawiać przed policją, przyszedł do hotelu po resztę, zastał ekipę rządowych sprzątaczy i trupy moich ludzi, którzy mieli czekać tam cali i zdrowi. Wymknął się i zawiadomił mnie. Wszyscy tamci są martwi, oprócz Slicka. Zwijam stąd chłopaków, a Slick ma przybyć na miejsce spotkania okrężną drogą. Polecenie pozbycia się tamtych, którzy wyszli z paki, nie wyszło od nas. Nikt od nas nie jest na tyle tępy. Spadamy stąd, a potem zajmujemy się tymi, którzy nas zdradzili.

– Po co mi o tym wszystkim mówisz? – zapytał Adam.

– Nie lubię was – powtórzył najemnik i splunął na klepisko. – Ale to sprawa osobista. Ktoś nam dał po łbie? Taka robota. Ale zabili moich, bo bali się, że coś wychlapią. Nie mam pojęcia, co z tego, co wiemy, jest takie ważne, ale mówię ci na wszelki wypadek wszystko, żebyś mógł spieprzyć im szyki. Moi ludzie robili to, co im kazałem, więc to sprawa osobista.

– Rozumiem – powiedział Adam.

Najemnik spojrzał na niego, marszcząc brwi.

– Słyszałem, że nosiłeś kamasze?

– W komandosach.

Mężczyzna przyjrzał mu się zaskoczony.

– To nie zmienia tego, że jestem potworem – ciągnął Adam. – Ale wiem, jak działa żołnierz. Wykonuje rozkazy, a w zamian liczy, że ci na górze będą mu chronić tyłek, podczas gdy on naraża życie. Jeśli tego nie robią... – Adam wzruszył ramionami. – Pewne rzeczy trzeba załatwić samemu.

Mężczyzna skinął głową i zaczerpnął tchu.

– Właśnie. Wszystko gra. Goście płacą, my nadstawiamy za nich karku. Nie bierzemy więcej kasy, nie sypimy. Ale nasi zleceniodawcy złamali zasady. Skoro bali się, że coś wycieknie, cóż, może czas ich nauczyć, że nie zdradza się własnych żołnierzy. Kolesie, którzy wydawali nam rozkazy, są z rządu, ze SNIT. Wiesz, od tych gości, co biegają w kółko, krzycząc, że nieładnie, wilkołaki i cała reszta są niebezpieczni i trzeba ich zlikwidować, choć mieli się wywiedzieć wszystkiego o nadprzyrodzonych i być mediatorami między nimi i rządem. Sieją propagandę, bo chcą dostać pozwolenie na polowanie na wilkołaki, zanim dostanie je inna agencja. Mają dość wzywania za każdym razem kawalerii, bo na własną ich nie stać. – Spojrzał na Adama spod oka. – Ale pewnie to już wiesz.

– Większość dobrych agentów idzie do FBI, CIA, NSA, wywiadu czy innego departamentu bezpieczeństwa i tym podobnych agencji – potwierdził Adam. – SNIT od lat jest śmietnikiem odpadów, a to typowa operacja „Kłapa”, jak większość akcji terenowych prowadzonych przez biurwy.

Najemnik uśmiechnął się szeroko.

– No. Powtórzę to moim przełożonym.

– Jasne. Ale skąd płyną pieniądze? Wiem, jaki agenci SNIT mają budżet, i wiem, że nie mają w nim funduszy na tak dużą tajną operację. Może, może gdyby się wszyscy zrzucili, na upartego mogliby zatrudnić bez rozgłosu kogoś w waszym typie. Ale tacy jak wy chyba prędzej ochraniają jakiegoś barona narkotykowego z Ameryki Południowej albo walczą tam, gdzie Konwencja genewska zabrania wysyłania wojska.

Najemnik przesunął palcem po nosie i wskazał nim Adama.

– Mógłbym cię polubić, gdybyś nie był diabelskim pomiotem, wiesz? Masz rację. SNIT nie ma takich pieniędzy, ale mogliby mieć, gdyby wilkołak zabił senatora miliardera, prawda? Jeśli nie od jego partii, to od bardzo, bardzo bogatej rodziny. Wieści niosą, że mózg tej operacji współpracuje z jakimś bogatym bezimiennym skurczysynem, który pociąga za sznurki i chyba zagiął na ciebie parol, Hauptman. Sponsoruje ten cały bajzel pod jednym warunkiem: że zamachu macie dokonać ty i twoja wataha. Nie wiem, kto to, ale ludzie się boją.

I to było bardzo interesujące. Adam poczuł, że nareszcie ma jakiś trop i może ruszyć na łowy. Sprawa była osobista, więc wróg był kimś konkretnym. Nie grupą ludzi nienawidzących wilkołaków, która była dość spora, ale człowiekiem, który nienawidził jego.

– Mielicie świetne źródło informacji – rzekł. Chciał dowiedzieć się, skąd najemnicy czerpali wiedzę. – Namierzanie telefonów ludzi, których nie było u nas na kolacji, to pewnie robota SNIT. Ale jak doszliście do każdego członka stada?

Mężczyzna skinął z uznaniem.

– Dobry wybór. Sam poszedłbym tym tropem. Lista wszystkich członków watahy została nam dostarczona z zewnątrz. Od tych samych ludzi, którzy dali usypiacze. Gdybym miał zgadywać, stawiałbym na jakiegoś wysoko postawionego wojskowego, który nie lubi wilkołaków. Ale to ktoś z boku, nie on za wszystko płacił.

Środek usypiający i informacje mogły pochodzić od Gerry'ego Wallace'a, z czasów przed jego śmiercią. Od tamtej pory skład watahy się nie zmienił. Gerry miał za zadanie śledzić ruchy wilków samotników i potrzebował do tego dokładnie wiedzieć, kto należy do stada. Adam postanowił zawiadomić Brana, że ktoś posiada te informacje i je udostępnia.

– Widziałeś go kiedyś?

– Którego go?

– Tego od forsy albo tego od informacji?

Najemnik przekrzywił głowę.

– Tylko tego od kasy, chyba raz. Mówił, że jest pośrednikiem, dziani goście zawsze wysługują się innymi. Wyglądał na ciepłe kluchy, toczka w toczkę cywil. Cienias w garniturku, grosza byś za niego nie dał.

Ale włosy mi się na jego widok zjeżyły, a zawsze ufam instynktowi. Wyglądał jak przeciętniak, jednak nie poruszał się jak przeciętniak, łapiesz? Chodził jak kot, a kiedy odsunął krzesło, nie musiał w to wkładać tyle wysiłku, co Jasiek Kowalski. Był silniejszy, niż cienias być powinien.

– I uważasz, że nie był tylko pomagierem?

– Też umiesz czytać z ludzi, to wiesz. – Nie wydawało się, by najemnik się tym przejmował. – Nie, myślę, że to był ten od kasy. Wyszkoiliłem wielu ludzi. Niektórzy są lepsi w wydawaniu rozkazów niż w ich wykonywaniu. On był właśnie taki. Ale nienachalnie.

– Kiedy i gdzie?

Mężczyzna pokręcił stanowczo głową.

– Bez przesady. To już tajemnica firmowa, nie zleceńodawcy. – Wyciągnął papierosa i zapalił. Siedzenie w kucki tyle czasu nie było łatwe, szczególnie dla kogoś po trzydziestce, ale nic nie wskazywało, że najemnikowi jest niewygodnie. – Lekarz mi mówi, że jak nie rzucę, kiedyś umrę na raka – zwierzył się.

– Osłabia odporność. To zabije cię wcześniej – stwierdził Adam. – Palacze biegają wolniej i szybciej się męczą.

Mężczyzna roześmiał się.

– Powiem ci coś. Dwa dni temu doszły mnie słuchy, że ci goście nie są ze SNIT. Jasne, pracują w agencji, ale to robią na własną rękę. SNIT wysłała już za nimi swoich. – Popatrzył na papierosa, wsadził go do ust i zaciągnął się. – Wczoraj do miasta przyjechał załatwiacz ze SNIT. Akurat zdążył, żeby posprzątać moich chłopców. – Na jego zegarku mignęło czerwone światełko. Postukał w szkiełko i zdusił papierosa pod butem. – Dobra, synu. Gdybym polegał na swoich nogach, już byłbym martwy. Muszę lecieć. – Wyjął klucz i zasepił się. – Dziwny jest ten świat, wiesz? Nigdy nie wiesz, z kim wylądujesz w łóżku.

Wstał i rzucił klucz do Adama, a ten pozwolił mu spaść na ziemię.

– No to powodzenia – powiedział żołnierz, przekraczając Darryla w drodze do drzwi. – Nie jesteś taki zły, jak na czarcie nasienie.

– To samo mogę powiedzieć o tobie.

Najemnik ze śmiechem obejrzał się przez ramię.

– Ta, racja. – Otworzył drzwi i rzucił cicho: – Słyszałem, jak ktoś

mówił, że jeszcze jeden zamachowiec zna szczegóły ochrony senatora.

– Na kogo ma zlecenie?

Najemnik skinął z aprobatą.

– Podobasz mi się. Dobre pytanie. Na ciebie, jeśli ci się uda. Jeśli nie, na senatora. – Wyszedł, nie oglądając się więcej za siebie.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Darryl i Warren popatrzyli na Adama. Darryl nabrał tchu i warknął cicho. Był zbyt oszołomiony ketaminą, żeby wyartykułować słowa.

– Tak – powiedział Adam. – Czuję się lepiej. – Nie wyjaśnił, dlaczego i jak. Jeśli założą, że to dzieło Brana, jego legenda pomoże im pozierać się i podnieść.

Uwolnił się za pomocą klucza, potem rozkuł Darryla i Warrena. Kiedy ten ostatni usiadł, Adam upuścił mu do ręki klucz. Warren był w przyzwoitym stanie.

– Rozkuj wszystkich – polecił mu. – Ale czekajcie tu, aż was zawołam. Honey rozkuj na końcu i bądź gotów, w razie gdyby straciła panowanie nad sobą.

Potem wstał i rozebrał się do naga. Ostatnim, czego nauczył się w Wietnamie, jeszcze zanim przemienił się w wilkołaka, było to, że potrafi zabijać.

Nagi podszedł do drzwi i nacisnął klamkę – jego gość zostawił celę niezamkniętą. W sąsiednim pomieszczeniu stało biurko pana Jonesa. Panowała tam ciemność, ale znajdowali się pod ziemią – przynajmniej tak mówił mu jego nos – choć sufit znajdował się wyżej niż w przeciętnej piwnicy.

Żelazna sztaba zabezpieczająca drzwi celi leżała na podłodze. Adam podniósł ją i położył przy Darrylu, który zacisnąwszy na niej dłoń, usiłował stanąć na czworakach. Drugi działał instynktownie.

– Cii – uspokoił go Adam i położył mu dłoń na ramieniu. Darryl po chwili zaprzestał wysiłków. – Czekaj tu, chroń ich. Wróć. Spróbuj namówić ich do przemiany.

Warren zwrócił na niego żółte ślepie.

– Zachowam Jonesa dla Honey – obiecał Adam, a potem pozwolił swojemu wilkowi przejąć kontrolę.

Kiedy wreszcie stanął na czterech łapach, większość stada była już

wolna, choć za słaba, by wyjść o własnych siłach. Honey popatrzyła Alfie w oczy.

– Zabijesz ich wszystkich? – zapytała.

Ojciec uczył go, że morderstwo jest grzechem.

Honey należała do watahy prawie trzydzieści lat, więc nie pytała, czy da radę ich zabić. Przytaknął skinieniem i dał susa przez drzwi z zapalem, którego nie próbował nawet powściągać.

Już dawno pogodził się z tym, że nie trafi do nieba.

Spodziewał się, że trzymają ich w jakimś budynku rządowym. W Hanford Site, w starym kompleksie nuklearnym, znajdowało się wiele opuszczonych budowli. Jednak im dalej szedł długim korytarzem, tym bardziej stawało się jasne, że to raczej obiekt komercyjny niż wojskowy. Zauważywszy oparty frontem o ścianę znak, odwrócił go. Na szyldzie widniał napis „sala degustacyjna”. Znajdowali się w niewykończonej piwnicy winiarni.

To wyjaśniało wysokie, przestronne pomieszczenia. Ich cela była przeznaczona do składowania beczek leżakującego wina, podobnie jak reszta pomieszczeń, które mijał, idąc korytarzem.

Winiarnia nie służyła celowi, w jakim ją zbudowano – nie czuł zapachu owoców ani wina. W połowie wykafelkowana, w połowie surowa posadzka oraz nagie płyty gipsowe na ścianach wskazywały, że inwestycję przerwano w trakcie budowy.

Piwnica była pusta, choć ślady świadczyły o niedawnej obecności ludzi. Zostawili po sobie zapach kamizelek taktycznych, prochu, farby maskującej oraz odciski stóp i wgłębienia powstałe podczas wleczenia jakichś przedmiotów. Dwa z pomieszczeń, identyczne jak to, w którym trzymano stado, wykorzystywano do niedawna jako kwatery. Jedyna różnica polegała na tym, że masywne drzwi, które zamykały wilkołaki w celi, tu były zdjęte z zawiasów i postawione w środku. Prawdopodobnie żeby zapobiec zamknięciu żołnierzy.

Adam przyznał w duchu rację dowódcy, który z nim rozmawiał. W innych okolicznościach także mógłby go polubić.

Z oddali dobiegł go warkot silników Diesla, tych samych, które uwiozły watahę do niewykończonej winiarni, wybranej przez SNIT na więzienie dla wilkołaków.

Najemnicy musieli albo zostawić swoje samochody w sporym oddaleniu od budynku, albo – co wydało mu się bardziej prawdopodobne, biorąc pod uwagę wyjęte z zawiasów drzwi – pchali je, póki nie uznali, że mogą bezpiecznie odpalić silniki. Odgłos był ledwie słyszalny nawet dla Adama, więc ludzie nie zauważyliby, nawet gdyby nasłuchiwali, a nie spali.

Wreszcie natrafił na schody, po których wspiął się bezgłośnie. Zaprowadziły go do przestronnej sali. Ściany nie były pomalowane, ale podłoga została wyłożona piaskowcem, po którym trudno było iść, nie stukając pazurami. Podwójne wahadłowe drzwi prowadziły na zewnątrz. Pchnął je i jak się spodziewał, ujrzał wokół pola. Znajdowali się pośrodku niczego. Miał także rację co do rodzaju budynku – otaczała go winnica. Kilkadziesiąt hektarów obsadzonych winoroślą, która zmarniała, zanim nadeszła prawdziwa zima. Na roślinach widać było wyschnięte zalążki kiści owoców.

Wyszedł na zewnętrzną galerię opasującą budynek. Brakowało jej balustrady i paru fragmentów podłogi. Parking, zdolny pomieścić dziesięć samochodów albo ze dwa autobusy, utwardzono, ale nie wykończono chodnikami. Na płycie stały cztery czarne SUV-y i nissan z tablicą reklamującą krajową sieć wypożyczalni samochodów. Winiarnię postawiono w połowie wysokości wzgórza, w pobliżu dwupasmowej autostrady, która ginęła w obu kierunkach za pagórkami falistej okolicy. Sad jabłkowy graniczył od zachodu z niewydarzoną winnicą i od wschodu z nieco bardziej zadbaną. Na żadnej z sąsiednich działek nie stały zabudowania, w ogóle w zasięgu wzroku nie było żadnych budynków. Prawdopodobnie dlatego właśnie ktoś wybrał to miejsce. Adam zamierzał dowiedzieć się, kim jest ten ktoś.

Rozwagał, czy nie unieruchomić samochodów, ale zrezygnował z tego pomysłu i wrócił do budynku. Nadszedł czas, by pokazać tym ludziom, dlaczego powinni bać się wilkołaków.

Podążył za odgłosem oddechów i znalazł się w korytarzu z pokojami po obu stronach, jakby przy winiarni zaprojektowano również pensjonat.

Pierwszy pokój prócz niewykończonych ścian nie miał również posadzki. Sklejka skrzypiała lekko pod ciężarem Adama, ale śpiący na

prowizorycznej pryczy mężczyzna nie obudził się. Miał około trzydziestki, sądząc z wyglądu... całkiem przeciętnego. Pochrapywał lekko.

Minęło prawie pół wieku, odkąd Adam zabił po raz pierwszy. Chciałby móc powiedzieć, że pamiętał wszystkie swoje ofiary – człowiek powinien pamiętać, gdy pozbawia życia innego człowieka. Było ich jednak zbyt wielu. Niektórzy umierali we śnie.

Zgruchotał gardło mężczyzny razem z żuchwą. Starał się nie zwracać uwagi na smak jego krwi. Od Przeistoczenia zdarzyło mu się pożreć paru ludzi, ale życie ze świadomością, że jest się kanibalem, było trudniejsze niż z morderstwami na sumieniu, starał się więc tego unikać w miarę możliwości.

Drugi mężczyzna był starszy, koło pięćdziesiątki, ale w przyzwoitej formie. Miał zadbaną fryzurę biurokraty, który spodziewa się awansu. Jego czupryna została przyciemniona tak dyskretnie, że wydawała się jedynie lekko szpakowata.

Adam nie pamiętał, czy go widział wcześniej, choć zdawał sobie sprawę, że od porwania nie był w najlepszym stanie. Ten obudził się przed śmiercią, lecz nie zdążył krzyknąć.

Adam kontynuował wędrówkę korytarzem. Zabicie kolejnych dwóch mężczyzn było proste.

Stanąwszy przed pustym pokojem, mimo wszystko otworzył drzwi. Już miał się wycofać, gdy dostrzegł w przelocie zdjęcia Mercy, pchnął więc barkiem skrzydło i wszedł do środka. Jedna ze ścian była pokryta fotografiami członków watahy i ich bliskich, włączając w to Mercy i Jesse.

Każda została podpisana. Każdy mógł tu wejść, spojrzeć na ścianę i zapamiętać osoby.

Lista celów dla zabójców.

Znajdowały się na niej wszystkie wilkołaki należące do stada, a także ich rodziny – ludzie, wilkołaki, starzy i młodzi. Znajdowały się na niej również Sylvia Sandoval i jej córki.

Planowali zabić nawet dzieci.

Po tym kolejne trzy zabójstwa Adama nie były już ani bezkrwawe, ani ciche. Czwartemu mężczyźnie pozwolił się obudzić, bo ten spał z

uśmiechem na twarzy.

Po wszystkim trup mężczyzny ociekał grozą i cierpieniem. Adam wiedział, że musi się lepiej kontrolować, nie wolno pozwolić wilkowi przejąć władzy – mógłby jej nigdy nie odzyskać. Miał robotę, której nikt nie mógł za niego odpowiednio wykonać, obowiązek. Ta myśl uspokoiła go – znał swoje obowiązki i jako człowiek, i jako wilk.

W następnym pokoju nikogo nie było, ale unosił się tam zapach kobiety. Zapamiętał woń, w razie gdyby uciekła i musiał gonić ją przez winnicę. Częstka jego jestestwa, ta ludzka, zdawała sobie sprawę, że w takiej sytuacji powinien go wyręczyć ktoś inny, mniej ochoczy. Warren. Darryl, jego drugi, dżentelmen starej daty, wzdragałby się przed zabiciem kobiety. Warren był bardziej pragmatyczny.

Nowoczesne klamki, przystosowane dla niepełnosprawnych, łatwiej otwierało się w formie wilkołaczej niż tradycyjne gałki, a ponieważ na całym piętrze były ułatwienia dla osób o ograniczonej mobilności, Adam nie zrobił hałasu, kiedy otworzył kolejne drzwi, odkrywając, że nie będzie musiał nikogo ścigać. Kobieta z sąsiedniego pokoju i pan Jones byli zbyt pochłonięci sobą, żeby zwrócić uwagę na krzyki jego ostatniej ofiary.

Jonesa obiecał Honey.

Zostawienie pary w spokoju przyszło mu trudniej, niż się spodziewał, ale zamknął ostrożnie drzwi. Nie skończył jeszcze zabijania – słyszał innych ludzi. Robił się głodny.

Kolejnemu mężczyźnie przetrącił kark machnięciem łapy – jak grizzly. Śmierć była szybka i bezkrwawa. Potem była kobieta, kuląca się za pryczą, którą przewróciła, żeby się za nią ukryć. Przemknęła mu myśl, że ktoś tu naoglądał się zbyt wielu filmów, bo prycza nie dawała żadnej osłony, ale wtedy kobieta zaczęła strzelać pociskami usypiającymi.

Pierwsza strzałka chybiła, odbijając się od barku Adama. Przed dwiema następnymi uchylił się, po czym dał susa za pryczą i szczękami zmiażdżył kobiecie głowę. Potrząsnął, łamiąc jej kark, i dopiero upewniwszy się, że nie żyje, upuścił jej ciało. Nie lubił zabijać kobiet.

Zastygł z ofiarą pomiędzy łapami i z wysiłkiem zwalczył chęć, by ją zjeść. Kobieta czy nie, był głodnym wilkiem, a martwa i tak była już

tylko mięsem. Nie miał jednak na to czasu – poza tym intensywność apetytu na ludzkie mięsko oznaczała, że jego wilk zyskiwał przewagę. Dopiero pewny, że nad nim zapanował, znów ruszył na łów.

Kolejny cel zabarykadował się w pokoju już wcześniej sprawdzonym. Masywne, wzmocnione metalem drzwi, mające przypominać hiszpański styl kolonialny, zatrzymały pociski, które mężczyzna wystrzelił, gdy tylko Adam dotknął klamki. Kaliber broni nie mógł być zbyt duży.

Ale odgłosy strzelaniny sprawiły, że pan Jones wyjrzał z pokoju z pistoletem w ręku. Adam opuścił głowę i ryknął na niego. Żaden z pomniejszych wilków nie byłby w stanie wydać z siebie takiego głosu – przypominał raczej ryk lwa niż wilka. Kobieta stojąca za Jonesem nie przestawała krzyczeć. Jones wystrzelił dwukrotnie, zanim Adam go dopadł, ale był zbyt przerażony, żeby wycelować. Jedna z kul drasnęła bok Adama, druga przeszła obok. Trafienie ruchomego celu nie jest takie proste.

Adam celowo zbił Jonesa z nóg, uderzając go barkiem. Wrzaski kobiety spotęgowały się – przypląszczył uszy, przenosząc na nią uwagę. Ojciec nauczył go, że tylko tchórz krzywdzi kobiety. Jednak ta tutaj zgodziła się na zabijanie ludzi tylko dlatego, że byli powiązani z jego watahą. Przystała na morderstwa dzieci.

Mimo to Adam starał się zabić kobietę jak najszybciej. Kiedy milczenie jej śmierci wypełniło pokój, w głowie Adama echem odbiły się dawne napomnienia ojca.

Jones wydał z siebie niezrozumiały dźwięk i rzucił się w kierunku broni, usiłując zmusić do posłuszeństwa drżące ręce. Adam zostawił trupa kobiety, wyrwał mężczyźnie z ręki pistolet i zmiażdżył go. Bezużyteczne żelastwo upuścił na ziemię.

Szczęki świerzbiły go, by wykończyć Jonesa... Ale obiecał oddać zabójcę Petera Honey, nawet jeśli nie była wtedy w stanie go zrozumieć. Zemsta to groźna rzecz, jednak szybki odwet czasami pozwala ofierze odzyskać spokój. Zostawił więc Jonesa dla Honey i ruszył rozprawić się z ostatnim pozostałym przy życiu agentem SNIT.

Drzwi były solidne i zamknięte na klucz. Adam grzmotnął w nie barkiem, wyłamując z zawiasów. Zabolało, zatrzymał się więc, żeby

rozedrzeć je na strzępy. Doszedł do siebie dopiero wtedy, kiedy zamieniły się w drzazgi.

Mężczyzna leżał na podłodze i krwawił z rany postrzałowej. Jones miał broń większego kalibru i pocisk przeszedł przez drewno albo przez cieńszą ścianę. Pistolet mężczyzny leżał na podłodze. Nie był w stanie go utrzymać.

– Tygrys, tygrys... – wyjąkał wpatrzony w Adama. – W puszczech nocy... – Z trudem zaczerpnął powietrza, spojrzął Adamowi w oczy i powtórzył wyraźnie: – W puszczech nocy. – Jego ciało drgnęło raz jeszcze i znieruchomiało.

– Powiedz, czy ten sam Stworzyciel w ciebie tchnął i w Jagnię życie?[1] – dokończył w myślach Adam adekwatnym wersem. Sam zadawał sobie to pytanie: czy wilkołaki stworzył Bóg? Jak mógłby zrobić coś takiego i pozostać dobrotliwym?

Wpatrywał się w leżącego, dopóki jakiś odgłos nie wyrwał go z kontemplacji poezji Williama Blake'a i nie przypomniał, że nie wszyscy agenci nie żyją.

Przywołał watahę, wezwał ich na ostatni łów. Przybyli powoli, zataczając się, większość w wilczej formie. Przemiana ułatwiała zwalczać efekty narkotyków. Warren, Darryl i paru innych pozostało ludźmi. Zatrzymali się na widok czekającego u szczytu schodów Alfy.

Nozdrza Warrena zafalowały, a Darryl otarł usta. Adam spojrzął na Honey. Złocisty wilk zachwiał się lekko. Pochwycił jej spojrzenie, a potem zerknął za siebie, odsyłając ją na polowanie.

Dopiero gdy warknięcie Honey oznajmiło, że znalazła to, na co polowała, odsunął się, przepuszczając resztę stada. Kiedy minął go ostatni wilkołak, Adam zaczął się przemieniać. W biurze widział telefon stacjonarny. Tym razem trwało to krócej niż zazwyczaj.

Nie chciało mu się zastanawiać, czy to efekt działań Mercy, czy może mordów, których dokonał w winiarni.

Telefon działał, na szczęście – inaczej musiałby użyć jednego z aparatów należących do agentów, a ponieważ nadal czuł posmak polowania, mogłoby się to okazać nierozsądne.

W pierwszej kolejności wykręcił numer Mercy. Czuł przemożne pragnienie usłyszenia jej głosu – chciał poczuć, że nie jest tylko

mordercą, że nie jest tylko potworem. Mercy nie odpowiadała, a potem rozległ się głos operatora, informujący, że abonent jest niedostępny lub poza zasięgiem. Stłumił uczucie paniki.

Mercy była mądra, zapewne zniszczyła aparat, żeby nie dało się jej namierzyć. Wiedziałyby, gdyby nie żyła.

Mimo że w formie ludzkiej, nadal czuł się bardziej tym potworem, który rozniósł drzwi tylko dlatego, że były drzwiami, potworem, który potrzebował usłyszeć swoją towarzyszkę. Odetchnął głęboko i przez chwilę starał się myśleć jak człowiek.

Kiedy zadzwonił do Elizawiety, odebrał jeden z wnuków wiedźmy, choć w tle słyhać było jej zrzęczenie.

– Kto dzwoni o tej porze? – dopytywała się i kiedy wnuk jej powiedział, przejęła słuchawkę. – Adam – powitała go. – Martwiliśmy się o ciebie.

– Potrzebuję sprzątanina – rzucił bez wstępów i ogarnięty znużeniem, oparł się o ścianę. – To telefon stacjonarny, dasz radę go namierzyć?

– *Da*, to nie problem. Ile trupów?

Nie pamiętał. Nie liczył. Spojrzał na dłonie – były czarne od krwi.

– Aż tyle – odezwał się głos staruchy. – Przyjedziemy i zrobimy, co trzeba.

– Tylko przed świtem – zaznaczył. – O wschodzie mają tu przysłać śmigłowiec.

– Niczego nie znajdą – obiecała.

– Potrzebujemy też podwózki. Dla trzydziestu wilków.

– To też załatwimy – zapewniła go.

– I muszę wiedzieć, co z Mercy – dodał.

– Jest w domu Kyle'a. Pomyślałam, że będziesz o to pytał, więc kazałam jednemu z wnuków ją śledzić.

– Dziękuję. Przyjedź najszybciej, jak się da.

– Dobrze. – Wiedźma rozłączyła się.

Elizawieta dobiegała siedemdziesiątki. Była potężna, ale ciało zaczynało ją zawodzić. W ciągu dwóch ostatnich lat straciła dwóch ludzi, których przysposabiała do zajęcia jej miejsca, ludzi, którzy mieli pomóc nieść brzemień jej pracy. Obaj zginęli w wypadkach z udziałem

wilkołaków.

Mogłaby to źle odebrać, mogłaby obarczyć wilkołaki winą, tyle że darzyła Adama sympatią. Jego matka była Rosjanką, której rodzice uciekli z Moskwy, gdy była dzieckiem. Mówiła po rosyjsku i Adam nauczył się przy niej tego języka. Kiedy po raz pierwszy przemówił do Elizawiey w jej ojczystym języku, rozpoznała moskiewski akcent, mowę miasta, w którym się urodziła. Zrobił to celowo, by stworzyć między nimi więź. Zawsze pilnował się, by nie powiedzieć, że matka uciekła przed falą rewolucji, która przetoczyła się przez Rosję po pierwszej wojnie światowej.

Był prawie w wieku Elizawiey. Nie wiedziała o tym, a Adam dbał, żeby nie poznała prawdy, bo rozumiał, jak działa umysł ludzki. Stara wiedźma wiedziała oczywiście mniej więcej, w przeciwieństwie do społeczeństwa ludzi, że wilkołaki są długowieczne, ale nie łączyła tego z osobą Adama. Był tego pewien, bo gdyby zdała sobie sprawę z jego wieku, zaczęłaby zadręczać go, żeby ją przemienił.

Adam prędkiej by ją zabił.

Wśród wampirów panował zakaz przemieniania istot, które nie były tylko ludźmi. W przeszłości miało to miejsce. Do miejscowej chmary należeli pewien czarnoksiężnik oraz kobieta, która jeszcze jako człowiek nie była w pełni władz umysłowych.

Adam znał trzy wilkołaki, które urodziły się wiedźmami. Były trzema najbardziej niebezpiecznymi i najpotężniejszymi wilkołakami na świecie. Nie sądził, że stało się tak przez przypadek. Myśl o tak ogromnej mocy, posiadanej przez kobietę o tak... ambiwalentnym stosunku do moralności, napawała go niepokojem. Zaśmiał się do siebie. Stał tu, sam plamił czerwienią terakotę, całe jego nagie ciało ociekało krwią obcych ludzi, a on oceniał moralność innych.

Mógł pozostawić ich przy życiu, oddać w ręce sprawiedliwości. Ale sąd wypuścił już raz seryjnego mordercę tylko dlatego, że jego ofiarami były magiczna istota i wilkołak.

SNIT była agencją rządową, a jej pracowników nie stanowili seryjni zabójcy. Gdyby oddał ich pod sąd, o ich winie świadczyłyby tylko ciało Petera i lista celów ze ściany. Na dodatek przy okazji wyszłoby na jaw istnienie narkotyku, na którego działanie podatne są

wilkołaki, a tę słabość Bran starał się utrzymać w sekrecie. Adam zgadzał się z nim w całej rozciągłości, że nie należy rozpowszechniać wiedzy o specyfiku, którego można by użyć do zgładzenia wilkołaków, gdyby ktoś uznał, że pozbycie się ich jest dobrym pomysłem.

Wymiar sprawiedliwości co najwyżej dałby po łapach temu, kto kierował operacją. Może nawet człowiek ten straciłby pracę – i natychmiast został zatrudniony z dziesięciokrotnie wyższą pensją przez tych, którzy podzielali jego wizję. SNIT zastąpiłaby go pracownikiem o podobnych przekonaniach. W rezultacie wróg miałby się dobrze, a wilkołaki straciłyby kilka więcej asów w grze o przetrwanie.

Ale nawet mimo to Adam mógł postąpić w ten sposób. Schwytać wroga żywcem, bez ofiar. Sam wybrał, że tego nie zrobi. I nie z powodu przekonania, że sąd nie wymierzy im sprawiedliwości, to była tylko wymówka. Zacisnął zakrwawioną pięść, uniósł ją i oblizał.

Zaatakowali jego ludzi, zabili najbardziej bezbronnego. Zagrozili tym, którzy znajdowali się pod ich ochroną, a za to zasługiwali tylko na śmierć. Świat musiał zapamiętać, że głupotą jest nastawianie na watahę wilkołaków.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer do swojej agencji ochrony.

– Gutstein – odezwał się jego pracownik. W tle dobiegał zgiełk krzątających się ludzi. Godzina była niecodzienna na tak intensywne działanie biura.

– Jim. – Adam zamknął oczy.

– Adam! Szefie. Dobrze pana słyszeć. – Hałas w tle ucichły, a potem ktoś zaczął wiwatować. Szybko pociągnął za sobą innych.

Jim Gutstein zasłonił dłonią mikrofon, ale ogłuszony gwizdami Adam gwałtownie odsunął słuchawkę i odczekał, aż euforia ucichnie. Gdy znów ją przytknął do ucha, głos Jima nadal dobiegał stłumiony.

– Nic nie słyszę! Zamknijcie jadaczki, póki nie dowiemy się, co jest grane! – Kiedy ucichło, zwrócił się do Adama: – Proszę wybaczyć, szefie. Brooks powiedział nam wszystko, martwiliśmy się.

Adamowi zajęło chwilę by połączenie nazwiska z osobą Kyle'a. Nadal nie był w szczytowej formie. Potrzebował pożywienia, a nie chciał brać pod uwagę mięsa, które miał na podorędziu.

– I brakowało nam rąk do roboty! – pisnął ktoś po stronie Jima.

– Powiedz Evanowi... – zaczął Adam, wdzięczny za rutynową wymianę zdań, która utrzymywała go po ludzkiej stronie.

– Kroci się awansik, Evan – zawołał do współpracownika Jim. To był stary dowcip i wszyscy się zaśmiali. Jim przekrzyczał hałas: – Wszystko w porządku, szefie?

– W normie – odrzekł Adam cierpko. – Czyli katastrofa. Ale sytuacja jest już pod kontrolą. Dowiedźcie się, kto dowodzi ochroną senatora Campbella, i powiedzcie mu, że grupa agentów SNIT i przynajmniej jedna osoba z wojska plus jakiś nadziany gość z prywatnego sektora zasadzili się na senatora i usiłują zorganizować zamach.

– Mówi się, że już wiedzą. Mercy wyraźnie powiedziała wszystko na policji.

– Wolę, żebyście potwierdzili te informacje. Możecie powiedzieć, że ludzie, którzy za tym stoją, chcieli mnie w to wrobić i że choć sytuacja jest opanowana, nie wiadomo, czy niebezpieczeństwo grożące senatorom zostało zażegane. Przerzedziłem nieco szeregi SNIT. – Uśmiechnął się przez zęby. – Wojskowy prawdopodobnie wziął na celownik raczej nas niż senatora, podobnie jak sponsor, ale nadal pozostają w grze. Muszą mieć jakiś plan B na wypadek, gdyby nie udało im się mnie zmusić. – W pomieszczeniu operacyjnym nie było nic prócz listy celów, głównie notatki i jakieś świstki, ale Adam potrafił łączyć fakty. – Ktoś w ochronie ma zabić senatora, gdybym zawiódł. Zawiodłem, więc istnieje szansa, że sponsor się wycofał, ale nie wiem, czy informacja dotrze do odpowiedniego człowieka.

– Dowiem się, kto zna szczegóły ochrony senatora, i przekażę. Znam kogoś, kto może porozmawiać osobiście z senatorem. Ale to oznacza, że przyślą do pana federalnych.

– Uprzedź, że nie będę rozmawiał z nimi oficjalnie. – Jim był z Adamem od piętnastu lat. – Jest parę trupów, Jim, a ja ani nie zamierzam się do nich przyznawać, ani kłamać na ich temat. Oficjalnie ocknąłem się, a budynek, w którym nas przetrzymywali, palił się, więc uciekliśmy. Oficjalnie nic nie wiem, oprócz tego, że najwyraźniej chcieli zmusić mnie do zamordowania senatora.

– A się pali?

– Jeszcze nie. – Wiedźma wiele potrafiła zrobić z trupem, ale nie byłaby w stanie usunąć śladów jego pazurów z posadzek ani drzwi, które zniszczył. Trzeba pozbyć się ciała i spalić dom.

Zasychająca na skórze krew szczypała. Zapach potęgował głód. Czas kończyć rozmowę.

– Rozumiem. Jesteśmy z panem, szefie, i z twoimi wilkami. Możecie na nas liczyć. Aktualnie cały nasz najlepszy sprzęt zaangażowaliśmy do obserwacji domu Brooksa, a Mercedes pilnują nasi ludzie. Nie udało nam się zlokalizować Jesse, ale Brooks twierdzi, że jest bezpieczna.

– Tak. Dobrze. Wpadnę jutro, naradzimy się, co dalej robić.

– Mamy przekazać pańskiej żonie, że nic panu nie jest? – zapytał Jim. Adam spojrział na plamy na rękach.

– Nie. Sam jej to powiem, kiedy się stąd wydostaniemy.

– W porządku. Będziemy mieć na nią oko.

Stado zostawiło w końcu swoją ostatnią ofiarę i wszyscy zaczęli wypychać się do niedawno jeszcze sporego pomieszczenia. Adam odłożył słuchawkę.

Honey, nieomal tak samo zboczona krwią jak on – krew trzymała się sierści lepiej niż skóry – wystąpiła naprzód z opuszczoną głową i ogonem. Im bliżej była, tym szybciej się poruszała. Kiedy dotarła do Adama, położyła się i oparła o niego tak gwałtownie, że gdyby nie był na to przygotowany, zachwiałyby się.

Nie, pomyślał, schylając się, żeby położyć jej dłoń na łbie. Spojrzął po swoim zmaltretowanym stadzie. Nie żałował zabicia tych ludzi.

– Tygrys, tygrys w puszczech nocy. Świeci blaskiem pełnym mocy! – wyrzucił z siebie w dziwacznym wybuchu, spowodowanym przez zmęczenie. – Czyj wzrok, czyja dłoń przelała grozę tę w symetrię ciała?

– My nie tygrysy, my wilkołaki, szefie – stwierdził Warren, opierając się o futrynę. – Bóg nas nijak nie stworzył. Wystarczy spytać truposzy, gdzie nasz dom. – Mimo zaciągania i prostackiej budowy wypowiedzi, mimo ściągniętej znużeniem skóry na twarzy jego oczy pozostały bystre.

Darryl wydał z siebie odgłos, który można by wziąć za warknięcie,

gdyby Adam nie słyszał wcześniej prawdziwego warczenia swojego drugiego. Darryl wyciągnął rękę i zmierzwił Warrenowi włosy – niecodzienna oznaka czułości ze strony drugiego w hierarchii stada.

– Martwi nie mają głosu – oświadczył. – Jesteśmy tymi dobrymi. To, że budzimy strach, nie znaczy, że jesteśmy źli.

[1] Fragmenty wiersza „Tygrys” Williama Blake’a w tłumaczeniu Jerzego Pietrkiewicza (przyp. tłum)

Rozdział 7

Dominujące wilkołaki są maniakami kontroli i nie lubią jeździć jako pasażerowie. Asil nie był wyjątkiem. Zapiął pas, zamknął oczy i siedział spięty, nieszczęśliwy przez całą drogę do Kennewick.

Mieliśmy krótką wymianę zdań na temat tego, kto siądzie za kierownicą, ponieważ mojego argumentu, że ja, w przeciwieństwie do niego, wiem, gdzie jedziemy, nie uznał za wystarczający. Jednak, choć z oporami, zgodził się, że skoro i tak Marsilia obarczy mnie odpowiedzialnością za to wszystko, co stało się z jej samochodem (i jeszcze może się stać), mam prawo prowadzić. Nie mogliśmy wziąć jego samochodu z wypożyczalni, bo był do wypęku wyładowany urządzeniami namierzającymi, a nie chciałam bez konieczności doprowadzać nikogo do domu Sylvii.

– Nie martw się – pocieszyłam Asila wesoło. – Jeden samochód już w tym tygodniu rozbiłam, więc wyrobiłam normę.

Spiorunował mnie wzrokiem, co było o tyle imponujące, że nie otworzył oczu. Poranne niebo zasnuwały ponure, ciemne chmury, co w sumie nie zdarza się często. Nie było wiele jaśniej niż w nocy. Deszcz zaczął rozbijać się na szybie, kiedy skręcałam na autostradę do Kennewick. Samochód twierdził, że na zewnątrz jest jeden stopień powyżej zera.

Zimą niekiedy mamy tu ulewę marznącego deszczu. Aż strach wtedy jechać. Krople, lądując na asfalcie, zmieniają się w lód, który pokrywa jezdnię cienką warstwą, zacierając różnicę pomiędzy ulicą i chodnikiem. Układ kierowniczy i hamulce przestają działać. Widziałam, jak hamujące przed światłami ciężarówka toczą się na swych osiemnastu kołach siłą samego rozpędu. Gołoledź sprawia, że uradowani blacharze liczą roboty na palcach u rąk i nóg.

Ale przy temperaturze powyżej zera nie było tego problemu, więc nie przejmowałam się deszczem.

– Naprawdę zamierzasz skontaktować się z wampirami, jak już odbierzesz Jesse? – zapytał Asil, kiedy byliśmy już blisko celu.

– Nie przed zmrokiem – stwierdziłam i spojrzałam w niebo. –

Nocnym, nie dziennym. Nie wiem, jakie ten dzień przyniesie nam rozrywki, ale jeśli przetrwamy do wieczora, to owszem, tak. Marsilia ma dług wdzięczności wobec watahy, a choć chętnie zobaczyłaby mnie piekącą się na wolnym ogniu, to sprawa osobista. Interesy to interesy i są najważniejsze. To oznacza, że nie będzie chciała znaleźć się po nieodpowiedniej stronie w tej aferze, szczególnie teraz. Nie ma czworga z pięciorga najsilniejszych wampirów. Dwoje zdradziło ją, wchodząc w układ z wampirem, który chciał przejąć chmarę. Wykopała ich. Stefan opuścił chmarę w tym samym czasie. Został jej jeden silny wampir, ale obłąkany, z tego, co wiem. Nie może sobie teraz pozwolić na uchybienie wilkołakom.

– A co, jeśli nie chodzi o watahę? – zapytał łagodnie. – Co, jeśli wszyscy nie żyją? Nienawidzi cię na tyle, by zawziąć się i na nich? Zjadła zęby podczas epoki włoskiego renesansu, małe szachrajstwo to dla niej pestka.

– Wie o Branie, wie, że wychowałam się z jego watahą i że on ma do mnie słabość. Zdaje sobie sprawę, że gdyby się okazało, że jest w to zamieszana, Marrok starłby jej chmarę z powierzchni ziemi. Nie. – Rozważyłam tę opcję. – To nie ona. Zbyt wiele ryzyka i żadnej korzyści. Marsilia chyba nawet lubi Adama, łatwo się z nim dogaduje. Jest bezpośredni. Inny Alfa mógłby nie być tak przychylnie nastawiony.

Ale czy bez Adama byłoby w ogóle jakieś stado w Tri-Cities? Adam został tu przysłany, by załatwić sprawę z samotnikiem, który postanowił stworzyć watahę, a potem zaczął zabijać ludzi. Został, bo głównym trzonem jego interesów były kontrakty z rządowymi podwykonawcami, a tu była ich masa.

Z tym, że to też nie byłoby na rękę Marsilii, bo osłabiona liczyła, że Adam będzie trzymał w ryzach groźniejsze, nieprzyjazne istoty nadprzyrodzone i odstraszy inne od osiedlania się w mieście.

– Aha – westchnął Asil, gdy wjeżdżałam na teren osiedla. Kiedy zwolniłam, otworzył oczy. – Szkoda. Miałem nadzieję, że to sprawka wampirów. Wampiry mogą zabijać, nie tracąc przy tym panowania nad sobą. Jeśli winni okażą się ludzie, będę musiał znaleźć jakiś inny sposób na powstrzymanie ich. – Odslonił zęby. – Starość dopada nas wszystkich. Za bardzo lubię zabijać, żebym mógł sobie folgować w tym

względnie. Skoro naprawdę mamy być sprzymierzeńcami, musisz znać moje słabości, Mercedes, zanim okażą się problemem.

Większość wilków należących do Marroka kończyła w jego stadzie, bo nie potrafiła funkcjonować w innych. Widać Asil nie był wyjątkiem.

– W porządku – powiedział po odrzuceniu wszystkich komentarzy sprowadzających się do „w takim razie proszę, błagam, nie zabijaj nikogo”.

Przejechałam obok mieszkania Sylvii, dumając o prawdopodobnych sytuacjach, w których Asil byłby zmuszony zabić. Nie miałam gdzie zaparkować. Pewnie o siódmej rano w deszczową sobotę większość ludzi siedziała w domach. Ciekawe czemu...

W końcu znalazłam miejsce przy śmietniku parę bloków dalej. Mała toyota, która jechała za nami od domu Kyle'a, wioząc prawdopodobnie pracowników Hauptman Security, musiała przejechać dalej. Kiwnęłam im, kiedy nas mijali.

Otworzyłam drzwiczki, wysiadłam i... coś uderzyło mnie od tyłu.

Przygnieciona ciężarem, padłam jak długa twarzą na chodnik. Zaskoczenie odebrało mi władzę w członkach skuteczniej niż ból, który dotarł do mnie natychmiast po uświadomieniu sobie, że ktoś wskoczył mi na plecy. Gruchnęłam bezwładnie, unosząc jedynie odrobinę głowę, żeby ochronić twarz – zaprocentowały lata treningów karate. Znow rozbiłam sobie kolano i policzek.

– Nie szarp się – syknęła siedząca na mnie kobieta. – Nie chcę ci zrobić krzywdy.

Owinęła mi coś twardego i cienkiego na prawym nadgarstku i sięgnęła do lewego, spodziewając się, że zacznę wyrywać przytrzymywaną rękę.

Jednak ja, odpychając się kolaniem dla większej siły, przekręciłam się gwałtownie w stronę ręki, którą już uwięziła. Zaskoczona, z głuchym łomotem huknęła o bok samochodu Marsilii, ale nie na tyle mocno, żeby coś uszkodzić. Przynajmniej sobie. Mimo że łoskot zderzenia jej głowy ze snobistycznym nadwoziem przyspieszył moją jeśli-to-przeżyję-jestem-trupem-myśl, przemieniłam się.

Małe, dziwne kajdanki, zamknięte ciasno na przegubie, zsunęły się

z łapy kojota, a ja wysmyknęłam się spod napastniczki.

Przy okazji zyskałam innego oponenta – ubranie. Spodni pozbyłam się, kiedy wydostałam się spod kobiety. Potem podskoczyłam na tylnych łapach, wykręciłam się w powietrzu, wycofałam łeb i przednie łapy z bluzy i pozwoliłam jej opaść na ziemię. Majtki zaczepiły się o nogę i ogon, ale największym problemem okazał się głupi stanik.

Wylądowawszy, runęłam naprzód, dałam dwa susy i fiknęłam przez głowę, kiedy biustonosz zaplątał mi się w przednie łapy. Dzięki temu pierwsza kula, zamiast trafić tam, gdzie miała, drasnęła mnie, goląc nieco sierści.

Całą uwagę skupiłam na kobiecie, jednocześnie odtaczając się kilka metrów od niej i walcząc z ramiączkami, zbyt elastycznymi, by dało się je rozerwać. Odskakiwanie było kiepskim pomysłem, skoro strzelała. Gdybym miotała się na niej, przynajmniej nie mogłaby wymierzyć.

Miałam dosłownie ułamek sekundy, by dostrzec, jak kuca, przyjmując pozycję do strzału. Miała ciemną karnację, młodą twarz i białe włosy do pasa, zaplecione w warkocz. Wyglądałaby bardziej na miejscu na konwencie anime, niż mierząc z wielkiego pistoletu, powiększonego dodatkowo przez tłumik.

– Nie chciałam tego robić w ten sposób – burknęła, celując w moje miotające się ciało. – Za trupy mniej płacą.

Nagle nad dachem samochodu mignął jakiś cień, lądując kobiecie na plecach. Usłyszałam trzask łamanych kości, jeszcze zanim zarejestrowałam obraz siedzącego na niej Asila. Twarz wilkołaka była upiornie spokojna, a oczy jarzyły się cytrynową żółcią.

– Skundlona – mruknął, oglądając jej twarz, kiedy ja tymczasem się przemieniałam. Nie była to obelga, tylko spostrzeżenie. – Ta broń zawiera zbyt wiele metalu, rasowy nieczłowiek nie byłby w stanie jej używać nawet w skórzanych rękawiczkach.

Już otwierałam usta, żeby machinalnie zaprzeczyć – Zee nie miał problemu z dotykiem metalu – ale widok martwej kobiety mnie zamurował. Mój umysł nadgonił wreszcie wydarzenia, więc dotarło do mnie, że choć Asil wydaje się spokojny, o czym innym świadczą jego oczy. Mimo że wychowały mnie wilkołaki, nigdy w życiu nie

widziałam, żeby ktokolwiek, nawet Adam, który był jak błyskawica, poruszał się z taką szybkością. Miałam wrażenie, że coś się poruszyło, a w następnej chwili kobieta leżała trupem, a Asil stał nad nią.

Zdjęłam stanik, żeby dać sobie czas do namysłu – a straszliwemu wilkołakowi na ochłonięcie. Uświadomiwszy sobie, że stoję właśnie na zatłoczonym parkingu, który lada moment może wypełnić się ludźmi, założyłam biustonosz i wciągnęłam majtki. Bluza leżała pomiędzy mną i Asilem. Zmusiłam się, żeby przejść obok niego i podnieść ubranie.

– Poza tym naprawdę nie żyje – ciągnął obojętnie. – Rasową istotę magiczną byłoby trudniej zabić. – Obmacał trupa ze znanstwem świadczącym o sporym doświadczeniu. Mówił niższym tonem niż wcześniej i z silniejszym akcentem.

– Nie zauważyła, że siedzisz obok mnie – powiedziałam, zerkając na mercedesa. Szyby były przyciemnione mocniej, niż dopuszczały przepisy, szczególnie tylna i boczne. Dla Marsilii były to niezbędne środki zapobiegawcze. Gdyby zabawiła za długo na zewnątrz, szyby chroniły ją przed światłem słonecznym. Dla mnie oznaczało to, że kobieta nie zauważyła pasażera w samochodzie. Drzwi Asila stały otworem.

– Nieostrożność z jej strony – zgodził się Asil. Podniósł się i spojrzał na mnie. Włożyłam bluzę na głowę i pilnując, by na niego nie patrzeć, obciągnęłam ją w dół.

Drapieżnego wzroku wilkołaka dopełniało ledwie dostrzegalne napięcie w postawie. Pomyślałam o tym, co mówił dosłownie dwie minuty wcześniej, i zaczęłam rozważać, czy półkrwi nieczłowiek zalicza się na tyle do ludzi, żebyśmy mieli problem. Asil wydawał się radzić sobie całkiem nieźle, ale w przypadku wilków stan taki mógł zmienić się błyskawicznie. Wszystkie neurony w mojej pierwotnej części mózgu aż wyły na ten jego nienaturalny spokój.

– Musimy ją ukryć, zanim ktoś wyjdzie wyrzucić śmieci – powiedziałam, podchodząc i klękając przy trupie. Przyklęk był postawą uległą, nawet jeśli robiłam to tylko po to, by podnieść leżące u stóp Asila spodnie od dresu.

Obserwował mnie w milczeniu. Nie podniosłam wzroku, lecz czułam na karku jego spojrzenie. Zimny beton mroził mi tyłek, więc

wciągnęłam spodnie energiczniej niż zazwyczaj. Jedną skarpetkę miałam na nodze. Staralam się nie myśleć o tym, jak głupio muszę wyglądać, dokonując przemiany w kojota w ciuchach, ale skrzywiłam się wbrew woli, kiedy szukałam drugiej skarpety.

Nie znalazłam jej, za to buty leżały obok samochodu. Rzut oka na bok mercedesa natychmiast wymiótł mi z głowy wszelkie myśli o skarpetkach, trupach i wilkołakach-zabójcach.

– Szlag, szlag, szlag – przeklinałam, przesuwając dłonią po pogiętej karoserii. Kiedy popchnęłam niedoszłą morderczynię tudzież porwaczkę, jej głowa zostawiła wgniecenie w drzwiach kierowcy. Nie robią już tak porządnych samochodów jak kiedyś. Mój Królik mógłby zaliczyć dwakroć silniejsze uderzenie i nawet by się nie zarysował. Chciałam podejść bliżej i potknęłam się o ciepłe ciało.

Spojrzałam w oczy, które były ciemne, nim śmierć zasnuła je mgłą. Półkrwi istota magiczna robiła za życia ogromne wrażenie, jednak teraz, gdy uleciała z niej magia, wyglądała całkiem przeciętnie. Zerknęłam na wilkołaka, który odsunął się od trupa i stanął do nas tyłem, wpatrując się w blok z mnóstwem rzędów okien.

– Trzeba usunąć trupa z widoku – powtórzyłam, zabierając się do przenoszenia ciała. Musiałam odwlec je, żeby otworzyć drzwi od strony kierowcy i odblokować bagażnik. Asil nie drgnął, a ja nie poprosiłam go o pomoc. Nie stał mi na drodze, a nadal mnie przerażał.

Trup drgnął, kiedy go pociągnęłam. Ponieważ byłam kojotem, drapieżnikiem, zabijałam już wcześniej. Wiedziałam więc, że to tylko pozostałe w płucach powietrze i że opadająca na bok głowa oznacza złamany kark, a jednak podskoczyłam i puściłam zwłoki. Tyle że zdążyłam już odsunąć je wystarczająco, żeby wsiąść do samochodu. I nie pisnęłam.

Dopiero w środku przypomniałam sobie, że w kieszeni dresu mam kluczyki, na których breloczku znajduje się przycisk otwierający bagażnik. Męskie dresy posiadają takie wymyślne udogodnienia jak kieszenie.

Za pierwszym razem Asil nie pomógł mi przy ciele, ale gdy tylko otworzyłam bagażnik, bez prośnienia podniósł trupa razem z bronią i kajdankami, którymi kobieta usiłowała mnie skuć. Cały ten ciężar nie

sprawił mu najmniejszego problemu. Kobieta zniknęła z widoku, zamknięta w bagażniku niemal tak samo szybko, jak z żywej stała się martwa. Asil patrzył przez chwilę na zamkniętą klapę i rozluźniał palce. Obserwowałam go, licząc, że nie odwzajemni spojrzenia.

Widziałam już wiele wilkołaków w ludzkiej formie z takimi gorejącymi wilczymi ślepiami. Naprawdę wiele. Jednak żaden nie budził we mnie takiej grozy, co mój towarzysz. W jego głowie zaległo się coś, czemu podobało się zabicie tej kobiety i co chętnie kontynuowałoby dzieło mordy. Podobny lęk czułam przed Charlesem, synem Brana, ale miałam też pewność, że gdyby chciał mnie zabić, zrobiłby to szybko i bezboleśnie. Coś mi mówiło, że Asil lubił bawić się swoimi ofiarami.

O tak, lepiej, żeby już nie zabijał. Tyle że trzeba było raczej czegoś większego ode mnie, by go przed tym powstrzymać. Po gadce, jaką zaserwował mi w samochodzie, mogłabym się spodziewać, że będzie się bardziej starał powstrzymać przed zabijaniem.

Już otwierałam usta, kiedy znowu przejechała obok nas nijaka toyota. Kierowca machnął do nas i wzruszył ramionami. Hauptman Security nie znalazła żadnego miejsca parkingowego. Ciekawa byłam, czy gdybym zaczęła krzyczeć i wymachiwać rękami, przypędziliby tu, czy też nadal szukali pustego miejsca, żeby zaparkować.

Puste miejsce parkingowe.

Uświadomiłam sobie, że kobieta tu na nas czekała. Dokładnie tu, gdzie znajdował się przez przypadek śmietnik, na którego dachu mogła się zacząć – skoczyła na mnie z góry. Zastanawiałam się, czy użyła iluzji, by ukryć przed innymi to miejsce postojowe. Czy wiedziała, że Tad tu jest? Czy...

– A jeśli nie była sama? – rzuciłam, starając się nie bieć, ale iść szybciej w stronę bloku Sylvii. Zlekceważyłam zakładanie butów. Lekkie odmrożenia nie przerażały mnie tak, jak ewentualna śmierć Sandovalówen. Zamachowczyni zamierzała mnie co prawda pochwycić żywcem, ale nie zawahała się strzelić. Jak to wpisywało się w plan naszych wrogów? A skoro chcieli zabić mnie, co z Jesse? Byli już w domu Sylvii?

Nie runęłam pędem tylko ze względu na Asila. Obawiałam się, że czający się tuż pod powierzchnią wilk mógłby wziąć mnie za uciekającą

ofiare.

– Czemu sądzisz, że nie była sama? – zapytał całkowicie normalnym tonem.

– Bo jak do tej pory wszyscy przeciwnicy działali w grupach, co najmniej parach. – Jednakże nie chodziło o to, nie do końca. Rozwrzeszczane instynkty nie pomagały, podsuwały same przypuszczenia bez dowodów. Wychwycił moją półprawdę.

– Ale ekipa, która porwała Adama, składała się z ludzi, prawda? A ludzie nie współpracują z magicznymi istotami. Mimo to jesteś pewna, że ta tutaj była zamieszana w tamtą sprawę.

Zerknęłam na Asila i z ulgą stwierdziłam, że oczy mu na powrót pociemniały.

– Mercedes? Czemu uważasz, że była częścią planu, do którego należało również porwanie, a nie czegoś zupełnie odrębnego? Adam jest Alfą, ty jego towarzyszką, na pewno znajdujecie się na wielu celownikach.

Uderzyło mnie, że Asil przyjmuje tak spokojnie perspektywę istnienia dwóch różnych grup dybiących na nasze życie.

– Myślę, że drugi przeciwnik... – Przypomniałam sobie, że już wcześniej podejrzewałam więcej niż jednego sprawcę zamachu na stado, choć prawdopodobnie współpracowali przy intrydze. – Kolejny przeciwnik w tej kołomyi zmierzającej do porwania lub pozbawienia mnie życia odbiera mi wiarę w równowagę wszechświata. Ciekawe, skąd wiedziała, że tu będziemy.

Popatrzyłam w okna mieszkania Sylvii. Sylvia była mądra i pracowała na policji. Jej mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze. Nic nie wskazywało, by coś się tam działo niedobrego. Żadnych wypadających trupów, rozbitych szyb, odzianych w róż dziewczynek uciekających z krzykiem przed uzbrojonymi zbirami.

Może jednak się myliłam. Może moja napastniczka działała na własną rękę.

– Do tego – ciągnęłam nieobecna, skupiona na rozwrzeszczanych instynktach. Oczy Asila nadal były ciemne, więc zaryzykowałam i puściłam się biegiem – ostatnio nie wkurzyłam ani jednej magicznej istoty. To nie żaden odosobniony atak wampirów. Gdyby Marsilia

postanowiła skrócić dziś moje męki, udałoby jej się to. Chciałabym tylko wiedzieć, skąd ta magiczna wiedziała, że trzeba tu na nas czekać. Podsluchiwali naszą rozmowę z Tadem? Bo skąd inaczej miałyby... – Urwałam, zdając sobie nagle sprawę z własnej głupoty.

Ktoś, kto nie śledził na bieżąco opery mydlanej mojego życia, mógł nie wiedzieć o kłótni Gabriela z matką. Ja na pewno nie szukałabym dzieci w mieszkaniu Sylvii, ale ktoś obcy mógł po prostu sprawdzać krewnych. Przeceniłam przeciwnika, który w ten sposób znalazł Jesse. To właśnie usiłowały podpowiedzieć mi instynkty.

– Mercy? – Asil zrównał się ze mną. Jego piękny akcent pasował bardziej do gorąckrwistego kochanka niż mordercy, który zabija kobietę, poświęcając temu wydarzeniu tyle uwagi, co ja poświęcam odkręceniu słoika z majonezem. Albo i mniej.

Nie sprawiało to jednak wcale, że mniej mnie przerażał. Tym bardziej teraz, kiedy nabrałam przekonania, że będziemy go wkrótce potrzebowali.

– My... – Ściana mieszkania Sylvii eksplodowała, plując na chodnik gruzem, szkłem, kawałkami gipsu, izolacją i mężczyzną. Odłamki musiały trafić rykoszetem jakiś samochód, bo zawył alarm. Wyrzucony z piętra człowiek pozbierał się i popędził w stylu Jackiego Chana po ścianie budynku z powrotem do mieszkania. Ucieszyło mnie, że tak sprawnie się porusza, bo rozpoznałam go, kiedy spadał.

– Tad! – Wcale nie zamierzałam wrzeszczeć czy gnać na złamanie karku, ale robiłam jedno i drugie.

Asil dotrzymywał mi tempa, rozdzieliliśmy się pod blokiem. On dostał się na górę sposobem Tada, podczas gdy ja, pozbawiona nadludzkiej siły, musiałam skorzystać z klatki schodowej. Nigdy w życiu tak szybko nie pokonałam schodów. Drzwi otworzyły się i na klatkę wybiegł Gabriel z Jesse wraz z krzyczącym, łkającym i uwieszonym na nim wachlarzem Sandovalówen. Przeliczyłam ich, jednocześnie przeskakując przez poręcz i stając na zewnętrznej krawędzi schodów, żeby przepuścić dzieciaki – brakowało mi kogoś. Sylvii.

– Gdzie mama? – zawołałam do przebiegających.

– W pracy – rzucił Gabriel.

Cisnęłam w jego stronę kluczyki do mercedesa Marsilii.

– Weź wóz, stoi trzy bloki dalej, pod śmietnikiem. – Wskazałam odpowiedni kierunek. – Jedźcie do domu Kyle’a, ale nie za szybko. W bagażniku jest trup, a wy nie macie fotelików.

– Trup? – zdziwiła się najstarsza siostra Gabriela, której imienia zapomniałam, wisząc na schodach, przejęta hałasem dochodzącym z mieszkania, z którego przed momentem wyleciał przez ścianę ktoś, kto prawie był mi młodszym bratem. W tej chwili ledwie pamiętałam własne imię.

Nie martwiłam się o Sandovalów, byli twardzi, a trup w samochodzie im nie zaszkodzi.

– Napadła na mnie – wyjaśniłam pospiesznie. – Zabiło ją moje wsparcie ogniowe.

– Fajowo – podsumowała jedna z mniejszych dziewczynek, Sissy.

Nie zatrzymywali się w drodze na dół, gdzie Gabriel przegrupował towarzystwo, każąc wziąć najmłodsze na ręce. Jesse wykorzystała ten moment i popatrzyła do góry.

– Co z tatą? – zapytała bezgłośnie.

– Żyje – odkrzyknęłam. – Więcej nie wiem. Zmykajcie stąd.

Przeskoczyłam z powrotem przez poręcz, pokonałam ostatni bieg schodów i wpadłam na piętro Sylvii, po drodze przypominając sobie, że moja broń została w samochodzie Marsilii.

Pospiesznie zrzuciłam ubranie i wypuściłam mojego kojota.

W oddali wyły syreny. Posterunek znajdował się niedaleko, a hałasów z mieszkania nie dało się zignorować. W ludzkiej formie nie miałam szans z istotą, która cisnęła Tadem przez ścianę. Jako kojot miałam jeszcze mniejsze, ale mogłam przynajmniej odwracać uwagę przeciwnika. Poza tym na czterech nogach byłam szybsza niż na dwóch. W każdym razie szybsza niż większość wilkołaków.

Zajrzałam ostrożnie do salonu, jedyne pomieszczenie, w którym wcześniej byłam. Poza zapachem rodziny Sandovalów wyczułam wonie wilkołaka, Tada i... czegoś nieczłowieczego. Magiczne istoty pachną jak mieszanina żywiołów wyodrębnionych przez starożytnych filozofów – ziemią, powietrzem, ogniem, wodą, ze szczyptą świeżej roślinności. Ariana pachniała jak las, podobnie nieczłowiek u Sylvii.

Zamieszanie dochodziło z głębi mieszkania. Ktoś krzyknął, ale nie

potrafiłam ocenić, do kogo należał głos. Odsunąwszy na bok ostrożność, pognałam przez wąski przedpokój do dużej sypialni.

Wspólnik zabitej istoty wyglądał jak żywcem wyjęty z koszmaru. Ze skroni niekształtnej głowy, nieproporcjonalnie wielkiej w stosunku do ciała, sterczały dwie narośle przypominające załączki czułek. Jedno wielkie, płynne, szmaragdowe oko patrzyło na bok, zaś drugie, o połowę mniejsze, było całkiem czarne. Nos stanowiły dwie szczeliny, położone nad przerośniętą paszczą zaopatrzoną w nierówne, łopатовate, żółte zęby. Czarny jęzor wysuwał się co chwila i oblizywał otwory nozdrzy.

Mimo makabrycznego wyglądu mierzył co najwyżej metr dwadzieścia wzrostu. Jego drobne ciało wydawało się kruche – nadgarstki były szczuplejsze niż moje – i miało ludzkie kształty. Ogromne czteropalczone dłonie nieczłowieka ścisnęły dorównujący mu wielkością miecz wykonany z jakiegoś dziwnego czarnego metalu.

Asil walczył kijem baseballowym jak kataną – Japończycy, dysponując kiepskiej jakości stalą, nauczyli się kompensować to techniką. Wilkołak tańczył, nie pozwalając przeciwnikowi uderzyć porządnie w swoją broń. Tad wybijał wroga z taktu za pomocą dwóch noży kuchennych, niestety, przy okazji przeszkadzał też Asilowi. Nieczłowiek świetnie posługiwał się mieczem, jak ktoś, kto uczył się szermierki w czasach, gdy broń biała pozostawała w powszechnym użyciu.

Nie wszystkie magiczne istoty były długowieczne. Niektóre żyły jak owady, parę miesięcy, a potem ginęły. Większość z nich, według Zee, ginęła naprawdę. Były zbyt kruche, by przetrwać w świecie pełnym żelaza i betonu, który królował na ziemi.

Inne znów żyły podobnie jak ludzie, niektóre dwadzieścia, inne sto pięćdziesiąt lat. Niegdyś niewielki odsetek magicznych istot cieszył się niemal nieśmiertelnością. Era ludzi i technologii sprawiła, że te silniejsze stanowiły teraz większy procent swojej społeczności niż kiedykolwiek wcześniej.

Długość życia ludzkiego pozwalała na osiągnięcie mistrzostwa w szermierce – mój *sensei* zaliczał się do osób władających dobrze różnorodną bronią, w tym mieczem. Jednakże Asil był słynnym fechtmistrem z wielowiekowym doświadczeniem, a przeciwnik więcej

niż tylko się trzymał. Musiał więc być stary.

Tad też sobie nieźle radził – kiedyś mówił mi, że ojciec uczył go walki. Gdyby miał do dyspozycji jakąś lepszą broń i gdyby już walczył kiedyś w tandemie z Asilem, potrafiliby współpracować. A tak trudno im było nie przeszkadzać sobie wzajemnie.

Przypadłam do podłogi i posuwając się pod ścianą, zbliżałam się ostrożnie do walczących. Wśliznęłam się pod łóżko. Pod moim można znaleźć zazwyczaj koty kurzu, jakiś but, bieliznę, ale Sylvia była porządniejsza, więc za towarzystwo miałam jedynie plastikowe pojemniki z ozdobnym papierem. Przeczółgałam się od wezglowia do nóg i spod skraju narzuty obserwowałam potyczkę, czekając na okazję, żeby się włączyć.

Istota, robiąc unik przed kijem baseballowym, uderzyła w biurko i przetoczyła się po blacie, zrzucając z niego monitor, klawiaturę i gliniany kubek na długopisy. Na biurku przetrwało parę stert poukładanych i spiętych gumkami papierów. Nieczłowiek zasyczał i prawie lewitował się z biurka, niczym kot wrzucony do basenu, wpadając przy tym na Asila.

W Tri-Cities, którego większość mieszkańców od ponad pół wieku zasila szeregi pracowników rządowych, panuje urodzaj na stare, niezgrabne metalowe biurka, wywodzące się z lat pięćdziesiątych. Kupić je można na każdej wyprzedaży w każdej rupieciarni. Kiedyś znajoma poszła na aukcję sprzętu z budynku rządowego i myśląc, że licytuje zestaw dwóch biurek i dwunastu krzeseł biurowych, skończyła z całym pakietem zestawów, składającym się z blisko pięćdziesięciu biurek, trzystu piętnastu połamanych krzeseł, niedziałającej temperówki na baterię i czterech pudełek różowej gumki do mazania.

W mojej kanciapie w warsztacie stały cztery z tych krzeseł-frankensteinów, złożonych z nieuszkodzonych części kilkunastu innych.

Te masywne, niezniszczalne biurzyska występowały w różnych odcieniach szarości i sraczkowatej biurowej żółci oraz zieleni.

Wypadek świadczył o tym, że w przeciwieństwie do współpracownicy i mimo że tak zręcznie wymachiwał mieczem, nieczłowiek nie znosił dotyku żelaza ani stali.

Tad, porzuciwszy noże, skoczył na niego, ale Asil właśnie przepchnął przeciwnika pod mój nos. Nie czekałam, żeby zobaczyć, dlaczego to zrobił. Wyprysnęłam z kryjówki i zatopiłam zęby w lewej łydce magicznego zbira.

Nie posiadam szczęk buldoga, ale zacisnęłam je najmocniej, jak umiałam. Asil przeklął mnie po hiszpańsku. Że mnie, wiedziałam, bo wypowiedź kończyła się moim imieniem, a że to było przekleństwo – bo choć w lirycznym, dźwięcznym języku, dla mnie całkiem niezrozumiałym – to przekleństwo zawsze brzmi jak przekleństwo.

Zablokował też pałą ostrze, kiedy nieczłowiek zamachnął się, by grzmotnąć mnie głownią. Miecz nie zatrzymał się na drewnie, przecinając je gładko na pół, w wyniku czego Asilowi zostało w rękę do obrony przed magicznym ostrzem niecałe pół metra drewnianka. Broń nieczłowieka wydawała się całkiem zwyczajna, dopóki nie zetknęła się z drewnem – wtedy poczułam posmak magii Zee.

Nieczłowiek zaśmiał się, zataczając ze mną wiszącą mu u łydki. Powiedział coś po walijsku, co w innych okolicznościach może bym nawet zrozumiała, a przynajmniej domyśliła się treści. Odzyskał równowagę i zamierzył się na mnie ostrzem.

– Puszczaj! – wrzasnął Tad i biurkowa kolubryna spadła na nieczłowieka z hukiem, którego nie powstydzilaby się prawdziwa armata. Dokumenty, rachunki, szczątki komputera i artykułów biurowych wyleciały przez wyrwę w ścianie razem z nieczłowiekiem i ze mną. Podczas twardego lądowania puściłam nogę magicznej istoty, jednocześnie zdając sobie sprawę, że okrzyk Tada skierowany był do mnie.

Kawał metalu wylądował tuż przy mojej głowie, a potem gruchnął na wroga. Nieczłowiek wydał z siebie pełen wściekłości i bólu wrzask, który uderzył falą w moje uszy niczym wybuch. Nawet gdybym słyszała go z odległości kilometra, wiedziałabym, że nie wydało go ludzkie gardło. Poczulałam smród palonego mięsa, kiedy zepchnął z siebie biurko i cisnął je na jezdnię, gdzie odbiło się z gruchotem i potoczyło w zdezelowaną furgonetkę.

Przeciwnik sięgał poza mnie, gdzie parę metrów dalej leżała jego broń, ale ktoś go uprzedził.

Nieczłowiek zawahał się na ułamek sekundy, nie spuszcżając oczu z miecza, ale zbliżający się odgłos syren policyjnych – a może widok mężczyzny dzierżącego jego broń – zmusił go do ucieczki. Ze ściennej wyrwy Tad wykrzykiwał za nim obelgi.

Stojący nade mną mężczyzna odrzucił miecz daleko i usiadł obok na ziemi. Czułe dłonie dotykały mnie, ale nie byłam w stanie się skupić, oddychać – nadzieja była tak ogromna, że potrzebowałam czasu, by odzyskać zdolność wciągania do płuc powietrza. Kiedy znów mogłam oddychać, przemieniłam się i wdrapałam mężczyźnie na kolana.

– Adam – jęknęłam, wtulając się w niego jak głupia i czując, jak węzeł w moich piersiach się rozluźnia. Łzy płynęły mi po policzkach. Wstydziłabym się tego, gdyby on nie trzymał mnie równie mocno.

Otarłam oczy i odsunęłam się, żeby na niego spojrzeć. Wyglądał na umęczonego, miał zarośnięte policzki, a oczy... Musiało być bardzo źle. Słono zapłacił za ucieczkę.

Pocałował mnie. Był to gwałtowny, zaborczy pocałunek.

– Przybyłem rychło w czas, żeby zobaczyć, jak wylatujesz z drugiego piętra przez dziurę w murze, uczepiona nogi jakiegoś drania – stwierdził, kiedy już mnie puścił.

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego ust – widniały na nich ślady oparzeń.

– Srebro – wymamrotałam. To było ważne, nie zamierzałam ranić Adama. W końcu jednak straciłam wątek i nie wiedziałam już, co chciałam powiedzieć.

– Hej, papużki nierozłączki! – zawołał Tad, podchodząc do nas. – Przypadkiem zauważyłem, że Mercy jest goła, a lada moment będzie tu policja. Przyniosłem jej ciuchy.

Adam uśmiechnął się do Tada, ale powiedział do mnie:

– Tad ma rację, Mercy. Ubieraj się.

Zeskoczyłam mu z kolan, wzięłam dres od Tada i założyłam, stawiając bardziej na szybkość niż grację. Wszystko mnie bolało i – zerknęłam na Adama, który właśnie się podnosił – całkiem nic mnie nie bolało. Tad podszedł do leżącego w trawie ostrza i przyjrzał mu się bacznie.

– Chodź – powiedział, wyciągając rękę. Miecz uniósł się, wskoczył

mu do ręki, po czym... zniknął. Tad zacisnął w dłoni niewielki kawałek metalu i schował go do kieszeni. – Trudniej będzie wytłumaczyć ten przecięty w pół kij bejsbolowy, ale nie można pozwolić, żeby policja zarekwirowała miecz – wyjaśnił. – Stanowiłby dla nich zagrożenie.

Szumiało mi w głowie, ale w końcu dopiero co wypadłam z drugiego piętra, dowiedziałam się, że Adamowi nic jest, a do tego ujrzałam go na własne oczy. To oznaczało, że nie muszę już dowodzić.

Obecność Adama wywiała mi z głowy wszelkie troski. Absolutnie wszystkie. Coś się wydarzyło, coś magicznego, co pachniało nadprzyrodzonymi i czekało na ten moment, ale przepełniona szczęściem, tym również się nie przejęłam.

– To twój ojciec zrobił ten miecz, prawda? – zapytałam Tada, zawiązując sznurek w spodniach. – Z czegoś nieżelaznego i niestalowego, czego mogą dotyczyć nieładzie?

Tad skinął potakująco, przyglądając mi się uważnie.

– Takich jak ten było chyba pięć, a każdy odrobinę inny. Jeden ma ojciec. Wszystkie oznaczają kłopoty. Jeśli ktoś nie używa ich akurat, by wyznaczyć w pień tłum ludzi, to jakiś przeklęty Szary Pan gardłuje się, jak to skarby nieładzi należy chronić. Szarzy Panowie gromadzą magiczne artefakty, tak jak smoki złoto. A skoro miecz jest zbyt niebezpieczny dla policjantów, to tym bardziej nie należy go oddawać w ręce Szarych Panów. Przekażę go ojcu i niech on się martwi, co z nim zrobić. – Znowu przyjrzał mi się uważnie, przekrzywiając głowę na bok. – Dotknij nosa, Mercy.

Dotknęłam nosa, wydawał się normalny. Jeśli coś na nim było, jakaś smuga czy ślad, nie wyczuwałam tego.

Tad zwrócił się do Adama i już miał coś powiedzieć, kiedy przy leżącym na jezdni biurku zatrzymał się radiowóz, migający kogutem, ale na szczęście z wyłączonymi syrenami. Jak gdyby na ten sygnał, sąsiedzi zaczęli wysypywać się z mieszkań i gromadzić pod blokiem. Na miejsce przybyły jeszcze dwa radiowozy – ze środkowego wysiadła Sylvia, a za nią Tony.

– Gabrielowi i dziewczynkom nic nie jest – zawołałam, starając się przekrzyczeć zgiełk gapiów komentujących widok zniszczonego mieszkania. – Kazałam im jechać do Kyle'a.

Sylvia przystanąła, zamknęła oczy i przeżegnała się. Potem razem z Tonym podeszli do nas. Zadarła głowę, spoglądając na dziurę w ścianie budynku, w miejscu, gdzie znajdowało się jej mieszkanie.

– Tad ich powstrzymał – powiedziałam. – A Gabriel wyprowadził dzieci.

– Kto to zrobił? – zapytał Tony ostrożnie, także podziwiając wyrwę w bloku. Tad wydał z siebie dziwny dźwięk, a Adam stanął za mną i mnie objął. Wsparłam się brodą na jego przedramieniu, zadowolona z tego kontaktu.

– Zawodowcy. Najemnicy. – Kobieta zaatakowała mnie bez emocji. Bez gniewu, bez żalu. Wykonywała robotę, nic poza tym.

– Wiem, kim był ten w mieszkaniu – odezwał się niespodziewanie Tad. – Nie żeby to w czymkolwiek pomogło. Cześć, Tony, dawno cię nie widziałem.

– Dobrze cię widzieć, *chico* – przywitał go policjant. – Co tu się stało?

– Mercy ukryła tu Jesse i Gabriela. Znasz Gabriela, prawda?

Tony przytaknął, zerkając na Sylvię.

– To ja poleciłem go Mercy.

– Nie myśl, że o tym zapomniałam – burknęła Sylvia, a Tony skrzywił się lekko, łypnął na mnie i znów się skrzywił.

Sylvia obrzuciła mnie spojrzeniem, na widok którego i wampiry wzięłyby nogi za pas, Adama natomiast celowo ignorowała.

– Jesteś pewna, że dzieci są bezpieczne?

– Odesłałam ich do Kyle'a – powtórzyłam i przypomniałam sobie, że ona przecież nie zna Kyle'a. – To facet jednego z wilkołaków, prawnik. Jego dom znajduje się pod ochroną, więc dzieci będą dobrze strzeżone. Przykro mi, Sylvio. Gdybym przewidziała, że mogą tu przyjść, w życiu nie sprowadziłabym Jesse.

– Przysłałaś też tego tu. – Wskazała głową Tada. – Chociaż chłopak wygląda na niewiele starszego od Gabriela.

– Jestem twardy – stwierdził smętnie Tad, który rzeczywiście przypominał teraz raczej szczeniaczka niż twardziela.

Trudno mi było orzec, co też Sylvia może sobie teraz myśleć. Schyliła się i zaczęła zbierać papiery, które leżały dokoła.

– No – ożywił się Tad, zwracając się znów do Tony’ego. – Więc Mercy zostawiła Gabriela i Jesse z Sylvią, przekonana, że tu nie dopadną ich ci, którzy na nich dybali. Ale martwiła się o nich, więc poprosiła, żebym miał na nich oko.

Na twarzy Tony’ego odbiło się nagłe zrozumienie.

– Jesteś synem Zee – stwierdził odkrywczo. – Ciągłe zapominam, że jesteś po ojcu półmagiczny. – Łatwo było o tym zapomnieć. Tad wyglądał całkiem ludzko, jak zresztą wielu nie ludzi czystej krwi przez większość czasu. Nie miałam pojęcia, czy ten ludzki wygląd Tada to iluzja, czy też jego prawdziwe oblicze. Półnie ludzie mogą wyglądać różnie, a do tego niektórzy posiadają moc, a innym brak magii, by ukryć powierzchowność. Wielu z nich nie dożywa dorosłości. Nie ludzie są niezwykle pragmatyczną rasą.

Tad skinął do Tony’ego.

– Mercy wiedziała, że mam dość ikry, by w razie czego narobić kłopotów nieproszonym gościom. No i goście się pojawili. – Popatrzył z żalem na dziurę w murze. – Jak się nie uda złapać tych drani, to pewnie będę musiał zapłacić za szkody.

– Wykluczone – oświadczył Adam stanowczo. Mówił inaczej niż zazwyczaj, niżej, bardziej chrapliwie. Ale tak miło grzał mi kark. – Zajmiemy się wszystkimi wydatkami albo doprowadzeniem twojego mieszkania do wcześniejszego stanu – obiecał Sylvii.

Czekałam na jej wybuch. Oczywiście nie mogłabym mieć jej tego za złe. Nikt, kto widział leżący na skwerku kawał ściany, nie ośmieliłby się twierdzić, że jej dzieci były tu bezpieczne.

– To moja wina. – Uderzyłam się w pierś. – Napastnicy znali tożsamość wszystkich członków stada, nawet tych, o których nie powinni nic wiedzieć. To dlatego zakładałam, że wiedzą też, że nie rozmawiacie z Gabrielem. Najwyraźniej jednak poszli tropem jego najbliższej rodziny.

Sylvia wyprostowała się, uderzyła w udo pakietem rachunków, które zebrała, a potem jeszcze raz popatrzyła na dziurę.

– Nie – rzekła powoli. – To nie twoja wina. To wina ludzi, którzy przyszedli do mojego domu z zamiarem skrzywdzenia niewinnych.

– Masz rację – wtrącił Adam, a potem dodał ze stanowczością

Alfy: – Mimo to wataha pokryje koszty szkód. Ci ludzie polowali na moją córkę.

Sylvia łypnęła na Adama niechętnie, ale nie potrafiła długo na niego patrzeć.

– Zgoda – odezwała się w końcu o ton łagodniej niż wcześniej, a potem zwróciła się do Tada: – Jesteś porządnym młodzieńcem i najwyraźniej tak silnym, jak twierdzisz. Dziękuję, że chroniłś moje dzieci.

– Hej, Sylvia! – zawołał młody mężczyzna w koszulce Uniwersytetu Waszyngtońskiego. – Może ci pomożemy? Zaniesiemy z Tomem to biurko z powrotem do twojego mieszkania, a paru gapiów pozbiera ten bajzel. – Pociągnął za warkocz młodszą o parę lat śliczną dziewczynę, która stała obok niego.

– Przestań – zbesztala chłopaka, odtrącając jego rękę. – Jasne, pani Sandoval, pozbieramy te rzeczy.

Na scenie pojawiła się zaniepokojona kobieta w średnim wieku, z notesem w ręku.

– Nazywam się Sally Osterberg – przedstawiła się policjantowi, który robił notatki. – Jestem zarządcą osiedla. Może mi pan wyjaśnić, co się stało?

– Właśnie do tego dochodzimy, Sally – odezwała się Sylvia, nadal nienaturalnie spokojna. Może zachowywała się tak, bo przeszła szkolenie niezbędne w pracy dyspozytora policji, a może po prostu dlatego, że była samotną matką gromadki dzieci w wieku zapewniającym rozstrzelenie po całym systemie edukacji.

– Wolisz sama zająć się remontem i przedstawić potem rachunek czy może chcesz, żebyśmy to my zatrudnili ekipę budowlaną? – zapytał Adam.

Sally odwróciła się do niego, na moment zamarła, po czym rozjaśniła się nagle.

– Pan Adam Hauptman? To pan? O mój Boże. Myślałam... Widziałam w wiadomościach, podobno został pan porwany przez jakąś grupę paramilitarną? Walczył pan i uciekł? Czy... – Urwała, ale nie dlatego, że zabrakło jej słów.

Przechyliłam głowę, żeby zobaczyć, jak Adam zwraca się do niej z

uśmiechem.

– Tak, to ja. I tak, uciekłem. A ta sprawa chyba jest powiązana z moim porwaniem.

– To takie ekscytujące – zaczęła trajkotać kobieta. – Niech no tylko powiem siostrze, że wilkołak wyskoczył u nas przez ścianę. I to nie byle wilkołak! – Zmitygowała się, pąsowiejąc. – Gadam jak jakaś koza.

– Ależ skąd – zaprzeczył uprzejmie Adam, nie prostując, kto naprawdę dokonał zniszczeń. – Mówi pani jak każdy, kto znalazłby się nagle w sytuacji rodem ze „Strefy mroku”. Czy mogłaby pani załatwić sklejkę, żeby na razie zabezpieczyć dobytek pani Sandoval przed deszczem?

– Och, oczywiście! – obiecała rozpromieniona. – Już się tym zajmuję.

– Dziękuję.

Obdarzył ją uśmiechem. Uśmiechała się i ona do niego rozanielona, póki jej wzrok nie padł na mnie. Odchrząknęła zakłopotana.

– No, to ja lepiej pójdę rozejrzeć się za tą płytą.

Tony odprowadził truchtającą Sally wzrokiem, po czym zwrócił się do Adama:

– Przy kolejnej awanturze domowej zabiorę cię ze sobą – stwierdził. Adam uśmiechnął się ze znużeniem.

– To nie zawsze tak działa. Agresywni faceci reagują wprost przeciwnie. Jeśli nie chcesz, żeby trup słał się gęsto, lepiej nie dzwoń.

– No – zaczął funkcjonariusz, podchodząc do Tony’ego. – Może tutaj ktoś zechce mi powiedzieć, co właściwie się wydarzyło? Nie ma ofiar śmiertelnych, nie ma rannych, więc nie jest to nagły wypadek, ale porucznik potrzebuje czegoś, żeby napisać sensowny raport.

Już otwierałam usta, ale Tad rzucił mi jedno z tych intensywnych spojrzeń, którymi raczył mnie od jakiegoś czasu. Odwrócił się do policjanta, jednocześnie wchodząc pomiędzy nas, a wszystko to z rozbijającą prząsnością uśmiechem.

– Większość dnia przesiedziałem na tym tu ogrodzeniu. – Wskazał betonowy, blisko dwumetrowy murek otaczający osiedle. – Tak, wiem – rzekł na widok miny policjanta. – Pewnie się pan zastanawia, czemu to mnie oddelegowano do pilnowania, skoro wyglądam jak z plakatu

siłowni, z tej części „przed”. Mój ojciec jest nieczłowiekiem, a ja jestem silniejszy, niż się to wydaje. No, ale Jesse zrobiła...

– Jesse?

– Tak, córka Adama, ta, której trzeba było strzec przed łotrami. – Tad stanął teraz obok funkcjonariusza i zaczął zaglądać mu przez ramię w zapiski. – Pisze się J-E-S-S-E. A ja nazywam się Tad, przez „d”, zdrobnienie od Tadeusza, ale nie używam. Nazwisko Adelbertsmiter. – To również przełiterował. Dwukrotnie.

Policjant odsunął się, usiłując zapewnić sobie nieco większą strefę osobistą, lecz Tad deptał mu po piętach.

– Dziękuję panu – powiedział policjant stanowczo. – I co stało się z tą ścianą? – zapytał, patrząc na mnie, ale i w tym wypadku Tad mnie wyręczył.

– Więc jadłem tego murzynka, którego upiekła Jesse, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Kazałem dzieciom iść do jednego z pomieszczeń, a sam poszedłem otworzyć.

– Wpuścił pan sprawcę?

– Czy ja wyglądam na pięciolatka? – obruszył się Tad. – Oczywiście, że nie. Zapytałem, kto tam, a facet powiedział, że jest z UPS i ma dla nas paczkę. Powiedziałem, że „wyskoczyłem spod prysznic i jestem goły” i kazałem mu ją zostawić pod drzwiami.

– Myślałem, że jadł pan ciasto? – westchnął policjant, który poddał się w końcu i z rezygnacją przyjmował wiszącą bliskość Tada.

– No tak – potwierdził Tad. – Skłamałem. Miałem przecież bronić dzieci. Nie otworzyłbym nieznajomemu. Istnieją stwory, które poczytałyby coś takiego za zaproszenie do domu, a nie zaprasza się do domu diabła.

– No tak – zgodził się policjant słabo. – Oczywiście, że nie.

Tony otarł usta, ukrywając uśmiech. Widział już kiedyś Tada w pełnym trybie popisowym. Tad nie okłamywał policjanta, po prostu jak zręczny prestidigitator kierował jego uwagę tam, gdzie było mu wygodnie. Nie miałam pojęcia, co Tad chce ukryć przed władzą, ale najważniejsze, że Adam był przy mnie, cały i zdrowy. Reszta się nie liczyła.

– Myślałem, że nieludzie nie mogą kłamać? – wtrącił jakiś

dzieciak, który miał pomagać przy zbieraniu rzeczy Sylwii.

Tad skinął mu głową.

– Tak, ale to się tyczy tylko prawdziwych niełudzi i niektórych półkrwi. Ja na szczęście nie muszę mówić prawdy. „Bo skłamałem” – rozpostarł ramiona, aby publiczność mogła go lepiej podziwiać – „i nadal żyję”.

Stojący za mną Adam zaśmiał się cicho.

– W każdym razie – ciągnął Tad, zwracając się już do wszystkich gapiów – ten rzekomy kurier UPS powiedział, że muszę się podpisać. Kazałem mu więc zostawić awizo, zapewniając, że sami odbierzemy przesyłkę. I właśnie wtedy otworzył zamek jakimś wytrychem albo magią, nie wiem, bo zaraz potem usiłował mnie zaatakować paralizatorem. Kiedy mu się to nie udało, wyjął taki dziwny miecz i chciał odrąbać mi głowę!

– Miecz? – powtórzył policjant, który miał minę, jakby przestał nadążać.

– No wiem, nie? Mnie też zaskoczył. Musiał być dość stary, bo wiedział, jak się tym posługiwać. W szkole przez dwa lata ćwiczyłem aikido, a on robił mnie, jak chciał. – Zastanawiałam się, czy ktoś zauważył, że Tad, choć poobijany, nie miał żadnej rany ciętej. – Ale udało mi się wciągnąć go głębiej do mieszkania i dać dzieciakom szansę na ucieczkę. No i w którymś momencie rzucił mną przez ścianę.

Wszyscy, którzy zbierali rzeczy w pobliżu Tada, a także policjanci przysłuchujący się historii, spojrzeli na niego ze zdziwieniem, bo nie wyglądał jak ktoś, kim rzucono przez ścianę. Tad nie był przystojny, miał za duże, odstające uszy i spłaszczony nos, jakby przeżył trzy rundy w ringu z George'em Foremanem, ale kiedy chciał, potrafił ściągnąć na siebie uwagę ludzi. Nie była to magia, po prostu miał charyzmę.

– Półkrwi nieczłowiek – powtórzył dobitnie. – Czasami się to przydaje. – Spojrzał na ścianę, gdzie ziała wyrwa, i skrzywił się. – To nie znaczy, że nie bolało. Pobieglem do środka i zająłem go, żeby dzieci miały czas na ucieczkę. Rzuciłem w niego biurkiem i wywaliłem przez tę samą dziurę, którą wcześniej zrobił mną. Wtedy byliście już blisko, więc facet się pozbierał i wziął nogi za pas.

Najwyraźniej mieliśmy pominąć udział Asila w sprawie.

Rozejrzałam się, ale wilk Brana gdzieś zniknął. Może to Asil był motorem iluzjonistycznego przedstawienia, które dał Tad?

– Co możesz powiedzieć mi o porwaniu, Adamie? – Tony, w przeciwieństwie do innych, nie dał się porwać szalbierskiemu pokazowi.

Adam uśmiechnął się znużony.

– Na razie pójdę odpocząć. Dam twoje namiary mojemu prawnikowi, a jutro złożę pełne zeznania, dobrze?

Tony przystał na to, choć niechętnie.

– W porządku, ale jeśli nie dasz znać przed dziesiątą, zadzwonię. Twoja kolej, Mercy.

Pomyślałam o trupie w bagażniku Marsilii i zawahałam się, nie wiedząc, od czego zacząć.

– Ona prawie nic nie widziała – wtrącił się Tad i tym razem poczułam, jak jego magia przepycha się przede mną, ściągając na niego uwagę Tony'ego. – Może niech zabierze teraz Adama do domu, a jutro przyjdzie z nim na rozmowę, co? Wiem, kim był sprawca, to spriggan, rodzaj magicznych istot. Raczej rzadkie stwory, i na szczęście, bo to paskudne podgryzacze, co jeden, to gorszy. Ten spriggan nie jest mieszańcem, więc kiedy nie wrócił do rezerwatu z innymi, został wyjęty spod prawa. Ma ksywkę Drzazga, trzyma się zazwyczaj z taką półkwi magiczną, pseudo Ziółko. Są płatnymi zabójcami. Babeczki nie widziałem, może stała na czujce.

Ziółko, teraz martwa, jechała w bagażniku samochodu Marsilii. Wydawało się, że to odpowiedni moment, by powiedzieć o niej policji – została zabita w samoobronie. Lepiej było wyjawic teraz wszystko, niż ryzykować, że dowiedzą się o tym sami. Ale jakoś tak dobrze mi było stać z Adamem, że zabrakło mi energii, by się odezwać.

Tony przyjrzał się Tadowi spode łba.

– A ty skąd miałbyś znać ksywki zabójców do wynajęcia?

Tad pokwaśniał.

– Bo choć ci czystej krwi mają gdzieś mieszańców, to wysłali nam wszystkim listę swoich, którzy zignorowali zarządzenie Szarych Panów. My, odrzuceni, mamy zwracać na nich uwagę i donosić na nich.

– Rozumiem – przytaknął Tony. – A co wam robią, jeśli nie doniesiecie?

Tad do reszty odrzucił swą błazeńską fasadę. Teraz wydawał się całkiem dorosły.

– Nic dobrego. Szarzy Panowie uważają mieszańców za zbędnych.

Tony zamrugał i zatrzymał dla siebie kazanie, które nasunęło mu się na język. Wreszcie potoczył wzrokiem po śladach destrukcji, które właśnie usuwano. W zasadzie było to miejsce zbrodni i nikt nie powinien go sprzątać, ale fruujące wokół papiery należały przecież do Sylvii.

– Nie ma żadnych trupów – zauważył funkcjonariusz nękany wcześniej przez Tada. – Nie ma śladów krwi i nikt nie wniesie pozwu, bo pan Hauptman pokryje szkody. Na wszelki wypadek musimy jednak napisać raport. Dajmy im posprzątać, Tony. – Popatrzył na Adama. – A pan Hauptman przyjdzie jutro złożyć zeznania, tak? Mnie to pasuje, a tobie, Tony?

Tony zasępił się, spoglądając na mnie, i magia Tada rozbłysła ponownie. Wreszcie nasz zaprzyjaźniony policjant ustąpił.

– W porządku – rzekł, a gdy jego wzrok padł na Sylwię, zmiękł całkiem. – Może dasz klucze jednemu z sąsiadów, żeby mógł zamknąć, kiedy zanoszą wszystko na górę, a ja zawiozę cię do domu Kyle'a, do dzieci?

Rozdział 8

Adam

Adam trzymał język za zębami i przytulał Mercy, która była jego kotwicą i pomagała powstrzymać się przed warczeniem na tego miłego policjanta.

Starał się na nią nie patrzeć, bo i tak było mu trudno w tym zgiełku, wśród ludzi, a widok jej posiniaczonej twarzy nie polepszał sytuacji. Instynktownie czuł, że coś jest nie w porządku. Trwało to od chwili, gdy ujrzał spadające z góry biurko i nie widział dokładnie, czy nie wylądowało na Mercy. Dech zamarł mu w piersi na myśl o życiu bez niej...

To też nie pomagało mu się uspokoić. Miał przeczucie, że wróg ich obserwuje, że nikt nie jest bezpieczny. To wszystko były echa walki, sprawy z porywaczami i dramatycznej sceny z Mercy w roli głównej. Znał to napięcie jeszcze z czasów, zanim stał się wilkołakiem.

Adam grzecznie, lecz uparcie odmawiał odpowiadania na pytania, jakie zadawał mu Tony, kiedy czekali, aż Sylvia skończy rozmawiać z sąsiadami. Wreszcie policjant dał za wygraną.

Tony był dobrym gliną i podejrzewał, że coś ukrywają, ale Adam wziął prysznic w winiarni, kiedy czekali na Elizawietę, i wiedział, że ślady po morderstwach ograniczają się już tylko do tych niewidocznych, te zaś potrafił ukryć nawet przed instynktem bystrego śledczego.

Tony podniósł jakiś zabłąkany papier, który wiatr przywiał mu do buta, i rzucił nań okiem. Adam dojrzał logo dostawcy energii i sporo czerwonego tekstu. Tony zmiął rachunek.

Tajemnicą poliszynela było, że Tony kochał się w Sylvii, podobnie jak to, że dała mu kosza. Jednakże Jesse mówiła, że sytuacja miała miejsce dwa lata temu, rok po śmierci męża Sylvii. Tony uszanował jej decyzję i wycofał się, co było wtedy dobrym posunięciem. Ale, zdaniem znowuż Jesse, Tony'ego należało kopnąć w tyłek i kazać mu jeszcze raz spróbować.

Oto jakiś magiczny drań mógł zniszczyć jej dom, zagrozić

dzieciom i rozrzucić na wietrze ponaglenia do zapłaty. Sylvia była twardą, mądrą kobietą i dawała sobie sama radę – nie potrzebowała ratunku od księcia na białym koniu. To jednak nie oznaczało, że książę ów i tak nie pragnął chronić jej przed wszystkim, co było w jego mocy.

Adam opuścił wzrok, żeby sprawdzić, czy Mercy też wychwyciła olśnienie, jakiego właśnie doznał Tony, ale kiedy Mercy zauważyła, że na nią patrzy, natychmiast przestała zwracać uwagę na otoczenie i uśmiechnęła się do niego promiennie.

Wargi miała obwiedzione czernią przechodzącą w szarość. Taki makijaż dawałby interesujący efekt w połączeniu z jej karnacją, ale Adam wiedział, że to nie awangardowa szminka. Srebro oparzyło mu usta, kiedy ją pocałował. Wiedział też, że zabarwienie ust było związane z tym, co zrobiła poprzez więź, kiedy wyciągnęła z niego truciznę. Miał tylko głęboką nadzieję, że to jedyny efekt tamtego procesu. Nawet gdyby oznaczało to, że już nigdy nie będzie mógł pocałować Mercy bez oparzenia warg, mógłby z tym żyć, byleby tylko nie ucierpiała w żaden inny sposób.

Jutro zapowiadało się pełne zmartwień. Dzisiaj było mu dobrze. Odczekał, aż Sylvia i Tony wsiądą do radiowozu, a potem, zadowolony, że ludzie, za których czuł się odpowiedzialny, są już bezpieczni, postanowił także się zebrać.

Pocałował Mercy w skroń, kazał jej poczekać i pobiegł poszukać swoich ludzi z agencji.

Dwie identyczne toyoty stały przy śmietniku – ta, którą przyjechała ekipa pilnująca Mercy, i ta, którą przybył on w towarzystwie jednego pracownika. Mężczyzna wręczył mu kluczyki i odjechał z kolegami. Dzięki takiemu przetasowaniu Adam zdobył samochód, którym mógł zabrać Mercy do Kyle'a. Kiedy jednak otworzył drzwiczki i schylił się, żeby wsiąść, uświadomił sobie, że leżące pod samochodem buty, podobnie jak jedna skarpetka bliżej śmietnika, należą do Mercy.

Wyczuł wonie Mercy, śmierci, nieludzi i... obcego wilkołaka. Ten ostatni zapach wyrwał mu z gardła warknięcie. Całkiem zapomniał, że Mercy przyjechała tu z wilkołakiem, którego Bran wysłał im na pomoc. Wilkołakiem, który najwyraźniej starał się nie ujawniać. Wyglądało na to, że wydarzyło się tu znacznie więcej, niż miał okazję zaobserwować.

Zabrał buty oraz skarpetkę i podjechał w miejsce, gdzie zostawił Mercy. Czekala tak, jak jej polecił. Na jego widok pomachała radośnie. Obok niej stał wpatrzony pod nogi syn Zee, teraz już, kiedy nie musiał robić przedstawienia, wyraźnie czymś zmartwiony.

– Mogę jechać z wami? – zapytał chłopak, kiedy Adam zatrzymał się przy nich. Zerknął na Mercy i zasępił się jeszcze bardziej. Adamowi też serce krajało się na widok jej pokiereszowanej twarzy. – I tak miałem jechać do Kyle’a, zanim to wszystko się stało.

– Jasne. – Adam tak czy siak zamierzał mu to zaproponować. Nie zostawiał nigdy swoich samych w niebezpiecznej sytuacji, a ponieważ Tad był przyjacielem Mercy, zaliczał się również do kręgu „swoich” Adama. – Poprowadzę – oświadczył, zerkając na Mercy.

Zdawał sobie sprawę, że jest prawie w tak kiepskim stanie, na jaki wygląda. Widział się w lustrze w łazience z prysznicem. A Mercy zazwyczaj lepiej niż inni wiedziała, w jakiej jest kondycji. Nawet bródka nie pomagała niczego przed nią ukryć.

Czekał przez chwilę na protest Mercy. Lubił te ich przekomarzania, bo mało kto mu się sprzeciwiał. Mercy wyklócała się, póki nie postawiła na swoim, póki nie przekonał jej do swych poglądów lub póki nie stało się jasne, że nie wygra, choćby nie wiadomo jak bardzo miała rację. Jeśli zaś porażka wystarczająco jej dopiekła, potrafiła się srodze zemścić – nadal miał dobry widok z okna na ten przeklęty wrak stojącego na jednym kole Królika. Nawet mu się to podobało – oczywiście nie ten przeklęty grat, grat go doprowadzał do szaleństwa – ale to, że zależało jej na tyle, by zadać sobie trud.

Tej bitwy nie zamierzał przegrać, choć właściwie nie powinien prowadzić.

Koncentracja mogła zawieść go w każdej chwili, podobnie jak nerwy. Niewyspanie połączone ze zmęczeniem po walce były idealnym paliwem dla ewentualnego ataku szału na drodze. A jednak w grę nie wchodziła opcja, żeby zrezygnował choć z takiego strzępu kontroli, jakim było kierowanie samochodem, mimo że Mercy naprawdę świetnie prowadziła.

Ale Mercy, zamiast ostro zaprotestować, uśmiechnęła się tylko i bez słowa wsiadła od strony pasażera. Z niewiadomych powodów

Adama jeszcze bardziej to rozdrażniło niż spodziewana kłótnia.

Ugryzł się w język, bo nie chciał wyjść na idiotę awanturującego się o to, że nie zaczęła się z nim wyklócać. Tad wskoczył do tyłu i zapiął pasy.

– Tamten wilkołak będzie czekał pod liceum – powiedział, kiedy Adam opuszczał parking. – Skręć w Dziesiątą.

– Dlaczego się zmył? – Adam popatrzył na Mercy.

– Obawiał się, że jego udział skomplikuje sprawę.

Widoczny we wstecznym lusterku Tad, bębniąc palcami, obserwował Mercy z wyraźnym zatroskaniem.

– Kto zginął tam, przy śmietniku? – zapytał Adam.

– Druga część magicznego duetu, który zamierzał porwać Jesse – stwierdziła Mercy tonem, jakby mówiła o czymś zwyczajnym... Jak o zakupach w spożywcza. – Napadła na mnie, kiedy wysiadłam, a Asil ją zabił. Zanim zdążyłam pomyśleć, że lepiej będzie powiedzieć o tym policji, dzieciaki odjechały samochodem, uwożąc jej trupa w bagażniku.

Adam omal nie zahamował. W innych okolicznościach wściekłyby się o tego trupa w wozie, którym jechały dzieci. Jednakże byłyby to okoliczności, w których nie padło imię Asila.

– Bran przysłał tu Maura?

– Tak, Asila – powtórzyła Mercy, rozwiewając jego wątpliwości, że może się przesłyszał. – Mówił, że przysłał go Charles, ale mówił to w obecności agenta Armstronga.

Armstrong był prawdopodobnie tym agentem federalnym z domu Kyle'a, który próbował przekonać Adama, żeby nie jechał za Mercy.

Mercy miała rację, to Bran przysłał Maura dla ochrony Mercy i Jesse. Maura, który był tak szalony, że własny syn odesłał go do Marroka, żeby ten go zabił. Tyle że Bran, z jedynie jemu znanych powodów, postanowił tego nie robić.

Asil. Może wyleczył się z obłądu?

– Powstrzymał tego drania przed wbiciem mnie w podłogę – wtrącił Tad. – Miałem z nim niewielkie szanse, a i to jest niedopowiedzeniem. Może udałoby mi się zatrzymać spriggana na tyle, żeby dać dzieciom czas na ucieczkę, ale tylko może i w dodatku musiałbym sięgnąć po najcięższe działa. – Zapatrzył się w okno i

stwierdził ponuro: – A nie radzę sobie z ciężkimi działami tak dobrze, jak trzeba. Cieszę się, że Asil się pojawił.

Studia zmieniły Tada. Oczywiście tak być powinno i Adam o tym wiedział, ale nieco dłuższa obserwacja Tada była w tej chwili najkorzystniejsza dla bezpieczeństwa jazdy. Adam obawiał się, że chłopak miał za sobą doświadczenia pisklaka, który zaznał upadku od razu z urwiska, a nie najniższej gałęzi.

Adam także w ten sposób wszedł w dorosłość.

Maur czekał na nich, oparty ze znudzoną miną o słup latarni. Adam nigdy wcześniej go nie spotkał, wilkołak wyglądał groźnie, wilczo i maurowato. Poza tym kto inny mógłby na nich tu czekać?

Po Asilu nie dało się zauważyć przebytej walki, ale z daleka ciężko byłoby dostrzec siniaki na skórze o tym odcieniu. Zwracał uwagę mijających go kierowców, lecz to prawdopodobnie głównie ze względu na cienką letnią koszulkę. Trzeba było bystrzejszego oka niż ludzkie, żeby zobaczyć, kim naprawdę jest Asil.

Kiedy Adam zatrzymywał się przy krawężniku, ich spojrzenia spotkały się na moment i stary wilk rozciągnął wargi we współczującym uśmiechu.

Adam mimowolnie także się uśmiechnął. Obaj wiedzieli, że jazda będzie niełatwa. Pewnie trudniejsza dla Adama, w którym nie wybrzmiały jeszcze echa porannego zabijania. Jednakże, jeśli choć połowa opowieści była prawdą, Asil balansował na krawędzi pomiędzy człowiekiem i wilkiem, więc i jemu nie będzie łatwo siedzieć w samochodzie z obcym dominującym osobnikiem.

Asil wsiadł od strony Mercy. Kiedy tylko zatrzasnął drzwiczki, Adama ogarnęła chęć, by rozerwać gardło nieznajomego wilka. Zacisnął rękę na kierownicy. Nie powinien prowadzić w tym stanie, ale z drugiej strony, gdyby nie mógł skupić się na tym, by dowieźć ich do Kyle'a w jednym kawałku, z pewnością uczyniłby coś pozałowania godnego.

– Adam. – Tad odchrząknął nerwowo, zapewne czując ciężką atmosferę w samochodzie. – Musimy najpierw pojechać do domu ojca.

– Dlaczego? – Zabrzmiało to jak warknięcie. Adamowi zależało, żeby podróż w towarzystwie obcego trwała jak najkrócej, a to oznaczało brak jakichkolwiek przystanków. Czuł pomiędzy łopatkami nazbyt

wyraźną obecność Asila.

– Bo ten przeklęty miecz nie był jedynym artefaktem, który mieli Drzazga i Ziółko, a Mercy dziwnie się zachowuje.

Tak! – zawyła bestia mieszkająca w sercu Adama. Z Mercy jest coś nie w porządku. Mówiłem ci i mówiłem, ale myślałeś, że to przez walkę. A to nieprawda. Jest tak, jak wtedy, kiedy nie zdołaliśmy jej obronić.

Adam spojrział na Mercy, która zwróciła na niego szeroko otwarte oczy i uśmiechnęła się.

– Nic mi nie jest – oświadczyła. Gdyby tak było naprawdę, nie powiedziałaby tego w ten sposób, nie tym tonem. Zaczęłyby się wyklócać z Tadem albo odpowiedziała jakąś ciętą ripostą o żartowaniu sobie z dziwnych ludzi.

– Podrap się po nosie – zażądał Tad. Podrapała się.

– Poklep po kolanie.

Poklepała.

– Kaszlnij dwa razy.

Osloniła usta i zakaszła.

– Widziałeś kiedyś, żeby Mercy bez protestów wykonała aż trzy polecenia z rzędu? – Tad nie czytał Adamowi w myślach ani też nie słyszał jego bestii, uznał więc, że musi go przekonać.

– Nigdy. Nawet jeśli to Bran mówił jej, co ma robić. – Adam nacisnął mocniej na gaz. Jeśli już wcześniej atmosfera była napięta, to nic wobec tego, co działo się teraz. I nie miało to związku z Maurem.

Adam miał ochotę coś zabić, zrobiłby wszystko, żeby Mercy nic się nie stało. Kierownica zatrzeszczała, więc rozluźnił palce i skupił się na zachowaniu panowania nad sobą. Drugi wilk robił wszystko, co się dało, żeby mu to ułatwić – w milczeniu wpatrywał się w swoje okno, żeby uniknąć przypadkowego kontaktu wzrokowego. Adam doceniał jego wysiłki i starał się odwzajemnić na tyle, na ile mógł w sytuacji narastającej fali gniewu, który groził mu całkowitym oślepieniem.

– Czego użyli? Jak jej pomożemy? – cedził przez zęby, skupiając się z całej siły na zachowaniu ludzkiej formy i utrzymaniu samochodu pomiędzy dwiema białymi liniami. Znowu zacisnął dłonie i tym razem coś strzeliło w kierownicy małej toyoty. Kiedy się okazało, że cokolwiek to było, nie wpływało na sterowność wozu, Adam przestał się tym

przejmować.

– Nie wiem, jak jej pomóc, ale ojciec coś poradzi. Nie może już dzwonić ani odbierać, bo po tym, jak Mercy skontaktowała się z nim wcześniej, władze odebrały mu przywilej telefonowania. Ale w domu mam coś, przez co mogę się z nim porozumieć.

W porządku. Zee był dobry. Adam głośno nabrał tchu, jednocześnie starał się przekonać wilka, że przemiana w tym momencie to wyjątkowo kiepski pomysł.

– Co jej zaszkodziło? – Niewiele wiedział o magii ludzi, ale nie mógł powstrzymać się przed zadaniem pytania. Może akurat to coś, co samo przechodzi?

– Magiczny przedmiot, kościane kajdanki. Ułatwiają kontrolowanie pojmanego. Mercy, czy zanim Asil zabił Ziółko, nie skuła cię przypadkiem?

– Zdążyła założyć mi kajdanki tylko na jedną rękę – zaszczebiotała wesolutko Mercy. – Ale zmieniłam się w kojota i obręcz spadła. Asil wrzucił kajdanki do bagażnika razem z trupem.

– Skoro tak, to dlaczego efekty nie ujawniły się zaraz po walce? – zapytał Asil.

– W mieszkaniu nie posłuchała i zaatakowała tego nieczłowieka.

– Nie wiem, dlaczego – odpowiedział Tad. – Może dlatego, że założono jej tylko jedną bransoletkę? Może dlatego, że na krótko? Ale ty, Adam, widzisz, o co mi chodzi, prawda? Potrzebowałem czasu, żeby zyskać pewność.

– Tak, widzę. – Jego bestia dostrzegła to natychmiast, ale on sam nie chciał przyjąć do wiadomości, że coś dzieje się z Mercy.

Dom Zee znajdował się niecałe pięć kilometrów od liceum Kennewick, na małym osiedlu wiktoriańskich willi w niewielkiej dzielnicy, która powstała jeszcze w czasach, gdy Kennewick był pomniejszym węzłem transportowym łączącym kolej ze szlakiem wodnym.

Dom wymagał odmalowania i naprawy ganku. Całość, wraz z mikroskopijnym podwórkiem, charakterystycznym dla czasów, kiedy jeździło się konno i odległości zdawały się znacznie większe, otaczało kute ogrodzenie, którego misterność wykonania była godna posiadłości

magicznej istoty z błogosławieństwem żelaza.

Adam, który zamykał pochód, położył dłoń na ramieniu Mercy. Nawet przez materiał bluzy czuł, jak w jej żyłach krąży srebro.

Tad otworzył drzwi, przekręcając jedynie ozdobną mosiężną gałkę, ale Adam odniósł wrażenie, że wcześniej w jakiś sposób odblokował zamek. Mercy wiedziałyby jak, bo miała znacznie lepszy nos do magii niż on.

Wnętrze zostało umeblowane oszczędnie i niezbyt wymyślnie, mimo że w budynku zachowano oryginalne wiktoriańskie oświetlenie i stolarkę.

W salonie stał wysłużony wygodny komplet wypoczynkowy składający się z sofy i kanapy. Pomiędzy dwoma ściennymi regałami pełnymi książek wisiał niewielki płaski telewizor, a parkiet wyścielał ręcznie tkany dywan.

Na prawo znajdowała się kuchnia z jadalnią, w której stał stół z lat pięćdziesiątych – już nie starość, a antyk. Na ścianie nad stołem wisiała duża fotografia przedstawiająca młodego mężczyznę, bardzo podobnego do Tada. Mężczyźnie, odzianemu w garnitur, towarzyszyła ładna kobieta w sukni ślubnej. Miała brązowe, napuszone włosy w stylu sprzed dwudziestu lat. Jej uśmiech, mimo że na zdjęciu, opromieniał całe pomieszczenie.

Mercy przystanęła, spoglądając na fotografię.

– Chodź, Mercy – zawołał Tad i Mercy natychmiast go posłuchała.

– Dosyć – warknął Adam, tracąc panowanie nad gniewem, choć Tad w niczym nie zasłużył sobie na burę. – Już wiemy, o co chodzi.

Asil milczał i obserwował. Nie protestował, że Adam trzyma się z tyłu, nie chcąc mieć go za plecami.

Tad poprowadził ich typowymi wiktoriańskimi wąskimi i stromymi schodami na piętro, a potem na koniec korytarza pod niewielkie drzwiczki, jakieś pół metra na metr, za którymi mogły kryć się schowek albo kuchenna winda. Ponieważ obok znajdowała się łazienka, Adam stawiał na schowek.

Tad, przyłożywszy dłoń do drzwiczek, przymknął oczy. Mercy wpatrywała się w podłogę i kręciła niespokojnie, przysuwając się do Adama. Uczucia miała wypisane na twarzy, a zazwyczaj, jeśli mogła,

nigdy nie pokazywała po sobie strachu. Obserwowała ściany, jakby z podłogi pod nimi wylaniało się coś niebezpiecznego.

– Cokolwiek to jest, nie ogranicza jej tylko do słuchania poleceń – zauważył Adam.

– Tak – zgodził się Tad, nie zdejmując dłoni z drzwiczek. – Wygląda, jakby odbierało jej wolę. W ten sposób nie tylko odpowiadały na każde pytanie i wykonywała polecenia, ale też nie starały się ukryć, że czegoś się boi. Wszystko w porządku, Mercy. – Starał się ją uspokoić, kiedy cofnęła się przed nim o kolejny krok. – To stara magia, ale zna mnie i nie skrzywdzi nikogo teraz i tutaj.

– Ostrożny dobór słów jak na nieczłowieka, który „nie musi mówić prawdy” – zauważył Asil.

Tad odwrócił się do niego.

– Zawsze ostrożnie obchodzę się z prawdą – rzekł chłodno. – Prawda posiada wielką moc i należy traktować ją z szacunkiem.

– Oczywiście – zgodził się Asil. – Jednak jak będziesz starszy, odkryjesz, że zaczynasz z góry zakładać, że inni lekko traktują poważne rzeczy. Mój komentarz nie miał na celu zwrócenia ci uwagi, po prostu mnie zaskoczyłeś.

– Co widzisz? – zwrócił się Adam do Mercy, która patrzyła na coś dla niego niedostrzegalnego.

– Magię – odparła. – Magię nie ludzi, bardzo starą. Wypełza z piwnicy, łączy do ręki Tada jak kot do smakołyku. – Spojrzała na chłopaka i przez moment wydawała się bardziej nieczłowiekiem niż on. – Lubi cię, ale nie jest zadowolona z naszego towarzystwa.

– Będzie grzeczna. – Uśmiechnął się Tad.

Gałka z mlecznego szkła obróciła się sama. Adamowi nie spodobało się to, tak samo jak opis Mercy. Nie był wyczulony na magię, odbierał tylko tę bardzo silną, a nie znosił wszystkiego, co wymykało się jego postrzeganiu.

Tad zdjął rękę z drzwiczek, a te otworzyły się, ukazując ciemne drewniane schodki, jeszcze węższe i bardziej strome niż te, po których się tu wspięli. Stopnie kręciły się, dzięki czemu mieściły się na niewielkiej przestrzeni schowka. Z zewnątrz widać było jedynie cztery stopnie, reszta niknęła w górze. Tad wszedł do środka, Adam usłyszał

trzeszczenie tkaniny koszulki, która zaczepiła się o jakąś drzazgę na framudze. Za nim podążył Asil. Adam ponaglił Mercy do wejścia, gdy tylko stopy wilkołaka zniknęły mu z oczu.

Przejście było ciasne nawet dla Mercy. Uderzyła kolaniem o stopień i zatrzymała się, krzywiąc z bólu.

– Wszystko w porządku? – zapytał Adam, chwytając ją za kostkę.

– Nie – fuknęła rozdrażniona. – To to kolano, które rozbiłam sobie w kraksie. A poza tym tu jest duch.

– Duch? – Wiedział, że Mercy widzi duchy, ale zwykle nie mówiła mu o ich obecności.

Kiedyś wyjaśniła mu, że większość z nich to tylko smutne wspomnienia. Jeśli chodzi o te bardziej żywe, lepiej ponoć było, że nie wiedziały, iż je dostrzegą. Czuł, że kryje się za tym jakaś historia, ale nie naciskał.

– Uhm – mruknęła. – Stoi tuż przede mną. To chyba ta sama, która czasem wygląda przez okno z jadalni Zee.

Przez te głupie schody Adam nie widział nic poza tyłem Mercy, ale pewnie nawet w dużym pokoju nie byłby w stanie zobaczyć ducha.

– Możesz jej powiedzieć, żeby się przesunęła? – zapytał.

– Nie wiem – zawahała się. – To powtarzacz.

Z tego, co wiedział od Mercy, duchy powtarzające nie reagowały na bodźce ze świata rzeczywistego. Wykonywały tylko w kółko pewne czynności, zazwyczaj codziennie w tym samym miejscu i o tej samej porze. Były bardziej wrażeniem niż pozostałością po prawdziwym człowieku.

– Co robi?

– Płacze. – Głos Mercy nabrał ostrości, mówiła jakby trochę bardziej normalnie. – To samo robi w oknie. Ciekawe, czy za życia też była taką beksą.

Gdzieś w tle Adam rejestrował fakt, że powyżej Tad rozmawia z Asilem, ale, skupiony na Mercy, nie zareagował w porę, kiedy chłopak zawołał z góry.

– Co z wami, Mercy? No chodź.

Ruszyła, nie bacząc na ducha. Było za późno, żeby cokolwiek zrobić, więc Adam pospieszył za nią. Po drodze nie zauważył niczego

dziwnego, może zaledwie poczuł lekki dreszczyk. Ostatni stopień pokonał tuż za Mercy, która stała w pomieszczeniu na szczycie roztrzęsiona, z zaciśniętymi ustami.

– Wszystko w porządku, Mercy? – zapytał. Mercy popatrzyła na niego poważnie i pokręciła przecząco głową.

– Myliłam się, to nie jest powtarzacz. – Potarła nerwowo dłonie i spojrzała poza niego. – Ale ona tu nie wejdzie.

– Jaka ona? – zainteresował się Asil.

– Co z tego, że nie jest powtarzaczem? – zapytał Adam zatroskany stanem Mercy, która zbladła, a na czole perlił jej się pot.

– To z tego, że próbowała się pode mnie podczepić. – Mercy objęła się i podskoczyła na palcach.

– Jaka ona? – powtórzył Asil.

– Daj nam chwilę – warknął Adam, powstrzymując się jednak przed spojrzeniem na Asila, żeby nie zaognić sytuacji.

Drugi wilkołak warknął ostrzegawczo z głębi piersi.

– Wybacz – powiedział Adam, choć kosztowało go to wiele wysiłku. – Mercy? Mogę ci jakoś pomóc?

Znowu pokręciła głową.

– Nie. Nic mi nie jest. Tylko nigdy wcześniej nie przytrafiło mi się coś podobnego. Przyłgnęła do mnie i nie mogłam jej odegnąć. – Zadrzała znowu. – Ale Zee zabezpieczył to miejsce magią, więc nie mogła iść ze mną.

Znajdowała się w niebezpieczeństwie, a Adam był tuż obok i nie mógł nic zrobić. Zostawił ją w spokoju, bo nie lubiła przytulać się publicznie, a w obecnym stanie nie miałyby wyboru. Kiedy jednak zaszczękała zębami, przygarnął ją. Była lodowata i przyłgnęła do niego mocno. Umięśniona, silna, obraziłaby się, wiedząc, że bierze ją za kruchą. Jednakże bez tej swojej nieugiętej woli zdawała się taka... mała. Natychmiast przestała szczękać zębami. Wyjrzała ponad ramię Adama.

– To duch. Widziałam ją tu parę razy, kręci się po domu.

– Nasz dom jest nawiedzony? – zdumiał się Tad.

– Przecież wam nie przeszkadza – broniła się Mercy. –

Powiedziałabym wam, gdyby coś było nie tak.

Uznawszy, że kryzys został zażegnany, Adam się rozejrzał.

Pomieszczenie było długie i wąskie, trzy osoby stojące obok siebie sięgały od ściany do ściany. Na podłodze piętrzyły się warstwowo perskie dywany, warte wcale niemałą fortunę. Wzdłuż jednej z bocznych ścian ustawiono różne regały, od ręcznie rzeźbionych okazów muzealnych po deski wsparte na pustakach. Dwie górne półki każdego zajmowały niemalowane figurki z metalu, resztę zaś zapełniała różnoraka broń biała. Książki, a było ich wiele, leżały w stosach pod drugą z dłuższych ścian, zaś tę naprzeciwko drzwi zasłaniało w całości ogromne tremo.

– Czy mogłabyś zamknąć drzwi, Mercy? – odezwał się Tad, podchodząc do lustra. – Nie uruchomię tego, dopóki będą otwarte.

Adam wyprzedził Mercy i sam zamknął drzwi, odcinając ducha. Drażniło go, że Mercy posłusznie wykonuje polecenia, choć w tym wypadku Tad miał na względzie coś innego. Wiedząc, że wydawanie w obecnych okolicznościach poleceń wilkołakom może się skończyć źle, zwracał się do Mercy.

Mercy dotknęła zamkniętych drzwi.

– Jest w nich jakaś magia – zauważyła.

– Zaklęcia ochronne – potwierdził Tad, nie odwracając się od zwierciadła. – Utrzymują z dala duchy i szpiegów.

Zastukał trzykrotnie w lustrzaną taflę i powiedział:

– *Spiegel spieg 'le finde, Vaters Bild und Stimme, in der Tiefe Deiner Sinne, seiner Worte seiner Form, meiner Worte meiner Form, führe, leite, führ' zusammen, deiner Wahrheit Bindeglied, verbinde unsere Wirklichkeiten, Wesen und Natur im Lied!*

– Lustereczko, powiedz przecie... – mruknął Asil, kiedy Tad zamilkł.

– Cii – uciszył go chłopak. – To inne lustro. Tamto się rozbiło i krzyż mu na drogę. Lepiej nie podsuwać temu jakichś głupot.

Adam nie był pewien, czy Tad mówi poważnie, czy żartuje.

Po kilku minutach oczekiwania, podczas których lustro najzwyczajniej odbijało ich postaci, Asil zaczął oglądać figurki na półkach, choć ręce trzymał przy sobie. Dało mu to dobrą wymówkę, by odwrócić się tyłem do Adama, co ten szczerze doceniał.

Mercy schyliła się, żeby pooglądać książki – głównie stare,

niemieckie. Wśród nich Adam dostrzegł parę nowych kryminałów i masę części „Doca Savage’a” w kioskowym wydaniu, od pierwszego do dziewięćdziesiątego szóstego tomu. Kiedy Mercy wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jednej ze starych ksiąg, Adam instynktownie ją powstrzymał.

– Lepiej nie dotykać rzeczy zgryźliwej magicznej istoty – wyjaśnił.

– Ale ona chciała, żebym jej dotknęła – oświadczyła Mercy otwarcie.

– To tym bardziej – stwierdził Adam, trzymając ją za rękę.

Potulny więzień, pomyślał, zrobi wszystko, co ktokolwiek bądź cokolwiek jej każe. Nasunęło mu się też pytanie, czy tamten duch byłby dla Mercy problemem, gdyby nie była taka bezwolna. Zerknął w lustro, jednak nadal nie działo się z nim nic szczególnego.

– Co tak długo, Tad?

– Ciii – ostrzegł go chłopak. – Nie tak głośno. Ktoś po tamtej stronie mógłby nas usłyszeć. Przyjdzie, jak tylko będzie mógł.

– Sporo tu metalu, jak na kryjówkę magicznej istoty – podsumował Asil szeptem. – A magii tyle, że aż mnie nos swędzi.

– Zee jest kowalem – wyjaśniła Mercy i oparła się o Adama. Podobnie jak Asil mówiła cicho. – Posiada łaskę żelaza. W końcu to Siebold Adelbertsmiter.

– Mroczny Kowal z Drontheim? – Asil stężał cały, a jego głos zdradzał wielkie napięcie.

– Tak – potwierdził Tad i odwrócił się od nudnego lustra do znacznie ciekawszego wilkołaka.

W każdym razie z takiego powodu Adam spojrzał na Maura. Na szczęście tamten patrzył na Tada.

– Twój ojciec to Loan Maclibhuin, Mroczny Kowal z Drontheim? – Asil odwrócił się do Adama, w ostatnim momencie unikając kontaktu wzrokowego. – Naprawdę chcemy rozmawiać właśnie z Maclibhuinem? Wiecie, czym on jest?

– Z wiekiem złagodniał – pocieszyła go Mercy, uprzedzając Adama. Tym razem brzmiała normalnie. – Nie zabija już ludzi, którzy go irytują. Nie produkuje też już dziwacznych broni, które zawsze sprawiały więcej problemów, niż ich rozwiązywały, i to tylko dlatego, że miał zły dzień i ochotę na zniszczenie jakiejś cywilizacji czy dwóch.

Tad parsknął rozweselony.

– Poza tym lubi Mercy, pomoże nam.

Adama ogarnęło nagle tak nieprzemienne znużenie zarówno wydarzeniami ostatnich dwóch dni, jak i nieustannymi wysiłkami, by nad sobą panować, że usiadł na dywanie i posadził sobie Mercy na kolanach, gdzie nie miała szansy wpakować się w jakieś tarapaty.

Pisnęła zaskoczona, ale nie opierała się.

– Nie wiadomo, kiedy Zee odpowie. Nie ma sensu stać przez cały ten czas, a ciebie boli kolano. – Zauważył, że starała się je oszczędzać.

– Najpierw ten wypadek, a potem schody – przytaknęła, moszcząc się wygodniej. – Ale tak bardziej dokuczają mi policzki. Upadek z drugiego piętra też nie pomógł.

– Czekać – rzucił Tad i wybiegł z pomieszczenia. Zamknąwszy drzwi, popędził na dół.

– Zostawił nas samych w sercu magicznych mocy ojca – podsumował Asil.

– Wie, że prędzej bym cię zabił, niż pozwolił wykręcić jakiś numer – stwierdził Adam swobodnym tonem. – Ufa mnie i Mercy. A jeśli sądzisz, że to serce mocy Zee, to grubo się mylisz. To zaledwie podręczny skarbczyk, pewnie w okolicy ma takich z pięćdziesiąt. Stary ma manię prześladowczą. – Adam rozumiał tego rodzaju obsesję. Przydawała się, jeśli chciało się zapewnić najbliższemu bezpieczeństwo.

Asil nie odpowiedział, i dobrze. Musieli zachowywać możliwie największy dystans, dopóki nie poukładają spraw między sobą. Tad przybiegł z powrotem z kartami i sztonami.

Mercy nabrała powietrza. Wprost uwielbiała narzekać na przywary wilkołaków. Adam uważał, że to urocze – i nawet przydatne. Odczekał chwilę, ale nic nie powiedziała. Adam delikatnie zwrócił jej uwagę ku Tadowi, uznając, że najlepiej będzie, jeśli to ona wyjaśni chłopakowi problem. Dopóki Asil nie zostanie wprowadzony na terytorium Adama tak, jak należy – a sprawy takie regulowały bardzo surowe zasady, dzięki którym nie dochodziło do rozlewu krwi – mógł łatwo poczuć się urażony. Do tej pory oba wilkołaki musiały dokładać starań, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

– Mercy, czy możesz wyjaśnić Tadowi, dlaczego poker to nie

najlepszy pomysł?

– Adam i Asil nie znają się – zaczęła uprzejmie. – A nawet gdyby się znali... poker nie jest dobrą rozrywką dla wilkołaków. – Zastanawiała się przez chwilę.

– Albo raczej jest zbyt dobrą rozrywką. Partia mogłaby się skończyć jatką.

Tad spojrział na jednego wilka, potem na drugiego.

– To może mafia? – zaproponował. – Wojna? Remik? Wiem, że gracie w remika, bo Warren mnie nauczył, jak byłem dzieckiem.

– Powiedz mu – poprosił Adam Mercy.

– Żadnego grania dwóch dominujących osobników, przynajmniej jeśli nie znają się bardzo dobrze i nie ustalili kwestii hierarchicznych. Kiedy miałam sześć albo siedem lat, w stadzie Marroka dwóch takich rozegrało partię szachów. Bran ją zakończył, ale jeden z szachistów i tak skończył z oskardem w nodze – mówiła Mercy, pouczając niewtajemniczonego chłopaka rzeczowym tonem. – Na przykład Adam może grać z Warrenem, choć obaj są osobnikami dominującymi, bo Adam zdobył wyższą pozycję w hierarchii, ustalił ją, a Warren to zaakceptował. Jedna przegrana by tego nie zmieniła. Ale już Darryl i Warren, drugi i trzeci w stadzie, choć grają w ŁSPTSIZG podczas sesji stadnych, to zawsze w jednej drużynie. Zawsze.

Tad popatrzył na Mercy sceptycznie.

– Żadnego pokera. Żadnego remika, a na pewno żadnych szachów, chyba że się chce skończyć z siekierą w nodze. Nie wiedziałem, że wszyscy gracie w ŁSPTSIZG.

– W grach wilkołaków albo grasz, żeby zwyciężyć, albo nie grasz wcale. – Czasami była taka słodka, że Adamowi aż ścisnęło się serce. Mercy w ŁSPTSIZG wymiatała. Wataha zawsze umieszczała ich w rywalizujących drużynach, żeby było sprawiedliwie.

– Karty do Piotrusia wyrzuciłem dawno temu – oświadczył oschle Tad. – W takim razie ja ułożę sobie pasjansa, a wy tam możecie kręcić młynki palcami.

Wykończony, zatroskany i niezadowolony Adam oparł się o ścianę i przymknął oczy, stosując starą żołnierską sztuczkę. Nie spał, ale też nie do końca czuwał. Każda zmiana w otoczeniu, dźwięk, poruszenie czy

zapach przyciągnęłyby jego uwagę.

Tad zasiadł przed lustrem i zaczął układać pająka. Trzy razy rozłożył karty i trzy razy pasjans nie wyszedł. Tad nie oszukiwał.

Asil wydawał się całkiem zadowolony, oglądając zabaweczki Zee, byleby trzymać się z dala od Adama. Maur był inny, niż Adam się spodziewał. Mniej szalony i znacznie lepiej, niż można by sądzić po jego reputacji, radził sobie w tym tańcu, który zapewniał przeżycie całej czwórki w małym pomieszczeniu, gdzie znajdowały się dwa dominujące, obce sobie wilki. Bran zwykle wiedział, co robi, i chyba miał także rację, przysyłając tu Asila.

Mercy nie spała, leżała spokojnie na kolanach Adama. Lubiała się przytulać, gdy byli sami. Postanowił się tym cieszyć, bo jej bliskość uspokajała nieco wilka, który był przekonany, że dopóki trzyma ją przy sobie, nikt jej nie dotknie.

Łącznie z nim. I to nie wiadomo, jak długo.

Zakryła mu dłonią rękę i poczuł, jak srebro działa na jego skórę. Nie zareagował, bo pragnął dotyku Mercy bardziej, niż przeszkadzały mu oparzenia, a przecież wzięła jego truciznę na siebie, prawda? Może więc nie ruszał się przez poczucie winy? Może czuł, że zasłużył na ból, bo to on ściągnął na nią dolegliwości.

Pochyliła się, żeby przeczytać tytuły książek. Rozchylił nieco szerzej powieki, żeby mieć pewność, że nie sięgnie znów po tę wołającą księgę.

Obok starego, oprawnego w skórę woluminu, którego tłoczony złotą, staroniemiecką czcionką tytuł wytarł się tak, że ciężko go było odczytać, na jakimś niemieckim skrypcie leżał aktualny podręcznik akademicki do metalurgii. A tuż poza wygodnym zasięgiem niewielka książeczka w zielonej płóciennej okładce z obwolutą, która zainteresowała Mercy wcześniej.

Mercy poruszyła się niespokojnie, nagle znieruchomiała, a potem gwałtownie cofnęła rękę.

– Oparzyłam cię – szepnęła ze zgrozą.

Tad podniósł głowę znad pasjansa, a i Asil zerknął w ich stronę, choć zaraz powrócił do oglądania broni na półkach.

– Nic mi nie będzie – zapewnił ją Adam. – Przecież jestem wilkołakiem.

Patrzyła na niego ze zmarszczonymi brwiami, ale znów przymknęła oczy.

– Wszystko w porządku, Mercy. Patrz, już się zaleczyło.

Miał ochotę powiedzieć, żeby się nie martwiła, ale wtedy naprawdę mogłaby przestać się martwić.

Nie z własnego przekonania, tylko przez ten przeklęty artefakt, który sprawił, że była posłuszna. Posłuszna Mercy, posłuszna, bo pozbawiona wyboru – to było potworne.

Skuliła się, chowając dłonie tak, żeby przypadkiem go nie dotknąć, i też zamknęła powieki. Widział, bo sam miał odrobinę uchylone.

Żeby cię lepiej widzieć, wnusiu, powiedział zły wilk.

Zauważył również coś jeszcze. Adam miał nawyk uważnego obserwowania otoczenia – czujności sytuacyjnej. Nieraz ocaliło mu to życie. W szczególności zwracał uwagę na wszystko, co mogło posłużyć jako broń.

Jedno z ostrzy na półce poruszało się. Nie widział co prawda samego ruchu, ale kiedy weszli na poddasze, nóż leżał w kącie na dolnej półce obok lustra. Teraz był na środku półki, na samym jej skraju.

Zastanawiał się, czy nóż może podążyć za Asilem, nawet jeśli bardzo powoli.

Był to nóż myśliwski, stary, ze śladami rdzy na ciemnym ostrzu. Z rękojeścią wykonaną z jakiegoś rogu. Kiedy mocniej przymknęła oczy i odwrócił głowę tak, że widział nóż kątem oka, mógł dostrzec na ostrzu runy, które zniknęły, kiedy patrzył nań bezpośrednio.

Przez to, że celowo nie-patrzył na nóż, zauważył, że coś zaczyna dziać się w lustrze.

Rogi taflí poczęły stopniowo ciemnieć, aż całe zwierciadło przestało odbijać poddasze. Przez chwilę przypominało wielkie zdjęcie ciężkiej, szarej, jedwabnej zasłony. Adam uniósł głowę, żeby lepiej je widzieć. Kiedy lustro pociemniało całkiem, wykwitł na nim mroźny kwiat. Zaczęło się to od środka, jakby ktoś chuchał na zimną szybę. Wkrótce mgiełka lodu pokryła pajęczyną całą taflę, zasnuwając ją krystalicznym woalem.

Na zamarzniętej w całości powierzchni szybko pojawiła się ciemna pionowa linia, a z niej wysunęły się dwie ciemne, pokryte odciskami

dłonie o długich palcach, które odsunęły szarość. Na zmarszczony pod lustrem dywan posypał się lekki śnieżek.

Z lustra wyszedł Zee. Tad spojrzął na niego i zaczął zbierać rozłożonego w połowie pasjansa. Asil zmrużył oczy i przeniósł ciężar ciała na palce, gotowy zareagować na ewentualne zagrożenie.

– Cześć, Zee. – Mercy odwróciła do niego głowę. – Dawno cię nie widziałam.

Zee, który wyszedł z lustra, nie wyglądał jak ten, do którego powierzchowności przywykł Adam. Zniknął całun iluzji, który Zee prezentował światu. Nie był już szczupłym, łysiejącym starszym mężczyzną o twarzy barwy dymionego dębu i wyrazistych rysach, która zdawała się jednocześnie pradawna i niestara. Atletyczna budowa wskazywała na kogoś, kto całymi dniami pracował w kuźni, naginając metal do swej woli – szerokie barki i twarde mięśnie zaprawione ciężkim wysiłkiem.

– Mercedes! – zawołał na jej widok. – Cóżżeś ty zrobiła z ustami?

Mercy dotknęła warg, ale zmilczała. Adam uznał, że to dobry znak.

Białożłote włosy spływały Zee na ramiona jasną, pszeniczną kaskadą. Z tym wszystkim kontrastował jego strój, składający się z czarnych dzinsów, szarej flanelowej koszuli, poplamionej na rękawie smarem, oraz znoszonych buciorów o wzmacnianych blachą czubkach. Asil odsłonił zęby i warknął cicho.

– Spokojnie, wilczku – uspokoił go Zee charakterystycznym opryskliwym, zniecierpliwionym tonem. – Dawno już przestałem polować na twój rodzaj. A z tego, co pamiętam, ty akurat wywinąłeś się ze wszystkiego bez zadrapania. Nie masz o co kruszyć kopii.

Stary spojrzął spod zmarszczonych brwi na syna, który poskładawszy gry, podniósł się z podłogi.

– Cóż takiego się stało, że mnie tu wezwalesz?

– Lepiej spytaj, co się nie stało – odpowiedział Tad. – Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę. Nie wiem, od czego zacząć...

– Jeśli to pomoże – zaczął Zee – stanąłem gdzieś na porwaniu całego stada wilkołaków. Wiem, że Mercy chciała, żebyś popilnował Gabriela i Jesse, a sama wybierała się do Kyle'a. Widzę, że udało ci się odzyskać przynajmniej jednego wilka, Mercy.

– Adam sam się uwolnił – sprostowała Mercy. – A te usta to od srebra.

Zee zmarszczył czoło i podszedł bliżej.

Adam wstał, podciągnął Mercy i stanął obok niej. Nie chciał, by ten nieznajomy o oczach Zee zbliżał się do niego, kiedy znajdował się w gorszej pozycji.

– Srebro?

Mercy opowiedziała, jak to Kojot namówił ją na zmianę zasad, więc wyssała srebro z ciała Adama. Adam obiecał sobie, że przy okazji pogada z Kojotem – nie żeby to cokolwiek zmieniało. Mercy cofnęła się do chwili, kiedy Stefan uwolnił Kyle’a, a potem ciągnęła historię aż do przyjazdu jej i Asila do domu Sylvii.

– Kazałam Gabrielowi zabrać dzieciaki do Kyle’a.

– Samochodem Marsilii, który ma wgięte drzwi i trupa w bagażniku – dodał Zee.

– No, brzmi to gorzej, niż jest – zapewniła go.

– Nieprawda – zaprotestował Adam. – Jest dokładnie tak źle, jak brzmi.

– Wiesz, kto was zaatakował? – zapytał Zee syna.

– Drzazga i Ziółko. – Tad oparł się o regał i w locie złapał spadający nóż myśliwski. Łypnął na niego groźnie i położył z powrotem w kącie półki. – Zostań tu – nakazał mu.

Zee uśmiechnął się i nagle jego twarz znów zaczęła przypominać tę, którą znał Adam.

– Życzę ci z nim więcej szczęścia, niż ja miałem. – Wskazał nóż brodą. – Nie usiedzi na miejscu, gdy dzieje się coś ciekawego. Skąd wiesz, że to Drzazga i Ziółko? Są sprytni, potrafią ukryć swoją tożsamość.

– Zobacz. – Tad wyjął z kieszeni grudkę metalu, w którą zmienił się miecz nieczłowieka. – To jeden z twoich. Drzazga walczył nim z Asilem uzbrojonym w kij bejsbolowy z marketu. Musiał zrzucić iluzję, żeby dotrzymać mu kroku. – W głosie chłopaka pobrzmiwała nuta podziwu dla idola.

– Maur nie potrzebuje żadnego magicznego ostrza, żeby zwyciężyć zło – stwierdziła Mercy, a Adam spojrział na nią ostro.

Zee wziął od syna kawałek metalu, który w jego rękach natychmiast przemienił się z powrotem w miecz. Tym razem jednak ostrze było smoliście czarne i miało tylko pół metra długości.

– A pewnie – burknął Zee, jakby urażony, że Asil okazał się lepszy od jednego z jego dzieł. Ale twarz rozjaśniła mu się szybko. – Wymykał mi się przez trzy tygodnie w środku zimy w Alpach. Nic dziwnego, że spriggan nie miał z Maurem szans, nawet używając tak wspaniałego ostrza.

– Drzazga uciekł – podjął Tad. – Ale wcześniej jak grom z jasnego nieba pojawił się Adam i świsnął mu miecz sprzed nosa.

– Nie sprowadziłeś mnie tu chyba, żeby pogawędzić? – zapytał Zee. Nie patrzył na Mercy, ale Adam czuł, że poświęca jej część uwagi.

– No tak – zmitygował się Tad. – Mercy, dotknij palców u stóp i okręć się trzy razy.

Adam rozumiał, dlaczego Tad to robi, ale i tak wyrwało mu się sapnięcie niezadowolenia.

– Przestań wydawać jej polecenia – ostrzegł chłopaka. Nie był zły, w każdym razie nie na Tada. Jednak potulna uległość Mercy sprawiała, że wilk chciał wyskoczyć mu ze skóry. Ostatnim razem, kiedy była pod wpływem podobnej magii, została zgwałcona. Dobrze to pamiętał i on-człowiek, i on-wilk.

– Ukojenie i Spokój – zawyrokował Zee. Głęboka zaduma w jego głosie wskazywała, że nie tylko Adama niepokoiła uległość Mercy. – Zwany też Darem Królowej Wróżek. Słyszałem ostatnio, że znowu wypłynął. Drzazga go zabrał?

Adam złapał Mercy za ramiona i zatrzymał w pół drugiego obrotu.

– Nie musisz go słuchać, Mercy. Przestań.

– Nie – odezwał się Asil. – Kajdanki są w bagażniku, razem z tą kobietą. Chyba można bezpiecznie założyć, że to ta Ziółko. – Skrzywił się. – Skąd ona wzięła taką ksywkę, jest fanką?

– Nie sądzę. – Uśmiechnął się Tad. – Chyba że jakiś praziółko też wygrał jakąś praszansę na sukces dwieście lat temu.

– Drzazga jest sam? – Zee powiedział to tonem wygłodniałego wilka. – Ciekawe. – Kiedy jednak znów spojrzął na Mercy, część tej dzikości uleciała. – Odbieranie woli to rzadki i trudny dar wśród

magicznych istot – podjął. – Łatwiej działać taką magią, kiedy ofiara śpi lub jest szczęśliwa.

Mercy zadrżała, jakby nagle zrobiło jej się zimno.

– Nie lubię być posłuszna.

Adam objął ją i znów pożałował, że nie może się cofnąć w czasie i zabić człowieka, który zrobił jej to tamtym razem, zabić go, zanim ją skrzywdził. Lub że przynajmniej nie może chronić Mercy przed wspomnieniami, bo skoro jemu nasuwało to tak silne skojarzenia, to jej również. Zalała go fala gniewu. Mercy poklepała Adama uspokajająco po ramieniu.

Zee pochwycił jego spojrzenie i skinął ponuro, dając do zrozumienia, że nie tylko Adam jest wściekły, że podobne zaklęcie trafiło ponownie na Mercy.

– Ukojenie i Spokój został stworzony w darze dla królowej wrózek, która porwała syna pewnej magicznej i tym samym zadarła z niewłaściwą matką.

Mieli już do czynienia z królową wrózek. Nie były to władczynie, a istoty posiadające dar umożliwiający przetrzymywanie na swych dworach zarówno ludzi, jak i magicznego ludu. Na podobieństwo królowych pszczół tworzyły wokół siebie świtę, która jednocześnie służyła im za źródło rozrywki, jak i podtrzymywała ich moc. Za tymi istotami Adam wyjątkowo nie przepadał.

– Nie pożyła długo – ciągnął Zee – bo kajdanki działały krótko, przynajmniej u magicznych istot, choć możliwe, że w przypadku ludzi efekt utrzymywał się dłużej. – Zee ujął Mercy pod brodę i zajrzał jej w oczy. – Kobieta, która podarowała je królowej, pragnęła odzyskać syna. Kiedy królowa umarła, wszyscy ludzie i nieludzie wrócili do swego poprzedniego życia.

Bez iluzji jego ciemnoszare oczy były jaśniejsze i miały niesamowity odcień.

– Strzeżmy się darów wrózek – powiedziała Mercy.

– I darów Greków – zgodził się Zee gładko.

– Jak przełamiemy czar? – zapytał Adam. – Zabicie tej kobiety nie zadziałało.

– Pocałunek prawdziwej miłości – odparła Mercy, choć Adam

pytał Zee. – Ale ja nie mogę całować Adama. Srebro go rani.

Pocałunek?

Adam popatrzył pytająco na Zee. Kował wzruszył ramionami.

– W zasadzie pocałunek ukochanego jest szeroko stosowanym remedium na wiele różnych czarów magicznych istot.

Wobec tego dobrze. Adam obrócił ku sobie twarz Mercy i pocałował ją. Całował ją także w mieszkaniu Sylvii, ale tym razem nie zamierzał pozwolić, by przeszkodził mu ból, który sprawiało mu srebro.

Wyobraził sobie Mercy. Mercy z tacą ciasteczek, które miały poprawić jej sąsiadowi nastrój po rozstaniu z żoną. Mercy szczerzącą na niego zęby, bo wkurzał ją nadopiekuńczością. Mercy zdejmującą te przeklęte koła przeklętego gruchota, bo wściekła się na niego. Mercy strzelającą do Henry'ego, zanim tchórzliwy wilk mógł rzucić wyzwanie rannemu przywódcy.

Jego usta krwawiły, pokrywały się pęcherzami, a on przyjmował ból, zostawiał go za sobą i skupiał się na odczuwaniu jej ciepła, miękkości. Zacerpnął tchu nosem i pozwolił otoczyć się jej wonią. To była jego Mercy, pragnął jej duszy, ciała, umysłu, należała do niego, cała. A on należał do niej. Pocałunek był coraz gorętszy. Przyciągnął ją mocniej do siebie i pozwolił, by żar rozlał się po jego ciele, w nadziei, że rozpali w niej ogień.

Oddała pocałunek, poddając się miękko – jako partnerka w tym i w wielu innych rzeczach. Wpasowywała się w niego, umięśniona, z odrobiną miękkości, pachnąca spalonym olejem silnikowym, żrącym mydłem pomarańczowym i samą sobą.

A potem nagle jej mięśnie napięły się i zaczęła go odpychać. Przytrzymał ją jeszcze chwilę, żeby delektować się tym oporem, który oznaczał, że zakłęcie zostało przełamane. Ale Mercy wiedziała, jak wywinąć się większemu, silniejszemu przeciwnikowi.

W tym wypadku na jej korzyść działało bardziej to, że nie chciał, by zrobiła sobie krzywdę, niż jej siła fizyczna. Wykręciła ręce, wyrwała się z jego objęć i uciekła.

– Niech cię licho, Adam! – wybuchła, kiedy starał się odzyskać oddech. – Nie waż się pozwalać mi robić ci krzywdę! Nie jądłeś od Bóg wie kiedy, widzę twoje żebra! Straciłeś przez te dwa dni co najmniej

dziesięć kilogramów! Za często się przemieniałeś, za mało jadłeś, a jeszcze musisz się leczyć za każdym razem, kiedy mnie dotkniesz. To też cię wykańcza! A teraz znów pozwoliłeś, żebym zrobiła ci krzywdę, ty głupi, głupi... – Złość odebrała jej mowę.

– Ewentualnie można kazać Mercy zrobić coś absolutnie wbrew jej woli – dokończył Zee niedbale. – To działa znacznie lepiej na tego rodzaju magię niż pocałunek ukochanego.

Rozdział 9

Wargi Adama pokrywały pęcherze, a jego twarz wyglądała jak poparzona słońcem.

– Nigdy więcej tego nie rób. – Głos i ciało drżały wciąż od wstrząsu wywołanego złamaniem zaklęcia i wspomnieniem chwili, kiedy nie mogłam przestać krzywdzić Adama. – Dopiero co cię odzyskałam. – Mój wewnętrzny kojot chciał coś ugryźć, oszalały z... Po prostu oszalały. – Nie mogę cię dotykać, nie raniąc cię. Nie pozwól mi robić ci krzywdy. – To ostatnie zabrzmiało płaczliwie. Zdając sobie sprawę, że bredzę, zamknęłam się.

Cofnęłam się instynktownie, żeby nie stanowić zagrożenia dla kogokolwiek. Nie chciałam skazać nikogo resztkami tej magii – wstrętnej magii – która na mnie pozostawała. Nie chciałam ranić Adama. Nie powinien dotykać mojej splamionej skóry, czułam się brudna, brudna. To złe.

Złe. Echa traumy, która nigdy całkiem mnie nie opuściła. Usiłowałam ogarnąć myśli i skupić się na rzeczywistych problemach tu i teraz. Na Adamie.

Po brodzie ciekła mu strużka krwi, ale zaczerwienienie skóry bledło na moich oczach. Poparzenia srebrem. Dotknęłam warg. Czarne od srebra nie były zanieczyszczone magią, która odarła mnie z woli, ani też zaplamione dawnym gwałtem. Wiedziałam o tym, mimo to nadał czułam, jakby te dwie rzeczy były splecione ze sobą – magia nie ludzi i ślady na skórze ukochanego.

– Jeśli chodzi o to srebro – odezwał się Zee – mogę pomóc, Mercy.

Popatrzyłam na niego. Serce jeszcze waliło mi w piersiach z gniewu na Adama, niedowierzania, że czar naprawdę prysł, i emocji wywołanych wspomnieniem. Pamiętałam, jak Tad mówił, że skradziono mi wolę, a ja byłam... niezainteresowana. Czułam się już tak kiedyś.

– Srebro – powtórzył Zee, patrząc na mnie smutno, jakby wiedział, wokół czego krążą moje myśli. – Tylko srebro. Jeśli chodzi o tamto, jest już po wszystkim.

– W porządku. – Miałam ściśnięte gardło, nie chciałam, żeby mnie

dotykał. Nie chciałam, żeby ktokolwiek w ogóle dotknął mnie jeszcze w życiu, ale zdawałam sobie sprawę, że to bez sensu.

– Mercy.

Adam poczekał, aż spojrzę mu w oczy.

– Przełamałaś zakłęcie natychmiast, kiedy zaczęło działać się coś, czego nie chciałaś. Nigdy tak naprawdę nie znajdowałaś się pod jego urokiem. W każdym razie od chwili, gdy postanowiłaś, że tego nie chcesz.

Potraktowałam jego głos jak kotwicę i zaczęłam porządkować niezdyscyplinowane myśli. Nic mu nie będzie. Rany na ustach goiły się trochę wolniej niż zazwyczaj, ale wszystko to, co powiedziałam, wrzeszcząc na niego, było prawdą. Jak najszybciej musiał coś zjeść.

– Mercy.

Skinęłam, dając Adamowi znak, że słyszę. Nie chciałam jeszcze ryzykować odzywiania się. Kotłowało się we mnie zbyt wiele świeżych uczuć, a nie byliśmy sami.

– Dlaczego kajdanki nie zadziałały od razu? – powtórzył swoje pytanie Asil. Możliwe, że zrobił to, by odwrócić ode mnie uwagę pozostałych, ale nie znałam go na tyle, by ocenić, czy moje przypuszczenia są prawdą. – Atakujący nieczłowieka kojot, sprawa z mieczem i tak dalej, to nie są czyny kogoś bezwolnego.

– To stało się wtedy, gdy pojawił się Adam – przypomniał Tad. – Odebranie komuś woli nie jest łatwe. Wtedy, z pucharem Huona... – zająknął się i sapnął sfrustrowany. Zerknął na Asila, który mógł wiedzieć albo i nie o tym, co przeżyłam. Kiedyś. Kiedy zostałam zgwałcona, bo nie umiałam oprzeć się magii kielicha, z którego się napiłam.

Tad odchrząknął.

– Tamten kielich zadziałał, wykorzystując sam akt picia jako wyrażenie zgody, a był dużo potężniejszym artefaktem. Ukojenie i Spokój jest czarem dwuetapowym, składa się z dwóch pomniejszych zaklęć. Pierwsze zostało stworzone tak, by wyciszać, relaksować, przynosić pogodę ducha. Działa jak super-marihuana. W ten sposób aresztant staje się podatny na drugą część, pozwalającą uzyskać uległość. Magia działa również po zdjęciu kajdanków, można więc użyć ich do obezwładnienia więcej niż jednej osoby.

Potarłam przegub, na którym miałam przez chwilę obręcz. Nic wtedy nie czułam – aczkolwiek byłam mocno zajęta czymś innym. Zastanawiałam się, czy gdyby kobiecie udało się uwięzić i drugą moją rękę, to poszłabym za nią potulnie. Ale nie, magia przyczaiła się i wzięła mnie z zaskoczenia, nie dając nawet szansy na walkę. Poczekala, aż euforia z odzyskania Adama wystawi mnie na jej działanie, a potem skradła mi wolę.

– Czy jeśli znów będę spokojna i szczęśliwa, to magia wróci? – Przełknęłam nerwowo ślinę. Nic mi nie groziło. Adam był przy mnie przez cały ten czas.

Nic złego mi się nie przydarzyło – choć pamiętałam, jak płaczący duch chciał przejąć kontrolę nad moim ciałem. Co by się stało, gdyby Zee nie wbudował w drzwi barier ochronnych, przez które ja mogłam przejść, a duch nie? Ściany poddasza napierały na mnie, a kojot wrywał się do ucieczki. Podniosłam oczy na Adama i z jego spokojnego spojrzenia zaczerpnęłam poczucie bezpieczeństwa, choć moja potrzeba w tej chwili była nieracjonalna. Gdyby duch przejął nade mną kontrolę, Adam by mnie uratował, tak samo jak przecież poradził sobie z magią, która zmieniała mnie w bezbroną kukłę.

– Absolutnie nie – zapewnił mnie Zee stanowczo. – Jesteś niewdzięcznym obiektem dla magii, *Liebchen*. Miała tylko jedną szansę. Prawdopodobnie sama otrząsnęłabyś się z zaklęcia w ciągu paru dni. Dar Królowej Wrózek to słaba magia, został wykonany tak celowo, by przynieść zgubę królowej, która za bardzo na nim polegała.

Skinęłam, czując, jak supeł w żołądku rozluźnia się nieco. Zee zwrócił się do Tada.

– Nielatwo jest zniszczyć magiczny przedmiot, nieważne, potężny czy nie. Nie radziłbym tego robić, tym bardziej że naraziłoby mnie to na nieprzyjemności ze strony Szarych Panów. – Popatrzył na czarne ostrze i uśmiechnął się lekko, wręczając je synowi. – *Hier, mein Sohn*. Zatrzymaj go przez jakiś czas. Może ci się przydać. Ale uważaj, to wygłodniały miecz, a najbardziej lubi żywić się magią. I ma zwyczaj zdradzania tego, który go nosi.

Tad uśmiechnął się i zrobił to swoje abrakadabra, zmieniając broń w kawałek metalu, który wetknął do kieszeni dzinsów.

– Rozumiem. I znam historię tego ostrza.

– To dobrze. Usuwanie srebra nie będzie przyjemnym procesem, Mercy – zaznaczył, zwracając się do mnie i zerkając na Adama. – Ale musimy to zrobić teraz, później może nie być okazji. Nie wiem, czy i kiedy będę mógł znów skorzystać z lustrzanych wrót. – Zasepił się na moment. – Może Ariana dałaby radę, ale jej magia nie jest już taka, jak kiedyś. Tad ją posiada, lecz nie ma takiej wiedzy, żeby na poczekaniu skonstruować zaklęcie.

– Trudno, magia to zawsze nieprzyjemność – stwierdziłam. – Lepiej ty to zrób. – Naprawdę liczyłam, że stary gremlin poradzi coś na mój problem ze srebrem, i nie zamierzałam dopuścić, żeby przeszkodził nam w tym mój syndrom stresu pourazowego. Przygotowałam się, zamknęłam oczy i upewniłam się, że dam radę kontrolować mięśnie twarzy.

Zee położył mi dłonie na policzkach i wypełnił mnie swoją magią. Na początku nie bolało. Magia Zee miała specyficzny posmak oleju, metalu, wysiłku fizycznego i żaru. Czulałam, jak działa, ale było to całkiem inne uczucie niż wtedy, gdy to ja wydobywałam srebro z Adama.

Zaczęło się od łaskotania w stopach, a potem, kiedy dreszcz przesunął się w górę, jego napięcie narastało, zmieniło się w ukłucia, jakby ukąszenia czerwonych mrówek, które nagle przekształciły się w falę ukąszeń całego mrowiska. Coraz silniejsze igielki wędrowały od stóp w górę ciała.

– Au, au, au – zapiszczałam.

– Nie bolało, kiedy wyciągała srebro ze mnie – burknął niezadowolony Adam. Zamilkłam. Parę ukłuć to nic wielkiego – no dobrze, masa ukłuć. Ale nie chciałam denerwować Adama.

– Nie jestem córką Kojota połączoną magiczną więzią z wilkołakiem – fuknął Zee. – Muszę działać według prawideł magii. – Odjął dłonie od mojej twarzy i ze zdziwieniem spoglądał na srebrny krążek. – Dużo tego srebra w tobie, Mercy. A to jeszcze nie wszystko. W dodatku mówiłaś, że części już się pozbyłaś.

Dyszałam ciężko, więc Adam odpowiedział za mnie.

– Widziałem je na posadzce – przytaknął. Pewnie najpierw poszedł

do Kyle'a, a dopiero potem ruszył do mieszkania Sylvii. – Więcej tego wyszło, niż mogło być. Dali mi pięć albo sześć dawek, ale to nic w porównaniu z tą kałużą.

– Prawo zachowania masy wskazywałoby – wtrącił się Asil – że może wyciągnęła srebro nie tylko z ciebie. W jakim stanie jest wataha?

– Prawo zachowania masy – prychnął Tad kąśliwie. – I to mówi wilkołak, który dobrze wie, że nauka odwraca wzrok, kiedy osiemdziesięciopięciokilogramowy mężczyzna przemienia się w stutrydziestokilogramową bestię?

– Spodziewałem się, że będzie gorzej – rzekł Adam z namysłem, choć komentarz Tada skwitował uśmiechem. – Nie brałem pod uwagę, że mogła im też pomóc. Większość nadal choruje, ale Darryl i Warren czują się prawie normalnie. Ale jeśli nawet tak było, to taka ilość srebra we wszystkich łącznie przyprawiłaby o śmierć całe stado.

– Czyli niektórzy jeszcze są przytruci? – dopytywał się Zee.

– Tak.

Zee gestem przywołał syna.

– Chodź, połóż ręce na moich, pokażę ci, jak to zrobić. Będiesz mógł pomóc Adamowym ludziom.

– Fajnie – mruknęłam mało entuzjastycznie, ale już nie taka zjeżona. – Czyli że będę obiektem szkoleniowym.

Czułam się jak pies pokłuty przez jeżozwierza, więc tym razem trudniej niż poprzednio było mi stać spokojnie podczas wyciągania srebra. Ale ból pozwalał skupiać się na terażniejszości, podobnie jak ponura mina Adama. Posłałam mu wesolutki uśmiech, a jego mars pogłębił się jeszcze.

Zee uczył Tada naprawiania samochodów, każąc mu robić wszystko samodzielnie, i tylko rzucał cierpkie uwagi. Robił to w starogermańskim, a choć niemiecki jako tako rozumiem, jego starożytna odmiana brzmi dla mnie jak walijski w ustach Szweda przeżuającego kluski.

Wreszcie, po jakimś czasie, Tad podniósł krążek srebra wielkości dziesięciocentówki, ja rzuciłam się rozmasować skurcze w udach, a Adam zaczął krążyć po poddaszu jak wściekły pawian, którego kiedyś widziałam w zoo. Asil przycupnął w kącie z książką, żeby jego obecność

nie nakręcała Adama jeszcze bardziej.

– Jeśli Tad zamierza zrobić to wilkołakom – wycedziłam, bo we wszystkich mięśniach w całym ciele miałam skurcze – to Adam będzie musiał ich przytrzymywać.

Adam wziął się za masowanie mi barków. Westchnęłam z ulgą, poddając się jego dotykowi, a sama zajęłam się lewą łydką.

– Z wilkołakami nie będzie tak trudno – rzekł Zee. – Ich organizmy same chcą się pozbyć srebra, więc wystarczy im drobna pomoc. No i szybciej też dojdą do siebie.

– Będę ich pilnował – obiecał Adam. – Tadowi nic się nie stanie.

– To co, nieludzie planują przejęcie władzy nad światem? – zwróciłam się do Zee.

Buchnął takim śmiechem, że przez chwilę nie mógł mówić.

– Pokrótce: tak – oświadczył rozbawiony.

Asil przestał udawać brak zainteresowania i odłożył książkę.

– Ale? – drażyłam, lecz Zee znów zaczął się śmiać.

– *Liebchen* – odezwał się wreszcie. – Może i gdyby potrafili zamierzyć się mieczami w jedno miejsce, udałoby im się zrobić coś strasznego. Ale w rzeczywistości każdy z nas usiłuje głównie przetrwać i znaleźć swój sposób na oswojenie tego świata żelaza. Nie wiem, co się wydarzy prócz tego, że wszystko się zmienia.

– Ktoś – Kojot – kiedyś mi powiedział, że zmiany nie są ani dobre, ani złe. – Stojący za mną Adam sapnął wilczo, wyrażając swoją dezaprobatę. – Im człowiek starszy, tym bardziej obawia się zmian, nawet jeśli uważa, że nad wszystkim panuje. Szczególnie gdy uważa, że nad wszystkim panuje. A jest wielu bardzo starych nieludzi.

Zee skinął głową i gest ten, w jego prawdziwej postaci, wyglądał znacznie bardziej monarszo, niż gdy miał na sobie iluzję ludzkiego wyglądu.

– Masz rację. Chciałbym was zapewnić, że nie ma się czym martwić, ale jest się czym martwić. Wiele magicznych istot nienawidzi ludzi, Mercy. Niektóre nienawidzą ich za opasanie świata żelazem, inne za utratę Podgórze, mimo że stworzyliśmy sobie w jego miejsce coś innego, a jeszcze inni zazdroszczą ludziom łatwości mnożenia się. – Westchnął i naraz jakby się postarzał. – Nienawiść to niepotrzebna rzecz.

– Nigdy nie sądziłem, że dożyję chwili, kiedy usłyszę coś takiego z twoich ust – zaśmiał się Asil, a Zee uniósł swą królewską brew. Ktoś, kto go nie znał, mógłby nie dostrzec w jego oczach iskry humoru.

– Zdecydowanie niepotrzebna – powtórzył i przechylił głowę, jakby nasłuchiwał, choć ja nie słyszałam żadnego dźwięku. – Jednak niezwykle potężna. Muszę wracać, ktoś stuka do moich drzwi. – Położył dłoń na ramieniu Tada. – Uważaj na siebie.

– Ty też – pożegnał go Tad.

Zee wszedł w czerń wypełniającą lustrzaną ramę, jakby to były drzwi. Powiedział coś, co raczej wyczułam, niż usłyszałam, a w ramie znów pojawiła się zwierciadlana tafla.

– Myślałem, że kto jak kto, ale on nigdy się nie zmieni – powiedział Asil w zadumie.

– Kochał moją matkę – rzekł Tad. – A miłość jest potężniejsza niż wszystko inne, nawet stary magiczny zgred, który wie, jak nienawidzić.

Asil spojrzał na chłopaka zamyślony.

– Tak sądzisz? – A potem przeniósł wzrok na lustro. – Miłość jest i potrzebna, i potężna, ale rzadko dogodna.

– No nie wiem – wtrącił Adam. – Mnie tam pasuje.

– Tak? A mnie mówiłeś zupełnie coś innego. – Udałam oburzenie. Roześmiał się.



W drodze na dół duch znowu próbował zaleźć mi za skórę, ale tym razem nie ciążyło na mnie zaklęcie magicznych.

– Odejdź – rozkazałam mu.

– Mercy? – Adam, który schodził za mną, położył mi rękę na plecach.

– Nie ty. Mówiłam do ducha.

Warknął, rozbawiając mnie tym.

Duch postanowił udowodnić, że umie nie tylko płakać, i wrzasnął na mnie, przyciskając jednocześnie twarz do mojej. Nikt ze schodzących nie zareagował. Wrzask brzmiał przenikliwie, świdrował w uszach, więc gdyby ktoś go słyszał, na pewno by to okazał. Była więc to jedna z tych rzeczy, które postrzegałam tylko ja – szczęściara ze mnie.

Długo żyłam w przekonaniu, że mogę duchy jedynie obserwować. A potem natknęłam się na wampira, potrafiącego kraść moc swoich ofiar. Przejął ją od zmiennokształtnego, którego umiejętności nie ograniczały się tylko do widzenia duchów.

Skupiłam się na zjawie, zaczerpnęłam nieco mocy Alfy od Adama – choć nie potrzebowałam jej wcale – i powtórzyłam:

– Odejdź.

Duch zniknął nagle, a na dole rozległ się okropny hałas. Idący na przedzie Tad popędził na parter, tupiąc po stopniach. Asil, jak większość starych wilków, biegł bezgłośnie. Kiedy dotarliśmy z Adamem do kuchni, Tad pod czujnym okiem Asila zamiatał szklane skorupy. Duch najwyraźniej potrafił również zrzucić z blatu suszarkę pełną naczyń.

Wsypując odłamki do kosza, Tad podniósł na mnie wzrok.

– A mówiłaś, że umie tylko płakać.

– Wydaje mi się, że kiedy chwilowo pozbawiona woli przeszłam przez nią, udało jej się przyciągnąć odrobinę bliżej naszego świata – wyjaśniłam przepraszająco. – Pewnie dopóki ten efekt się utrzyma, jej obecność będzie bardziej zauważalna.

– No to mamy ducha.

– Przecież ci mówiłam.

– Fajnie. – Odłożył łopatkę i uśmiechnął się wesoło. – Nawiedzone domy są czadowe.

– Porozmawiamy, jak przestaniesz sypiać przez te jej łkania – mruknęłam. – Jeśli stanie się zbyt konfrontacyjna, daj mi znać. Może uda mi się ją przekonać, żeby zostawiła cię w spokoju.

Nie miałam zbyt wielkiego doświadczenia na tym froncie.

Duchy nie zostają dużej możliwości samostanowienia – ograniczały je zasady ich własnej egzystencji – więc odbieranie im tej odrobiny wolnej woli wydawało się zbrodnią. Dopóki nie próbowały przejąć nade mną kontroli i nie dręczyły moich przyjaciół, nic do nich nie miałam.

– Konfrontacyjna, nieźle – rzekł Tad. – Widzę, że korzystasz z tego „Kalendarza wielkich słów na co dzień”, który dałem ci na Gwiazdkę.

– To niezaprzeczalne – odparłam poważnie.



Odsrebrzona, zdemagiczniona, poprzysięgłszy sobie nigdy nie przegadywać się – ani tym bardziej grać w Scrabble – z Adamem czy Asilem (tak swoją drogą, czy istnieje słowo hipopotomonstrozastopokolanofobia?), jechałam do Kyle’a, u którego czekali na nas agent Armstrong i cała reszta.

Adam tylko uniósł brew, kiedy oświadczyłam, że to ja prowadzę, a to znaczyło, że naprawdę jest wykończony. Kiedy tylko wyjechaliśmy na ulicę, zamknął oczy. Droga minęła nam w prawie całkowitym milczeniu. I pewnie to dobrze, biorąc pod uwagę obecność dwóch dominujących, obcych sobie wilków, wtłoczonych w tak niewielką przestrzeń.

Na podjeździe Kyle’a stał mercedes Marsilii. Musiałam zaparkować przecnicę dalej, bo pod domem stała masa samochodów, w tym busik oklejony biblijnymi cytatami, głównie z Listu do Rzymian, ale też kilkoma z Apokalipsy i Księgi Przysłów. Większość kojarzyłam, ale i tak były oznaczone numerem rozdziału i wersetu. Adam zaśmiał się, kiedy przystanąłam, żeby sobie poczytać.

– To sprawka Elizawiety – wyjaśnił. – Powiedziałem jej, że mamy do przetransportowania całą watahę, więc przyprowadziła dwa vany i to. Powiedziała, że jeden z jej siostrzeńców pożyczył busik ze swojego kościoła pod pretekstem przewożenia czegoś większego. Zostawili nam go tu do czasu, aż się nie zorganizujemy.

– Dobrze, że sąsiad Kyle’a nie żyje – skwitowałam. Adam nie zadzwonił do mnie jako pierwszej, tylko do wiedzy, która telefonu ode mnie nawet nie odebrała! – Za każdym razem jak parkowałam Królika pod domem Kyle’a, przyczepiał mu potem do drzwi kartkę ze skargą. Ciekawe, co zrobiłby z tym busem.

– Hej – szepnął mi Adam do ucha. – To do ciebie zadzwoniłem najpierw, ale twoja komórka nie działała. Dopiero potem do Elizawiety.

Nie powinnam się tak z tego cieszyć. W końcu Elizawieta była w tamtym momencie bardziej przydatna niż ja, więc to naturalne, że to właśnie z nią powinien był skontaktować się w pierwszej kolejności. Umiała zacierać ślady i miała pomocników zdolnych zorganizować transport. Mimo to najpierw zadzwonił do mnie. Zirytowałam się na siebie za głupią zazdrość, rozejrzałam, żeby czymś zająć myśli, i mój wzrok znów padł na busik.

– Nie pozwolisz żyć czarownicy – odczytałam na przednim nadkolu. – Ciekawe, czy Elizawieta to widziała. Nie jest tu co prawda napisane wprost o wilkołakach, ale pewnie też się zaliczają.

– Żony niechaj będą poddane swym mężom – wyrecytował Adam, nie patrząc na fragmenty Biblii na kółkach. – Kobiety mają na tych zgromadzeniach milczeć, nie dozwala się im bowiem mówić.

– Aha, Paweł. Mówił też znacznie mądrzejsze rzeczy. Dobrze jest człowiekowi nie tykać się niewiasty – zripostowałam błyskawicznie i Adam pocałował mnie, roześmiany.

Zesztywniałam, czując irracjonalny strach, że może Zee nie usunął całego srebra, ale Adam wydał z siebie raczej miękki pomruk niż warknięcie. Odprężyłam się więc i wzięłam udział w czułościach.

– Zawsze flirtują wyjątkami z Biblii? – zapytał Tada Asil.

– Potrafią flirtować układem okresowym pierwiastków i barowym menu – odpowiedział chłopak znękanym tonem. – Co robić, jakoś trzeba z tym żyć. Ej, znajdźcie sobie pokój, ludzie.

– Cicho tam, szczeniaku – zbeształ go Adam żartobliwie i klepnął mnie obiecująco po pupie. – Okazuj starszym szacunek.

Pod domem przyjrzałam się bliżej wgnieceniu w karoserii mercedesa. Nie było takie wielkie, jak mi się wydawało, ale i tak wyglądało to kiepsko. Wiedziałam, że Marsilia się wścieknie, i będzie miała do tego pełne prawo. Żywiłam nadzieję, że nie przeniesie tej sprawy na całe stado, które i bez tego oberwało już z czubkiem.

– Nie martw się, naprawimy to – pocieszył mnie Adam.

– Bardziej i tak nie może mnie znienawidzić – westchnęłam, starając się widzieć jasne strony sprawy.

– Ale może znienawidzić cię bardziej niezwłocznie – zauważył Tad. Nie mogłam się nie zaśmiać, choć niestety miał rację.

– Nie zrobiłaby Mercy krzywdy – stwierdził Adam łagodnie. – Nie jest głupia.

Asil przeszedł wzdłuż bagażnika, węsząc.

– Trup nadal jest w środku. – Rozejrzał się, jakby czegoś szukał. – Samochodu Armstronga nie ma. Mówił, że musi jeszcze coś załatwić ze swoją ekipą. Ale na pewno wróci. I to raczej wcześniej niż później.

– Powiedz mi coś o nim – zwrócił się do niego Adam. – Tylko się z

nim przywitałem i wyszedłem.

– Nie jestem twoim wilkiem – warknął Asil ostro. Adam odetchnął głęboko i otrząsnął się.

– Wybacz – rzekł, skupiając wzrok na samochodzie. –

Przyzwyczajenie. Musimy rozwiązać pewne kwestie, zanim zrobi się z tego jatka. Byłeś niezwykle uprzejmy i jestem ci za to wdzięczny.

Postaram się uważać. Czy mógłbyś podzielić się ze mną informacjami o tym agencie SNIT?

Zapadło milczenie. Obserwowałam Asila, doszukując się jakiegokolwiek znaku, że nie zechce przyjąć przeprosin Adama. Oczy jarzyły mu się żółto. Ich błyskawiczna zmiana koloru więcej niż słowa mówiła o tym, jak słaba jest jego kontrola nad wilkiem.

– Charles za niego ręczy – odparł Asil, pozwalając zawisnąć przeprosinom w powietrzu, co było najbezpieczniejszym rozwiązaniem.

– Lin Armstrong rozwiązuje problemy SNIT i ma spore kompetencje. Charles prosił, żebym ci przekazał, że możesz mu zaufać. Dopóki trzymamy się swoich zasad, nie robi afery.

– Nawet jeśli mam jeszcze gorącą krew federalnych na rękach? – zapytał Adam.

– Powiedz mu całą prawdę – poradziłam impulsywnie. – A jeszcze lepiej poczekaj na Tony’ego, który ma przywieźć Sylvie, i powiedz wszystkim naraz. To my tu jesteśmy w prawie, a im zależałoby na kłamstwie.

– Lepiej skonsultujcie to z prawnikiem, jeśli macie jakiegoś pod ręką – zastrzegł Asil. – I opowiedzcie tyle prawdy, ile prawnik wam doradzi, i ani słowa więcej.

– Jeśli tak, to musimy ustalić pewne szczegóły – zauważyłam.

– Powiemy im prawdę – oznajmił Adam twardo. – Jestem znużony tymi gierkami. Może czas zasiać nieco strachu. Gdyby bardziej się nas bali, to może Peter nadal by żył.

Kiedy Adam otworzył drzwi, uderzyła w nas fala zgiełku i zamieszania, która urosła jeszcze w momencie, gdy ludzie zdali sobie sprawę, kto stanął w progu.

– Cisza! – powiedział Adam i nagle wszyscy: wilkołaki, ochroniarze i te kilkanaście małych dziewczynek (oczywiście nie było

ich tyle, tylko szybko się przemieszczały) umilkli i stanęli.

– No. – Rozejrzał się. – Gdzie Kyle? Muszę z nim pogodoć i jakoś was zorganizować. – Naprawdę był zmęczony, skoro wymykała mu się rodzima gwara.

– Sprowadzę go – odezwała się stojąca z tyłu Mary Jo i zniknęła gdzieś na schodach. Miała na sobie za duży dres, a jej cera nabrała zielonkawego odcienia, jakby właśnie obudziła się po całonocnych zawodach w picciu.

Jesse, rozczochrana, spocona, z najmłodszą Sandovalówną na rękach, podeszła do ojca i pocałowała go w policzek. Przez chwilę stała przytulona do niego.

– Witaj w domu, tato. – Objął ją mocno, a potem puścił i zmierzwił włosy Mai.

– Jechałam autem z trupem – pochwaliła się dziewczynka. Adam zerknął na mnie, rozbawiony.

– Chyba równie dobrze możemy wszystkim powiedzieć prawdę i tylko prawdę.

– To tajemnica – zastrzegła Maia. Znów zmierzwił jej fryzurkę.

– Ale nie przed mamą – pouczył ją. – Jej powinnaś powiedzieć wszystko.

– Dobrze, powiem – obiecała dziewczynka.

– Bardzo dobrze.

– Słyszałam, że tym razem dałeś radę uratować się bez pomocy Mercy? – Jesse odstąpiła krok, żeby lepiej widzieć ojca.

– Ej, smarkulo. – Uśmiechnął się. – Pamiętaj, kto trzyma kasę na twoje studia.

– A może zajdę w ciążę i do końca życia będę pracowała w fast-foodzie? – Zaśmiała się i odbiegła w głąb pokoju, zanim zdążył odpowiedzieć.

Pośród śmiechów wywołanych tak żartem Jesse, jak ulgą, że jesteśmy cali i zdrowi, Adam przystąpił do organizowania chaosu. Przez chwilę przyglądałam się, jak poszczególni członkowie watahy zbliżają się do niego i odchodzą. Musieli na własne oczy i nosy sprawdzić, czy nic mu nie jest. Rozumiałam ich dobrze.

Kiedy Adam i Asil zniknęli gdzieś, żeby rozstrzygnąć kwestię, kto

tu jest większym i źlejszym wilkiem, przemknęłam do kuchni. Wilkołaki muszą jeść, a po Adamie było widać, że porywacze go nie karmili.

W kuchni panował bałagan nie z tej ziemi. Wszędzie piętrzyły się brudne naczynia, a jeden cały blat zastawiony był tacami z kanapkami, które wyglądały tak, jakby ktoś w pewnej chwili zamówił catering.

Wyjęłam naczynia ze zmywarki i załadowałam następną partię – przepychanki hierarchiczne zajmowały trochę czasu. Potem wzięłam ze stosu tekturowy talerz i załadowałam go czterema kanapkami z krwistym befsztykiem.

Kiedy wyszłam, na placu boju pozostał tylko jeden wilkołak – Adam – a poziom hałasu wyraźnie się zmniejszył. Adam usiłował wypchnąć za drzwi ekipę ze swojej firmy ochroniarskiej.

– Uważamy, że ten dom nie jest wystarczająco zabezpieczony. I z całym szacunkiem, szefie, ale to Brooks nas zatrudnił. – Nie spotkałam wcześniej Jima Gutsteina, lecz rozpoznałam jego głos z rozmów telefonicznych. Miał około pięćdziesiątki i muskulaturę zarezerwowaną dla zawodowych atletów i wilkołaków. W ciemnoszarych oczach czaił się upór, wzmocniony zawzięcie uniesioną brodą. Wzbraniał się przed wyjściem, mimo że nawet ja, a przecież go nie znałam, wyraźnie widziałam, jak bardzo jest zmęczony. Znużenie tylko mocniej zacina w uporze upartych ludzi.

– Masz. – Wręczyłam Adamowi talerz, zanim zdążył powiedzieć coś, co podniosłoby jeszcze poprzeczkę oporu Jima. Miałam doświadczenie w radzeniu sobie z osobami o silnych charakterach, głównie wilkołakami. Człowiek nie miał ze mną szans. – Idź jeść – zaordynowałam i odwróciłam się do Gutsteina. – Jim? Jestem Mercy, żona Adama. Miło cię w końcu poznać osobiście. – Otworzyłam drzwi i zrobiłam krok naprzód, zmuszając go do cofnięcia się przez próg. Żeby mnie powstrzymać, musiałby wejść ze mną w bliższy kontakt fizyczny, niż chciał. Reszta jego zespołu wyszła za mną. – Bardzo ci za wszystko dziękuję – powiedziałam szczerze. – A teraz idź do domu, żeby Adam mógł spokojnie usiąść i zjeść. Nic mu nie jest, jest ci wdzięczny i skontaktuje się z tobą w poniedziałek. Zostaw tu ze dwóch ludzi, nawet ich nie zauważy, ale ty, Jim, musisz się przespać.

Jim łypnął na mnie koso, ale któryś ze współpracowników położył

mu rękę na ramieniu.

– Mówi z większym sensem niż ty teraz, Gutstein. Idź spać. Potem zrobisz mu piekło. Chris i Todd obserwują dom, a przecież w cholere tu wilkołaków. Słyszałeś szefa, prawdopodobieństwo drugiego ataku jest nikłe albo wręcz zerowe.

– Dobranoc panom – powiedziałam, zanim skończyli rozmawiać, weszłam do domu i zamknęłam drzwi, uprzedzając ewentualne próby Jima wdarcia się do środka.

Adam stał pośrodku holu z talerzem w dłoni i gapił się na mnie zdeprymowany. Nadal w bojowym nastroju, postanowiłam iść za ciosem i wskazałam mu kuchnię.

– A pana zapraszam do kuchni. I proszę mi to wszystko zjeść. Zaśmiał się, a ja znów dostrzegłam, jak jest zmęczony.

– Tak jest, pani Alfo Kojocico. A może mi potowarzysz? Reszta chyba gdzieś się porozchodziła na razie.

Miał na myśli coś więcej niż wspólny posiłek. Musiałabym być ślepa, żeby tego nie zauważyć. Tak subtelne zaproszenie mogłabym zignorować, zaprowadzić go do kuchni, a sama zabrać się do zmywania.

– Owszem, to duży dom – powiedziałam jednak. – Ale czai się tu banda wilkołaków, stado Sandovalówien, gdzieś tam jest twoja córka, jej chłopak, policjant, a niedługo dojdzie do tego jeden federalny. Nie wiem, czy uda się nam znaleźć jakiś kącik dla siebie.

Adam uśmiechnął się tak, że podziękowałam sobie w duchu, że nie zabrałam go do kuchni.

– Jeśli o to chodzi, zdaj się na mnie.

Wymknęliśmy się do garażu, a potem wdrapaliśmy po sznurowej drabinie na niewielkie poddasze, doświetlone dwoma świetlikami. Ściany pomieszczenia pomalowano na jasny miętowy kolor, który dopełniał barwę grubej kobaltowej wykładziny, ale nie umeblowano go ani nie zawieszono lamp.

– Skąd o tym wiedziałeś? – zdziwiłam się, wciągając drabinkę, i zamknęłam klapę. Nie chciałam zostawiać oczywistych śladów prowadzących do naszego azylu, bo przecież wymknęliśmy się, żeby być sam na sam.

Adam postawił talerz na podłodze.

– Od Warrena. Obiecał, że w razie czego będzie trzymał wszystkich z daleka od sypialni, ale że może lepiej, jeśli się tu przekradniemy.

Spojrzał na mnie ciepłymi, brązowymi oczyma, w których igrały złote iskry. Miał nieco ochrypły głos.

– Muszę cię obejrzyć, Mercy, proszę. Upewnić się, że nic ci nie jest.

Tym razem, rozbierając się, czułam się nieco skrępowana. Nagość sama w sobie mi nie przeszkadza, ale kobieta chciałaby się ładnie prezentować przed partnerem, a ja byłam poobijana, posiniaczona i podrapana. Kolano pewnie mi spuchło i było już fioletowe. Tyle dobrze, że ust już nie miałam czarnych.

Opuszczając spodnie, odwróciłam się do niego tyłem.

– Mercy?

– Tak? – Obejrzałam się przez ramię; ściągał koszulę.

– Zawrzyjmy układ. Ja nie będę ukrywał się przed tobą, a ty przede mną.

Sama myśl o Adamie ukrywającym się przed kimkolwiek zdumiała mnie tak, że przez chwilę stałam z otwartymi ustami, a potem musiałam nadgonić go w ściągnięciu ubrań. Miał dobry pomysł. Nie czułam się taka obnażona, kiedy i on się rozebrał. Bez słowa oglądał moje siniaki, dotykając ich delikatnie.

– To od kraksy – powiedziałam, kiedy zatrzymał się przy policzku. Zmarszczył brwi. – No dobra. Od kraksy i od upadku na ziemię, kiedy to niehumanitarne babsko skoczyło mi na plecy.

I tak to wyglądało – on dotykał siniaka, opuchlizny, zadrapania, a ja mówiłam, skąd się wzięły. Kiedy skończył, wsparł się czołem na moim ramieniu i przyciągnął mnie do siebie.

– Kiedyś mnie wykończysz – mruknął. – Wolałbym, żebyś nie była taka dzielna, odważna i prawa.

– No to masz pecha – podsumowałam. – Wiem, jak to jest. Mój własny mąż zamierzał dać się zabić, żeby ocalić watahę wilkołaków. A dzisiaj postawił się magicznej istocie, o której nic absolutnie nie wiedział, a niektóre z tych istot są jak żywioty natury.

– Ech, to dlatego, że moja żona chciała go pobić – poskarżył się. –

Musiałem go przecież bronić.

Rozśmieszył mnie.

– Wiesz, co zrobiłaby moja pierwsza żona, gdyby agenci porwali mnie i całą watahę?

– No nie wiem, wypełniła papiery rozwodowe?

Tym razem on się roześmiał.

– Trafiony. A potem chodziłaby po ludziach i narzekała, jakie to straszne ma życie i że wszyscy od niej zbyt wiele wymagają. A wiesz, co zrobiła moja druga żona?

– Dała się sprać na kwaśne jabłko, a potem biegała w kółko, podczas gdy ty ratowałeś się sam?

– Zadbala o stado, o tych, którzy zostali. Zadbala o bezpieczeństwo mojego dziecka. Skontaktowała się z Branem, który przysłał pomoc. I obroniła moje dziecko przed zbirami.

– No chodząca cnota, normalnie.

– Ocaliła mi życie i dała siłę, żebym mógł uratować watahę – westchnął i odsunął się, żeby na mnie popatrzeć. – A ja mam ochotę przełożyć ją przez kolano i sprać po tyłku, żeby następnym razem zrobiła dokładnie to, co zrobiłaby pierwsza.

– Spróbuj tylko podnieść na mnie rękę, a już nigdy nie zaznasz spokojnego snu – zagroziłam.

Śmiejąc się, usiadł na dywanie. Twardy czy nie, prędzej nie mógł już ustać, niż zwyczajnie siadł.

A potem śmiał się i śmiał. Był krańcowo wyczerpany, ale ponieważ właśnie zagroził mi laniem, wcale mu nie współczułam. Stałam nad nim i skrzyżowałam ramiona na piersiach.

Wreszcie otarł oczy, podniósł wzrok i przestał się śmiać.

– Nawet nie wiesz, jaka jesteś krucha, Mercy. Ostatnim razem, kiedy wpadłaś w tarapaty, miesiącami jeździłaś na wózku. Walczysz tak długo i zajadle, jak każdy wilkołak, a nie posiadasz żadnej z przewag, które dano nam. Jesteś bystra, jesteś ostrożna i masz wręcz niesamowite szczęście. A to przeraża mnie bardziej niż jakikolwiek spriggan z mieczem Zee czy fanatyk SNIT ze strzykawką srebra. Szczęście się wyczerpuje.

– Coś ci powiem. – Usiadłam przy Adamie, powstrzymując się

przed nakarmieniem go mądrością, którą niedawno sam mi zaserwował: „Myślałaś, że umrę ze starości?”. Nie wydało mi się to wtedy zabawne i podejrzewałam, że z nim byłoby tak samo teraz. – Myśl o mnie jak o córce Kojota. Kojot ma szczęście.

– Nie, Mercy. – Adam pokręcił głową. – Kojot wcale nie ma szczęścia. Działa pochopnie, a wszyscy wokół niego giną. Włącznie z nim samym. Tyle że on o wschodzie słońca wstaje cały i zdrowy i rusza na poszukiwanie nowych towarzyszy. Bo Kojot jest nieśmiertelny. – A ty nie. Nie powiedział tego, ale nie musiał. Oboje to usłyszeliśmy.

Zabębniłam piętami w podłogę i pochyliłam się ku niemu. Nadszedł czas na odwrócenie uwagi.

– Za to ten kojot czuje się znacznie lepiej. Zaprzyjaźnisz się ze mną, wilku?

Przechylił głowę i dotknął mojego podbródka.

– No nie wiem. A nadal będziesz robiła wszystko, żeby dać się zabić?

To nie ja tu usiłowałam popełnić samobójstwo – nie zdawałam sobie sprawy, że nadal jestem o to na Adama wściekła.

Schyliłam głowę i ugryzłam go w palec. To miała być reprimenda, ale nie przyjął tego w ten sposób. Oczy zapłonęły mu żółtym blaskiem i nie cofnął palca.

– Pewnie tak – odpowiedział sobie zrezygnowany, ale jego pocałunek był pełen żaru.



Zdrzemnęliśmy się potem. Nie spaliśmy, ale byliśmy przyjemnie rozluźnieni i nie chciało nam się wstawać. Wtuliłam nos za jego ucho, gdzie otoczył mnie znajomy zapach. Liznęłam jego ciepłą skórę na szyi.

– Peter nie żyje – odezwał się nagle.

Położyłam się na nim, żeby nie czuł się taki samotny.

– Wiem.

– Miałem go chronić. To było moje zadanie.

– Przeciętny wilkołak żyje dziesięć lat po Przeistoczeniu – przypomniałam Adamowi. – Człowiek chodzi po tym świecie około siedemdziesięciu. Peter był dużo starszy, był cztery razy starszy od

ciebie. Miał długie życie i szybką śmierć. – Wiedziałam, że to żaden argument, ale takie rzeczy miały liczyć się później, kiedy odejście Petera nie będzie takie... świeże.

– To moja wina – rzekł Adam. Ktoś, kto by go nie znał, mógłby uznać, że mówi spokojnie. – Gdyby nie było ich tak wielu... Gdybym zaatakował, jak tylko przyszli do domu...

– Myślałeś, że to federalni. – Sam o tym wiedział, ale jeśli tego potrzebował, mogłam mu to powtarzać do znudzenia. – Gdyby wilkołaki zaczęły zabijać agentów rządowych, szybko nie byłoby żadnych wilkołaków. Dobrze postąpiłeś. Byłam z tobą, gdy Peter został zabity, to mógłby być którykolwiek z was. Jones chciał kogoś zabić i nic by go nie powstrzymało.

– Jones nie żyje. – Poczułam, jak się pode mną rozluźnia. Adam nie był głupi. Nie pierwszy raz zdarzyło się coś złego, nad czym nie panował.

Prychnął śmiechem.

– Nie zabiłem go.

Uniosłam głowę, żeby widzieć jego twarz.

– A to niespodzianka.

– Zabiłem resztę, ale jego zostawiłem Honey. – Obserwował moją minę. Przed pierwszą żoną, która była człowiekiem, ukrywał w większości to, kim jest, a ona i tak uciekła na widok tych przebłysków, które jej ukazał.

– I dobrze – stwierdziłam. – Oszczędziłeś mi kłopotu.

Znów się zaśmiał i już całkiem się rozluźnił, zmiękł – choć ciężko w jego przypadku mówić o miękkości.

– Kocham cię.

– Wiem – odpowiedziałam poważnie. – A jakżeby inaczej?

Przetoczył się ze śmiechem tak, że znalazłam się pod nim, a potem otarł się o mnie biodrami.

– A tak się starałem – szepnął. – I nie udało się.

– No ja myślę. – Wyszemrałam mu w ucho i poczułam, jak drży. Pachniał domem, bezpieczeństwem, miłością. – Ja myślę.

– Obiecuję, żadnych klapsów. – I dodał chrapliwym, niskim głosem: – No chyba że mnie poprosisz.

Zaśmiałam mu się w ramię.

– To dlatego, że nie jesteś samobójcą.

Znów się kochaliśmy.

Leżałam na miękkim, sprężystym dywanie, otoczona żarem Adama. Potem zasnął w trakcie jedzenia, dosłownie przysypiał pomiędzy kęsami, jak niemowlę. Chyba nie zmrużył oka od czasu porwania. Nie drgnął nawet, kiedy się odsunęłam, żeby założyć ubrania.

Pomieszczenie zostało wykończzone, ale było nieogrzewane. Dla Adama, wilkołaka, im zimniej, tym lepiej – dla mnie niekoniecznie. Potem usiadłam przy nim i patrzyłam, jak śpi.

Niedługo cieszyliśmy się spokojem.

Drzwi do garażu otworzyły się jakieś dwadzieścia minut po tym, jak Adam zapadł w drzemkę.

– Sorki, szefie – powiedział Warren. – Musisz wracać, jeśli nie chcesz, żeby Kyle powystrzelał resztę stada.

Nie mówił głośno, ale Adam i tak otworzył oczy. Uśmiechnął się do mnie.

– Dobrze wiedzieć. Niech zaraz schodzę.

Warren przytrzymał drabinkę, którą Adam zrzucił z góry.

– Umieściliśmy wilki na dole, żeby odgradzić je nieco od Sandovalówien. – Pokój na dole był największy. Stał w nim stół bilardowy, a po stopniach wychodziło się na tyły domu. Dom Kyle'a był duży, większy od naszego, lecz na pewno nieprzystosowany do pomieszczenia tak wielkiej grupy.

– Nie zrobiliby niczego celowo – ciągnął Warren, gdy schodziłam po drabince. – Ale wszyscy jesteśmy napięci do granic.

– Zatrucie srebrem też nie pomaga – przytaknęłam mu. – Tad wam z tym pomoże.

– A potem roześlemy większość do domów – dodał Adam. – Nawet jeśli nasz wróg ma jeszcze kły, potrzebuje czasu, żeby się przegrupować. Na razie będziemy w miarę bezpieczni.

Warren mruknął. Stanąwszy na ziemi, przyjrzałam mu się uważnie. Warren był moim pierwszym przyjacielem w Adamowym stadzie –

przyjaźniliśmy się, jeszcze zanim do niego dołączył.

– Wyglądasz nadspodziewanie dobrze – oceniłam i ku memu zdumieniu zarumienił się.

– Trochę jedzenia i od razu mi lepiej – stwierdził z nieśmiałym uśmiechem.

– Raczej Kyle’a – prychnął Adam.

– To też – zgodził się Warren. Jego spojrzenie ochłodziło, kiedy wrzucał drabinę w dziurę w suficie. – Mercy, jak spotkasz swojego ulubionego krwiopijcę, przekaż mu, że mam u niego dług wdzięczności.

– Przekażę. Ale zrobił to dla Kyle’a.

Warren skinął i wskoczył na stojący pod ścianą metalowy regał, żeby porządnie zabezpieczyć klapę.



Kiedy dołączyliśmy z Tadem do wilkołaków na dole, nie powitały nas żadne komentarze, dowcipne uwagi ani nawet znaczące spojrzenia. Odebrałam to jako oznakę minorowych nastrojów watahy. Zwracała też uwagę nieobecność niektórych członków stada.

– Darryl i Auriele poszli do domu – poinformował nas Warren i zerknął na Adama. – Chyba doszli do siebie po zatruciu, a Darryl ma w niedzielę telekonferencję z jakimiś naukowcami z Chin.

– Wydaje się, że wszystkie wilki stojące najwyżej w hierarchii oczyściły się ze srebra – zauważył Tad.

– Powiedział, że to dlatego, że wykorzystałaś więź stadną, aby wyciągnąć z Adama srebro i poprzez niego ze stada – odezwała się Honey, siedząca po turecku na stole bilardowym. Miała ściągniętą, bladą twarz, ale poza tym wyglądała jak zazwyczaj. – Nie wierzyłam, dopóki Kyle nie pokazał nam srebra na posadzce. – Zmarszczyła brwi. – Co z ciebie za dziwadło?

Normalnie odciąłabym się ostro. Poczułam, jak stojący obok Adam tężeje, i położyłam mu rękę na ramieniu, żeby powstrzymał się przed powiedzeniem tego, co zamierzał. Honey nigdy za mną nie przepadała, a od czasu, kiedy zmusiłam watahę do przyjrzenia się hierarchii w stadzie, szczególnie miejscu kobiet, lubiła mnie jeszcze mniej.

Honey była dominującym osobnikiem, Peter zaś uległym, a ranga

kobiety zależała od rangi jej partnera. Honey woląa miejsce przypadające jej z zależności po towarzyszu, a nie to, które należało się jej jako wilkowi dominującemu. Nie chciała być sobą, woląa uchodzić za delikatną i kobiecą. Nie znosiła mnie za podważenie tego wizerunku.

Nie bałam się jej. Nie była typem, który podsycy w sobie niechęć i próbuje zabić osobę niedarzoną sympatią. Normalnie dokopałabym Honey za tę uwagę, ale przecież dopiero co straciła Petera.

– Adamowe dziwadło – odparłam. – I lepiej do tego przywyknij.

– Kelly – zawołał Adam, całkowicie ignorując Honey. – Chodź tu.

Nie znałam za dobrze Kelly'ego, nie wiem, czy ktokolwiek znał go dobrze. Ten potężny mężczyzna, który pracował w markecie budowlanym, zazwyczaj tryskał energią – teraz ledwie dowlókl się do Adama.

Warren wziął krzesło, które bez proszenia zwolnił inny wilkołak, i postawił je obok Tada. Usadził na nim Kelly'ego i stanął za oparciem. Chwycił wilkołaka za przegub i przycisnął jedną rękę do klatki piersiowej wielkoluda, a potem unieruchomił drugą.

– Może zabołec – ostrzegł Tad.

– To boli – wtrąciłam. – Ale ja dałam radę.

Oczy Kelly'ego zazłociły się, kiedy wyszczerzył na mnie zęby.

– Kojot.

Niektóre wilki nadal nie mogły przeboleć obecności w stadzie kojota. Uśmiechnęłam się, również prezentując zęby.

– Kojoty są twarde – powiedział. Najwyraźniej nie należał do frakcji antykojotowej. Dobrze wiedzieć.

– Tak jak i wilki – powiedziałam.

– Jedne i drugie za dużo gadają – ofuknął nas Tad. – Przygotuj się.

Nie położył dłoni na twarzy Kelly'ego – mądrze. Wilkołaki nawet w ludzkiej formie mają potężne mięśnie szczęk. Przycisnął ją do przedramienia, tuż ponad ręką trzymającego Kelly'ego Warrena. Przymknął powieki, jego nozdrza zafalowały i tam, gdzie przed chwilą nic nie było, buchnęła magia.

Woń czarów nieludzi zapiekła mnie w zatokach. Kelly ryknął i wygiął się na krześle. Adam przyskoczył do niego i przytrzymał, Honey przypadła do nóg Kelly'ego i ścisnęła je mocno.

Tad się szarpnął. Kiedy oderwał dłoń od ramienia Kelly'ego, rozległo się pyknięcie.

– Przepraszam, przepraszam – wychrypiał. – Nie chciałem tego tak zrobić.

Kelly zawisł bezwładnie.

– Wydobyłeś srebro? – zapytał Adam, ostrożnie puszczając Kelly'ego, ale wilkołak się nie poruszył.

Honey oderwała ręce od nóg Kelly'ego jak oparzona i wycofała się aż pod stół bilardowy. Warren także się odsunął.

Tad pokazał nam małą garść białoszarego proszku.

– Dobrze. – Adam się uśmiechnął. – Kelly? Żyjesz?

Wielkolud otrząsnął się, zaczerpnął tchu i wypuścił powietrze z płuc.

– Żyję. – Zerknął na mnie. – Dzięki za ostrzeżenie.

– Żaden problem. U mnie trwało to dłużej.

Przekrzywił głowę i rzekł całkiem poważnie:

– Kojoty są twarde. Dobrze wiedzieć.

Tad wyciągnął jeszcze srebro z wilków, które tego potrzebowały – z Bena również. Kelly miał pecha, bo z każdym następnym Tad był coraz sprawniejszy. Po wszystkim Adam odesłał większość wilkołaków do domów, żeby mogli chronić swoich bliskich i odpocząć. Honey została – Adam na razie nie chciał, żeby za bardzo się oddalała. Wilkołaki bywają agresywne pod wpływem silnych emocji, a Adam, jako Alfa, potrafił powstrzymać ją od utraty kontroli. Zdarzało się, że wilki, które utraciły towarzysza, trzeba było zabić wkrótce potem. Honey przemieniła się w wilczycę, ale poza tym wydawała się w porządku.

Warren oczywiście został – w końcu był to jego dom. Ben odmówił odejścia, a po chwili rozmowy w cztery oczy Adam pozwolił mu zostać. Możliwe, że miało to coś wspólnego z wyrazem oczu Honey, kiedy popatrywała na mnie ukradkiem.

Kiedy wreszcie wszyscy, którzy mieli wyjść, wyszli, dom jakby odetchnął z ulgą – ja też. Kyle zamówił pizzę, a już w trakcie posiłku ktoś zadzwonił do drzwi. W progu stał zmęczony agent Armstrong.

Jesse i Gabriel zagonili dziewczynki na zewnątrz, gdzie stało jacuzzi. Okazało się, że w domu znajduje się pełen wybór strojów

kąpielowych we wszelkich rozmiarach. Jako adwokat rozwodowy Kyle miewał czasem klientów, którzy potrzebowali bezpiecznego schronienia. To dlatego miał tak duży dom, a niektóre pokoje urządzone w disnejowskim stylu dla osób poniżej dziesiątego roku życia.

Honey wyznaczono zadanie pilnowania dzieciarni. Ostrzegłam Jesse i Gabriela, żeby Maia raczej nie próbowała jeździć na wilczycy tak, jak na Samie. Jesse, z okrągłymi ze zdumienia i zgrozy oczyma, przyrzekła uroczyście, że zrobi, co w jej mocy, by tego dopilnować. Wiedziała tak dobrze, jak ja, że Honey nawet w najlepszym nastroju nie byłaby dobrym kucykiem. Resztę Adam poprosił do pokoju telewizyjnego na piętrze. Armstrong zaprotestował przeciw udziałowi w rozmowie cywilów, spoglądając przy tym na Sylvię i Tony'ego, ale Adam, głosem zdolnym zmrozić aktywny wulkan, oświadczył:

– Ich obecność nie podlega negocjacom.

Nie chodziło wcale o to, że ich udział był ważny dla Adama – nie znał ich nawet za dobrze – po prostu Armstrong usiłował przejąć kontrolę nad sytuacją, a Adam, do niedawna jeszcze zakładnik, nie był w nastroju na uprzejmości.

Adam jednym ruchem okręcił sofę przed telewizorem i usadowił się na niej jako przewodniczący narady. Pomiął tym razem zwykłe gierki z ukrywaniem przed śmiertelnikami prawdziwej siły i swobodnie, bez niczyjej pomocy, uniósł po prostu ciężki mebel. Usiadłam obok Adama, zmartwiona nieco bladeścią agenta. Nie potrzebowaliśmy kolejnych wrogów.

Warren zerknął na Adama, po czym zajął drugą sofę i posadził obok siebie Kyle'a. Tad zamierzał iść na basen, ale po proteście Armstronga co do Sylvii i Tony'ego Adam poprosił go, żeby również przyszedł na rozmowę.

Pokierowany przez Adama, usiadł skrzepowany na kanapie z Tonym i Sylvią, zajmując ostatnie miejsce siedzące w pokoju.

– Skubnij tęczy, spróbuj tęczy – powiedział Ben, w ludzkiej postaci i w dresie Kyle'a, po czym bez oporów czy min usiadł na podłodze u stóp Adama.

W ten sposób jedynym stojącym pozostał agent Armstrong.

Spojrząwszy na Adama, doszłam do wniosku, że ten brak miejsc

siedzących nie wynikał z przypadku. Adam czuł wściekłość na SNIT, a biedny agent był jedynym pod ręką przedstawicielem rzeczzonej agencji.

Asil przybył spóźniony. Obrzucił wzrokiem Bena i Armstronga kontemplującego swój bezsiedziskowy stan, uniósł do Adama brew – nie patrząc mu przy tym w oczy – po czym poszedł z powrotem na dół. Po chwili wrócił z dwoma krzesłami, które ustawił ostentacyjnie po obu stronach sofy Warrena. Zajął miejsce po lewej, jak najdalej od Adama, a drugie krzesło wskazał agentowi.

– Wszyscy tutaj wiedzą, co Mercy powiedziała policji, tak? – zaczął Adam, gdy wszyscy usiedli. – Zacznę więc od wydarzeń z nocy.

Jak na kogoś, kto zarzekał się mówić prawdę i tylko prawdę, Adam ocenzurował nieco swoją historię. Wyraźnie zaznaczył, że to on zabił wszystkich agentów SNIT, podczas gdy wilkołaki w pokoju wiedziały, że kłamie. Nie tylko on zabijał, ale tylko on był za to odpowiedzialny. Rozumiałam to.

– Zastanawiałem się, czy nie oddać ich w ręce sprawiedliwości – powiedział Adam w zasadzie do mnie – ale mieli listę celów, chcieli zabić ludzi powiązanych ze mną i z moim stadem, włączając w to dzieci. – Spojrzał na Sylwię. – Znajdował się na niej również Gabriel. Miałaś rację, mówiąc mu, że zadawanie się z nami jest groźne.

– Może i tak, ale myliłam się, sądząc, że to będzie miało dla Gabriela znaczenie. – Spojrzała na mnie z uśmiechem. – Nie wolno opuszczać przyjaciela w biedzie. Bezpieczeństwo nie zawsze jest tą właściwą drogą.

– Chcieli zabić dzieci? – zapytał Armstrong, nie tonem przesłuchującego, a człowieka, który nie jest w stanie pojąć tego, co usłyszał.

– Jak Joshua w Jerychu – zauważył Adam, a ja delikatnie ścisnęłam jego nogę. – Uważali, że powinni wyrwać chwasty, czyli nas, z korzeniami i nasionami, żeby zniszczyć całe zepsucie. Musi nam pan uwierzyć na słowo, bo tablica, na której to zapisali, spłonęła wraz z winiarnią, gdzie nas przetrzymywano. – Na moment zamilkł. – W winnicy znaleźliśmy trzy świeże mogiły, agenci pochowali w nich swoich ludzi. Może tamci protestowali, a może weszli im tylko w drogę. Nie zabiliśmy żadnego z nich, nie zabiliśmy nikogo do czasu ucieczki.

Sądząc po stanie zwłok, pogrzebani agenci zginęli dwa dni przed naszym porwaniem.

– Jak to się stało, że zgarnęli was wszystkich? – zdziwił się Asil.

– Wzięliśmy ich za federalnych, więc nie zabijaliśmy w obronie własnej. – Adam odetchnął głęboko, ale to chyba nie pomogło, bo wstał i zaczął krążyć po pomieszczeniu. – To błąd, którego nigdy więcej nie popełnimy, agencie Armstrong. Może pan to rozpowiedzieć. – Przez chwilę jego ton był tak nabrzmiały groźbą, że nikt, nawet ja, nie odważył się głośniej oddychać. Potem rozluźnił barki i przemówił łagodniej: – W każdym razie nie zabiliśmy ani nie skrzywdziliśmy nikogo podczas porwania, więc te dwie kobiety i mężczyzna w winnicy zostali zabici albo przez agentów SNIT, albo też najemników.

– Panie Hauptman – wtrącił Armstrong – jeśli można.

Agentów-renegatów. Moja agencja nie bierze odpowiedzialności za ich czyny, ani oficjalnie, ani nieoficjalnie. To, co zrobili, jest odrażające.

– No ja myślę – burknął Warren wściekły. Warren, który zwykle był głosem umiarkowania stada.

– Warren? – Wilkołak spojrzał na Adama, a potem opuścił wzrok.

– Potrzebujesz chwili dla siebie? – To było autentyczne pytanie, nie reprimenda, i Warren odebrał je właściwie.

– Kyle powinien tu z tobą zostać – rzekł nisko, lekko odwracając głowę od Adama. – Ze względu na wiedzę prawną.

– Nie jest naszym prawnikiem – zauważył Adam. – Jeszcze nie.

Ale jego obecność tutaj jest przydatna, owszem. Chciałbym, żeby został.

– Wobec tego ja też zostanę. Dam radę.

– Sylwię zaprosiłem dlatego – zwrócił się Adam do Tony'ego – że zagrożony jest Gabriel. Ciebie zaś, ponieważ nie chcę ukrywać przed policją tego, co się wydarzyło. Posiadając pełną wiedzę, będziecie bezpieczniejsi. Jednakże nie mogę pozwolić, by ta sprawa skończyła się w sądzie. Nie dopuścimy... Ja do tego nie dopuszczę.

Tony zmarszczył brwi.

– Służę prawu, Adamie.

– Odbędą się przesłuchania – zapewnił go Adam. – Tyle że nie przed ludzkim sądem. Odpowiem przed wyżej postawionymi osobami. Powstrzymują one wilkołaki przed zmianą w potwory, których obawia

się SNIT, i robią to od czasów, kiedy ludzie nawet o nas nie słyszeli. Jeśli moje działania zostaną uznane za przekroczenie granic, zapłacę za to własnym życiem.

– Wilkołaki, winne zabójstwa pedofila w Minnesocie tej wiosny, zmarły niedługo później. Wszystkie. Z przyczyn naturalnych, jak nam powiedziano. Aczkolwiek ich ciała poddano kremacji, zanim przeprowadzono autopsję – powiedział Armstrong neutralnie, patrząc raczej na mnie niż na Adama.

– Na pewno stało się to za sprawą sił natury – stwierdziłam wymijająco. Przecież Charles był siłą natury, prawda?

– Ja również służę prawu, Tony – wtrącił Kyle zanadto pośpiesznie, by zabrzmieć tak swobodnie i gładko, jak zazwyczaj. – Nikt lepiej ode mnie nie wie, że prawo i sprawiedliwość czasami nie idą w parze, czasami po prostu nie mogą. Przysięgam ci, że sprawiedliwość wilkołaków działa szybciej, celniej i brutalniej niż nasz system. – Poruszony, aż pochylił się do przodu. – My, ludzie, nie mamy odpowiednich narzędzi, by uczciwie postępować z wilkołakami. Jeśli policja spróbowałaby aresztować tych z Minnesoty, funkcjonariusze mogliby zginąć. Jestem przekonany, że i w tym wypadku sprawiedliwości stanie się zadość.

Zapadło milczenie.

– Nawet jeśli przyjmę, że stało się to w obronie własnej – odezwał się Tony – Adam właśnie przyznał się do zamordowania agentów rządowych. Nie mogę tak tego zostawić, Adamie.

– Agentów, którzy bez powodu zaatakowali praworządnych obywateli – mruknął Kyle. – Adam jest specjalistą w branży ochrony. Jestem pewien, że ma w domu kamery.

– A także piękne ujęcia kilku agentów SNIT, jak poinformował mnie Gutstein – burknął Adam. – Poza tym mamy ciało Petera.

– Właśnie, gdzie jest Peter? – zapytałam.

– W bezpiecznym miejscu. Pochowali go w winnicy obok swoich ludzi. Wykopaliśmy ciało i przenieśliśmy, żeby wszystko przygotować.

– W wypadku śmierci w podejrzanych okolicznościach wymagana jest autopsja – przypomniał Tony.

Adam spojrzał na niego i skinął.

– Tak, porozmawiamy o tym. Jednak jego śmierć nie nastąpiła w podejrzanym okolicznościach. Został zabity na moich oczach. Ma w głowie dziurę po kuli.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Możliwe, że z powodu miny Adama.

– Jestem uprawniony, by stwierdzić w imieniu SNIT oraz agencji rządowej, iż zabijając napastników, Adam działał w obronie własnej – oświadczył Armstrong. – Pan Brooks ma rację, gdyby sprawa wyszła na jaw, to nawet przy udowodnieniu braku oficjalnego poparcia ze strony agencji byłby to czysty polityczny koszmar dla SNIT. – Nabrał tchu. – Uderzyłoby to też równie mocno w wilkołaki. Wątpię, czy przy obecnych nastrojach sędzia orzekłoby działanie w samoobronie. Jeśli proces odbyłby się w obecności ławy przysięgłych, wyrok, obojętnie jaki, mógłby wzbudzić kontrowersje i niepokoje, a te z kolei mogłyby się skończyć ulicznymi zamieszkami. – Armstrong patrzył na coś, czego nie widzieliśmy, a potem przeniósł wzrok na mnie i spojrzał prosto w moje oczy. – Jestem agentem federalnym i przysięgałem służyć interesom tego kraju. Jestem patriotą. Widziałem, jaki strach i wrogość potrafią wzniecić ludzie, którzy poprzysięgli zapomnieć o swych obietnicach i poddali się nienawiści. Nie chcę, by ta sprawa trafiła do sądu.

Tony podniósł rękę.

– Ma pan rację co do tej samoobrony i że Adam ma nikłe szanse w sądzie. Choć gdyby sprawę utrzymać w okręgu, mógłby poradzić sobie lepiej, niż pan myśli. Ale mamy ciała.

– Agenci, których pogrzebano w winnicy... To była egzekucja. Zabito ich z tej samej broni, co Petera – rzekł Adam.

– Przeprowadziliście badania balistyczne?

– Nie.

Tony zmarszczył brwi.

– To jak wobec tego...? – Pokręcił głową. – Nieważne. Tak czy owak, to nie jedyne ciała.

Oblicze Adama zmieniło się w nieprzeniknioną maskę.

– Jedyne. Po naszej ucieczce w winiarni wybuchł pożar.

Znów zrobiło się cicho.

– Jestem skłonny zaakceptować wyjście z poddaniem się innemu

systemowi sprawiedliwości – przerwał milczenie Tony. – Znam cię. Nie raz korzystaliśmy z twojej pomocy i nigdy nas nie zawiodłeś. Widziałem, jak na agresję reagowałeś łagodnością. I nigdy nie kłamałeś. Zgadza się z agentem Armstrongiem. Mam parę pomysłów, które przy pomocy agenta Armstronga dałbym radę sprzedać na komendzie.

– Wspomniał pan coś o pożarze w winiarni – zwrócił się do Adama Armstrong. Adam usiadł i potarł dłońmi twarz.

– Tak. Przywykliśmy sami sprzątać swój bałagan. Ogień jest niezwykle skutecznym narzędziem.

– A zęby i twarde kości? – rzucił swobodnie Tony. – Bywa, że zostają nawet po pożarze.

– Byłabym zdziwiona, gdyby znalazła się tam choć jedna kostka – powiedziałam na wpół przepraszająco. Adam nie wspomniał o Elizawiecie. – Nie ma się czym martwić.

Armstrong rzucił mi uważne spojrzenie, ale nie skomentował moich słów.

– A co z tymi najemnikami? Wiecie, kim są?

– Nie – zaprzeczył Adam. – Wymiksowali się z tego, nie stanowią problemu. Myślę, że zostało tylko trzech graczy.

– Sponsor. – Asil odgiął palec. – Kret znający szczegóły ochrony senatora Campbella. – Kolejny palec. – Osoba, która dała agentom namiary na najemników, teczki członków stada i ogólne wiadomości na temat wilkołaków. – Trzeci palec.

– Mój człowiek szuka faceta od informacji – rzekł Adam. – Jest przekonany, że uda mu się wyciągnąć nazwisko kontaktu od najemników i nie zrobić jednocześnie afery międzynarodowej. – Kyle posiadał telefon stacjonarny, więc Adam mógł zadzwonić do Charlesa. A Charles był przerażająco sprawny w odkrywaniu rzeczy, które miały na zawsze pozostać tajemnicami. Charles w ogóle był przerażający. – Ale moim zdaniem informator nie może narobić nam więcej kłopotu, więc nie ma z nim pośpiechu.

– Przepraszam, ale skoro już jesteśmy szczerzy, to do końca – wtrącił Armstrong. – Czy chcecie go zabić?

– Zabicie go to większy problem niż obserwowanie. Oprócz tego, co wydarzyło się ostatnio, staramy się nie zabijać ludzi, panie

Armstrong.

– Siebie nie uważacie za ludzi? – zapytał agent. Asil uniósł brew, a Adam wzruszył ramionami.

– Trudno mówić za każdym razem „ludzie, którzy nie są wilkołakami”. Ale tak, jesteśmy tak ludzcy, jak możemy.

– Wobec tego zostaje nam sponsor i potencjalny zamachowiec z ochrony senatora. – Tony pochylił się naprzód.

Adam oparł się i wyciągnął nogi. Wyczuwalne w pokoju napięcie opadło nieco, co dowodziło, że nie tylko wilkołaki potrafią odczytywać język ciała.

– Zajmijmy się najpierw problemem senatora, bo jest łatwiejszy do rozwiązania. Mam znajomych w branży ochroniarskiej, przesłałem przez nich słowo do senatora, ale lepiej byłoby, gdyby pan, agencie Armstrong, ostrzegł Campbella osobiście. Trzeba pamiętać, że ten kret, który ma dostęp do szczegółów ochrony, może nie być ideowcem, tylko mieć motywacje finansowe. Jeśli jest tylko cynglem do wynajęcia, możliwe, że powstrzyma go wyeliminowanie agentów SNIT, którzy chcieli zabić senatora. Ale jeśli jest fanatykiem, obojętne jakim, to może się zniecierpliwzić i wziąć sprawę w swoje ręce. – Adam zawiesił głos i uniósł brew. – Może pan przekazać senatorowi, że chętnie podeślę mu dwóch świetnych ochroniarzy-wilkołaków, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo. Gratis.

Armstrong pozwolił sobie na uśmiešek.

– Spotkał pan kiedyś senatora osobiście?

– Nie.

– A ja owszem. Równie dobrze może skorzystać z pana oferty. Nie jest tak zajadłym przeciwnikiem wilkołaków, jak go malują. Nie lubi tylko, kiedy gonią i pożerają ludzi.

Wedle słów agenta Campbell nie wydawał się potworem. Jednak na własne uszy słyszałam niektóre jego przemówienia.

Adam skinął głową, ale sądząc z tonu, nie wyzbył się rezerwy.

– Dla mnie lepiej, żeby przyjął moich ludzi. Na tym etapie, gdyby cokolwiek mu się stało, wszyscy obwiniliby o to wilkołaki. Wolę sam przypilnować, żeby przez jakiś czas nic nie przytrafiło się ani jemu, ani jego rodzinie.

– Czyli zostaje nam sponsor – odezwał się Kyle.

– Tak. – Adam spojrział na agenta. – Ma pan jakieś sugestie, skąd mogą pochodzić pieniądze?

– Nie. Przeświliłem finanse Aleksandra Benneta, bo to on kierował operacją i prawdopodobnie on właśnie zabił pana człowieka. Nie znalazłem nic szczególnego. To samo, jeśli chodzi o jego możliwych współpracowników. Tak dla informacji, ustalenie tożsamości jego popleczników będzie koszmarem. Szukanie w SNIT agentów niechętnych wilkołakom i obecnemu prawu będzie jak szukanie sera w Szwajcarii. Bennet po prostu pewnego dnia nie pojawił się w pracy, podobnie jak dwóch innych. Jeden miał zawał i leży w szpitalu, a drugi albo jest prochem na wietrze, albo uciekł, żeby wziąć ślub w tajemnicy, albo coś w tym stylu. Musimy też sprawdzić każdego, kto pracował zdalnie, był na urlopie czy zwolnieniu. Plus byłych pracowników agencji. Łatwiej by mi było, gdybym miał ciała.

– Mamy prawa jazdy – odezwał się milczący dotąd Warren. – Oprócz tych należących do trzech pogrzebanych w winnicy. Tamtych zidentyfikujecie po ciałach. Wybacz, szefie – dodał, widząc spojrzenie Adama. – Nie miałeś głowy, żeby myśleć o takich sprawach, ale niektórym z nas się wydawało, że dobrze byłoby wiedzieć, kim są nasi wrogowie. – Znow zwrócił się do agenta. – Zrobię panu kopie, oryginały zatrzymamy.

Armstrong miał minę, jakby chciał zaprotestować, zrezygnował jednak pod badawczym spojrzeniem Warrena.

– W porządku. I jeszcze jedno. Musisz wymyślić jakąś historyjkę dla mediów, Adamie, taką, która zadowoli moich przełożonych – zastrzegł Tony.

– Jim Gutstein podzwoni trochę, poprosi parę osób o przysługi i dzisiaj po południu porozmawiam z mediami z gabinetu Kyle’a. Oprę się na tym, co powiedziała Mercy.

– Pomogę – zaproponował Armstrong. – Mam doświadczenie w zmienianiu strasznych rzeczy w coś zwyczajnego.

– Wszystko pięknie i gładko – wtrąciła Sylvia – ale chciałabym wiedzieć, dlaczego Maia twierdzi, że przyjechała tu z trupem.

– To moja wina – odezwał się Asil.

– Jeszcze jakieś inne trupy? – westchnął Armstrong.

– Myślałem, że w mieszkaniu Sylvii nie było żadnych ciał... – Zmarszczył brwi Tony.

– Ktoś wysłał zabójców po Jesse i Mercy – wyjaśnił Tad, patrząc na mnie. – Czekali na ciebie, Mercy. Miałem chwilę, żeby to przeanalizować, i myślę, że czekali już, zanim ja tam dotarłem. – Odchrząknął, wyraźnie zmieszany. – Wyczułem ich zaraz po przyjeździe na osiedle. To dlatego zbliżyłem się na tyle, że dzieciaki mnie zauważyły. Po jakimś czasie, kiedy nic się nie działo, doszedłem do wniosku, że jakiś półmieczałowiek, którego jak mnie nie wpuszczono do rezerwatu, mieszka w którymś bloku.

– Myślałem, że do rezerwatów ściągnięto wszystkich niełudzi – zdziwił się Armstrong. – Tak nam powiedziano.

– Nie. Zabrano tylko tych najsilniejszych, użytecznych. Ale ci zabójcy byli renegatami, podobnie jak pańscy ludzie, agencje Armstrong...

Drzwi otworzyły się i do pokoju wpadł mokry, jasnozielony wir Sofii Sandoval w stroju kąpielowym.

– Mercy! Mercy! Gabriel mówi, że masz szybko przyjść! Coś walnęło w twój samochód! Zepsuło bagażnik!



W pokoju zawrzało i wszyscy wybiegli, choć gnani raczej chęcią wyrwania się ze spotkania i potrzebą działania niż niepokojem. Dochodziła dopiero piąta, ale o tej porze roku słońce zdążyło już zejść, a tył mercedesa znajdował się poza kręgiem światła, które rzucała latarnia. Dobrze widzę w ciemności, lecz nawet moje oczy potrzebują chwili, żeby ze sztucznego oświetlenia dostosować się do ulicznego mroku.

Jednak tym razem nie miało to znaczenia, bo zanim ruszyłam w stronę samochodu, Gabriel odciągnął mnie na bok.

– Chyba mamy kłopot – mówił cicho i nerwowo. – Właśnie wyciągnęliśmy dzieciaki z wody i Jesse z Honey zabrały je na górę, żeby się wysuszyły i przebrały. Została tylko Sofia, żeby pomóc mi nałożyć pokrywę na jacuzzi. Usłyszeliśmy jakiś huk od ulicy i pobiegliśmy sprawdzić, co się dzieje. W pierwszej chwili pomyślałem, że ktoś

wjechał w merca i uciekł. – Wskazał na samochód. Kłapa bagażnika była wygięta od środka. – Wysłałem po ciebie Sofię, bo chciałem tymczasem szybko zamknąć bagażnik, żeby nie zobaczyła trupa. Nie widziałem żadnego samochodu, tylko jakąś babkę. Wyglądała, jakby wyszła na wieczorną przebieżkę, wiesz? I nieźle się bawiła. Chciałem za nią pobiec i zapytać, czy coś widziała, ale dotarło do mnie, że z tym bagażnikiem jest coś nie tak, i poszedłem przyjrzeć mu się bliżej. – Pochylił się ku mnie i jeszcze bardziej zniżył głos. – Ten trup zniknął, Mercy. A ten huk to od tego, jak wydostawał się z samochodu.

Wilkołaki, które wyglądały na ulicę, sprawdzając, gdzie podział się samochód sprawcy uderzenia – Asil, Adam, Ben i Warren – odwróciły się jak jeden mąż w naszą stronę. Asil uniósł wygiętą kłapę.

– Była martwa – powiedział zdumiony. – Przysięgam. Wiem, że to magiczna istota, ale zabijałem je już wcześniej i wiem, że ta nie żyła. A kiedy przechodziłem obok bagażnika, gdy tu przyjechaliśmy, czułem wyraźny zapach rozkładu.

Nie mogłam się powstrzymać – wybuchłam śmiechem.

– Magiczny zombiak! Tylko tego nam brakowało. Nie wiem, jak wy, ale ja będę spała wprost słodko, wiedząc, że w okolicy kręci się nieczłowiek-zombie. Idę, zobaczę, czy ją dogonię.

– Mercy – powiedział Adam z naciskiem.

– Obiecuję, że się do niej nie zbliżę. Sprawdzę tylko, w którą stronę poszła, i wrócę po was. Zanim się pozmieniacie, jej dawno nie będzie.

Z domu zaczął wysypywać się ciekawski drobiazg, więc nie rozebrałam się przed przemianą. Adam pomógł mi-kojotowi wyplatać się z ubrań i dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że właśnie przemieniłam się na oczach Tony’ego i Armstronga, którzy przecież nie wiedzieli, czym jestem.

Jedno z ulubionych powiedzonek Bryana, mojego przybranego ojca, brzmiało: „Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem”. Poza tym Tad wykorzystał to jako dywersję i ukradkiem wyjął z bagażnika Ukojenie i Spokój – mignęły mi, kiedy chował je za koszulę – więc koniec końców nie ma tego złego...

Opuściłam pysk i zaczęłam biec za zapachem. Asil miał rację,

zabójczynie zaczęła się rozkładać, więc ślad był bardzo wyraźny.

Adam dotrzymywał mi kroku w ludzkiej formie. Najwyraźniej nie chciał, żebym sama ścigała nieludzkiego zombiaka. Kojoty są dużo szybsze od ludzi, a ja biegam szybciej niż większość kojotów. Wilkołaki są niezłymi biegaczami, ale nawet one nie rozwijają tak dużej prędkości na dwóch nogach, jak na czterech łapach. Adam biegi szybciej niż człowiek i utrzymywał moje tempo – to raczej ja nie dawałam z siebie wszystkiego.

W zasadzie to świadomie się nie przykładałam.

Widząc w perspektywie konfrontację z zombie, wołałam mieć Adama u boku, nawet jeśli oznaczało to wolniejszy bieg.

Rozdział 10

Liczyłam, że ją złapiemy. Nie minęło nawet pięć minut od chwili, gdy Sofia wpadła do pokoju na górze, a jak szybko może poruszać się magiczny zombie zabójca?

Ale gdy dotarliśmy do Bombing Range Road[2], najbliższej głównej szosy (nazwanej tak, bo ten teren służył za poligon bombowy podczas drugiej wojny światowej), ślad urwał się na skraju drogi. Była szósta, lecz panował już całkowity mrok. Nie przeszkadzało mi to jednak, widziałam dobrze kilka kilometrów drogi w jedną i drugą stronę. Nigdzie w zasięgu wzroku nie biegła poboczem żadna kobieta. Jeździły za to samochody.

– Musiała wsiąść do auta – stwierdził Adam, starając się ukryć zadyszkę, kiedy ja wodziłam nosem w tę i we w tę, szukając tropu. – Albo ktoś po nią przyjechał, albo złapała stopa. Obie ewentualności budziły we mnie nieprzyjemne odczucia, ale nie mogliśmy nic na to poradzić. „Nieprzyjemne” to było odpowiednie słowo. Przy tych wszystkich wydarzeniach kilku ostatnich dni zmartwychwstanie magicznej istoty i jej ucieczka jako zombie były co najwyżej nieprzyjemnością.

Ale co zombie, to zombie. Pomyślałam, że może zainteresować Marsilię na tyle, że zapomni o mercedesie. Mało to było prawdopodobne, ale możliwe.

W zasadzie nie byłam przekonana, czy powinnam czuć się odpowiedzialna za uszkodzenie bagażnika.

W końcu jak mogłam przewidzieć, że trup, nawet magicznej istoty, wyważy klapę?

Adam spoglądał na drogę.

– Gdybyś nie biegła wolniej przeze mnie, pewnie byś ją złapała.

Może tak, a może nie wyszłoby nam to na dobre. Furgonetka Warrena zahamowała przy nas i wilkołak wychylił się, żeby otworzyć nam drzwiczki od strony pasażera.

– Nic? – zapytał, kiedy wskoczyliśmy do środka. Usadowiłam się pomiędzy wilkołakami.

– Nic. Wygląda na to, że wsiadła do samochodu. Mogła pojechać równie dobrze w obie strony.

Warren zawrócił i wyjechał na szosę, zanim się odezwał:

– Nieprzyjemna sprawa.



Zombie czy nie, należało nakarmić media.

Tony skontaktował się z przełożonym i przedstawił mu oficjalną wersję wydarzeń, wypracowaną przez Adama i Armstronga. Chodziło głównie o to, żeby całkowicie pominąć w niej udział SNIT. Cała wina przypadła zatem grupie najemników, która dogodnie zniknęła ze sceny dramatu. Zapłacono im za porwanie watahy i zmuszenie wilkołaków do dokonania zamachu na senatora Campbella, aby jednocześnie pozbyć się polityka i ukazać wilkołaki jako potwory.

Adam nie przypominał potwora. Wyglądał jak przystojny, charyzmatyczny mężczyzna. Kamera go kochała.

Człowiek odpowiedzialny za intrygę wpadł w panikę, kiedy kilku najemników schwytano podczas akcji odbijania zakładnika, Kyle'a Brooksa. Zabił swoich ludzi, żeby go nie wydali.

Armstrong zrobił częściowe „odczyszczenie” miejsca zbrodni w hotelu, bo śmierć napastników Kyle'a stała się przydatna w tej wersji historii.

Usłyszawszy o morderstwie, reszta najemników zniknęła, podpalając winiarnię i wypuszczając watahę. Stróże prawa starają się odnaleźć najemników (na co mają spore szanse) oraz człowieka odpowiedzialnego za całą akcję (również duże szanse). Generalnie wyglądało na to, że wszyscy będą zadowoleni z prawdy, choć może nie całej.

Adam, Tony, Armstrong, Kyle i Warren pojechali do biura Kyle'a w Kennewick. Po drodze mieli zahaczyć o nasz dom, żeby Adam mógł przebrać się odpowiednio na konferencję prasową. Reszta z nas została, żeby bronić twierdzy. Na szczęście pomiędzy ucieczką trupa a konferencją nikt nie wspomniał ani słowem na temat mojej przemiany. Doszłam do wniosku, że może wzięli mnie za półnieczłowieka.

Kiedy Ben przyszedł powiedzieć, że przed domem czeka na mnie

wysłannik Marsilii, siedziałam w jednym z pokoi na górze i czytałam trzem młodszym dziewczynkom bajkę o Jakubku i ogromnej brzoskwini. Na wyposażeniu dla rodzin w potrzebie Kyle posiadał wielkie pudło książek dla dzieci w różnym wieku.

– A właśnie dochodziliśmy do najlepszego – pisnęła Sofia. – Prawie byliśmy już przy robalach-gigantach.

– Poczytasz im dalej? – poprosiłam Sylwię.

– Kto to ta Marsilia? – zapytała, biorąc ode mnie książkę.

– Właścicielka samochodu, którym jeżdżę – odparłam. Skrzywiła się – widziała mercedesa.

– To ta wampirzyca, Mercy? – zapytała Sissy, siedmioletnia stara malutka.

– Wampirzyca? – zdumiała się Sylvia. – To wampiry też istnieją? – A potem dodała: – Ukradłaś wóz wampirzycy i go rozbiłaś?

Teraz ja się skrzywiłam.

– Wampiry oficjalnie nie istnieją. Jeśli w nie nie wierzysz, zostawią cię w spokoju. Lepiej więc w nie nie wierz.

Maia przytaknęła poważnie.

– Moja przyjaciółka Penny zapytała mnie, czy wampiry są prawdziwe, a ja jej powiedziałam, że nie. A kiedyś powiedziałam jej, że jeździłam na wilkołaku, a jej mama powiedziała, że nieładnie tak kłamać. Ale ja przecież nie kłamałam, a czasami kłamanie nie jest złe, prawda? Mercy, przyjdiesz do mnie, jak one przyjdą, i powiesz im, że nie kłamię?

Najmłodsza Sandovalowna miała szansę w przyszłości albo zawojować świat, albo stać się jego zgubą. Może jedno i drugie. Tego roku rozpoczęła naukę w przedszkolu, zostało więc niewiele czasu na znalezienie sobie porządnej kryjówki.

– Ukradłaś samochód wampirowi? – powtórzyła Sylvia.

– Kradzież to nieodpowiednie słowo – zaprotestowałam. – Stał w warsztacie i czekał na zmianę oleju, kiedy zaczęła się ta kołomyja. Potrzebowałam auta, którego nie dałoby się namierzyć. Wszystko będzie dobrze, uwierz. Tylko nie rozpowiadaj o wampirach. Traktują swoje tajemnice bardzo poważnie.

– Mercyyy – marudziła Maia.

– W porządku, dopilnuję, żeby dzieci zrozumiały.
– Mercy! – Maia zmarszczyła brwi i podniosła głos. – Musisz powiedzieć mamie Penny, że nie jestem kłamczuchą.
– Porozmawiam z mamą Penny, córeczko – zapewniła ją Sylvia. – A teraz uspokójcie się, to doczytam wam o wielkim robalu i zgniłym owocu.

Dzieci zamilkły.

Ben zszedł ze mną na parter, gdzie u stóp schodów czekali Honey-wilczyca i Asil. Ben musiał powiedzieć im o gościu, zanim po mnie poszedł. I dobrze, zaoszczędził mi czasu.

– Ty się nie pokazuj, proszę – powiedziałam do Honey. – Zbyt duże wsparcie to oznaka, że się jej boję. Tak jest, ale to nie znaczy, że muszę o tym trąbić. Postawiłoby to watahę w złym świetle. Ben i Asil podejną ze mną do drzwi, bo brak wsparcia oznaczałoby, że jej nie szanuję. – Co również było prawdą, aczkolwiek niezbyt przydatną.

Poklepałam naszyjnik z barankiem. Na wampiry działały atrybuty wiary, a dla mnie wizerunek baranka miał taki wydźwięk, jak krzyż. Dostałam wisiorek od Adama, złoty ze szmaragdowymi oczami. Wcześniej miałam srebrny, ale towarzyszce wilkołaka ciężko nosić srebrną biżuterię. Łańcuszek był na tyle długi, że pasował także, kiedy przemieniałam się w kojota, i na tyle mocny, żeby nie zerwać się podczas biegnięcia. Obok wisiorka nosiłam na nim również nieśmiertelniki Adama. Mechanik samochodowy nie może nosić obrączki, ze względu na bezpieczeństwo przy pracy. Odetchnęłam głęboko i skoncentrowałam się jak przed walką treningową w *dojo*.

Przed wejściem stał całkiem mi obcy człowiek, czy raczej wampir, jak twierdził mój nos. Nie znałam z imienia wszystkich członków chmary Marsilii, ale nie było ich wielu, i mniej więcej kojarzyłam ich z wyglądu.

Marsilii brakowało silnych wampirów. Może kogoś skaptowała? Choć nie umiałam rozróżnić, czy dany wampir jest potężny czy nie, ten nie wydawał się świeżakiem. Nowo stworzone wampiry nie potrafią się dobrze kontrolować.

Stojący przed drzwiami mężczyzna był Azjata, chyba Chińczykiem. Szcupły, miał na sobie czarne dżinsy i złotą jedwabną

koszulę ze stójką. W świetle lampy na ganku widać było na kołnierzyku wyszyte nieco ciemniejszą nicią smoki. Po zachodzie słońca temperatura znacznie spadła, gdyby mężczyzna był człowiekiem, trząsłby się z zimna.

Przemieniono go młodo, nie tak, jak Wulfe'a, który od średniowiecza wyglądał niczym nastolatek, ale jeśli Azjata miał wtedy ponad dwadzieścia lat, to niewiele.

Uklonił się jak przed sparingiem karate, z uniesioną głową, nie spuszczać oczu z przeciwnika, całkiem inaczej, niż robiły to stare wampiry czy wilkołaki z Europy. Odpowiedziałam takim samym powitaniem.

– Dzień dobry, pani Hauptman, nazywam się Thomas Hao – przedstawił się głosem bez emocji i akcentu. – Mam przyjemność zaprosić panią i towarzysza na spotkanie z Marsilią, Panią Chmary Tri-Cities. Możecie oczywiście odmówić. Zostałem jednak upoważniony do zapewnienia, iż jeśli przyjmiecie zaproszenie, pewne kwestie mogą zostać szybko rozwiązane. Marsilia posiada informacje dotyczące ostatnich pożałowania godnych wypadków, które, jak uważa, mogą was zainteresować.

– To byłoby zbyt proste – skomentował Ben. – Czego ona chce? – Mówił dość cicho, a wraz z Asilem stali głębiej w holu, więc Hao nie mógł widzieć ich zbyt dobrze. Co nie znaczyło, że nie słyszał.

– Czy te wilki mówią w twoim imieniu, towarzyszeko Alfy dorzecza Kolumbii? – zapytał Hao z nienaganną uprzejmością. Nie, nie był nowym wampirem.

– Zgadza się z Benem – oświadczyłam z przeproszającą nutą. – Właśnie skasowałam nowiutki, drogutki samochód Marsilii, a ona ot tak chce o tym zapomnieć, a na dodatek dostarczyć mi ważnych informacji? Skoro tak, to czemu nie zadzwoniła?

Hao przyjrzał mi się uważnie, a potem zerknął przez ramię i zrobił krok w stronę mercedesa. Obserwował go przez chwilę, stojąc nieruchomo, a kiedy znów się odwrócił, na jego obliczu ujrzałam cień rozbawienia, choć nie było ani śladu uśmiechu w okolicy ust.

– Ach. Nie sądzę, by była świadoma uszkodzeń, jakie odniósł samochód, pani Hauptman. – Tak, to było rozbawienie.

Skrzyżowałam ramiona. Jeszcze wczoraj od razu wykorzystałabym szansę. Zaproszenie wychodzące od Marsilii dawałoby mi lepszą pozycję, niż gdybym sama ją zaprosiła, jak wcześniej planowałam. Ale Adam i wataha byli już bezpieczni, więc nie potrzebowaliśmy pomocy wampirów.

– Chyba wolę zachować w tym wypadku daleko idącą rozwagę. Proszę przekazać Marsilii, że naprawię samochód, a potem odczekam parę miesięcy, zanim złożę jej wizytę.

Hao spuścił oczy i wyjął usta.

– Marsilia jest zatroskana, pani Hauptman. Wiemy o porwaniu stada. Ten, kto za tym stoi, stanowi zagrożenie dla wszystkich w Tri-Cities, nie tylko dla watahy kolumbijskiej. Jestem przekonany, że w innych okolicznościach zniszczenie samochodu miałyby skutki, jakich się pani obawia. Ale Marsilia jest bardzo stara i bardzo, bardzo bogata. Samochód to nic wobec problemów, których się spodziewa.

Poczułam wzmożoną czujność Asila i sama też się ożywiłam. Nie spodziewałam się takiego obrotu spraw.

– Czemu po prostu nie zadzwoniła? – zapytałam.

– Albo czemu nie chcą ci powiedzieć tego tu i teraz – mruknął Asil.

– Ponieważ ktoś mógłby podsłuchiwać telefon – odparł Hao, ignorując Asila. – A to bardzo niebezpieczne informacje. Informacje, które mogą zapobiec śmierci członków watahy. – Zamilkł na moment, a ja znów odniosłam wrażenie, że jest rozbawiony, choć żaden ślad wesołości nie przemknął przez jego oblicze. – Poza tym Marsilia nie lubi rozmawiać przez telefon ani – zerknął na Asila – przez posłańców, skoro może zmusić kogoś, żeby tańczył, jak mu zagra.

To już brzmiało bardziej w stylu Marsilii.

Wampiry nie musiały oddychać, chyba że mówiły, nie pociły się, a ich serca były tylko napędzane skradzioną krwią. Dlatego bardzo trudno było ocenić, kiedy kłamią, a kiedy mówią prawdę. Ja nie potrafiłam stwierdzić tego z całą pewnością.

– Czy to nie może poczekać do jutra? – zapytałam.

– Moim zdaniem mogłaby pani pożałować zwłoki – odpowiedział Hao. Uderzyło mnie, że wyraził własną opinię. Może i nie potrafiłam

ocenić mocy ani wieku wampira, ale umiałam odczytywać subtelne oznaki. Ten wampir nie był niczym sługą. Uświadomiwszy sobie swój lapsus, zaczął ostrożniej dobierać słowa. – Mam przekazać, że powinna pani przyprowadzić Adama oraz tak wielu członków watahy, ilu zechce.

Zaproszenie Adama zmieniało postać rzeczy. Przede wszystkim oznaczało mniejsze prawdopodobieństwo, że Marsilia mnie w coś wrabia – chyba że wiedziała o nieobecności Adama. Oznaczało również, że potrzebne jej jest całe stado.

– A więc chce, żeby to wilkołaki wyręczyły Panią Chmary i rozprawiły się za nią z tym kimś – zawyrokowałam.

– Nie – zaprzeczył. – Także chce konfrontacji, jednak uważa, że koordynacja wysiłków jej i watahy ułatwiłaby sprawę.

Pomyślałam, że nie tylko Marsilia jest zatroskana, ale również Thomas Hao.

– Adama nie ma teraz w domu – oznajmiłam. – I nie wróci szybko. Hao zacisnął usta.

– To wielka szkoda.

Musiałam polegać na wzroku, a nie na węchu, ale albo mój gość umiał kłamać całym sobą (a niewiele istot, obojętne: wilkołaków czy ludzi, jest na tyle świadomych języka własnego ciała, by to zrobić), albo naprawdę żałował, że Adam nie przybędzie.

– Tak czy owak, dobrze byłoby, żeby choć pani przyszła, Mercy zmiennokształtna.

Zmiennokształtni to nazwa istot, potomków Kojota, Kruka, Jastrzębia lub jednego z innych archetypów, które niegdyś zamieszkiwały te ziemie. Wampiry za nami nie przepadają. Przede wszystkim widzę duchy, a te gromadzą się w miejscach, gdzie wampiry przesypiają dni, zdradzając lokalizację kryjówek swoich morderców. Poza tym jestem odporna na wiele rodzajów magii, w tym prawie całkiem na standardową magię wampirów. Kiedy wampiry przybyły do Nowego Świata, mój rodzaj niemal doprowadził do ich całkowitego wyginięcia. Myślę, że gdyby wojny i epidemie nie zdziesiątkowały Indian, a przez to i zmiennokształtnych, obecnie obie Ameryki byłyby wolne od wampirów.

Oczywiście, odporność na magię nie oznaczała, że jestem godnym

przeciwnikiem dla wampira, bez względu na formę czy kondycję.

Hao czekał, wpatrując się we mnie czarnymi oczyma. Marsilia nie zamierzała mnie skrzywdzić – nie mogłaby sobie na to pozwolić. Wilkołaki zniszczyłyby ją za to. Po prostu lubiła gierki.

Fakt, że nie przyjąłem jej zaproszenia, tak przez wilkołaki, jak i wampiry – bo przecież jedne i drugie zaliczały się do drapieżników, a ich zasady nie różniły się od siebie zbytnio – zostałyby odebrany jako jej zwycięstwo i potwarz dla watahy.

Reputacja groźnych i silnych odstraszała inne potwory. Gdyby świat się dowiedział, że boję się Marsilii, wilki należące do watahy znalazłyby się w niebezpieczeństwie. Mogłabym uprzeć się, żeby poczekać na Adama. Może i ja wyszłabym przy tym na słabeusza, ale reputacja stada nie zostałaby zbytnio przez to narażona.

Tyle że Adam od powrotu spał nie więcej niż godzinę, a i przed porwaniem nie wylegiwał się bez końca.

Sama czułam znużenie i miałam tylko ochotę wrócić na górę do czytania Sandovalównom o wielkim rozciapczanym owocu. Ale straciliśmy już Petera i bez względu na to, jak bardzo przerażały mnie wampiry, nie chciałam, żeby jeszcze kogoś spotkało coś złego. Czekanie na Adama w momencie, kiedy wiedziałam na pewno, że Marsilia nie stanowi dla mnie zagrożenia, byłoby naprawdę tchórzostwem. Adam był wykończony, a ja mogłam zrobić coś dla niego i watahy.

– W porządku – oznajmiłam. – Ale jeśli mam iść, muszę najpierw załatwić parę spraw. Sama znajdę drogę.

Hao pokręcił głową.

– Marsilia kazała mi dopilnować, żeby dotarła pani na miejsce bezpiecznie. Zaczekam tu.

– To może chwilę potrwać – ostrzegłam.

– To nic. Przywykłem do czekania. – Skłonił się ponownie.

– Jak sobie chcesz – powiedziałam i zamknęłam drzwi. Potoczyłam spojrzeniem po wilkach, czekając na ich reakcję.

Asil przyglądał się z zachwytem rzeźbom nagich Dicka i Jane, które upiększały hol Kyle'a.

– Piękny kapelusz – pochwalił.

– Który?

Jane dostała w tym miesiącu nowy słomkowy kowbojski kapelusz ozdobiony dziarsko sterczącym piórem strusia. Tak samo zadziornie sterczało pierwsze dwadzieścia kilka centymetrów czapki narciarskiej, którą Dick nosił na południe od pępka. Długi szpic czapki opadał swobodnie aż do kolan statuy, gdzie majtał się pompon.

Rozbawienie Asila zamieniło się w prawdziwy uśmiech, szczery, piękny uśmiech, który odmłodził go z iluś setek do dwudziestu pięciu lat.

– Kyle ma dla nich świąteczne stroje – powiedziałam. – Zazwyczaj zakłada je im tuż po Święcie Dziękczynienia, ale za dużo się działo i jeszcze nie zdążył.

– Nie zamierzasz tam iść, prawda? – zapytał Ben.

– Marsilia nic mi nie robi – zapewniłam go. Przewrócił oczyma.

– Widziałaś w ogóle, co zrobiłaś z jej samochodem?

– Peter nie żyje – zakończyłam dyskusję. – Znajdź Tada, zostaniecie tu na noc i będziecie pilnować dzieci.

Buntowniczo zadarł brodę.

– Nie zaprowadzę Tada w paszczę wampirów – oświadczyłam stanowczo. – A Honey... Honey nie powinna dzisiaj zostawać z dziećmi. – Rozchwiana po śmierci towarzysza, mogłaby stracić kontrolę nad wilkiem.

Wilczyca wkroczyła do holu złota, pełna wdzięku, piękna. Warknęła na mnie.

– Ja tu rządę – ofuknęłam ją, wchodząc na schody. – Pójdiesz ze mną i z Asilem, bez gadania.

– Wszyscy tak chętnie przyjmują twoje rozkazy, mała kojocico? – zapytał Asil rozweselony.

– Tak.

Zaśmiał się.

Sporunowałam go wzrokiem.

– Inaczej by mnie na długo popamiętali.

Nie zdążyliśmy jeszcze postarać się o nowe telefony, nie mogłam więc skontaktować się bezpośrednio z Adamem. Pierwsza zasada małżeństwa brzmi, że należy mówić, gdzie i dlaczego się wychodzi. Zadzwoiłam do Tony'ego, ale odebrała Sylvia – Tony zostawił u nas

swoją komórkę. U Kyle'a zgłaszała się poczta głosowa. Zostawiłam wiadomość i zastanowiłam się, co dalej. Armstrong miał prawdopodobnie telefon przy sobie, ale ja z kolei nie miałam do niego numeru.

Zadzwoiłam do biura Kyle'a i nagrałam na sekretarkę, że „idę na spotkanie z Marsilią”. Nie odważyłam się jednak powiedzieć więcej. Stefan nie odebrał komórki, a w jego domu też nikt nie podnosił słuchawki. Kiedy odłożyłam aparat na blat, w kuchni czekali już Tad i Asil.

Tad spojrział na wilkołaka.

– Mercy musi się przebrać, jeśli ma się spotkać z Marsilią. Poczekaj tu, muszę z nią chwilę porozmawiać. – Asil zerknął na mnie rozbawiony, na Tada nieco mniej wesoło, ale nie protestował, kiedy chłopak zabrał mnie na górę do pokoju, który zajmował. Tam wyjął z kieszeni kawałek metalu i przywołał miecz ojca.

– Kajdanki już zniszczyłem, więc go nie potrzebuję – powiedział, podając mi miecz. – Nie jestem szermierzem, a ty nie możesz iść na terytorium wroga całkiem nieuzbrojona. Nie znam tego Asila, a Honey za tobą nie przepada. Przyda ci się ostrze.

– Asil jest wilkiem Brana, obroni mnie – zapewniłam Tada. Nie wzięłam miecza. Ćwiczyłam co prawda trochę z bronią w *dojo*, ale czytałam też opowieści o Mrocznym Kowalu z Drontheim.

– To więcej, niż możesz powiedzieć o Honey – mruknął Tad. – Może lepiej ja bym poszedł?

– Nie chcę zostawiać ani Honey, ani Asila z dziećmi. Honey może stracić panowanie nad sobą i kogoś zabić. Wolę, żeby jej ofiarą padł jakiś wampir. A Asil... Nie jest do końca zrównoważony. Jeśli coś by się tu stało i musiałby zabić, mogłoby się to skończyć dużo gorzej niż w wypadku Honey. Wizyta u Marsilii nie stanowi dla nas zagrożenia. – O ile Hao nie kłamał. – Umiesz rozpoznać kłamstwo? – Niektórzy nie ludzie to potrafili, inni nie, choć sami kłamać nie mogli.

– Nie w wypadku wampirów – przyznał.

– Z wampirami jest trudno – zgodziłam się, unikając frazy „ja też nie”. – Ale myślę, że Hao mówił poważnie o tym, że Marsilia zamierza podjąć jakieś działania, a to oznacza, że mamy tu do czynienia z czymś,

co bezpośrednio zagraża wampirom. Nie ruszyłaby palcem w naszej sprawie, gdyby nie miała w tym własnego interesu. – Dzięki dodaniu „myślę, że” uniknęłam kłamstwa. Przekonany, że umiem ocenić prawdomówność Hao, Tad nie powinien dłużej protestować. Choć i tak byłam prawie pewna, że Hao nie kłamał.

Asil zapytał mnie, kto skorzysta na zniknięciu stada z Tri-Cities. Powiedziałam mu, że na pewno nie Marsilia. Ta odnosiła korzyści z sąsiedztwa watahy. Nikt nie chciał zadzierać z Adamem, a ponieważ ten raz czy dwa współpracował z chmarą, powszechnie uważano, że wilkołaki są ściślej związane z wampirami, niż było w rzeczywistości. Adam nie dementował plotek, bo taka sytuacja odstraszała różnego rodzaju hołotę.

Jednak, z drugiej strony, oznaczało to, że jakiś wróg Marsilii zasadził się na nasze stado, by osłabić chmarę. Nie tak dawno ktoś próbował odebrać władzę Marsilii, a wtedy wataha dorzecza Kolumbii ją poparła.

– Nic mi nie będzie – uspokoiłam Tada. – Honey może i nie darzy mnie sympatią, ale pozostaje lojalna wobec Adama, a jest naprawdę niesamowita. Najlepsza z naszych, jeśli chodzi o walkę w pojedynkę. Ty jesteś potrzebniejszy tutaj. Bezpieczeństwo dziewczynek jest najważniejsze. Ben potrafi się bronić w razie czego, tylko nie wiem, jak będzie się zachowywał przy dzieciach... – Normalnie, z tym jego językiem i agresją, trzymałabym Bena z dala od dzieci i bezbronnych kobiet. Jednakże był wierny Adamowi, a nawet jeśli miałby niezbyt fortunnie poszerzyć słownictwo dzieci, to na pewno nie zrobi im krzywdy.

– No dobra, dobra – ustąpił Tad. – Ale zabierz ze sobą miecz. – Znów podał mi ostrze. Wyglądało groźnie i nie na miejscu w pokoju przyozdobionym wesolutkimi motywami Parowozu Tomka. Nie wyciągnęłam po nie ręki.

– Wiem co nieco o broniach twojego ojca.

– Tak – zaśmiał się Tad. – Tata dość długo chował urazę do świata. Ten miecz nazywa się Głód i musi posmakować twojej krwi, żeby ci służyć. I będzie, dopóki nie spróbuje krwi kogoś, kto bardziej mu przypasuje. Wiem, że uczyłaś się trochę szermierki na karate, ale masz

rację, lepiej go nie używać, chyba że w ostateczności. Nigdy nie wiadomo, kiedy spodoba mu się ktoś inny, a ponieważ nie jesteś nieczłowiekiem, tym mniej chętnie przy tobie zostanie. Ale na pewno zabija wampiry skuteczniej niż normalne ostrza. Poza tym pochłania również magię z przedmiotów lub zaklęć, choć z doświadczenia wiem, że robi to dość wolno. No i nie zapominaj o tej zabójczyni, która powinna być martwa, a uprawia sobie jogging. Nie wiem, czy miecz będzie wobec niej skuteczną bronią, ale na pewno lepszą niż nóż, kula, czy nawet wilkołak.

Podał mi miecz, który tym razem ostrożnie przyjąłem.

– Draśnij się nim, żeby go ze sobą związać. Najlepiej w przedramię lub łydkę. Tylko uważaj, jest bardzo, bardzo ostry.

Dotknęłam krawędzią lewego przedramienia. Przecinając skórę, miecz poraził mnie jak prądem. Zupełnie jakby magia zmieniła się w elektryczność, jakbym dotknęła ogrodzenia pod napięciem.

– Dziwne. – Tad zmarszczył brwi. – Czekaj, spróbujemy inaczej.

Sięgnął do kieszeni po nóż i naciął sobie opuszek, a kiedy pokazała się krew, przytknął palec do mojej rany. Skrzywiłam się, kiedy wziął miecz i przyłożył, by ostrze posmakowało naszej zmieszanej krwi.

Tym razem nie przeszył mnie prąd, a poczułam łagodny taniec magii w ciele.

– Tak lepiej – stwierdził Tad. – Teraz możesz zwinąć miecz, wystarczy, że o tym pomyślisz.

Miał rację. Ostrze natychmiast zniknęło, zmieniając się w grudkę metalu.

– Jeśli Szarzy Panowie szaleli tak przez tamten kostur... – zaczęłam, czując, jak magia przeszywa mnie aż do łokcia.

– Powiedzmy, że lepiej będzie, jak zwrócisz mi miecz zaraz po powrocie. A ja oddam go przy pierwszej okazji ojcu. To nie jakiś tam byle Ukojenie i Spokój, Głód jest potężnym artefaktem. Szarzy Panowie nie byliby zachwyceni na wieść, że znajduje się w twoich rękach. Zwłaszcza że oddałaś już jeden magiczny przedmiot Kojotowi.

Poderwałam głowę i popatrzyłam na Tada zdumiona.

– Tata mi powiedział. – Uśmiechnął się. – Musiał wyjawić to paru pradawnym, bo wiedzieli, że masz kostur, i chcieli odzyskać go w

nieprzyjemny sposób.

Zacząłam wkładać zgrudkowany miecz do kieszeni, kiedy Tad mnie powstrzymał.

– Nie chcesz chyba iść na spotkanie z Marsilią w dresie?

– No fakt – zgodziłam się. – Chodźmy poszukać czegoś w szafie Kyle’a.



W szafie Kyle’a wygrzebałam dzinsy obcisłe, ale do zniesienia, a Tad wybrał niebieski sweter. Miałam nadzieję, że to nie ulubione ubrania naszego gospodarza. Zeszłam na dół, gdzie czekali na mnie Honey, nadał w wilczej formie, oraz Asil. Asil podał mi kurtkę.

Całkiem przyzwoitą. I nawet pasowała. Co więcej, miała tak duże kieszenie, że swobodnie pomieściła magiczny artefakt, który bywał czasami mieczem, tak że nie musiałam wciskać go w przyciasne spodnie.

Asil wsiadł za kierownicę furgonetki Warrena, Honey, chcąc nie chcąc, pojechała z nim. Nie była zachwycona, ale nie przepadałam za nią tak samo jak ona za mną, a teraz, po śmierci Petera, którego z kolei bardzo lubiłam, czułam się w jej obecności jeszcze bardziej nieswojo. Uznałam, że najlepiej będzie zrzucić Honey na głowę Asilowi. I vice versa.

Sama jechałam mercedesem Marsilii. Zamierzałam go jej zostawić i wrócić furgonetką. Chciałam się pozbyć samochodu jak najszybciej, żeby to Marsilia już była odpowiedzialna za ewentualne dalsze szkody. Tad musiał odgiąć nieco kłapę, żeby zamknąć bagażnik, który teraz wyglądał, jakby runęło na niego drzewo. Nie dodało to wozowi urody. Zabrałam broń z mercedesa i włożyłam do furgonetki, ale planowałam ją tam zostawić. Gdybym była zmuszona strzelać do wampirów, równie dobrze mogłam od razu wpakować sobie kulkę w łeb.

Thomas Hao jechał przodem w białym niepozornym subaru forester na kalifornijskich tablicach. Byłam przekonana, że jedziemy do siedziby chmary w Tri-Cities, dopóki nie skręcił inaczej na rondzie w Keene i nie zaczęliśmy oddalać się od miasta.

Zawahałam się i zrobiłam dodatkową rundkę wokół ronda. Hao był spoza miasta, sądząc po rejestracji, mógł się zgubić. Jednak kiedy znów

go zobaczyłam, stał na poboczu i czekał na nas.

Doszłam do wniosku, że gdyby się pomylił, zorientowałby się po chwili, że wyjechał poza teren zabudowany. A jeśli zrobił to celowo, najwidoczniej spotkanie miało odbyć się gdzie indziej. Nie podobało mi się to, ale nie na tyle, żeby zawrócić.

Zatrzymałam się przy samochodzie Hao. To samo zrobił Asil. Kiedy wampir minął wielkie pastwisko, nawet nie zwalniając, a potem skręcił na zachód do Nigdzie, zrozumiałam, że na pewno nie jedziemy do siedziby chmary, i zadzwoniłam z telefonu siostry Gabriela do Sylvii, na numer Tony'ego.

– Nie jedziemy do Marsilii – powiedziałam. – Jesteśmy na drodze numer dwieście dwadzieścia cztery i zmierzamy w stronę Benton City. Zadzwonię jeszcze, jak będę wiedziała coś więcej.

– Dobrze, będę miała telefon przy sobie – obiecała Sylvia.

Dwadzieścia minut później opuszczaliśmy Benton City, kierując się na urwisko nad rzeką Yakima. Zbocza powyżej porastały sady i winnice. Od wielu kilometrów nie widziałam już zabudowań, kiedy Hao skręcił wreszcie w utwardzoną żwirem drogę, biegnącą pomiędzy drzewami owocowymi.

Przez cały czas myślałam o wampirach. Stare miały dużo pieniędzy. Z tego, co wiedziałam, Marsilia przechodziła fazę fugi, swego rodzaju depresji, która dopadała stare wampiry. Całymi latami nie podejmowała większych działań, a przez to wydawała się słaba. Dlatego Rękawicznik podjął próbę odebrania jej chmary. Marsilia nie mrugnęłaby nawet okiem, gdyby nie mogła odnieść z tego jakiegś korzyści.

Nie zaproponowałaby spotkania z watahą, gdyby nie potrzebowała pomocy. Cała ta sprawa wiązała się z wampirami. Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym większego nabierałam przekonania, że właśnie od nich się to wszystko zaczęło.

To jasne, że wampir bez wahania zabiłby najemników, którzy za dużo wiedzieli. Nie ze względu na to, co mogli powiedzieć policji, ale co mogli powiedzieć Branowi czy Charlesowi. Gdyby wataha poniosła śmierć – a przecież o to mu chodziło, bo nie przewidywał, że całe stado da się złapać garstce najemników i agentów SNIT – Marrok zagiąłby

parol na winnego.

Najpierw ustąpiły drzewa, potem skończyła się żwirowa droga i zaczęliśmy jechać przez pola uschniętych winorośli, których stan ciężko było przypisać jedynie porze roku. Mercedes, samochód typowo miejski, buntował się przeciw pobrużdżonemu, kamienistemu terenowi.

Wampiry zyskiwały moce. Stefan potrafił się teleportować, co utrzymywał w sekrecie, bo fakt ten czynił z niego cel. James Blackwood, Pan Chmary Spokane, mógł wykradać moce magicznych istot, na których żerował. Może wampir odpowiedzialny za to wszystko umiał przemieniać różne istoty, jak moją zabójczynię, w zombie? Inna sprawa, że nie bardzo wiedziałam, po co ktoś miałby ją ożywiać.

Jechałam tak głęboko pogrążona w myślach, że zorientowałam się, gdzie jesteśmy, dopiero kiedy poczułam dym. W tych okolicach i o tej porze roku zapach dymu nie był niczym nadzwyczajnym – wielu ogrodników paliło organiczne śmieci. Ja jednak wyczułam woń pożaru, a nie palących się resztek roślin.

Pospiesznie zadzwoniłam do Sylvii.

– Powiedz Adamowi, że jedziemy tam, gdzie byli przetrzymywani po porwaniu – rzuciłam.

– Coś nie gra? – zapytała.

– Niekoniecznie – odparłam, choć fakt, że Hao ukrywał przede mną, iż miejscem spotkania ma być winnica, którą Adam i Elizawieta spalili do gołej ziemi, wzbudził we mnie podejrzenia. – Może Marsilia chce mi tu coś pokazać. A może nie. Może wykazałam się skrajną głupotą. – Powiedz Adamowi, że nie znam wampira, który nas tu przywiózł. Mówi, że nazywa się Thomas Hao. Jeździ subaru forester na kalifornijskich indywidualnych tablicach. „DZIENNY” – przeliterowałam. W wypadku wampira mogło to mieć różny wydźwięk, od ironii do nadziei. – Może to w ogóle nie sprawka Marsilii. – To ostatnie wcale mi się nie podobało.

– Dobrze, przekażę mu.

Rozłączyłam się i dalej jechałam za wampirem.

Do pozostałości po winiarni dotarliśmy z boku, co tylko utwierdziło mnie w podejrzeniach. Ogień pochłonął wszystko, pozostawiając tylko fragmenty kamienne, cementowe i parę grubych,

poczerniałych belek. Elizawieta przyłożyła się do swojej pracy, tak samo jak do wszystkiego, co robiła.

Poświata księżycyca w kwadrze, blisko pełni, przydawała scenerii upiornej atmosfery rodem z horroru. Podobnie jak duch majaczący przy winnicy po drugiej stronie bitej drogi, którą jechaliśmy. Widok ducha nie jest dla mnie niczym niezwykłym, a ten nie był jedynym w okolicy. Nie zwróciłam na niego szczególnej uwagi, gdyby nie to, że wydał mi się znajomy. Przyspieszyłam, podjeżdżając do niego bliżej.

Był to duch Petera, naszego Petera. Stał przy jednym z ukośnie wbitych pali, do których przywiązywano druty, podpory dla winorośli. Obejmował się ramionami, patrząc na – sprawdziłam – prawie pusty plac parkingowy przy zgliszczach.

Zatrzymałam się, zgasiłam silnik i światła, po czym wysiadłam, zapominając całkiem o niepokoju, czy Hao sprowadził mnie tu na zlecenie Marsilii, czy jakiegoś nieznanego mi wroga.

Duchy są pozostałościami po ludziach. Większość z tych, które napotkałam, nie posiadała wiele, jeśli w ogóle, inteligencji. W zasadzie nie było powodu, żeby się zatrzymywać. Nie był to już Peter, nie ten prawdziwy. Nie potrzebował mnie. Ale wyglądał tak, jakby na kogoś czekał, a nie potrafiłam zostawić go tu tak samego i bezbronego.

Kiedy obchodziłam maskę mercedesa, włączyły się światła cofania w wozie Hao, Asil zatrzymał się za mną, a Peter odwrócił się i mnie zobaczył.

– Uciekaj stąd, Mercy – rzekł poważnie. – Czai się tu coś bardzo złego. – Kiwnął na pogorzelnisko. Mówił spójnie, świadomie, jak za życia.

– Peter? – zawołałam, zdając sobie sprawę, że Asil i Honey wysiadają właśnie z samochodu.

– Nie dostanie mnie – oświadczył Peter bardziej z nadzieją niż z przekonaniem. – Wzywa mnie, słyszysz? Tak jak Adam, ale inaczej. – Zadrżał i zrobił krok w stronę parkingu.

– Kto cię wzywa? – zapytałam. Peter pokręcił głową.

Czasami duchy wyglądają tak, jak w chwili śmierci, zakrwawione, poranione. Ale na czole Petera nie było dziury po kuli, nie miał też na sobie czarnych spodni i eleganckiej koszuli, które założył na kolację

świętodziękczynną i w których zginął. Ubrany był jak zazwyczaj, w dżinsy, koszulę flanelową i okute buty.

W pierwszej chwili tego nie zauważyłam, bo był niewyraźny, ale podczas rozmowy zaczął stawać się wyraźniejszy. Gdybym go nie znała, gdybym nie wiedziała, że zginął, mogłabym wziąć go za żywego – tak bardzo wydawał mi się materialny.

Hao wysiadł i podszedł do mnie w tej samej chwili, co Asil i Honey.

– Z kim rozmawiasz, Mercy? – zapytał Asil.

Honey pisnęła cicho, wpatrując się we mnie z napięciem. Peter spojrział na nią i padł na kolana. Na jego twarzy odmalowały się ból, żal, tęsknota, a po policzkach popłynęły łzy.

– Honey. *Min prinsesse*. Och, Honey, czuję się taki zagubiony. – Wyciągnął rękę i dotknął jej, a jego palce poruszyły sierść na jej karku. Otrząsnęła się, próbując do niego przysunąć, choć raczej go nie widziała. Udało jej się tylko przeniknąć w jego eteryczne ciało.

Nawet ludzie nieświadomi obecności ducha nie pozostają długo w zetknięciu z jego niematerialną postacią. Honey nie była wyjątkiem. Cofnęła się szybko w stronę Asila, który położył jej dłoń na łbie.

– Peter – powiedziałam.

Honey pisnęła, a potem zaskomlała. Peter znów wyciągnął rękę i pochylił się, aż dotknął jej nosa. Potem popatrzył na mnie i chciał coś powiedzieć, ale nagle gwałtownie zakrył uszy.

– Nie chcę do niego iść! – zawołał ze zgrozą w oczach. Nagle w jego miejsce pojawił się wilk, uległy wilk. Peter w ludzkiej postaci może mógłby opierać się wezwaniu nieco dłużej, ale jego wilk był posłuszny rozkazom. Położył uszy, podwinął ogon, spojrział jeszcze raz na Honey i odwrócił się, żeby odejść.

– Peter! – zawołałam ostro. Byłam coraz lepsza w podkradaniu gromkiego głosu Adama. Mówiąc, pociągnęłam za więzi stadne, które jakimś cudem nadał trzymały się martwego wilka. Coś mi się tu nie zgadzało, jednak musiałam skupić się na powstrzymaniu Petera przed posłuchaniem tego, co go przyzywało.

Nici wiążące go ze stadem były cienkie niczym babie lato, ale kiedy przepchnęłam przez nie swoją wolę, wzmocniły się. Peter

zatrzymał się, drżąc, posłuszny więziom, które łączyły go z innymi za życia.

– Peter. – Tym razem zawołałam go częścią, która widziała duchy, tą, która w domu Tada odpędziła zjawę, która wymusiła posłuszeństwo na duchach należących do Jamesa Blackwooda, Pana Spokane, nieżyjącego już, za moją sprawą zresztą. Sięgnęłam do Petera. – Chodź do mnie.

Peter odwrócił się, usiadł u moich stóp i podniósł na mnie wzrok jak owczarek na pasterza. Czekał, bym go ocaliła.

Wokół znajdowało się więcej duchów. Stały na straży pomiędzy parkingiem a pogorzelskim, a choć dostrzegłam je wcześniej, nie zwracałam na nie uwagi. Nie znałam ich, w przeciwieństwie do Petera. Jednakże kiedy zawołałam wilka, kiedy do mnie przyszedł, duchy odwróciły się w moją stronę. Powoli, jak gdyby coś je powstrzymywało, a jednocześnie przyciągało, zaczęły się zbliżać.

Pochyliłam się i ujęłam w dłonie pysk Petera. Dmuchnęłam mu w nos – wydawało mi się, że właśnie tak powinnam postąpić. Dawno wypowiedziane przez Charlesa słowa odbiły się echem w mojej głowie.

Inicjacja jest jak otwarcie się na świat, oczekiwanie na odbiór tego, co świat chce przekazać. Tak mi powiedział, a potem dodał, że podobnie jest z magią. Ona chce użyć ciebie, a ty możesz jedynie zgodzić się lub nie.

Tak więc podążyłam za instynktem, za swoją magią.

– Peter – przemówiłam do niego, korzystając z mocy Adama, z mocy więzi stada i części mnie powiązanej z duchami; ze wszystkiego, czym dysponowałam. Logika podpowiadała mi, że istota, którą miałam przed sobą, nie była takim duchem, jakie do tej pory napotykałam. Przypomniałam sobie, dlaczego Petera nie powinny już łączyć ze stadem żadne więzy.

Duchy nie wpatrywały się we mnie rozumnie czy prosząco, nie reagowały na więź stadną. Odszukałam więź tak, jak się tego nauczyłam, odnalazłam ją jaskrawą, wzmocnioną moją wolą. Nici te łączyły dusze, tak powiedział Adam. Nie widziałam dusz, ale więzi stadne, to co innego. Były one silnie związane z duszą Petera, a ta tkwiła wciąż w duchu, choć nie powinno jej tam być, tam, tutaj, gdzie groziło jej

niebezpieczeństwo ze strony tego, kto przyzywał Petera.

Moje zmysły nadal dochodziły do pełni możliwości i dlatego właśnie dostrzegłam coś jeszcze – chmurę mroku otaczającą Petera, usiłującą przeciąć nici łączące go ze stadem, próbującą mi go odebrać. Asil dotknął mojego ramienia i naraz spuścił głowę, spojrzął na Petera. Honey przylgnęła do mojego biodra i zastygła. Czułam jej napięte, twarde jak skała ciało.

– Peter – powtórzyłam. – Należysz do nas, do stada. Jesteś mój. – Bliskość stada, bliskość Honey pomogła. Dotknęłam chmury, a ta rozplynęła się pod moją dłoń. Wcześniej jednak zdążyłam poczuć w niej magię. Magię wampira.

– Odejdź stąd, Peterze – nakazałam mu. Zdawałam sobie sprawę, że muszę zrobić coś z jego duszą, która zamiast ulecieć, została tutaj, ale instynkt, a ufałam wiedzy mojego kojota, podpowiadał mi, że najważniejsze teraz jest to, by go stąd zabrać. By odsunąć go od tego, który próbował nim zawładnąć. Zerknął na wpatrzoną we mnie Honey.

– Ona też cię kocha – zapewniłam go. – Idź stąd, Peter. Znajdź sobie jakieś bezpieczne miejsce.

Zniknął, a wraz z nim zniknęła część życia z oczu Honey.

– Wszystko w porządku – uspokoiłam ją. Sprawdziłam więc stadną i Peter nadal tam był. Nie całkiem żywy, nie tak, jak reszta, ale był z nami, bezpieczny. Wyprostowałam się i poczułam taką ulgę, że aż zakręciło mi się w głowie. – Jest bezpieczny.

Hao obserwował mnie pilnie.

– Mieli rację – powiedział. – Rozmawia pani ze zmarłymi.

– Kto więzi te duchy? – zapytałam.

Martwi wokół wpatrywali się we mnie w napięciu. Ich usta poruszały się, ale nie słyszałam głosów. Otaczająca ich sieć mroku była gęstsza niż ta, która usiłowała opętać Petera. Może to ona sprawiała, że ich nie słyszałam, a może słyszałam tylko Petera, bo byliśmy połączeni więzią stadną?

– Czy są spętani? – Hao rozejrzał się. – Może się nas spodziewał. Skończyła pani?

– Kto się nas spodziewał? – Z gardła Asila wydobył się niski, groźny pomruk. Hao nie wydawał się przestraszony – nie wiedział

przecież, kim jest Asil.

– Nie mogę powiedzieć. Jeśli skończyliście, chodźmy.

Spojrzałam na duchy – trzy kobiety i czternastu mężczyzn. Jedna z kobiet miała na sobie czarną sukienkę koktajlową, ale reszta była ubrana jak agenci nieruchomości czy ludzie biznesu – mężczyźni w garniturach, pod krawatami, a kobiety w garsonkach. Jeśli przywiązano ich tu tak jak Petera, nie byli zwykłymi duchami. Nie byłam jednak związana z nimi jak z Peterem, nie wiedziałam, jak im pomóc.

A potem rozpoznałam „Jonesa”, widziałam go przecież oczyma Adama. Przypomniałam sobie, że Armstrong nazywał go Bennetem, Aleksandrem Bennetem. Nie wiem, dlaczego zdziwiło mnie, że stoję i gapię się na obce duchy zabitych tu ludzi. Może już tak przywykłam do widoku duchów, że przestałam zastanawiać się, kim były za życia.

Aleksander Bennet zabił Petera.

– Tak, skończyłam. – Nie czułam się zobligowana, by ratować tych ludzi przed tym, co ich pochwyliło. Zabili Petera i chcieli zabić naszych przyjaciół, ich rodziny, łącznie z Maią Sandoval, pięciolatką, która ujeżdżała wilkołaka i usiłowała karmić go ciastkami.

Jak dla mnie, ich dusze mogły tkwić w otchłani po wieczność.

– Skończyłam – powtórzyłam.

Odprowadzali nas wzrokiem. Przestali poruszać ustami.

Zatrzasnęłam drzwiczki, wdusiłam przycisk rozrusznika i pojechałam za Hao na parking, przejeżdżając po drodze przez kilka duchów. Tym razem jednak nie byłam osłabiona magią pradawnych, jak wtedy, gdy usiłował opętać mnie duch na sekretnych schodach u Tada. Tym razem poczułam jedynie lekki chłód. A potem znaleźli się za mną.

Wiedziałam, że później będę musiała coś z nimi zrobić. Bez względu na gniew i na co zasługiwali – to była kwestia tego, kim jestem. W pewnym momencie każdy musi nakreślić swoją nieprzekraczalną granicę.

Omam nie zawróciłam w tamtej chwili, ale powstrzymała mnie myśl o czekającej Marsilii – zakładając, że chodziło o Marsilię. Uznałam, że jeśli w ogóle zdołam pomóc tym nienależącym do stada duchom, przyjdzie na to czas później.

Na placyku stał tylko jeden samochód. Rozpoznałam go, bo

naprawiałam samochody chmary w ramach „opłaty ochronnej” nakładanej na istoty nadnaturalne, które nie potrafiły obronić się przed wampirami. Już jako towarzyszka Alfy watahy dorzecza Kolumbii prawdopodobnie mogłam odmówić płacenia haraczu bez konsekwencji, ale ten rodzaj interakcji, choć słaby, zapewniał wilkołakom i wampirom przestrzeń, w której mogli porozumiewać się, eliminując element dramatyzmu. Liczyłam, że dzięki temu Tri-Cities będzie choć odrobinę bezpieczniejszym miejscem dla wszystkich mieszkańców.

Samochód chmary świadczył o tym, że to jednak Marsilia stała za zaproszeniem. Powinno mnie to uspokoić, ale znacznie bardziej martwiła mnie teraz kwestia tajemniczego „ktosia”, który potrafił więzić duchy i próbował uczynić to Peterowi.

Zatrzymałam się na skraju placu. Mercedes wśliznął się na miejsce i stanął z pomrukiem. Wysiadłam, zapięłam kurtkę i odwróciłam się w stronę zgliszcz.

Marsilia stała przy lewym tylnym nadkolu, jakby tkwiła tam przez cały czas, choć kiedy parkowałam, na pewno jej nie było. Udało mi się nie podskoczyć.

Pani Chmary była piękną kobietą. Noc odzierała jej złote włosy z ciepłego blasku, ale poświata księżycy kładła się na regularnych rysach Marsilii i przydawała ciemnym oczom tajemniczości. Nigdy wcześniej nie widziałam jej tak praktycznie ubranej – w dopasowanej ciemnej prążkowanej koszulce z długim rękawem, bojówkach, chyba zielonych – choć dobrze widzę w ciemnościach, to kolory w mroku bywają złudne, a w pobliżu nie było światła. Buty taktyczne robiły wrażenie mocno znoszonych – to zupełnie nie pasowało do Marsilii, jaką znałam. Wyjęłam z kieszeni pilota do mercedesa i podałam jej. Popatrzyła na mnie, na wgniecenie w drzwiczkach od strony kierowcy, a potem zaczęła obchodzić samochód, na koniec zostawiając sobie bagażnik.

– Przypomnij mi, żebym już nigdy nie oddawała do twojego warsztatu drogiego samochodu – podsumowała. I tyle. Tyle ze strony Marsilii, która mnie szczerze nienawidziła. Z wzajemnością zresztą.

– Ty też nie jesteś mistrzynią w dbaniu o swój cenny inwentarz – odpaliłam chłodno. – Samochód przynajmniej da się naprawić. – Swoją beztruską zraniła mojego przyjaciela. Nie byłam pewna, czy Stefan się

kiedyś z tego otrząśnie. – Poza tym, jeśli moje podejrzenia okażą się prawdą, te uszkodzenia – machnęłam ręką na samochód – podobnie jak śmierć mojego wilka, Petera Jorgensona, są wynikiem politycznych gier wampirów. – Nie skomentowała, co oznaczało, że moje przypuszczenia są trafne. – Zostałam zaatakowana przez płatną zabójczynię – ciągnęłam. – Podczas bójki uderzyła się głową o drzwiczki, stąd pierwsze wgięcie. A potem całkiem martwa, czułam to na pewno – postukałam się po nosie – na siłę otworzyła bagażnik.

Marsilia uśmiechnęła się oszczędnie.

– Może masz rację – stwierdziła, dotykając zniszczonej klapy.

– Ale za ślady pazurów i krew na tapicerce biorę pełną odpowiedzialność. – Spuściłam nieco z tonu. – Wzięłam twój samochód bez pozwolenia, bo potrzebowałam wozu, którego nie da się namierzyć. Oczywiście, pokryjemy z Adamem koszty naprawy. – Asil i Honey zbliżyli się i stanęli przy mnie.

– To nie jest konieczne – westchnęła Marsilia. – Masz rację, to sprawy wampirów. – Poklepała bagażnik, jakby był żywą istotą. – Ta szczególnie. Ale możesz polecić mi dobrego blacharza. – Zaśmiała się na widok mojej miny.

Dziwaczna, subtelna nieprawidłowość tego dźwięku zjeżyła mi włoski na karku. Marsilia była naprawdę bardzo stara i niedokładnie odgrywała emocje. Efekt przenikał dreszczem.

– A czego się spodziewałaś, Mercy? Potrafię się zachować. To tylko samochód. Wejźmy do środka. – Wskazała ruiny winiarni za plecami. – Dowiesz się, dlaczego wzięto na cel twoją watahę.

– Pewnie dlatego, że ktoś uznał nas za twoich sojuszników – odgadłam. – I chciał cię osłabić. – Reszta wynikała z pierwszej części. – Zatrudnił najemników i fanatyków ze SNIT, żeby Bran ścigał agencję rządową i prywatnych trepów, a przeoczył prawdziwego sprawcę. Osobiście uważam, że nie docenił Brana, ale wielu popełnia ten błąd. Jemu to nie przeszkadza. Ale w tym wszystkim chodzi o to, by odebrać ci chmarę, Marsilio, prawda?

– Tak – zamruczała czule, przez co wiedziałam, że moja wnikliwość nie przypadła jej do gustu. – A ty, moja mała kojociczko, byłaś na tyle sprytna, by nie dać się zabić. – Nagle jej oblicze zapłonęło

pożądaniem, wyciągnęła rękę i przesunęła palcami po twarzy Asila. – I proszę, przyprowadziłaś do mnie nową zabaweczkę.

Marsilia miała słabość do wilkołaków.

Asil uśmiechnął się szelmowsko, zręcznie unikając kontaktu wzrokowego – dominujące wilki instynktownie mierzą z każdym siły, wyzywając ich wzrokiem, ale w wypadku wampirów to błąd. Wampiry potrafią spojrzeniem nagiąć wolę większości istot. To pozwala im bezkarnie żerować na ludziach. Maur najwyraźniej znał wzrokowe tricki krwiopijców.

– Podobasz mi się – powiedziała do niego Marsilia. – Jesteś ładny.

– Ja też miałbym na ciebie chrapkę – zripostował Asil. –

Rozsmakowałem się w wampirach. – Pokazał jej w uśmiechu białe zęby. Zmarszczyła brwi.

– Niepotrzebnie się rozpraszasz, Marsilio – zganił ją Stefan, wyłaniając się z mroku.

Nie spojrzała na niego, nie spuszczała oczu z Asila, tylko przekrzywiła lekko głowę w stronę Stefana.

– A jeśli nawet, to co? Przecież to nic złego.

– Mercy może cię zabić, zanim dasz tę szansę komu innemu – stwierdził Stefan znudzonym tonem.

Nagle rozgniewana, Marsilia błysnęła kłami.

– Myślisz, że dałabyś radę mnie zabić, kojociczko? – Jej głos stał się niższy, a oczy przestały być czarne. – Myślisz, że tak łatwo by ci ze mną poszło?

– Ej. – Zagapiłam się w jej jaskrawoczerwone oczy. – To nie ja ci tu grożę. Ale jeśli spróbujesz tknąć któregoś z moich wilków, najpierw będziesz miała do czynienia ze mną.

Kątem oka dostrzegłam ukradkowy uśmieszek Asila.

– Jednemu z twoich na pewno by się to podobało – oświadczyła Marsilia, traktując uwagę Asila jak komplement, nie groźbę. Głupia. – Niech sam się opowie.

Stałam pomiędzy nią a Asilem.

– Zostaw go w spokoju, Marsilia. – Nie żeby Asil nie umiał sam się przed nią obronić. Do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, że gdzieś po drodze przestałam się bać Asila i zaczęłam darzyć go sympatią.

Oczywiście nadal mógł wpaść w szal i mnie zabić, ale dorastałam wśród wilków i wiedziałam, że każdy może zabić, jeśli jest się na tyle głupim, by przestać czuć przed nimi respekt. Cały wic polega na tym, żeby nie zgłupieć.

– Mercy dba o swoją własność, Marsilio. Powinnaś brać z niej przykład – pouczył ją Stefan słodko.

– Co ty? Chcesz mi zafundować śmierć? – zbeształam go chłodno, kiedy wampirzyca syknęła wściekle. – Rozmawiałyśmy sobie kulturalnie, dopóki nie postanowiłeś wkroczyć ze swoją pomocą.

Zaśmiał się i tym razem zabrzmiał bardziej jak Stefan.

– Naprawdę uważasz, że to uprzejma pogawędka? Przed chwilą próbowała odebrać ci tego nowego wilka.

Asil uśmiechnął się znowu, ukazując zęby, ale nadal milczał.

– Nieprawda – zaproponowałam. – Tylko jej się wydawało, że próbuje.

Marsilia pokręciła głową i dosłownie zmieniła się na moich oczach. Nie z wyglądu, nie w formie, ale na płaszczyźnie osobowości. Zniknęła bogini seksu, wredna, nienawidząca mnie piękność. Przede mną stała teraz przeciętna, znużona i może nawet nieco wystraszona kobieta.

– Masz rację, Stefanie – rzekła. – Wybacz mi, Mercedes. Dzisiaj musimy być sojusznikami.

Marsilia właśnie mnie przeprosiła. Piekło chyba doświadczyło jakiejś gwałtownej zmiany klimatu!

– To powiesz mi wreszcie, o co chodzi, czy dalej będziemy odstawiać teatrzyk i się przegadywać?

[2] Trasa Poligonu Bombowego

Rozdział 11

Wejdźmy do środka, porozmawiamy – powtórzyła Marsilia. Nie wydawała się zła.

Poszłam za nią, a za mną reszta. Gdyby nie Stefan, nie odwróciłabym się do Hao plecami. Nie pokładałam wielkiego zaufania w Honey i nie do końca zawierzałam Asilowi, choć go lubiłam. Miałam jednak pewność, że Stefan będzie miał oko na tego obcego wampira i przypilnuje mi tyłów.

Marsilia weszła do spalonego budynku, stanęła na obramowaniu fundamentów i skoczyła parę metrów w dół, do piwnicy. Podążyłam jej śladem, lądując na ugiętych nogach, żeby zamortyzować impet uderzenia o twardą powierzchnię. I tak zapiekły mnie podeszwy stóp. Musiałam być *macho*, więc nawet nie jęknęłam. Ot i pozowanie na wilkołaka, pomyślałam o sobie z rozbawieniem. Prawdopodobnie jednak nie pisnęłabym przed Marsilią, nawet gdyby nie chodziło o reputację watahy. Honey pokonała kilkumetrową przestrzeń bez żadnego wysiłku, a Asil wylądował całkowicie bezgłośnie.

Marsilia prowadziła nas w głąb piwnicy. Złowrogo sterczące dźwigary budziły we mnie niepokój. Ktoś mógł na nich stać i zaatakować nas z góry. Wampiry, nocna pora i duchy przyprawiły mnie o manię prześladowczą. Księżyc zniknął za chmurami, zostawiając na niebie tylko parę gwiazd.

Czułam, że mam pod nogami posadzkę z płytek, ale ginęła ona pod parocentymetrową warstwą czarnego popiołu. Uderzyłam palcami stóp w jakąś nierówność i uświadomiłam sobie, że podłoga zasłana jest gruzem, większymi i mniejszymi kawałkami, które skrywały sadza i mrok. Niespalone fragmenty budynku powpadały do piwnicy. Zaczęłam bardziej uważać, gdzie stawiam kroki. Marsilia natomiast poruszała się tak swobodnie, jakby sunęła przez salę balową. Dobrze widziałam w ciemności, ale wampiry chyba jeszcze lepiej. Poczułam się nieco mniej niezgrabna, kiedy i Asil się potknął.

Spodziewałam się, choć nie miałam ku temu podstaw, że w budynku będzie więcej wampirów, ale wyglądało na to, że jesteśmy tu

sami. Z doświadczenia wiedziałam, że Marsilia do wszystkiego, co robi, potrzebuje widowni. Jednakże jedynymi wampirami byli tu ona, Stefan i Hao.

W połowicznie osłoniętej stropem piwnicy smród spalenizny był silniejszy niż na parkingu. Wypalał mi zatoki, drapał w gardle i irytował.

– Istnieje jakiś szczególny powód, dla którego nie możemy rozmawiać na zewnątrz?

– Owszem – tym razem odpowiedział Hao. – Ale na razie proszę się tym nie przejmować.

Nie podobał mi się wydźwięk stwierdzenia „na razie” ani też odrobinę protekcyjny ton, więc stanęłam w miejscu.

– Wydaje mi się, że chyba jednak powinnam się tym przejmować. – Odwróciłam się do niego, mimo że w ten sposób miałam Marsilię za plecami. Asil i Honey jej pilnowali. Poza tym punktowałam, bo trzeba mieć jaja, żeby pokazać plecy Pani Chmary. – Przed kim to Marsilia tak ucieka? Kto więzi tu zmarłych?

Oskarżanie Marsilii o tchórzostwo, stojąc do niej tyłem, nie było najmądrzejszą rzeczą, ale też mądre kojocice nie zakochują się w wilkołakach i nie uprawiają nocnych schadzek z wampirami.

– Zetknęłaś się z nim już. – Stefan potrafił jednocześnie uśmiechać się i mówić poważnie. Nie uśmiechałby się, gdyby Marsilia zachodziła mnie od tyłu, więc uspokoiłam się nieco. – Pamiętasz wampira, który pociągał za sznurki w sprawie z Estelle i namówił Bernarda do buntu? – To było wtedy, gdy Stefan został brutalnie usunięty z chmary, by mógł być bezstronnym świadkiem.

– Rękawicznik?

Marsilia roześmiała się. To był jeden z tych jej koszmarnych, pozbawionych wesołości śmiechów. Brzmiał, jakby śmiała się Królowa Kier z „Alicji w krainie czarów”. Ta myśl skłoniła mnie, żeby jednak odwrócić się do niej przodem. Okręcając się, zauważyłam, że Honey się zjeżyła, a Asil zeszywniał.

– Rękawicznik?! – Wiedziała, że mnie wystraszyła. Widziałam po jej minie, że sprawiło jej to przyjemność. – Rękawicznik! Tak, Mercedes, Rękawicznik. Pięć lat temu zaczął gromadzić siły, przejmując chmarę za chmarą. Uważa się za coś w rodzaju wampirzej wersji Brana.

– Bran jest w porządku. – Może i rządził żelaznymi kłami, ale dzięki temu żyło się lepiej i wilkołakom, i ludziom.

– Wampirza wersja Brana to nie to samo, co Bran – powiedział Stefan nad moim ramieniem. Nie słyszałam, jak podszedł.

Przesunęłam się nieco, by nie mieć nikogo za plecami, a Honey i Asil umiejscowili się po mojej lewej i prawej. W ten sposób wszystkie cholerne, przerażające wampiry (łącznie ze Stefanem) miałam przed sobą. Zauważyli, co zrobiłam, ale pozwolili mi się wykręcić bez komentarza. Może Marsilia naprawdę chciała współpracować?

– Zdecydowanie nie Bran – zgodził się Hao. – Przedstawia się jako William Frost. Nie wiemy, ile ma lat ani skąd pochodzi. Po raz pierwszy usłyszałam o nim, kiedy zaginął Pan Portland. Jego chmara szukała go przez trzy tygodnie. Jak pani wie, pani Hauptman, a powiedziano mi, że posiada pani tę wiedzę, słabsze wampiry nie są w stanie przeżyć bez żerowania na wampirze na tyle silnym, by je wykarmił. To najpotężniejsza władza, jaką posiada nad nowymi wampirami pani lub pan chmary. Wampiry z Portland umierały bez swojego pana, więc skontaktowały się ze mną. Kiedy tam jednak dotarłem, chmarę... ocalił już ktoś inny. – Słowo „ocalił” wymówił, krzywiąc lekko usta. – William Frost miał ją już w garści. Poprosił mnie, żebym się do niego przyłączył. Bardzo nalegał. Ja jednak nie chciałem zostać w jego chmarze. Odmówiłem, ale ponieważ nie chciałem również przejąć władzy nad chmarą, nie skrzywdziłem go. Za bardzo.

A więc Hao nie był sługą Marsilii. Powiedział, że to ona go przysłała, ale przyszedł przede wszystkim z własnej woli. Zachowywali się jak równi sobie. Stefan położył rękę na ramieniu Hao.

– Przecież nie mogłeś przypuszczać, co się wydarzy. – Najwyraźniej lubił Hao. Nie sądziłam, że istniał jeszcze jakiś wampir, którego Stefan darzył sympatią.

Hao wzruszył ramionami.

– Co się stało, to się nie odstanie. Nie pragnąłem swojej chmary i chętnie zostawiłem władzę Frostowi. Choć w jego obecności przechodziły mnie ciarki.

Spojrzał mi w oczy i już zaczął opuszczać wzrok, ale podniósł go na powrót. Moc wampirów nie działała na mnie tak, jak na innych, lecz i

tak próbował. Kiedy jego wysiłki okazały się płonne, skinął mi poważnie.

– Nie jesteśmy dobrymi ludźmi. – Przesunął spojrzeniem po Marsilii i Stefanie. – Dobrzy ludzie nie stają się wampirami. Wiedziałem, że jest zły, a mimo to zostawiłem mu wampiry z Portland. – Uśmiechnął się, a ja już wiedziałam, że nie uśmiechał się, kiedy naprawdę był rozbawiony. – Przypuszczam, że słyszała pani o kłopotach policji w Portland. Wielu funkcjonariuszy ginie podczas służby. Dla bezpieczeństwa Bran przeniósł watahę z Portland do Eugene w Oregonie. Choć sądzę, że zrobił to bardziej ze względu na policję niż wampiry. Miał rację, bo Frost nie jest jeszcze gotowy na konfrontację z nim.

Rzeczywiście, słyszałam o przeprowadzce stada z Portland. Tak się zdarza, choć niezbyt często. Zwykle wtedy, kiedy alfa zmienia pracę i jedzie gdzieś, gdzie nie ma wilków. Wówczas zabiera wszystkich ze sobą. Nie pytałam o przyczyny przeprowadzki stada, bo nie zaniepokoiło mnie to wtedy.

– Bran obserwuje jego posunięcia?

Hao wzruszył ramionami.

– Nie znam Brana, pani Hauptman, to pani dziedzina. Jeśli ma oko na Frosta, nie podejmuje żadnych działań. Sądzę jednak, że Bran ma sporo na głowie i bez mieszania się w, jak to pani ujęła, polityczne gierki wampirów.

– Przykro mi, jeśli poczułeś się urażony. – Wcale nie. Zupełnie. Ale powiedzenie tego wydawało się politycznie poprawne. W każdym razie gdybym zrobiła to innym tonem.

Wychwycił kłamstwo i złożył mi lekki, żartobliwy ukłon.

– Stamtąd, zamiast na północ do Seattle, Frost ruszył na południe. Chyba dlatego, że wilkołaki w Seattle są mocno osadzone na swoim terytorium, a tamtejsza chmara jest niewielka i słaba. Musiałby zaimportować wampiry z Portland, żeby utrzymać kontrolę nad miastem.

Nie pamiętałam, kto jest alfą w Seattle. Postanowiłam zapytać Brana.

– Następnie wziął na cel Los Angeles. Tamtejsze wampiry są... – Hao urwał, jakby szukał odpowiedniego przymiotnika.

– Barbarzyńcami – podsunęła Marsilia. – Głupie, słabe.

Przyciśnięty przez Frosta Pan Los Angeles zaczął dosłownie bełkotać ze strachu, kiedy ujrzał pokaz siły Frosta. William Frost, kimkolwiek jest i skądkolwiek pochodzi, ma jedną z najrzadszych wampirycznych mocy. Jest nekromantą.

– Niekoniecznie. Możliwe, że był nekromantą, zanim został przemieniony – zaprotestował Hao, a jego kamienne oblicze wydawało mi się zadumane. Naraz pojęłam, jakim sposobem go odczytałam. Charles przybierał taką kamienną maskę, kiedy jego żony, Anny, nie było w pokoju. – Wiedźmą związanym z umarłymi. Jeśli tak, musiałby być bardzo, bardzo stary, ponieważ ród posiadający dar nekromancji wyginął jako jeden z pierwszych podczas wojen w Europie.

Nie mówił o wojnach pomiędzy ludźmi, ale o wendetach i waśniach, które zdziesiątkowały większość wiedźmich rodów, a także stały się zarzewiem inkwizycji oraz jej łagodniejszego dziecka, polowania na czarownice.

– Mówiąc „nekromantą”, masz na myśli to, że uwięził tu duchy i ożywił trupa zabójczyni? – zapytałam ostrożnie.

– Tak. Potrafi co najmniej tyle. Poza tym nikt inny nie miałby powodu, by to zrobić.

James Blackwood, Pan Spokane, potrafił kontrolować duchy, ponieważ miał moc przejmowania darów swoich ofiar, a pożywił się na zmiennokształtnym. Bały się go nawet inne wampiry, choć akurat nie dlatego, że miał władzę nad duchami, tylko dlatego, że był stuknięty.

Jednak wiedźma to nie zmiennokształtny. Te były potężniejsze – widziałam, co potrafiła Elizawieta. Nekromantą posiadał władzę nad umarłymi, a duchy i zombie to nie jedyne istoty umarłe. To dlatego Marsilia tak się bała Frosta.

– Potrafi też kontrolować wampiry? – zapytałam.

– Nie tak silne, jak my. – Hao wskazał siebie i pozostałą dwójkę. – Ale jest zagrożeniem dla tych słabszych.

Czyżby właśnie dlatego Marsilia nie przyprowadziła ze sobą innych wampirów? I dlatego spotykaliśmy się tutaj, a nie w siedzibie chmary? Obawiała się, że Frost mógłby nam przeszkodzić?

– Kontroluje Oregon – odezwała się Marsilia, zanim zdążyłam

zapytać, czy spodziewa się tu Frosta. – Zabił tylko Pana Portland, jedynego, który mógł mu się sprzeciwić. Reszta to tchórze o słabej woli. Ma też Nevadę, choć tam nigdy nie było wiele wampirów. Całą Kalifornię poza San Francisco. Nadal boi się Hao, a Hao jest w San Francisco jedynym wampirem. Podobnie jak Blackwood woli nie dzielić terytorium z innymi użytkownikami.

– A twoi przyboczni? Estelle i Bernard? Przekupił ich, by cię osłabić i przejąć twoją chmarę. Dlaczego nie zrobił tak w wypadku innych? – zapytałam

– Jeśli chodzi o Marsilię, musi być bardzo ostrożny – wyjaśnił Hao. – Na całe wieki podporządkowała sobie Pana Mediolanu, a żaden wampir, który ma choć trochę oleju w głowie, nie chce zwracać na siebie uwagi Władcy Nocy.

Przez twarz Marsilii przemknął cień uśmiechu.

– Władca Nocy może i jest na mnie zły, ale pomściłby mnie z uciechą. – Westchnęła, jednak trudno mi było powiedzieć, czy z radości, czy wprost przeciwnie. Może nawet ona sama nie wiedziała. – A z żałoby po mnie miałby dwukrotnie większą uciechę.

– Tylko wielka miłość może wywołać tak silną nienawiść – zgodził się Stefan z nutką uczucia w głosie. – Ale Frost ma rację, że się go boi. Nawet teraz jeszcze Pan Mediolanu rozmawia o tobie na swym dworze.

Zignorowała słowa Stefana, przez co uznałam, że muszą dla niej wiele znaczyć.

– Frost mógłby podstępem odebrać mi chmarę tylko wtedy, gdybym pogwałciła nasze prawa – wyjaśniła Marsilia. – Gdyby Bernard i Estelle naprawdę wszczęli bunt, Frost mógłby twierdzić, że przybył mi na „ratunek”. Jednak kiedy pozbyłam się jego narzędzi, zmuszony był zacząć szukać innego sposobu.

– A tymczasem przejmował chmarę po chmarze. – Hao popatrzył na Marsilię. – Żałuję, że ignorowałam go aż do chwili, kiedy przybyła do mnie jedna ze stworzonych przeze mnie wampirzyc. Znajdowała się pod opieką Shamususa.

– W Reno – podpowiedział Stefan. – Shamus był twardym draniem, ale sprawiedliwym i sprytnym.

– Tak, był najlepszym panem dla swojej chmary – zgodził się Hao.

– Constance... Constance była silna. Frost ją złamał. Uciekła mu, albo może ją puścił, trudno powiedzieć i nie ma to znaczenia. Przyszła do mnie i powiedziała, że byłem głupcem, lekceważąc Frosta. Że w końcu uda mu się zyskać taką potęgę, dzięki której będzie w stanie mnie zniszczyć. – Twarz mu się ściągnęła, kiedy kontynuował miękko: – Powtarzała to w kółko. Tylko to mogła powiedzieć. Bała się ciemności, bała się małych i dużych przestrzeni. I szcurów. Oszałała.

Jego nozdrza zafalowały lekko. W przypadku Charłesa była to oznaka albo niezwykle silnych emocji, albo też interesującego zapachu, który pochwycił. Nie miałam jednak pojęcia, co to mogło oznaczać w przypadku wampira, który nie musiał oddychać.

Hao uniósł twarz ku niebu, a na policzek spadła mu kropla.

– Nie mogłem zaufać Constance, że nie będzie zabijała swoich żywicieli, a była bez przerwy głodna. Lubilem ją i musiałem zabić. Ale nawet gdyby nic nie powiedziała, jej śmierć skłoniłaby mnie do sprawdzenia, co dzieje się poza moim miastem.

Pomyślałam, że płacze, i szczeka mi opadła. Otrząsnęłam się szybko, bo poczułam kroplę na twarzy. Zaczynało padać. Chuchnęłam – z moich ust uniosła się biała chmurka. Jeszcze daleko było do prawdziwego deszczu. Na razie zaledwie lekko mżyło, więc istniała szansa, że szybko przejdzie.

– Przy pierwszym naszym spotkaniu mogłem zabić Frosta bez większego wysiłku – rzekł Hao. – Ale, podobnie jak alfy, panowie czerpią siłę od tych, którzy im służą. A teraz Frost ma ich całe zastępy.

– Tylko ja jeszcze zostałam w Waszyngtonie, zanim ruszy na Seattle. – Marsilia wytarła kroplę deszczu z czoła.

Stefan nabrał powietrza do płuc.

– Nie chodzi tylko o Marsilię. Teraz to nawet nie dotyczy jedynie wampirów, Mercy. Frost zamierza wyjawić nasze istnienie tak, jak zrobili to wilkołaki i pradawni.

Wyobraziłam sobie, jak nagle wychodzi na jaw, że w każdym mieście mieszkają wampiry – i to nie w typie mrocznych kochanków z romansideł paranormalnych Jesse. Przy tym inkwizycja wyglądałaby jak zabawa dla dzieci. Asil, który przeżył inkwizycję, rzucił mi zmartwione spojrzenie, ale nic nie powiedział. Twardo trzymał się roli mojego

drugiego. Inny wilkołak mógłby przejrzeć kłamstwo, obserwując język jego ciała, ale stare wampiry nie miały szans.

Asil był moim asem w rękawie, a przeczucie podpowiadało mi, że mogę potrzebować tego asa. Z drugiej strony za każdym razem, kiedy zbliżałam się do Marsilii, mój instynkt wrzeszczał: „Uciekaj! Uciekaj!”.

– Ale nie do końca tak, jak zrobiły to wilkołaki czy magiczne istoty – podjęła Marsilia sucho. – Bran ukrywa potworną stronę wilkołaków, a Szarzy Panowie usiłowali przekonać świat, że wszyscy pradawni są podobni do Dzwoneczka z „Piotrusia Pana”. Nekromanta chce, by świat dowiedział się dokładnie, czym są wampiry, odkryć nasze prawdziwe oblicze w całej krasie, żeby zastraszyć nasze ofiary, ustalić raz na zawsze, kto jest dominującym gatunkiem na ziemi. Pragnie władać nie tylko wampirami, pragnie przejąć rząd ludzi. Pragnie całej władzy.

Miewałam czasami koszmary o wampirach. Był taki wyjątkowo paskudny wampir, który z tęsknotą mówił o „starych, dobrych czasach”, kiedy wampiry zabijały każdego, z kogo się posilały, a posilały się, gdzie i kiedy miały ochotę. Wprawdzie wampiry nadal zabijały, ale nie za każdym razem, kiedy żerowały. Jeśli ktoś w menażerii umierał, zwykle działo się to przez przypadek. Nie chciałam żyć w tych „starych, dobrych czasach” i z tego, co widziałam, Marsilia również nie. Rzeź to obusieczny miecz.

– Zadzwoń do Marsilii i powtórz mi to, co mówiła moja Constance. Okazało się, że właśnie była po rozmowie z Frostem. Przybyłem zobaczyć, czy mogę jakoś pomóc. Za pierwszym razem nie udało mi się go zabić, teraz czuję się odpowiedzialny za to, co robi.

Marsilia skrzywiła się i postukała butem.

– Dzwoniłam do Iacapa. Był zaintrygowany. – Nie byłaby zachwycona, wiedząc, jak bezradnie brzmiała. – Problem z tymi, którzy żyją bardzo długo, polega na tym, że tak są znudzeni, że nawet katastrofa jest dla nich rozrywką. Tak zresztą mu powiedziałam. Rozłączył się. Och, oczywiście przybędzie pomścić moją śmierć, ale wcześniej nie ruszy palcem.

– Iacapo? – Nie zrozumiałam, o kim mówi.

– Iacapo Bonarata, Pan Mediolanu, Władca Nocy. – Stefan zawiesił głos, a potem dodał dziwnym tonem: – Ciekawe, czy ktoś na

jego dworze zna jego prawdziwe imię.

Ja zastanawiałam się, czy Asil to imię, czy może nazwisko Maura. Z tego, co o nim słyszałam, mógł pochodzić z czasów, kiedy nie było nazwisk.

– Jeśli Frostowi się uda, nie będzie żadnej zemsty – rzekł Hao. – Jeśli zwycięży ten pojedynek, Iacapo będzie miał związane ręce, i to własnymi zasadami.

– To go nie powstrzyma. – Stefan się uśmiechnął. Uśmiech ten odmłodził go przelotnie. Potem podjął, zadumany: – Ale masz rację. Frost może nie zdawać sobie sprawy, jak lekko nasz były pan traktuje kwestię swoich własnych zasad, bo kiedy ludzie o nim myślą, bardziej ciekawi ich to, jak makabryczne i teatralne rzeczy robi tym, którzy je łamią.

Marsilia skinęła głową i zwróciła się do mnie.

– Frost nie przejmie mojej chmary za pomocą mordy, inaczej ryzykowałby, że Pan Mediolanu przypomni sobie o swych obowiązkach pozbywania się robactwa, nawet jeśli oznaczać by to miało podróż na drugi kraniec świata. Frostowi nie wystarczyło umiejętności, by odebrać mi chmarę podstępem. Zostało mu więc starcie bezpośrednie. I w tym tkwi jego problem. Nie jest pewien, czy da radę mnie pokonać.

– Marsilia nie jest byle nieopierzonym wampirem. – Stefan spojrzał na nią z... melancholią. – Wyrobiła sobie reputację, która podążyła za nią aż tutaj. Jest silna i groźna, zbyt groźna nawet dla walczącego w pojedynkę nekromanty. Wilkołaki mają swoje walki hierarchiczne, walczą na śmierć o miejsce alfy, prawda?

– Bran się na nie krzywi – mruknął Asil. – Ale tak, mają.

– U nas także funkcjonują walki o dominację, tyle że są bardziej różnorodne i obwarowane zasadami. Frost nie zaatakuje Marsilii jeden na jeden, tylko w triadzie, z dwoma innymi wampirami. Marsilii również przysługuje prawo dobrania sobie dwóch zawodników.

– Tyle że Frost może wziąć ze sobą dwóch byłych panów – przejął pałeczkę Hao. – A Marsilia nie ma do dyspozycji wystarczająco silnych wampirów, żeby dali radę stawić mu czoła. Constance była silna, a mimo to podporządkował ją sobie. Nie zrobił z niej swojej marionetki, nie do końca. Nawet tuż przed śmiercią nie poddała się całkiem jego woli. Ale

Constance była silniejsza od każdego wampira Marsilii, z wyjątkiem Stefana i Wulfe'a.

– Stefan nie należy już do niej – zauważyłam. Marsilia popatrzyła na mnie spod zmarszczonych brwi i zmarszczyła je jeszcze bardziej, kiedy wytrzymałam jej spojrzenie.

– A Wulfe to byłby błąd. – Wampirzyca odwróciła wzrok. – To prawda, że jest potężny i potrafi zajadle walczyć, jeśli chce, ale...

– Jest teraz jeszcze bardziej chwiejny, niż był – wszedł jej w słowo Stefan.

– Nigdy do końca nie miałam pewności – rzekła Marsilia, zwracając się do Stefana – czy nie siedział w samym środku tego spisku z udziałem Estelle. Ona tak uważała. – Marsilia objęła się ramionami. Wyglądała teraz jak piętnastolatka. – Prawdę mówiąc, zagadnęłam Wulfe'a o tę walkę. Odparł, że jego zdaniem nie byłby to dobry pomysł. – Uśmiechnęła się łobuzersko do Stefana. Nigdy nie widziałam u niej tego rodzaju miny. – Zadzwoił do Iacapa i na niego nawrzeszczał, że jest leniwy i zramolały, skoro nie chce mu się ruszyć tyłka i zgnieść tego Frosta.

– Cały Wulfe – prychnął Stefan.

– Słyszałem, że to Wulfe jest stwórcą Iacapa – wtrącił Hao.

– Owszem, Wulfe jest starszy. – Marsilia wzruszyła ramionami. – Iacapo nigdy nie był w stanie zmusić go do posłuszeństwa, podobnie jak ja. Ale to o niczym nie świadczy.

– Iacapo w ogóle nie był w stanie zmusić go do posłuchu – stwierdził Stefan i z jakiegoś powodu roześmiali się potem z Marsilią. Stefan zamilkł pierwszy. Potarł rękami uda i odwrócił wzrok. Spojrzałam w tę samą stronę, zastanawiając się, na co patrzy, i nagle dotarło to do mnie – wypatrywał Frosta.

– To ma stać się dzisiaj – odezwałam się. Czułam się głupio, bo odkąd tu wskoczyłam za Marsilią, oceniałam piwnicę pod kątem miejsca walki. – Będziecie walczyć dzisiaj. Tutaj.

– Tak. – Oczy Marsilii znów pociemniały. Nadal wyglądała jak licealistka, młodo i bezbrinnie. Znałam niektórych członków menażerii Stefana, których zamęczyła na śmierć. Nie była bezradnym dziewczątkiem tylko socjopatką, która przeżyła większość swoich

wrogów.

Ja również byłam jej wrogiem. Stefan był moim przyjacielem – Marsilii już nie.

– Chciałaś, żeby Adam był jednym z twoich zawodników – raczej stwierdziłam, niż zapytałam.

– Kiedy została ustalona ta potyczka? – chciał wiedzieć Asil.

– Frost wybrał datę, a ja miejsce – odrzekła Marsilia. – Wyzwał mnie dwa tygodnie temu.

A to dało mu czas na przygotowanie ataku na watahę.

– Mieli trzymać wilkołaki aż do końca tej walki – odgadywałam dalej. – A potem co? Przybyliby im na odsiecz i zabili ludzi? Zjednoczenie wampirów i wilkołaków? – Myślałam, że chce pozabijać wilki. Ale gdyby połączył z nimi siły... Nie żeby Adam był tak głupi. Gdyby Frost go uratował, Bran potrzebowałby więcej czasu, by zrozumieć, że ma nowego wroga. Może za dużo.

Asil warknął. Był to głuchy dźwięk, który szarpnął mi nerwy. A potem wyraził to, co myślałam.

– Przynajmniej dopóki uważałby, że trzyma wilkołaki, jako całość, w garści. Bo Bran nigdy nie pozwoliłby Frostowi rządzić.

– To była zapewne część planu Frosta – przyznała Marsilia takim tonem, jakbyśmy ją bawili. Może chciała mnie tym zirytować, ale uznałam, że to tylko z przyzwyczajenia. Wydawała się zbyt pochłonięta czymś innym, żeby być całkiem sobą, czyli wredną suką. – Ale jego prawdziwym celem był ktoś inny. Kogo chroni wataha, Mercy? Kto byłby bez tej watahy wystawiony na niebezpieczeństwo?

Dramatycznie zawiesiła głos. Gapiłam się na nią zaskoczona. Wiedziałam, o kim mówi, ale nie potrafiłam zrozumieć dlaczego.

– Chce ciebie – oświadczył Stefan wprost. – Kiedy najemnicy zawalili, nasał na ciebie dwóch półpradawnych zabójców.

Skąd Stefan wiedział o zabójcach?

– Nie patrz tak na mnie, Mercy. – Zniecierpliwił się mój ulubiony wampir. – Pamiętaj, że nie należę już do żadnej chmary. Myślisz, że jakim sposobem Marsilia mnie tu ściągnęła?

Pomyślałam złośliwie, że wydają się być w dobrej komitywie.

– O zabójcach dowiedzieliśmy się dopiero dzisiaj – wyjaśnił Hao

przepraszająco. – Już po tym nieudanym zamachu na panią.

– To mnie mieli zabić? – upewniałam się. – Ale to przecież nie ma sensu! Niby dlaczego mnie?

Marsilia uśmiechnęła się, jakby przemknęła jej przez głowę jakaś przyjemna myśl, a jej głos zabrzmiał jedwabiście miękko.

– Ja bym cię zabiła, gdyby nie stała za tobą wataha.

Prychnęłam poirytowana.

– Ale czemu miałby chcieć tego ktoś obcy? Jestem zawodnikiem wagi koguciej.

– Mądrym kojotem, który nie raz wywinął się śmierci – stwierdziła Marsilia z nutą goryczy.

– Nie, ale poważnie, dlaczego mnie? – Spojrzałam po nich. – Jasne, że jest to sprawa wampiry kontra zmiennokształtni, oczywiście. Ale nie mówimy tu o polowaniu na śpiące wampiry. Nie jestem...

– Podobnie jak Kojot, zawsze pozostajesz przy życiu – stwierdził wesoło ktoś spoza naszego prywatnego, zaszypanego popiołem ringu. Musiał stać na jednej z tych przeklętych belek i słuchać nas Bóg wie jak długo.

Skoczył na dół i rozejrzał się, śmiejąc pod nosem. Facet tak przeciętny, że nikt nie zawiesiłby na nim oka. W każdym razie dopóki nie zauważyłby tych metalowych rękawic – jak z muzeum tortur – które miał na sobie, podobnie jak wtedy, gdy widziałam go po raz pierwszy. Odwrócił się i cmoknął językiem.

– Dziwne miejsce wybrałaś, pani. Po wszystkim będziemy wyglądali jak kominiarczyki. I co to? Żadnej widowni? Zawiodłem się na tobie, moja miła Marsilio.

Marsilia zjeżyła się jak kot, którego ktoś głaska wbrew woli.

– To właśnie rzekł Władca Nocy, kiedy cię odesłał, prawda? – uśmiechnął się Frost. – „Zawiodłem się na tobie, Marsilio”.

Stefan odchrząknął znacząco.

– Słyszałem tę wersję – rzekł. – Ale to nie było tak. – Używał przepraszającego tonu. – Mówił po włosku, który jest zdecydowanie piękniejszym językiem, ale przełożę to dla tych, którzy go nie znają. – Było to wymierzone we Fresta i zawierało odpowiednią dawkę zawołowanej pogardy. – Powiedział: „Mój piękny, zabójczy kwiecie,

moje ty Świetliste Ostrze, poczynasz sobie śmieiej, niż mogę na to pozwolić. Zwiędnę bez ciebie z tęsknoty i nudy, ale muszę to zrobić”. To słyszałem na własne uszy. Resztę opowiedzieli mi jego dworzanie. Pan Mediolanu skomponował pieśń na cześć Marsilii, tak głęboko porywającą, jak głębokie było jego cierpienie, że każdy kto ją słyszał, płakał. Obraz, który namalował tej nocy, gdy została wygnana, wisi do dziś nad jego łóżem i Władca Nocy pokazuje go każdej kochance, by ta wiedziała, iż nie może się równać z jego Świetlistym Ostrzem. – Uśmiechnął się, pokazując kły tak ostre, jak jego ton. – Nie spodoba mi się to, Williamie Froście. Ale nie musisz się tym przejmować, i tak będziesz już martwy.

Frost spoważniał.

– To tak jak w „Narzeczonej dla księcia” – wtrąciłam. – Kiedy Vizzini mówi: „Popełniłeś klasyczny błąd”. Nigdy nie zadzieraj ze starożytnym włoskim wampirem, kiedy śmierć wisi na włosku.

Stefan wybuchł śmiechem. Chyba tylko on widział ten film. Albo nikt inny nie uważał, że to zabawne.

– Ja przyprowadziłem dla nas widownię – oświadczył Frost, ignorując mnie całkowicie. – A więc nasze przedstawienie nie będzie zupełną klapą.

Klasnął i na krawędzi dziury w stropie piwnicy wynurzyły się nagle sylwetki, jak to robili Indianie w westernach, pojawiając się na szczycie urwiska. Powinno to wyglądać absurdalnie – i tak trochę było – ale zrobiło się też groźnie. Potem jak jeden mąż – aż włosy zjeżyły mi się na karku na widok tej symultaniczności – skoczyły na dół. Zrobiły to tak dokładnie w jednej chwili, że ich stopy wydały też jeden dźwięk. Widziałam już wcześniej wampiry zachowujące się w ten sposób, kiedy działały w odpowiedzi na rozkazy swojego pana lub pani. Ale fakt, że nie widziałam tego po raz pierwszy, nie odbierał temu makabryczności.

Tuman popiołu wzbił się aż po kolana, a potem opadł na posadzkę. Może odrobina deszczu nie byłaby taka zła – ale jak do tej pory kapąły tylko pojedyncze krople.

– To moja widownia – przedstawił swoich ludzi Frost, wskazując ich teatralnym gestem. – Związałem ich ze sobą w ten sposób, że jeśli dzisiaj zginę, oni umrą wraz ze mną. Uznałem, że to odpowiednie dla

świadków mojej ewentualnej przegranej. – Rozejrzył się. – A więc będziecie walczyli ty i Żołnierz. A kto będzie tym trzecim?

Marsilia uśmiechnęła się, a ja zdałam sobie sprawę, że jednego z nas brakuje. Usiłowałam przypomnieć sobie, kiedy ostatnio widziałam Hao. Na pewno na długo przed tym melodramatycznym wejściem Frosta. Ostry smród spalenizny budynku, kwaśniejszy niż woń palonego drewna, uniemożliwił wyłowienie zapachu jednego wampira z tak dużej grupy. Jeśli Hao znajdował się gdzieś w pobliżu, nie potrafiłam go namierzyć. Miałam ochotę się rozejrzeć, ale oparłam się impulsowi. Skoro zniknął, to nie bez powodu. Wokół leżały kawałki betonowych murów, niektóre wysokie na metr. Mógł chować się za jednym z nich.

Frost zaśmiał się, a wraz z nim jednym chórem jego ludzie. Ich twarze odzwierciedlały minę Frosta.

Nie zdołałam się tym razem powstrzymać – warknęłam. Frost spojrział na mnie nieoczekiwanie bacznie, co wskazywało, że przez cały czas miał na mnie oko.

– Nie mów, że zamierzasz w to wciągnąć kojociczkę? Co niby miałyby robić, oprócz umierania? – Słowa, wypowiedane unisono głosami wampirów, wydobywały się z ust Frosta. Po Stefanie widziałam, że nie tylko na mnie wywierało to niesamowite wrażenie.

– Jak do tej pory to właśnie nieumieranie szło mi całkiem nieźle – zauważyłam. – O mnie niech cię głowa nie boli.

Nie powiedziałam tego głośno, a zajęte rozmowami wampiry nie zwracały na mnie uwagi, ale Asil skrzywił się i uczynił gest ręką. Podobnie porozumiewał się bezgłośnie Adam ze swoimi ludźmi. Asil dawał mi znak, że powinniśmy odejść.

Odnosiłam jednak wrażenie, że nie mamy takiej opcji. Z jakiegoś powodu Marsilia chciała, żebym tu była.

– Słyszałam o tobie, Frost. – Marsilia udała znudzoną. – Myślałam, że to złośliwe plotki, ale widzę teraz, że nie. Naprawdę jesteś efekciarzem, który marnuje energię, żeby zaimponować sobą. Dużo mówisz, lecz to czcza gadanina. Nadchodzi nowa era dla wampirów, dasz im wolność i władzę, bla, bla, bla. A masz ze sobą zwykłe kukły. Odetnij sznurki, a będą niczym.

Usta Frosta rozciągnęły się, kiedy mówił jedwabście:

– Unieś prawą rękę, Marsilio.

Zacisnęła usta i zwinęła dłonie w pięści.

Patrz uważnie, kojocie, szepnął głos w mojej głowie. Widzisz, co robi? Widzisz, jak to robi?

Stefan, do którego należał głos, stał parę metrów ode mnie.

Poczułam, jak ściska mnie w żołądku. Nie powinien móc tego robić.

Więź krwi pomiędzy nami została zerwana, kiedy Adam przyjął mnie do watahy.

Stefan łypnął na mnie ostro i wskazał brodą Marsilię.

– Unieś rękę, Marsilio – powtórzył Frost z większym naciskiem, wpatrując się w nią ze skupieniem.

Wtedy to poczułam, nic mocy, którą się posługiwał – była podobna do tej, której używał Adam, gdy chciał przywołać stado do porządku. Nieomal ją widziałam... Zmrużyłam oczy, starając się ze wszystkich sił ją zobaczyć, tak jak uczyłam się widzieć więź stadną bez pomocy medytacji. Tej samej metody używałam, żeby widzieć Petera. To jednak wymagało zdania się na instynkt. Ta część mojej osobowości, która biegła na czterech łapach, nakierowała mnie nieco i użyczyła kojocich oczu, pozwalając mi korzystać z nich w ludzkiej formie.

I ujrzałam magię.

Frost pchnął swoją moc w stronę Marsilii. W moich oczach jego magia wyglądała jak pajęczyna obrzydlistwa, którą chciał do niej przykleić. Tłuste pasma biegingy od niego do wampirzych marionetek. Ciekawa byłam, na ile ten sposób postrzegania miał źródło w komentarzu Marsilii o kukłach, bo nici woli Frosta uczepione były ich rąk, nóg i tworzyły siatkę wokół głów. A może Marsilia także widziała jego magię? Kontrolował nie tylko wampiry. Mniej wyraźne strzępy mocy spływały z jego dłoni do ziemi, lśniąć na posadzce wokół nas i znikając w ciemności.

Frost był Władcą Marionetek. Naprawdę pomyślałam o tym wielkimi literami, a to znaczyło, że za długo przebywałam w towarzystwie wampirów. Marsilia nazwała go nekromantą, a to jeszcze bardziej przerażające od Władcy Marionetek. Imiona mają moc, a ja nie chciałam przydawać mu jej więcej, niż sam posiadał. Wystarczyło „Frost”, ewentualnie „Rękawicznik”, kiedy stawał się bardzo

przerazający. Popatrzyłam na pasma usiłujące wspiać się po Marsilii, zastanawiając się, czy udałoby mi się zniszczyć je tak samo, jak zrobiłam to w przypadku Petera. Marsilia jakby czytała mi w myślach, zwróciła na mnie płonące czerwienią ślepie. Szarpnęła rękami i Władca Marionetek – Rękawicznik – zatoczył się. Pasma, którymi usiłował opleść Marsilię, leżały zerwane na ziemi pod jego nogami. Po kilku sekundach zbladły i zniknęły.

Potrafił bez większego wysiłku sterować ruchami swoich wampirów, ale nie był w stanie zmusić Marsilii do uniesienia jednej ręki. To prawda, ona walczyła, podczas gdy tamte wampiry poddały się jego woli, ale i tak było ich przecież ze trzydzieści. Skuteczny opór Marsilii pokazywał nie tylko, że jest prawdziwą Panią Chmary, ale także, że jest wcieleniem Mocy.

Pomyślałam też, że ze sposobu, w jaki na mnie popatrzyła, wynikało, iż mogła powstrzymać Frosta wcześniej. Chciała tylko, żebym przyjrzała się dobrze jego magii.

Marsilia więc ode mnie wiedziała o zmiennokształtnych. Kiedy przybyła do Ameryki po wygnaniu z Mediolanu, nie było tu Europejczyków. Nie wiedziałam, jak długo przebywała w tej okolicy, ale pewnie około dwustu lat. Była świadkiem, jak zmiennokształtni zabijają wampiry. Wiele wampirów. Tego lata podczas podróży poślubnej po raz pierwszy spotkałam innych zmiennokształtnych. Utrzymywałam z nimi kontakt mailowy, starając się jak najwięcej dowiedzieć o tym, czym jestem. Wiedzieli więcej niż ja, ale i tak za mało. Zbyt wielu zmiennokształtnych zginęło, zanim zdołało przekazać wiedzę następnemu pokoleniu, więc większość tej wiedzy była stracona.

Marsilia celowo nakłoniła Stefana, żeby przemówił do mnie telepatycznie. Nigdy dotąd nie zdradził, iż nadal może to robić, wiedząc, że byłabym wstrząśnięta. Dlatego to zrobiła. Nie potrafiła znieść myśli, że wciąż się przyjaźnimy. Uczyła mnie, jak mogę walczyć z nekromantą, a przy okazji próbowała skłócić mnie ze Stefanem. Pomyślałam, że to strata czasu, bo Frost miał jednak rację.

Chciała, żebym walczyła po jej stronie. I Frost pewnie też nie mylił się co do moich szans w tej walce. Nie musiała się przejmować moją przyjaźnią ze Stefanem, bo przecież i tak miałam zginąć.

Frost bał się pojedynku z Marsilią, tak twierdziły wampiry, dlatego właśnie wybrał potyczkę trzy na trzy.

Nie wierzył w swoje szanse przeciwko niej, ale uważał, że jest w stanie wystawić silniejszych zawodników niż ona. A ponieważ prawdopodobnie tak właśnie by się stało, Marsilia zdecydowała się na coś innego.

Może wykorzystałaby Adama zamiast mnie, gdyby tu przyszedł. Nekromancja nie działała na wilkołaki. Musiała jednak zadowolić się tym, co pozostawało w jej dyspozycji.

– Rzuciłeś wyzwanie i wybrałeś jego rodzaj – rzekła Marsilia spokojnie, jakby przed chwilą nie zerwała jego łańcucha. – Wybrałeś czas i walkę triad. Do mnie należał wybór miejsca i osoby obserwatora. Uznałam, że to miejsce będzie najlepsze. Jest przestronne i ustronne. – Uśmiechnęła się. – A ponieważ leży na moim terytorium, ty zaś jesteś jego właścicielem, wydało mi się tym bardziej właściwe.

Właściciel. Czyli to on był sponsorem. Marsilia urwała na moment i rozejrzała się.

– Prawie symboliczne, biorąc pod uwagę, że wczoraj zniszczył je jeden z moich kolegów.

Adam byłby zaskoczony, słysząc, że jest „kolegą” Marsilii. Zachowała jednak kamienną twarz.

– Co do obserwatora, Mistrza Ceremonii, powołuję na to miejsce Stefana Uccello, znanego również jako Żołnierz.

– To niedopuszczalne – odezwał się jeden z wampirów Frosta. – Należy do ciebie. Mistrzem Ceremonii nie może być jeden z twoich.

Przestałam obserwować nici łączące Frosta z wampirami. Męczyły oczy, jak te obrazki w 3D, na które trzeba patrzeć, nie skupiając na nich wzroku.

Nie wiedziałam więc, czy to Frost mówił przez tego wampira, czy wampir stwierdził sam z siebie.

– Nie należę do Marsilii – zaprzeczył Stefan. – Nie należę do jej chmary.

– To prawda – zwrócił się Frost do swych ludzi. – Byłem tego świadkiem. Marsilia potraktowała go tak żenująco, że opuścił jej chmarę, ona zaś była zbyt słaba, by temu zapobiec. Prawdziwy mężczyzna,

prawdziwy żołnierz nie służyłby komuś takiemu. Możemy przystać na ten wybór w całej rozciągłości.

Szczurzy pomiot. Miał rację, ale nie umniejszało to jego szczuropomiowości. Zdawałam sobie sprawę, być może jako jedyna w tym miejscu, że słowa te mocno ubodły Stefana. Przecież stał tutaj i pomagał jej, jakby zamęczona menażeria nic dla niego nie znaczyła.

– Do mnie więc należy przypomnienie o regułach – rzekł Stefan. – Ty, Williamie Froście, wybrałeś walkę triad. Wobec tego ty, jako kapitan swojej drużyny, i Marsilia, jako kapitan swojej, możecie dobrać sobie jeszcze po dwóch uczestników. Walka kończy się wraz ze śmiercią kapitana.

– Chwileczkę – wtrąciłam nieśmiało. – Ale przecież oni oboje są martwi.

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się na mnie. Wampirów, nieprzyjazne, i Honey, jakbym była stuknięta. I racja, byłam stuknięta. Wiedziałam, że Marsilia chce mnie wrobić w walkę z superwampirem. Ale im bardziej się bałam, tym szybciej poruszały się moje usta. Zachowywałam się jak przemądrzalec, bo się bałam.

Asil się uśmiechnął. Ten to miał sporą wiedzę o szaleństwie.

– Walka – odparł Stefan łagodnie, bo mnie znał – kończy się wraz z ostateczną eliminacją jednego z kapitanów. Czy to wyjaśnienie cię satysfakcjonuje, Mercy? W chwili takowej eliminacji zawodnicy zaprzestają walki, chyba że postanowią inaczej. Kapitanowie mogą wezwać na swoich zawodników każdego i osoba ta nie może odmówić. Jedynym warunkiem jest to, że musi być obecna teraz, na wymogi tej walki w ciągu pięciu minut, w tym pomieszczeniu. Rozsądek jednak podpowiada, że niechętny zawodnik nie będzie walczył tak skutecznie, jak dobrowolny. Po zakończeniu wyboru drużyny udadzą się w najodleglejsze od siebie miejsca, gdzie będą mogły konsultować się przez pięć minut.

Asil pochwycił moje spojrzenie i ponowił gest.

Pięć minut by nam wystarczyło, wiedzieliśmy o tym oboje. Szczególnie że w razie czego Asil i Honey mogli spowolnić wampiry.

Popatrzyłam na Williama Frosta aka Rękawicznika, myśląc o tym, co zamierzał. Cały ten chaos, rozlew krwi, a najbardziej ucierpieliby

przez to ludzie, mieszkańcy miast. W pierwszej fali. Potem chwyciliby broń do ręki i zaczęli walczyć. Prawdopodobnie zniszczyliby wampiry, później wilkołaki i pradawnych, ale wiele by ich to kosztowało.

Nie mogłam, nie zamierzałam pozwolić na to, co chciał uczynić Frost. Postanowiłam zrobić wszystko, żeby go powstrzymać. Pokręciłam głową i Asil skinął mi z szacunkiem.

Stefan, wyprostowany jak żołnierz, wkroczył pomiędzy Marsilię i Frosta.

– Podczas walki jej uczestnicy mogą korzystać z każdej dostępnej im broni i umiejętności. Osoby spoza drużyn nie mogą się do walki mieszać. W tym miejscu muszę ostrzec świadków, a konkretnie ciebie, Williamie Froście, że żaden wampir, poza powołanymi przez ciebie do drużyny, nie może brać udziału w walce. Nawet jeśli chciałby to zrobić z własnej woli. Ci, którzy pogwałcą tę zasadę, zostaną zabici przeze mnie, jeśli zaś pogwałcenie jej doprowadzi bezpośrednio do zakończenia walki, zwycięstwo przypadnie w udziale Władcy Nocy.

– Nakreślasz wyraźną granicę – stwierdził Frost, ale nieszczególnie zmartwiony. Stefan potwierdził skinieniem.

– Zasady te ustalił Władca Nocy. Ja tylko je wyjaśniam. Pierwszy wybór towarzysza walki należy do podejmującego wyzwanie. Marsilio?

– Wzywam do walki Mercedes Athenę Thompson Hauptman, towarzyszkę Alfę watahy dorzecza Kolumbii – rzekła, jak się spodziewałam.

Honey warknęła głucho, groźnie. Nie wiedziałam tylko na kogo – możliwe, że na mnie. Asil wpatrywał się we mnie w milczeniu. Domyślał się, co nastąpi.

– Zgadza się – powiedziałam spokojnie.

Nie mogłam równać się z nekromantą, choć zaczynałam wierzyć, że mogę być przydatnym sprzymierzeńcem. Frost zadał sobie wiele trudu – o ile Stefan miał rację – żeby dwukrotnie próbować mnie zabić. Sam strach może być tak samo przydatny jak faktyczna siła.

– Oj, Mercedes – zaczął Asil wesoło. – W końcu uda ci się mnie zabić. Bran tego nie zrobi, ale twój towarzysz pewnie nie będzie miał z tym problemu.

– Sama podejmuję decyzje – burknęłam. – Adam o tym wie.

– Może w głowie, Mercedes. – Uśmiechnął się. – Ale jego serce ma inne zdanie. Jesteś kobietą, z mężczyznami jest inaczej.

– Sam słyszałeś, Asil. Miałabym odmówić?

Zamknął usta i odwrócił wzrok.

– Wzruszające – powiedział Frost. – Ale całkiem nieistotne. Jest potrzebna. Nie może odmówić.

Cofnął się odruchowo, kiedy Honey na niego warknęła. Potem warknęła na mnie, głośno.

– To on wynajął człowieka, który zabił Petera – przypomniałam jej. Przestała warczeć, za to wyszczerzyła na Frosta wielkie białe kły. Uzębienie wilkołaków jest bardziej imponujące niż wampirów. I kojotów, oczywiście.

– Zgodziłam się – ponagliłam Stefana. – Ruszajmy z tym dalej.

Przypatrywał mi się dłuższą chwilę, ale nie potrafiłam rozgryźć jego miny.

– Nie daj się zabić – powiedział wreszcie.

– Trochę za późno, żeby się o to martwić, wampirze – ofuknął go Asil. – Trzeba było dopilnować, żeby Adam tu był. On miałby przynajmniej szansę.

– Wilkołakom nie wolno brać udziału w tych walkach – oświadczyła Marsilia.

– Ale przecież zaprosiłaś też Adama – zdziwiłam się.

– On to nie ty, Mercedes. – Uśmiechnęła się. – Myślisz, że ja, która omamiłam syna Marroka, nie dałabym rady zwieść twojego towarzysza, żeby pozwolił ci walczyć?

Udało jej się z Samuelem, ale nie miała do czynienia z Adamem. Samuel był bardziej dominujący i starszy, lecz Adam ostrożniejszy. Nie pozwoliłby jej schwytać się w pułapkę wzroku, a nawet jeśli, potrafiłabym go uwolnić. Tego jednak chyba nie wiedziała. Nie rozgłaszamy wszem wobec wiedzy na temat więzi partnerskiej, która zresztą jest bardzo specyficzna.

Więź czy nie więź, ale ta pewność, że dałaby radę unieszkodliwić Adama, skłoniła mnie do zmiany zdania w kwestii jej inteligencji. I nie na lepsze.

– Nie mogłaby wezwać do walki Adama – rzekł Stefan, patrząc mi

prosto w oczy. – Wilkołaki są wyłączone z grupy istot mogących brać udział w tego rodzaju walce o terytorium. – Powtarzał dokładnie to, co przed chwilą powiedziała Marsilia. Dawał mi w ten sposób do zrozumienia, że wiedział o planach Marsilii i nie ostrzegł mnie.

Poczułam się zraniona. Jednak tylko przez moment. Jeśli Marsilia miała rację, że byłam przydatna i to bardziej niż Stefan – oczywiście nie zapomniałam przy tym, jak źle oceniła podatność Adama – to dobrze, że mnie tu sprowadziła. Frosta należało powstrzymać. Skinęłam Stefanowi lekko.

– Teraz ty, Frost – zwrócił się do wampira Stefan tonem pod tytułem „kończmy z tym”.

– Shamus – ogłosił Frost pańsko. – Shamus, były Pan Reno, a obecnie moja prawa ręka.

Czekał, ale nikt się nie pojawił.

– Będzie tu lada moment. – Frost uśmiechnął się miło. – Zawsze był zaciekłym wojownikiem. Pod moją kuratelą stał się jeszcze lepszy, szczególnie w zaciekłości.

– Marsilia? Twój drugi, ostatni wybór.

– Thomas Hao, Pan San Francisco.

Z cienia, jakiś metr od Frosta, nagle wyłonił się Hao.

– Oczywiście – rzekł. – Jestem zaszczycony i z prawdziwą przyjemnością przyjmuję zaproszenie.

Frost syknął, cofnął się gwałtownie, a w jego oczach po raz pierwszy pojawił się lodowaty błysk zaskoczenia. Szybko się jednak wziął w garść i zsalutował Marsilii.

– Widzę, że byłaś bardzo zajęta. No cóż, ja też mam dla ciebie niespodziankę. Zakończmy przygotowania. Wzywam mojego ostatniego towarzysza, Wulfe’a. Znanego lepiej jako Zaklinacz. – Wyszczrzył się złośliwie do wyraźnie niezadowolonej Marsilii. – Wrogów trzymaj blisko, moja droga. Przez wszystkie te lata miałaś go przy sobie, ale dzisiaj ci się nie udało. Mogłaś go wezwać, by stanął u twego boku, a zamiast tego wybrałaś tego zmiennokształtnego kundla. – Splunął. Na posadzkę. W moją stronę.

Pewnie w tym momencie powinnam poczuć się obrażona albo przytłoczona.

– Kije i kamienie mogą połamać mi kości, ale słowa mnie nie zranią – zanuciłam pod nosem, jakby do siebie, ale oczywiście wszyscy obecni mogli mnie słyszeć. Skoro Frost zachowywał się jak dziecko, potrafiłam odplacić mu tym samym – nawet lepiej.

Stefan odwrócił głowę. Chyba się śmiał.

Nikt jednak się nie śmiał, kiedy Wulfe wylądował za moimi plecami. Nie widziałam, jak skacze, usłyszałam tylko, jak jego stopy uderzają o posadzkę. Odwróciłam się lekko bokiem, żeby go widzieć i jednocześnie mieć oko na Frosta.

Wampiry budziły we mnie lęk. Miałam nawet w głowie listę tych, które przerażały mnie najbardziej. Niektóre z nich były martwe. Bardziej martwe. Już się nie ruszały. A na samym szczycie tej listy był i ruszał się Wulfe. Nie wiem, dlaczego uważałam go za strasniejszego od innych. Może dlatego, że za każdym razem, kiedy się spotykaliśmy, wiedział dokładnie, jak napędzić mi stracha. A może to przez ten pusty wyraz jego oczu.

Zaklinacz wyglądał tak, jakby jedynymi jego zmartwieniami powinny być zaproszenie dziewczyny na pierwszą randkę, liczba pryszczycy na twarzy i decyzja, czy przekłuć sobie ucho, a jeśli tak, jak ukryć to przed mamą. Miał na sobie zniszczone czerwone trampki, niebieskie džinsy i gruby sweter z warkoczami. Włosy przystrzygł sobie na krótkiego języka. W rękę trzymał gruby łańcuch przytwierdzony do obroży innego wampira.

Prowadzony na łańcuchu wampir był ogromny. Gdyby stanął prosto, byłby najwyższą osobą w pomieszczeniu... obskurnej piwnicy. Musiał ważyć ze sto pięćdziesiąt kilogramów.

Jednak nie stał prosto. Poruszał się na czworakach, do tego kłapał zębami w dziwnym rytmie.

Dostrzegł, że na niego patrzę – wszystkie wampiry natychmiast odwracały od niego wzrok. Gdybym znała go wcześniej, kiedy jeszcze nie był tym... potworem, pewnie też nie byłabym w stanie na niego patrzeć. Ryknął na mnie i skoczył naprzód jak pies podwórkowy, na całą długość łańcucha.

Według wszelkich zasad fizyki powinien przeciągnąć w tym momencie Wulfe'a po podłodze. Ale fizyka była na bakier z Wulfe'em.

Nie miał najmniejszych problemów z utrzymaniem wampira – prawdopodobnie Shamusa – jedną ręką. Drugą przeciągnął po szczecinie na czaszce, która w tym świetle wydawała się raczej biała niż blond.

– Cześć, Mercedes – rzucił lekko. – Jednak udało im się wciągnąć w to ciebie? Zawsze chciałem spróbować twojej krwi z samego źródła. Krew zmiennokształtnych ma ten wspaniały bukiet. Jak fioletowy fijołek wiosną, jak mawiała moja mateńka.

– Wulfe – odezwała się Marsilia. Chyba chciała coś dodać, ale nie bardzo wiedziała co. Zamilkła więc, i w tym jej milczeniu dominował żal.

– Nie złość się, Marsilio – rzekł Wulfe otwarcie. – Ale wiesz, my wampiry-twardziele musimy się trzymać razem, rozumiesz? – Zawiesił głos. – A może nie? Może ujmę to tak. Żal mi serce ściska, ale zaprawdę, tak będzie najlepiej. Niebawem się o tym przekonasz.

– Pięć minut – ogłosił Stefan. – Począwszy od teraz.

Rozdział 12

Skuliliśmy się w naszym narożniku. W każdym razie ja się skuliłam. Asil miał znudzoną minę. Honey nie spuszczała z oka Frosta. Hao się przyczał – co przy jego ubitej posturze wychodziło mu nad wyraz dobrze. A Marsilia? Marsilia była opanowana i skupiona.

Lada moment miałam walczyć z wampirami – a nie nazywam się Buffy. Miałam przechlapane.

– Widziałaś jego magię? – spytała mnie szybko Marsilia. – Kazałam Stefanowi przekazać ci, żebyś przyjrzała się jej uważnie.

– Widziałam.

– Twoim zadaniem jest powstrzymanie go przed korzystaniem z niej. Wszystko jedno jak. Zmiennokształtni są odporni na magię wampirów, nawet taką, która pochodzi od wiedźmy.

Mówiła z przekonaniem, którego ja nie czułam.

– Raczej nie miałaś problemu z powstrzymaniem go.

Skrzywiła się.

– Owszem. To dlatego, że specjalnie się nie starał i mocno przesadził z reakcją, gdy przełamalam jego magię. Chce, żebym stała się zbyt pewna siebie. – Zerknęła przez ramię na Frosta, mówiącego coś do Wulfe'a, który z kolei obserwował Marsilię, całkiem nie zwracając na Frosta uwagi. Przyłapał mnie na gapieniu się i puścił mi oczko.

– Taką taktykę stosuje Frost – powiedział Hao. Zamilkł i spojrzał na swoje dłonie. Były na nich czarne smugi, ślady popiołu widniały też na jego złotej koszuli. Czarny strój Marsilii wyglądał jak nowy. Nie zawracałam sobie głowy sprawdzaniem, jak sama się prezentuję. Moja przybrana matka twierdziła, że potrafię pobrudzić się w basenie, a dorosłość niewiele zmieniła w tym względzie.

– Niewielu świadków jego wcześniejszych starć chciało ze mną rozmawiać. Niektórzy byli w takim samym stanie jak Shamus. – Nie spojrzał w stronę wampira w obroży, ale czułam jego skupienie. – Shamus był naprawdę dobrym gitarzystą i lubił poematy Tennysona. Mógł je recytować na okrągło i to zresztą robił.

– Czemu nie ma tu innych wampirów? – spytałam. – Frost nie

kontroluje przecież wszystkich chmar, prawda? Żaden inny potężny wampir nie próbuje go powstrzymać? Dlaczego tylko ty i Hao jesteście tutaj?

– Współpraca pomiędzy wampirami nie układa się lepiej niż między alfami. A Panowie na wschodzie uważają, że Frost osiągnął granice swoich możliwości. Frost postarał się, żeby utrzymać ich w tym przekonaniu – odpowiedział Hao.

– No i wielu z nich uważa, że plan Frosta, by wyprowadzić wampiry z ukrycia i pozwolić im się żywić, kiedy zechcą, to najlepszy pomysł, jaki w życiu słyszeli – dodała Marsilia. – Głupcy. Nienawidzę głupców.

– Jakoś wam się nie spieszy z planowaniem walki – zauważył Asil.
– A zostały tylko dwie minuty.

Marsilia spojrzała na niego i przez moment znów widziałam na jej twarzy żądzę. Hao uklonił się Asilowi.

– Marsilia i ja rozmawialiśmy na ten temat wielokrotnie, więc nasze plany są już omówione. Ona zajmie się Frostem, ja Wulfe'em i Shamusem. Pani Hauptman natomiast ma za zadanie powstrzymać Frosta przed użyciem magii przeciwko jednemu z nas. Możliwe, że Frost będzie na tyle zajęty, że nie wystarczy mu czasu na sztuczki i twoja... towarzyszka Alfy będzie mogła siedzieć z boku i nam kibicować.

Doszłam do wniosku, że muszę wymyśleć dla siebie jakąś rangę. Dla watahy byłam po prostu Mercy, ale jeśli jeszcze dziesięć osób nazwie mnie towarzyszką Alfy, to chyba komuś przyłożę. Brzmiało to jak jakieś zaklęcie matematyczne.

– Bardziej prawdopodobne, że ma w zanadrzu jakieś sztuczki. – Marsilia była realistką. – Zanim jeszcze się tu pojawił, wiedział doskonale, że nie udało mu się zabić Mercy.

– Uwięził kilka duchów – poinformowałam ją. I pomyślałam o Peterze głośkającym Honey i poruszającym cym jej sierść. Duchów zdolnych oddziaływać na świat materialny było niewiele. – Mogą stanowić problem.

– Duchy nie stanowią najmniejszego problemu – stwierdziła Marsilia lekceważąco. – Tylko jęczą i straszą niemądrych ludzi.

– Ale takie, które rzucają kamieniami i gruzem, stanowią –

zaoponowałam. – No i jest jeszcze martwa, choć żwawa zabójczyni. A skoro ją ożywił, to dlatego, że ma dla niej jakieś zadanie. Jeśli ona jest prawdziwym zombie, to, jeśli dobrze zrozumiałam reguły, Frost może wezwać ją, by walczyła wraz z nim. Zombie nie są istotami żywymi, to animowani zmarli, nie posiadają woli ani nie są zdolni do samodzielnego myślenia. Zombie zalicza się zatem do kategorii „moc”, prawda?

– W takim razie zajmiesz się duchami – zdecydowała Marsilia. – I nie pozwól mu przejąć nad nami kontroli. My zajmiemy się walką.

Hao uśmiechnął się i poruszył ramionami, by je rozluźnić. Myliłam się. Jednak uśmiechał się, gdy był zadowolony.

– To będzie interesująca walka – stwierdził.



Kiedy walka się rozpoczęła, stałam jakieś piętnaście stóp za wampirami z rozkazem, by trzymać się tak daleko od tego, co się będzie działo, jak to tylko możliwe. Bolało mnie kolano, kość policzkowa pulsowała nieprzyjemnie i byłam przerażona jak jeszcze nigdy w życiu.

– Boże – szeptałam żarliwie. Dawno już przestałam przejmować się tym, kto może usłyszeć moją modlitwę. Kiedy mieszka się z wilkołakami, nie ma czegoś takiego jak rozmowa prywatna, nawet gdy rozmawia się z Bogiem. – Nie daj mi znów wylądować na wózku. Byłabym też wdzięczna, gdybyś nie dał mi połamać kości, ale nie spodziewam się, że zabezpieczysz mnie przed wszystkimi konsekwencjami mojej głupoty. – Po czym dodałam z jeszcze większym oddaniem: – Cokolwiek się stanie, nie pozwól temu wampirowi wyjść z tego cało. Jeśli on wygra, to będzie źle. Docenimy każdą pomoc, którą nam ześlesz. Amen.

Stefan usłyszał. Nie popatrzył na mnie, ale linia jego ust zmiękła i pokręcił głową.

– Ruszajcie – powiedział i cofnął się pod ścianę, skąd publiczność mogła oglądać walkę. Stał obok Asila i Honey. Miałam zaledwie ułamek sekundy, by docenić ów fakt, ale wiedziałam, że jeśli coś mi się stanie, Stefan zrobi, co w jego mocy, by wydostać stąd wilki. Nie żeby Asil potrzebował pomocy w tej kwestii.

Wampiry walczą głośno, nie wiem czemu mnie to zaskoczyło.

Widziałam niejednego sparing i wampiry są hałaśliwe. Może uderzyło mnie to dlatego, że wilkołaki walczą cicho, z konieczności, by uniknąć wykrzyka. Ludzie wiedzą wprawdzie o istnieniu wilkołaków, ale publiczne walki wciąż są zakazane.

Moim zadaniem było obserwowanie Frosta i na tym zamierzałam się skupić. Hao wyjaśnił, że piwnica jest naszym obszarem walki. Nie mogłam wyjść na zewnątrz, nie tracąc miejsca w bitwie.

Wyjście z piwnicy nie oznaczało jednak, że mogę uniknąć walki, Stefan musiałby mnie wtedy zabić.

To dlatego trzeba mieć potężnego Mistrza Ceremonii. Stefan był w stanie dopilnować przestrzegania zasad podczas walki i ogłosić zwycięzcę.

Znalazłam sobie miejsce na szczycie kawału gruzu, tak że za plecami miałam ścianę. Uznałam, że Frost raczej nie będzie się uciekał do sztuczek od razu. W przeciwieństwie do ludzi czy nawet wilkołaków, wampiry mogły walczyć bardzo długo. Nie musiały oddychać, nie były uzależnione od pracy serca, a to znaczyło, że były niebezpieczne w sytuacji, w której człowiek lub wilkołak dawno straciliby przytomność. Żeby pozbawić wampira przytomności, trzeba mu było zadać naprawdę poważne obrażenia.

Sadza, poruszona gwałtownymi ruchami walczących, unosiła się chmurą czerni. Ponieważ tylko część podłogi wyłożona była kafelkami, ciemny obłok częściowo pozbawił walczących orientacji. A nawet Marsilia nie była odporna na potknięcia.

Byłam wdzięczna Asilowi za przezorność i przyniesiony dla mnie płaszcz. Kiedy tylko przestałam się ruszać, szybko zmarzłam. Wciskając ręce w kieszenie, natrafiłam na skurczony miecz Zee. Natychmiast przypomniałam sobie ostrzeżenia Tada, nie zamierzałam więc wyciągać broni, chyba że naprawdę doszłoby do katastrofy. Jednak miałam czym zająć palce i pomogło mi to skupić się na czymś innym niż własne przerażenie.

Walka była tak szybka, że miałam trudności z podzielnością uwagi, a starałam się obserwować Frosta. Jednakże zdołałam dostrzec, jak walczy Hao, i żałowałam, że mój *sensei* nie może go zobaczyć.

Tak naprawdę to przede wszystkim Shamus przykuwał moją

uwagę. Wampiry na ogół wyglądają zupełnie jak ludzie. Tylko kilka razy widziałam ich prawdziwe oblicza, potworów, jakie żyją w każdym z nich. Raz byłoby dość, ale Shamus nie krył swojego potwora.

Jego oczy płonęły, nie jak latarka. Bardziej przypominały lampki choinkowe albo oczy kota syjamskiego w ciemności, gdy odbija się w nich blask. U kotów to było fajne, u wampirów dziwaczne. Wargi uniósł tak, że jego pysk wyglądał niczym płótno stworzone tylko dla kłów i tych jarzących się oczu. Szpony u rąk tak mu urosły, że były bronią prawie tak dobrą, jak pazury wilkołaków. W Shamusie nie pozostało nic ludzkiego.

Wulfe spuścił go z łańcucha, choć nie zdjął obroży. Jeśli Shamus nie był dwakroć tak ciężki jak Hao, to z pewnością niewiele mu brakowało. Był szybki i, jak nas uprzedzano, zaciekły. Hao uderzył go raz i od tej chwili jedynym pragnieniem Shamusa stało się zredukowanie Azjaty do kupki szlamu.

Jednakże Hao nigdy nie znajdował się tam, gdzie sięgały ciosy Shamusa.

„Płyn jak woda”, powtarzał często *sensei* Johanson, zazwyczaj poirytowany. Sam potrafił poruszać się płynnie. Jednak nigdy nie widziałam, by ktoś po ruszał się tak jak Hao.

Hao płynął jak woda. Ostre pazury miały go, nie czyniąc krzywdy; o włos bliżej, a jego skóra wyglądałaby niczym u więźnia, który przełazi przez ogrodzenie z drutu kolczastego. Tymczasem Hao skręcał się, zatrzymywał, odchyłał i nic nie było w stanie go dotknąć. Wyglądało to pięknie.

Napomniałam się surowo, żeby obserwować Frosta. Nie mogłam jednak przestać zerkać na Hao.

Wtedy nadeszły duchy. Wiedziałam, że się pojawiły, jeszcze zanim je zobaczyłam. Ich obecność wyczuwał kojot, była niczym ukłucia wzdłuż kręgosłupa i mrowienie w czubku nosa. Zaufałam zmysłom kojota i spróbowałam otworzyć swoje postrzeżenie, tak jak robiłam to wcześniej, i rozejrzałam się uważnie.

Duchy zmarłych skupiły się przy ścianie, jak najdalej od wampirów. Duchy, podobnie jak koty (z wyjątkiem mojej Medei), nie lubiły wampirów. Wyglądało na to, że nic nie robią, choć widziałam

tlustą, jedwabistą niczym pajęczyna magię, która wiązała je z Frostem.

Mimo że Hao i duchy rozpraszały moją uwagę, wciąż pilnowałam Marsilii i Frosta. Kto by się spodziewał, że Marsilia jest takim zabijaką i sądząc po czystej i szybkiej pracy nóg, świetną pięściarką. Frost też był wyszkolony w jakimś rodzaju walki wręcz, skutecznym, aczkolwiek nieco chaotycznym, coś jak techniki, w których wojsko trenuje nowych rekrutów. Doskonały styl dostosowany do wampirzej siły i szybkości.

Tuż za walczącymi siedziała czteroosobowa wampiryczna publiczność Frosta, a ponieważ mój sposób postrzegania zmienił się, gdy obserwowałam duchy, prawie spadłam ze swojej grzędy.

Nie widziałam dusz. Wampiry ich nie mają. Ale z wampirami Frosta było coś nie w porządku. To, co powinno być proste i całe, było poskręcane i poszarpane. Spojrzałam na mojego ulubionego wampira, na Stefana. Stał o krok przed Honey, gotów pochwycić ją, gdyby dała się ponieść temu, co kazało jej z taką uwagą wpatrywać się we Frosta. Nie, oczywiście nie zobaczyłam duszy Stefana, ale wyglądał właściwie, tak jak zawsze.

Odszukałam wzrokiem Marsilię. Różniła się od wampirów Frosta tak samo jak Stefan. Hao powiedział wcześniej, że jego informatorka została złamana. Ciekawe, czy wobec tego wyglądała tak jak te wampiry. Ale przecież nie byłam tutaj po to, by się im przyglądać. Miałam obserwować Frosta.

Oboje, Marsilia i Frost, krwawili. Marsilia znalazła gdzieś metalową sztabę, której używano pewnie do barykadowania drzwi, i uderzyła go w podbródek, niczym Babe Ruth wybijający piłeczkę ze stadionu Jankesów.

Frost poleciał do tyłu i upadł niczym mokra szmata. Marsilia ustawiła się do kolejnego uderzenia, nie spuszczać wzroku z przeciwnika. Nie poruszał się, ale wampiry nie muszą oddychać i potrafią leżeć bardzo, bardzo nieruchomo.

Jeden z duchów agentów SNIT podpłynął do Frosta. Początkowo uznałam to za przypadek. Wrzucić tuzin duchów do piwnicy, a na pewno gdzieś się porozłazią, czyż nie? I teraz duchy porozłaziły się po całej piwnicy, ale jeden tylko zbliżył się do Frosta. Im dłużej obserwowałam duchy, tym łatwiej było mi dostrzec więzy, którymi oplótł je Frost.

Wydało mi się dziwne, że w tej ciemnej piwnicy, gdzie każda możliwa powierzchnia poczerniała od ognia, bez najmniejszego problemu dostrzegałam sieć, w którą zostały pochwycone zjawy. Jednakże ciemność sieci różniła się od zwykłego braku światła. Duch, który zbliżył się do Frosta, miał tę magiczną linę wokół szyi, dziwaczny sznur pulsował nieustannie. Marsilia rozluźniła się, jej chwyt na sztapie osłabł. Wstałam, ale było za późno. Frost uderzył. Jego szczeka zwisała pod dziwnym kątem, ale poruszał się tak szybko, że trudno było nadażyć za nim wzrokiem. Pochwycił ducha i pożarł go.

Nie fizycznie, ustami. Wyglądało to, jakby jego całe ciało zmieniło się w gigantyczną paszczę i pochłonęło ducha. Dla mojego wzroku ciało Frosta zapłonęło jasno. A potem Frost wstał, ocierając wierzchem dłoni krew z ust. Obrażenia, które zadała mu Marsilia, zniknęły.

Zaatakowała go ponownie, ale był szybszy niż przedtem. Tak jakby duch zapewnił mu coś więcej niż samo uzdrowienie. Pochwycił sztabę, wyrwał ją z rąk Marsilii i teraz ona znalazła się w odwrocie.

Walka była głośna od początku. Shamus ryczał i wrzeszczał. Ciała padały na podłogę z hałasem. I nie chodziło tylko o głuchoe łupnięcia, jakie towarzyszyły upadkom, ale też o jęki i trzask łamanych kości. Sztaba nadała temu hałasowi nowy wymiar. Jej uderzenia rozlegały się w swoistym rytmie, gdy Frost spychał ku mnie Marsilię. Zrozumiałam, że bawi się z wampirzycą. Nie mogłam jej pomóc. Musiałam wierzyć, że jest wystarczająco silna i sprawna, by samej się obronić, bowiem ja miałam inne zadanie: w piwnicy pozostało jeszcze trzynaście duchów. Musiałam znaleźć sposób na powstrzymanie Frosta przed pożarciem ich wszystkich. Jedna z dusz przepłynęła obok mnie. Złapałam ją za nadgarstek. Moja dłoń zaczęła przez nią przenikać, ale kiedy skupiałam na niej wzrok, dusza stała się bardziej materialna, zupełnie jak Peter.

– Powiedz mi, jak się nazywasz – poleciłam, nadając rozkazowi pożyczoną od Adama-Alfy siłę.

– Janet – odpowiedziała, a jej głos popłynął wibracją w górę mego ramienia.

– Janet. Odejdź.

Próbowała, ale magia Frosta ją trzymała. Widziałam przerażenie w jej oczach. Spróbowałam zdjąć z Janet sieć dłońmi, ale nadaremnie. Nie

należała do watahy, zatem nie mogłam użyć magii stada, by ją uwolnić.

Wyciągnęłam miecz Zee i przywołałam jego większą formę. Dla Zee i Tada Głód był długim mieczem o czarnej barwie. Dla mnie zmienił się w katanę o gładkim ostrzu z jaskrawą, czerwono-fioletową rękojeścią.

Klinga nie wyrządziła sieci najmniejszej szkody, choć miałam przeczucie, że w świetle dnia, kiedy wampirza magia byłaby najśłabsza, Głód mógłby pochłonąć tę moc, która niewoliła duchy. Spróbowałam nawet dźgnąć zjawę mieczem. Głód posmakował Janet, a ona wyglądała na jeszcze bardziej przerażoną, co przed chwilą wydawało mi się niemożliwe. Jednak gdy cofnęłam ostrze, Janet wciąż tkwiła w pułapce Frosta. Skłoniłam oporny Głód, by powrócił do mniejszej formy, i schowałam go do kieszeni płaszcza.

Rytmiczne brzęk, brzęk, brzęk żelaznej sztaby zamilkło nagle. Szerokim łukiem wyleciała ponad ścianą piwnicy i znalazła się poza zasięgiem walczących. Marsilia nastawiła sobie bark, ledwie się krzywiąc, i ruszyła na Frosta. Bez sztaby nie miał już tak przytłaczającej przewagi, ale wampirzyca z kolei była ranna. Wtedy sięgnął, jakby od niechcienia, i pożarł następnego ducha. To stało się zbyt szybko, a ja byłam za daleko, by temu zapobiec, nawet gdybym wiedziała, jak. Frost uśmiechnął się do mnie, zanim uderzył Marsilię w uszkodzony bark. Zdesperowana zdjęłam mój naszyjnik z barankiem i nieśmiertelnikiem. Symbol mojej wiary, symbol Baranka Bożego, bronił mnie wcześniej przed wampirami. Może zadziała przeciwko wampirzej magii.

– Panie Boże, spraw, proszę, żeby zadziało – pomodliłam się.

I przycisnęłam go do sieci, która skurczyła się przed małym złotym barankiem, skręcając się, zwijając i nikać, aż duch znów stał wolny.

Przyłożyłam baranka do jej czoła i rzekłam:

– Janet. Spoczywaj w pokoju.

Zniknęła w jasnym rozbłysku światła.

– Tak! – krzyknęłam triumfalnie i niedowierzająco. Mój mały baranek okazał się potężniejszy od miecza Zee. Z przeciwległego krańca piwnicy uśmiechał się do mnie Stefan.

– Święte symbole, Batmanie – powiedziałam mu. – Mamy pomoc.

Zacząłam gonić duchy, usiłując omijać walczących. Okazało się to

wyjątkowo trudne, bowiem Frost usłyszał mój okrzyk i teraz starał się mnie dopaść. Marsilia podwoiła wysiłki, by utrzymać go z daleka. Odpuściłam dwa z duchów, bowiem Frost znalazł się zbyt blisko. Nie miałam złudzeń co do tego, jak szybko może mnie zabić, widziałam przecież, jakie obrażenia zadawali sobie z Marsilią.

Właśnie uwolniłam mężczyznę w granatowym garniturze i krawacie z herbem Gryffindoru, gdy usłyszałam krzyk Asila. Odwróciłam się – Frost znalazł się przy mnie. Ale nagle Wulfe wpadł na niego niczym pociąg towarowy, o ile wampir-Chińczyk zdołałby cisnąć pociągiem towarowym.

– Przepraszam, przepraszam – powiedział Wulfe do Frosta spokojnie, gdy ja uciekałam na drugi koniec pomieszczenia, jak najdalej od nich. – Ale musisz uważać, bo jeszcze zrani cię ktoś z twojego zespołu.

Przyciągnęłam kolejnego ducha i spytałam o imię, nie spojrzawszy nawet na jego twarz, bo byłam zajęta niszczeniem magii Frosta.

– Aleksander – odpowiedział.

Uniosłam gwałtownie wzrok i zobaczyłam zabójcę Petera. Dlaczego to on nie znalazł się pośród tych pożartych przez Frosta?

– Zabiłeś mojego przyjaciela – powiedziałam mu.

– Tak – westchnął. – Wilkołaka. Są niebezpieczne i złe.

– Nie – zaproponowałam. – To ty byłeś niebezpieczny i głupi.

– Klóć się z duchem, Mercy? – spytał Wulfe z zainteresowaniem gdzieś z drugiego końca piwnicy. – Rewelacja.

Wulfe był w kiepskim stanie. W ciemnościach nie umiałam stwierdzić, co było sadzą, a co krwią. Jednak nie został tak poraniony jak Shamus czy Hao. Nawet woda nie może wiecznie unikać ciosów.

Hao pozwalał gonić się Shamusowi ku ścianie, pędząc na złamanie karku. Wulfe zostawił ich samych sobie, najwyraźniej po to, żeby mnie obserwować, choć w żaden sposób nie próbował mi przeszkodzić.

Hao zdjął swoją złotą koszulę i wbiegł na ścianę. Koszula zdawała się unosić w powietrzu, podtrzymywana ręką wampira, która pozostała w tym samym miejscu, podczas gdy reszta ciała wykonała obrót wokół niej, gdy Hao wbiegł na ścianę. Koszula opadła na głowę Shamusa mniej więcej w tej samej chwili, gdy Hao wykonał w powietrzu szybkie salto i

wylądował stopami na jego plecach, zmuszając Shamusa, by ten uderzył głową w ścianę.

Pomyślałam, że jeżeli przetrwam tę walkę, do końca życia będę żałować, że nie mam jej nagranej. Choć wszelakie urządzenia nagrywające nie były w stanie odpowiednio uchwycić wampira. Ogólnie wampiry nie były o wiele szybsze niż wilkołaki, czy dajmy na to ja, ale potrafiły niewiarygodnie szybko wykonywać drobne ruchy, co przyprawiało nowoczesne aparaty o konwulsje.

Mżawka, siąpiąca wcześniej, ustała na moment, ale kiedy duch zaczął ciągnąć mnie za dłoń, w której trzymałam medalik, deszcz rozpadał się na poważnie.

– Proszę – odezwał się Aleksander, który zabił Petera. – Jestem taki zmęczony.

Ja też. Ponadto byłam przemoczona, zziębnięta i szczerze żałowałam, że wiem, jak należy postąpić. Dokończyłam przerwana w połowie pracę usuwania magii Frosta.

Było tak zimno, że zamiast robić z popiołu na podłodze zupę, deszcz zaczął zmieniać się w lód.

– Aleksandrze – powiedziałam z mocą. – Idź. – I ponieważ tak właśnie należało postąpić, dodałam coś jeszcze, choć nawet nie wiedziałam, czy zwrot ten miał jakiś wymierny skutek: – Spoczywaj w spokoju.

Zniknął w rozbłysku światła, tak jak i inni. Skrycie miałam nadzieję, że okropna ciemność, która połknęła złoczyńcę w filmie „Uwierzyć w ducha”, pojawi się i tym razem, no ale cóż, okazało się, że będę musiała pogodzić się jakoś z rozczarowaniem.

Wróciłam do łapania duchów, choć palce drętwiały mi z zimna. Gdzieś po drodze straciłam rachubę, albo może Frost dopadł następnego, gdy byłam zajęta. Kiedy skończyłam z kobietą w koktajlowej sukience i odwróciłam się, by odszukać ostatniego, nie zobaczyłam już żadnego ducha.

Walka zaczęła wymykać się spod kontroli, stała się o wiele gwałtowniejsza, bowiem walczący tracili oparcie na lodzie i wpadali na widzów, gruz lub ściany. Ślizgałam się i potykałam, dwa razy się wywróciłam, zanim wreszcie wróciłam na swoje miejsce.

Drżąc złaśnie, wcisnęłam dłonie do kieszeni. Wolałabym czterdziestostopniowy mróz niż to beznadziejne, mokre i śliskie nie wiadomo co. Nawet gdybym ubrała się odpowiednio do tej temperatury, to wszystkie ciuchy i tak by przemokły. Dżinsy przylgnęły mi do ud niczym lodowaty kochanek, a płaszcz, całkiem przesiąknięty na ramionach, przegrywał wojnę o utrzymanie mnie w cieple.

Coś pochwyciło mnie od tyłu za płaszcz i zrzuciło na ziemię. Byłam całkowicie nieprzygotowana na atak, wylądowałam na plecach i uderzyłam o podłogę z taką siłą, że zobaczyłam gwiazdki i małe ptaszki. Mimo zaskoczenia odruchowo przetoczyłam się w bok, czując w ustach żelazisty smak krwi. Usiłowałam umknąć poza zasięg napastnika.

Nade mną stała martwa zabójczyni, o której zupełnie zapomniałam. Jej głowa podskakiwała, wykrzywiona pod nienaturalnym kątem, a co najdziwniejsze, w miejscu, gdzie siedziałam jeszcze przed chwilą, było ich dwie. Skoczyła na mnie, a ja wyciągnęłam z kieszeni zmarzniętą dłoń i miecz Zee przeciął zabójczynię, jak gorący nóż lodowy deser. Byłam prawie tak samo zaskoczona jak ona, bo broniłam się instynktownie i nie zdążyłam nawet wezwać miecza.

Upadła na mnie ciężko i okazało się, że waży więcej, niżby się to mogło wydawać. Na szczęście, nadziana na miecz, leżała martwym bykiem. Tylko jej głowa, miałam wrażenie, zachowała możliwość ruchu, a tej obrócić nie mogła. Od dziwnego podwójnego obrazu robiło mi się niedobrze. Gdybym nie martwiła się, że na przykład przegryzie mi gardło, to chyba zamknęłabym oczy. Udało mi się podnieść lewą rękę i zasłonić szyję.

Ale ona nie próbowała mnie atakować.

– Głód. – Wydawała się zagubiona. – Masz miecz. Gdzie jest mój Drzazga, skoro masz jego Głód?

Nie przestawała mówić, ale zapomniała oddychać, a ja nie widziałam jej ust, czułam tylko szczękę poruszającą się przy moim ramieniu. Mogła mnie przeklinać albo powtarzać, że kocha, a i tak bym tego nie wiedziała. Choć spodziewałabym się raczej tego pierwszego niż drugiego.

Kiedy usiłowała mówić, uświadomiłam sobie, że dziwny podwójny obraz, który widziałam, nie był wynikiem wstrząsu mózgu. Widziałam

jej ducha, prawie całkowicie oddzielonego od ciała, a połączonego z nim lepкими więzami magii Frosta.

Lewą ręką starałam się utrzymać zabójczynię jak najdalej od siebie, prawą z mieczem miałam uwięzioną pomiędzy naszymi ciałami. Ponieważ nie próbowała zrobić mi krzywdy, oraz dlatego, że bardziej bałam się miecza Zee niż jej, z trudem przemieściłam lewą rękę w dół, starając się nie zwracać uwagi na jej zimne, gnijące ciało przy moim policzku, poruszające się nieustannie, kiedy na próżno usiłowała mówić. Starałam się też oddychać możliwe najpłycej, ale to niewiele pomogło w kwestii zapachu.

Lewą dłonią namacałam kieszeń dzinsów, gdzie wsadziłam naszyjnik. Spodnie były mokre i opierały się moim wysiłkom, ale udało mi się zahaczyć o łańcuszek opuszkami palców. Jednak dzinsy miały tu ostatnie słowo. Baranek zaklinował się w kieszeni i musiałam szarpnąć mocno. Dzinsy uwolniły naszyjnik, ale moje zgrabiałe z zimna, niezdarne palce puściły łańcuszek. Naszyjnik wystrzelił i usłyszałam, jak upadł gdzieś poza moim zasięgiem.

Próbowałam się przesunąć, ale kiedy tylko miecz się poruszył, ręce i nogi Ziółka zaczęły drgać.

– OK, Głodzie – zwróciłam się do miecza. – Czy mógłbyś coś z tym zrobić?

Postanowiłam powtórzyć to wszystko po niemiecku, bo przecież to był miecz Zee.

– *Also, Hunger. Können Sie nicht etwas tun?*

Poczułam, że mnie posłuchał. Dostałam gęsiej skórki, a magia zawibrowała w mojej piersi i wzdłuż ciała, wszędzie tam, gdzie czułam ciężar martwej zabójczyni.

Rękojeść miecza w mojej dłoni zrobiła się cieplejsza. Ciało Ziółka zaczęło wibrować, gdy ciepło zmieniło się w żar.

Naszła mnie okropna myśl. A co, jeśli miecz bardziej lubi martwą pradawną niż żywego kojota, i zdecyduje się na zmianę stron? Ostrzegano mnie, że Głód porzuca tego, kto nim włada. Dlatego trzymałam miecz, mimo że parzył mi palce do bólu.

Rękojeść była rozpalona, ale nawet nie w połowie tak jak ostrze.

Ciało zabójczyni zmieniło się w popiół w jednej chwili, mieszając

się z pozostałościami po pożarze w winiarni i mokrym lodem. Przekręciłam się gorączkowo i zerwałam na równe nogi, upuszczając miecz.

Z zombie nic nie zostało. Próbowałam strzepnąć jej prochy z płaszcza i džinsów, ale przez deszcz tylko je rozmazywałam. Upuszczony miecz roztopił cienką warstwę lodu na podłodze, ale ostygł gwałtownie i teraz sam zaczynał pokrywać się lodem. Leżał w błocie, a jego magia, która wcześniej wibrowała we mnie, rozwiała się bez śladu.

Nie chciałam go podnosić, ale jeszcze bardziej nie chciałam go zostawić tu, gdzie mógłby wpaść w łapy któregoś z wampirów. Kiedy dotknęłam rękojeści, była tak zimna, że poparzyła moje pokryte pęcherzami i zaczerwienione dłonie. Miecz opierał się, kiedy usiłowałam go zmniejszyć. To dlatego wciąż trzymałam go w dłoniach, gdy Frost uderzył mnie i odrzucił na parę metrów. Przetoczyłam się i wstałam płynnie. Machałam mieczem tak, jak podczas treningów w *dojo*, odkąd parę lat temu *sensei* postanowił, że będziemy ćwiczyć z bronią. Adrenalina stłumiła ból policzka i kolana, przesłoniła fakt, że byłam przemoczona, zziębnięta i wystraszona; to wszystko stało się tylko tłem. Pozostały jedynie miecz i śmiertelny taniec walki.

Nie dorównuję siłą wampirom ani wilkołakom, ale jestem szybka. Miałam miecz i walczyłam z taką szybkością, na jaką tylko było mnie stać. Nie byłam w stanie trafić Frosta, ale i on nie mógł się do mnie zbliżyć na tyle blisko, by mnie uderzyć. Byłam skupiona na nim, lecz udało mi się kątem oka dostrzec to i owo. Marsilia została pokonana. Jej ciało było zbyt zmasakrowane, by mogła utrzymać się na nogach, choć mimo to starała się dotrzymać obietnicy i czołgała się w naszym kierunku.

Wulfe także poległ. Ubłocony i pokryty lodem, leżał nieopodal miejsca, gdzie tańczyliśmy. Uważałam, by nie zbliżyć się za blisko do niego.

Hao i Shamus znajdowali się gdzieś za mną. Słyszałam, jak walczą, ale nie mogłam ich zobaczyć.

Stefan zmagał się z Asilem, krzycząc:

– Spokój! Spokój, wilku! Nie chcę cię zabić, ale będę musiał.

Honey tylko obserwowała moją walkę żółtymi oczyma.

Jednak wszystko to, podobnie jak ból płynący z moich obrażeń, pozostało jedynie tłem dla rytmu tańca wojny. Frost nie mógł pozwolić, by dosięgło go ostrze miecza, ja byłam od niego o włos szybsza. Ponieważ musiał trzymać się ode mnie na długość klingi, nie mógł zbliżyć się na tyle, by wykorzystać w walce swoją siłę. Powoli zmuszałam przeklętego wampira do odwrotu.

Skoczyłam w bok i ostrze miecza zahaczyło o ciało Frosta, a potem się uwolniło. Gdy wylądowałam, jego ramię krwawiło. Rana była płytka, ale i tak się uśmiechnęłam.

Natarłam ponownie. Zdekoncentrował mnie jakiś hałas, w oddali zawył wilk. Źle wylądowałam.

To wystarczyło. Frost uderzył we mnie jak zawodnik amerykańskiego futbolu. Złożyłam się w pół na jego barku i spróbowałam przewinąć się przez jego plecy, ale złapał mnie za nadgarstek, cisnął na ziemię i przygwoździł. Miecz trzymałam w dłoni, lecz był bezużyteczny, bo nie mogłam poruszyć nadgarstkiem.

– Skoro kosztowałaś mnie zwycięstwo – przyciskał twarz do mojej niczym namiętny kochanek – będziesz długo umierać. – Pieszczotliwe pogładził swym policzkiem mój i mocniej napał na mnie całym ciałem. – Marsilia mnie nie doceniła, zestarzała się od czasów, gdy była Świetlistym Ostrzem Władcy Nocy.

Zmieniłam się w kojota i ugryzłam Frosta w twarz. Kły zsunęły się po kości jarzmowej i Frost wrzasnął. Ponownie otworzyłam pysk, złapałam oko i wyrwałam mu z czaszki. Odskoczył ode mnie z wyciem, a ja zmieniłam się w człowieka, zanim ubrania stały się problemem. Nie chciałam ryzykować, że coś mnie spowolni albo, co gorsza, że wampir położy łapy na mieczu Zee.

Złapałam ręką Głodu i dźwignęłam się chwiejnie na nogi. Instynkt i długie lata ćwiczeń kazały mi podnieść sztych, gdy Frost na mnie skoczył. Ostrze przeszło między żebrami, jakby były z sera, i utkwilo w sercu.

Frost zaczął coś mówić, a mój mózg dogonił zmysły w samą porę, by zobaczyć ciemnego wilka, który zaatakował i rozerwał mu gardło. Wilk spojrzał na mnie przelotnie, raz, i zajął się jatką. Klapnęłam na oblodzonej podłodze, zbyt zmęczona, by się ruszyć. Obok mnie

Adam kłami i pazurami rozdzierał klatkę piersiową Frosta. Miecz sam się uwolnił z wampirzego ciała, gdy siadłam. Odwróciłam głowę i obserwowałam Adama, który szarpał i darł, aż wampirze serce upadło na ziemię tuż przy mnie. Wampiry mają paskudny smak. Pospieszenie wytarłam usta skrajem koszulki Kyle'a, z nadzieją, że nie był to jego ulubiony ciuch.

Adama jednak smak nie powstrzymał. Zajął się rozerwanym gardłem Frosta i gryzł, aż głowa wampira potoczyła się na podłogę i znieruchomiła obok wyrwanego serca.

Skończywszy mordowanie Frosta, Adam przysiadł na chwilę przy zwłokach, niczym srebrno-czarna maszyna do zabijania.

– Adam? – Marsilia zdołała się podnieść, ale wciąż poruszała się nie tak, jak trzeba.

Adam pochylił głowę i ryknął na nią. Był to niski, dudniący dźwięk, który jednocześnie wibrował mi w piersi i ranił uszy. Czułam zapach jego gniewu.

Adam odwrócił się do mnie i też ryknął.

– Nic nie mogłam na to poradzić – odpowiedziałam. – On miał zamiar zniszczyć świat.

Adam warknął i kłapnął na mnie zębami.

Znowu bolał mnie policzek, Frost zdołał mnie uderzyć w twarz w trakcie naszego starcia. Przeszło mi przez głowę, że będę miała śliwę, jakiej świat nie widział. Kiedy opadła już gorączka walki, czułam, że bolą mnie ramię, nadgarstek i poparzone dłonie. I to bardzo. Byłam zziębnięta, zmęczona i nieszczęśliwa.

Adam miał prawo się wściekać. Też bym była wściekła, gdyby poszedł walczyć bez słowa wyjaśnienia.

– Zgodnie z prawem jako Mistrz Ceremonii powinienem go zabić za wtrącanie się w przebieg walki – stwierdził Stefan. Poderwałam gwałtownie głowę, by na niego spojrzeć. Zapomniałam o tym, zapomniałam, prawdę mówiąc, że był tu ktoś jeszcze oprócz mnie i Adama. – Wątpię jednak, żeby Władca Nocy przywłókł się tutaj, by ukarać mnie za rezultat, którego sam pragnął. A ponadto – trącił stopą zwłoki Frosta – technicznie rzecz biorąc, był martwy po tym, jak go dźgnęłaś. Adam, to już była przesada. – Znowu kopnął ciało. – Hmm.

Sądziłem, że był starszy, ale ci z nas, którzy są naprawdę wiekowi, obracają się po śmierci w pył. No, tak czy inaczej, słońce to załatwi.

Asil ukląkł przy mnie, nieufnie zerkając na Adama.

– Wszystko w porządku?

Poruszyłam palcami u rąk i stóp. Palce rąk bolały. Bardzo. Ale mogłam nimi ruszać.

– Patrz – powiedziałam pogodnie. – Nie trzeba wózka. Kiedy poprzednio walczyłam z nieśmiertelnymi potworami, skończyłam na wózku inwalidzkim.

Usłyszałam, jak Wulfe chichocze. Opierał się o szczątki ściany, która jeszcze bardziej ucierpiała w trakcie walki. Poczerniały tynk został w wielu miejscach odbity i odsłonił blady cement. Usiłowałam rozjaśnić atmosferę, ale nie byłam nawet w połowie tak zabawna, jak to wszystko.

Asil zignorował Wulfe'a.

– Lubię cię, ale muszę powiedzieć to w jego imieniu – ruchem głowy wskazał Adama – bo on teraz nie może tego zrobić. Nie jesteś potworem i jeśli będziesz nagminnie prowadzić z nimi boje uzbrojona w wykałaczkę, bo tak postąpić należy, to żadna magia na świecie cię nie ocali.

Popatrzyłam Asilowi w oczy, gotowa się bronić. Co on sobie, do cholery, myślał? Wtedy spojrzałam na Adama, który przestał warczeć. Dyszał z wysiłku daleko większego niż ten włożony w zabicie Frosta. Jak się dowiedział? Ile przebiegł?

W gardle mnie drapało i piekły oczy. Przyczyną nie były pozostałości pożaru.

– Rozumiem. Naprawdę. Ale nie mogę... – Przełknęłam ślinę. – Nie umiem tak po prostu siedzieć z założonymi rękami, kiedy ludzie, na których mi zależy, mają kłopoty. To nie w moim stylu. – Uważałam. No bo przecież uważałam. Staralam się ze wszystkich sił nie zrobić nic głupiego i hej, przecież żyłam, prawda? – Zadzwoiłam i powiedziałam, gdzie jestem. Przeprowadziłam wsparcie. Dałam sobie radę. Potrafię być rozważna. – Już nie mówiłam do Asila. – Ale sam wiesz, Adam, że dobro i zło są prawdziwe, wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Muszę postępować tak, jak należy. Inaczej nie byłabym wcale lepsza od tego tutaj... – Wskazałam trupa Frosta. – Aby zło zatriumfowało, wystarczy,

żeby dobrzy ludzie nic nie robili.

– Życie nie jest bezpieczne – powiedział Hao. – Człowiek może spędzić cały swój ziemski czas, siedząc bezpieczny w piwnicy, a na koniec i tak umrze jak inni. – Półnagi, pokryty tym samym brudem, co my wszyscy, nadal sprawiał wrażenie, że w pełni panuje nad sobą i otoczeniem.

Adam westchnął. Ominął strzępy Frosta i położył się przy mnie. Też był mokry i zimny, ale tylko z wierzchu, pod futrem był bardzo ciepły.

– Wzruszające – rzuciła Marsilia i wtedy zaatakował ją Shamus.

Rozległ się głośny dźwięk i zamiast Shamusa nad Marsilią stał Wulfe. Shamus leżał w dwóch kawałkach, a Wulfe trzymał w dłoni miecz Zee. Musiałam spojrzeć na swoje dłonie, by upewnić się, że go tam nie ma. Moja skóra wciąż pamiętała dotyk chłodnego metalu. Wulfe zerknął na miecz, a potem spojrzał mi prosto w oczy, podczas gdy Shamus powoli zmieniał się w popiół, który mieszał się z mokrą sadzą na podłodze.

– To tej zabawce magicznych dałaś swojej pysznej krwi, a mnie jej żałujesz? – spytał mnie tęsknie Wulfe.

Wszyscy zamarli, a on tylko się roześmiał i rzucił mi miecz. Złapałam go, nim uderzył w Adama. Tym razem, kiedy zażyczyłam sobie, żeby się zmniejszył, uczynił to błyskawicznie, jak gdyby też wystraszył się Wulfe'a. Schowałam Głód do kieszeni, a wampir pomógł Marsilii wstać.

– Chciałem powrócić do czasów, kiedy mogliśmy swobodnie zatracać się we krwi naszych ofiar – powiedział, a w jego głosie słychać było tony smutku. – Najwyraźniej nie stanie się to dziś, ale może to i lepiej. Pozwól, że cię poniosę, będzie łatwiej. – Wziął Marsilię na rękę. Popatrzył na Stefana i Hao. – Będziecie musieli zabić wampiry Frosta. Przecenił swoją władzę nad nimi, nie umarły razem z nim, jednak nie są w stanie same sobą pokierować. – Westchnął. – No a potem będę musiał chyba zapolować na pozostałe wampiry, które podporządkował sobie w innych miastach. – Spojrzał na zwłoki Frosta. – Przysporzyłeś sporo pracy wielu ludziom. Gdybyś nie był już martwy, sam bym cię zabił. – Stwierdziwszy to, z czułością zwrócił się do Marsilii: – Zabieram cię do

domu. Musisz się pożywić, wziąć kąpiel i wypocząć.

I z Marsilią w ramionach podszedł do jednej ze ścian i wyskoczył na zewnątrz.

– Był cały czas po naszej stronie? – spytałam. Stefan wzruszył ramionami.

– Kto go tam wie? Widziałem już, jak siał śmierć i zniszczenie i robił to o wiele lepiej niż dzisiaj. Dzisiaj obyło się bez ognistych wybuchów. Ale, z drugiej strony, nie zawsze pamięta, jak używać magii, przynajmniej tak twierdzi. No i wszyscy wiedzą, jak doskonale Hao walczy.

Hao też wzruszył ramionami.

– Frost jest martwy. Gdyby Wulfe należał do mnie, to bym go zabił, ale chmara Marsilii to nie moja sprawa.

Kiedy opuszczaliśmy pozostałości winiarni, Hao i Stefan zabijali wampiry, które osunęły się pod ścianą. Mercedes Marsilii zniknął, ale drugi samochód chmary wciąż stał na parkingu. Adam najwyraźniej nie przyjechał autem, więc wladowaliśmy się wszyscy do furgonetki Warrena, wilkołaki usiadły na pace. Pojechaliśmy do domu.

Sprawiliśmy Królikowi pogrzeb godny wikinga.

Niczym pokonany wojownik, w formie kupki złomu, legł na stosie drewna wysokim na metr i o pół metra szerszym niż on sam. Zanim członkowie watahy ułożyli Królika na miejscu ostatecznego spoczynku, spuściłam z niego płyny i wymontowałam wszystkie nadające się do powtórnego wykorzystania części.

Części te zostały wetknięte do środka i umieszczone dookoła starego Królika, który wciąż upiększał przestrzeń pomiędzy moim starym a nowym domem. Jasne, że mogłam znaleźć inne miejsce na składowanie ich, ale Adam nawrzeszczał na mnie z powodu walki z wampirem o jeden raz za dużo.

Wiem, że go przeraziłam, sama byłam przerażona. Przypomniałam sobie też, jak zła byłam na Adama, gdy się zranił, całując mnie, bo sądził, że to złamie magię nie ludzi, która mnie więziła. Postąpił słusznie, całując mnie, choć się poparzył, a ja postąpiłam słusznie, pomagając

Marsilii zniszczyć wampira. Ale i tak na niego nawrzeszczałam.

Dlatego też stary rupieć skończył z parą opon na bagażniku, ale nie z wulgarnym napisem wymalowanym fluorescencyjną różową farbą (zachowywałam to sobie na szczególnie poważną okazję) albo błyskającym czerwonym światełkiem na baterię słoneczną, które kupiłam w szaleństwie pechowych zakupów w Walmarcie.

Ogień płonął jeszcze mocno i długo po tym, jak upiekły się ostatnie pianki i kielbaski. Mimo zużycia stosów drewna opałowego nie zdołalibyśmy spalić volkswagena na popiół, gdyby nie pomoc Tada.

Od śmierci Frosta upłynęły dwa tygodnie.

Telewizyjne wystąpienie Adama utrwaliło jego reputację bohatera (o ile ta w ogóle wymagała utrwalania) oraz podpory ładu i porządku. Dobrze, że nikt nie robił zdjęć, gdy rozdzierał ciało Frosta na strzępy. Tony zapewnił mnie, że policja była w pełni usatysfakcjonowana historią przedstawioną po łebkach przez Adama i agenta Armstronga.

Kyle wybaczył mi zniszczenie koszuli i bez słowa skargi pomógł nam szukać swojego samochodu. Jak sądzę, był zadowolony, że nie znaleźliśmy go tamtej nocy i nie pobrudziliśmy skórzanej tapicerki sadzą i krwią.

Gdy jechaliśmy piaszczystymi drogami bez nazwy, przez niekończące się winnice i sady, Warren powiedział mi, że Adam po prostu nagle wstał z fotela, na którym siedział w biurze Kyle'a, i wybiegł przez drzwi, zostawiwszy im na głowach reportera, który został nieco dłużej, by dopytać o szczegóły.

Adam odjechał jaguarem należącym do Kyle'a, musieli więc wracać taksówką. Adam wyjaśnił niezbyt składnie, że nie wiedział wiele, tyle tylko, że znajdowałam się w winiarni z wampirami, ale nie był pewien, jak tam dojechać. Wyczuwał mnie, jednak drogi wciąż prowadziły nie tam, gdzie trzeba. W końcu porzucił samochód i pognął na czterech łapach.

Odnalezienie jaguara zajęło nam całe trzy dni, a zakończyło się sukcesem jedynie dlatego, że ktoś zadzwonił na policję i poinformował o samochodzie porzuconym w jego winnicy.

Kilka dni po naszej przygodzie przy pierwszej okazji oddałam Tadowi miecz.

– Coś ty mu zrobiła? – spytał. – Mam wrażenie, że jest jakby...

– Przestraszony? – podsunęłam.

– Poskromiony. – Skrzywił się.

– Wulfe... Znasz tego pomyłonego wampira? Wulfe użył go do zabicia innego wampira.

Tad znów się skrzywił.

– To wszystko wyjaśnia. Powinnaś kiedyś zapytać tatę o Wulfe'a. Gwarantuję ci niezłe koszmary.

Tad został w domu ojca, ale przestał się izolować. Znowu zaczął pomagać mi w warsztacie. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo tęskniłam za pracą z kimś, kogo lubię. Może w przyszłości będę zmuszona zamknąć warsztat, ale jeszcze nie teraz.

Pogrzeb Petera zorganizowaliśmy najszybciej, jak się dało. Tego dnia pięknie świeciło słońce, choć nadal było zimno. Wataha opłakiwała śmierć Petera. To była cicha uroczystość, bez zwyczajowych przemów, na życzenie Honey. Zgadzałam się z nią, były tu zbędne. Wszyscy mieliśmy świadomość tego, co straciliśmy.

Asil pojechał do domu bezpośrednio po uroczystości. Podobnie jak agent Armstrong, który zjawił się na pogrzebie, choć nie znał Petera.

– Dobrze jest pamiętać ofiary – powiedział mi, gdy staliśmy przy grobie. – To daje pewną perspektywę.

Adam zmusił Honey, by pozostała z nami jeszcze kilka dni przed powrotem do domu. Mary Jo planowała zrezygnować z wynajmowanego mieszkania i wprowadzić się do niej w ciągu najbliższych tygodni. Mary Jo strażaczka i Honey księżniczka – jak dla mnie to pewna katastrofa. Obie mnie nie lubiły z wielu powodów, głównie dlatego, że byłam kojotem, nie wilkołakiem. Może to będzie ich płaszczyzną porozumienia i jakoś dadzą radę mieszkać razem.

Ostatnie języki ognia pod Królikiem zgasły, gdy zaczął padać

śnieg.

– Wejdźmy do środka – zaproponował Adam. – Wszyscy odjechali za wyjątkiem Jesse, a ona już śpi.

Niecierpliwy ton i muśnięcie mojego ucha wargami powiedziały mi, że miał na myśli coś więcej niż tylko spanie.

– Czuję się dzisiaj wielką szczęściarą – oznajmiłam Adamowi, gdy wracaliśmy do domu.

– O? Bo nie umarłaś w wypadku ani kiedy zaatakowała cię zabójczyni, ani kiedy walczyłaś z wampirem? – Usłyszałam ostrzejsze nuty w jego głosie.

– Już dość na mnie nawrzeszczałeś z tego powodu – ostrzegłam go.
– Wyczerpałeś już swój przydział. Poza tym to nie czyni mnie szczęściarą.



Po tym, jak zostawiliśmy za sobą spaloną winiarnię i wampiry, pojechaliśmy do domu, naszego domu. Był trochę zniszczony (frontowe drzwi były w takim stanie, że musieliśmy wymienić futrynę i otynkować część ściany), ale wszyscy złoczyńcy nie żyli.

Zostawiłam ślady krwi, błota i popiołu na białym dywanie i na schodach. Zwykle miałam wyrzuty sumienia, gdy krwawiłam na dywan, dziś jednak nie bardzo mnie to obeszło. Poza tym Adam, wciąż w wilczej postaci, był jeszcze brudniejszy niż ja.

– Wezmę prysznic – oznajmił Asil. – Potem położę się spać w salonie, żebym mógł mieć oko na drzwi.

– W łazience w piwnicy jest prysznic – poinformowałam go. – Weź sobie też coś do jedzenia z kuchni.

– Tak, mamusiu. – Uśmiechnął się kpiąco.

Honey wskoczyła na kanapę w salonie z ciężkim westchnieniem. Kanapa była biała, jak dywan, ale obita skórą, więc łatwa do czyszczenia. Chyba.

Adam szedł przy mnie po schodach.

– Ty też powinienes coś zjeść – przypomniałam mu.

Spojrzał na mnie i odpuściłam. Jeśli naprawdę będzie głodny, sam o siebie zadba. Kiedy tylko dotarliśmy do sypialni, rozpoczął przemianę

w człowieka. Zmęczony, robił to bez pośpiechu, więc przemiana była bardzo powolna.

Rozebrałam się i wrzuciłam ciuchy do kosza na brudy. Weszłam do łazienki i puściłam wodę. Trochę potrwało, zanim się domyłam. Popiół trzymał się z zaskakującym uporem, a skoro część tych popiołów była niegdyś osobą zombie, to musiałam pozbyć się go w całości.

Kiedy w końcu wyszłam z łazienki, Adam spał rozciągnięty na łóżku. Nagi. Był czysty i miał wilgotne włosy, więc pewnie skorzystał z drugiego prysznica. Obserwowałam go przez chwilę, wycierając włosy ręcznikiem. Dołączył do mnie Peter. Żywy czy martwy, był wilkołakiem i nie przeszkadzało mu, że jestem naga, więc nawet nie trudziłam się zasłanianiem.

– To dobry człowiek – stwierdził, patrząc na Adama.

– Tak – przytaknęłam.

Peter przechylił głowę, by spojrzeć mi w oczy, i się uśmiechnął.

– Wiesz, że on tak nie uważa. Sądzi, że jest potworem.

– Nie szkodzi. To, co o sobie myśli, nie zmienia tego, kim jest.

– Powiedziałem mu, gdzie jesteś – dodał Peter. – Odesłałaś mnie.

Wysłałaś mnie tutaj. A ja odszukałem Adama i powiedziałem mu, gdzie jesteś i w co wciągnęły cię wampiry.

– Odszedłeś, zanim się dowiedziałam, jakie miały wobec mnie plany.

– Jesteś zmiennokształtną. A oni musieli stawić czoła nekromancie, który potrafi podporządkowywać sobie zmarłych. To jasne, że chcieli, byś wzięła w tym udział.

No proszę, nawet martwy facet był mądrzejszy ode mnie.

– Peter, już czas, żebyś odszedł. Wiem, jak naprawić to, co ci zrobił Frost. Asil zwrócił mi naszyjnik jeszcze w samochodzie.

– Dobrze. Ale chciałbym ten ostatni raz spać u jej boku.

– Tak. Jasne.

Po raz ostatni przemienił się w wilka i wyszedł z pokoju, nawet się nie oglądając.

Podeszłam do łóżka i obolałymi palcami dotknęłam wilgotnego ramienia Adama. A co, jeśli my mielibyśmy spać razem już tylko jeden raz? Ostatni?

Mógł przecież zginąć zamiast Petera.

Wyciągnęłam spod niego kołdrę, ale był tak zmęczony, że nawet się nie poruszył. Jednak kiedy położyłam się obok, objął mnie i przyciągnął bliżej.

– No? – Adam otworzył przede mną kuchenne drzwi. Śnieg zdławił już ostatnie iskry pogrzebowego stosu. – Dlaczego jesteś szczęściarą?

– Bo tak. – Zamiast wejść do środka, przytuliłam się do Adama mocno, przyciskając go do futryny. Jego wargi smakowały dymem i hot dogiem z nutą czekolady. Smakował ciepłem i życiem. – Po prostu. Bo tak.

KONIEC

Od Autorki

Czasami odpuszczam, kiedy czegoś nie lubię robić, ale nigdy, gdy nie potrafię tego zrobić. W ten sposób uzyskałam dyplom z niemieckiego, choć nie mówiłam dobrze w tym języku, a od nieużywania go wcale mi się nie polepszyło. Kiedy postanowiłam, że Zee będzie Niemcem, w dwóch pierwszych częściach tu i ówdzie wplotłam jakieś zdanie po niemiecku. Oczywiście proste zdanie. Nic łatwiejszego.

A potem otrzymałam maila od pewnego niemieckiego czytelnika, którym napisał, że bardzo lubi moje książki, ale że niemiecki kaleczę.

Odpisałam: „Dziękuję, masz tę robotę”.

I od tamtej pory Michael Bock oraz jego urocza żona Susann przydali Zee autentyczności. Nie oznacza to, że już nie popełniam błędów – nawet oni nie potrafią zapobiec niewłaściwemu przekopiowaniu zawartości maila do rękopisu. Moja wiedza wystarczy, żeby wszystko przekręcić.

Gdy Zee potrzebował porządnego zaklęcia w „Zrodzonym ze srebra” głosem obdarzyli go Michael i Susann. Kiedy Tad potrzebował zaklęcia w tej części, znów przyszedł mi na pomoc Michael. Razem pracowaliśmy nad tłumaczeniem: Odbicie w zwierciadle, odnajdź w głębi siebie obraz i głos ojca.

Jego słowa jego postać, moje słowa moja postać, prowadź, wskazuj, przywiedź do spotkania w twojej rzeczywistości.

Zwiąż nasze światy, nasze osoby, w prawdzie i pieśni.

Z pozdrowieniami,

Patty Briggs



Podziękowania

Ponieważ żadna dobra książka nie tworzy się sama, następujący ludzie pomogli tej historii znaleźć się w druku: Mike i Collin Briggs, Kaye i Kyle Roberson, Ann Peters, Michael Enzweiler, Deb Lenz, Linda Campbell i Anne Sowards – którzy czytali surową wersję i pomogli mi ją ulepszyć. Dziękuję wam. A także Michaelowi i Susann Bockom, którzy poprawiali mój niemiecki i dali Zee oraz Tadowi ich magię. *Vielen Dank*. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za wszystkie błędy w tej książce.



PATRICIA BRIGGS

ZAR MROZU



W życiu Mercy Thompson zaszła zmiana na miarę przesunięcia tektonicznego. Na szczęście, wychodząc za Adama Hauptmana, charyzmatycznego Alfę lokalnej watahy wilkołaków, stała się macochą jego córki, Jesse, a relacja ta zapewniała jej chwile błogiej zwyczajności w całym tym szaleństwie. Jednakże w życiu na pograniczu świata ludzkiego coś, co normalnie byłoby niefortunnym zdarzeniem, może zmienić się w coś znacznie więcej...

Ten cykl to przede wszystkim możliwość zaczerpnięcia głębokiego wdechu przez czytelnika, od dłuższego czasu tonącego w głupocie ostatnio wydawanych pozycji.

GAVRAN.pl



POPRIEDNI TOM:

fabrykaslow.com.pl

ISBN 978-83-7964-200-7



9 788379 642007

Wyłączny
dystrybutor



39,90 zł*

* cena zawiera 5% VAT

Patroni medialni

DEMOTYWATORY.PL

gavran
FAN-DOM.PL

dla LEJDIS.pl

KAWERNA

POLACY
NIE GĘSI

Ostatnia
Tawerna

Obcasy.pl

Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Od Autorki

Podziękowania

